P A N A S

L U B L I N J E S T K S I Ę G Ą

LUBLIN 2008

TOM 1

WŁADYSŁAWA PANASA OPISYWANIE LUBLINA

SCRIPTORES

Redakcja i wydawca:
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN"
teatrnn@tnn.lublin.pl www.tnn.lublin.pl

Dyrektor Ośrodka:
Tomasz Pietrasiewicz

Adres redakcji i wydawcy:
ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin
tel.: (+48 081) 532-58-67, faks: 534-61-10

Redaktor pisma:
Marcin Skrzypek
marcin@tnn.lublin.pl scriptores.tnn.lublin.pl

Numer zredagowany przez zespół:
Marcin Skrzypek, Aleksandra Zińczuk
(redakcja, ilustracje)
Anna Chaber (redakcja techniczna)
Marcin Fedorowicz, Joanna Zętar
(ikonografia)
Agnieszka Kościuk (korekta)
Karolina Kryczka (edycja materiałów wideo
– dziękujemy TVP Lublin za ich udostępnienie)
Autor: NN

Składamy serdeczne podziękowania
Rodzinie Władysława Panasa:
jego żonie Teresie i dzieciom:
Marcie, Pawłowi i Rafałowi
za udzielenie zgody
na publikację tekstów Profesora

www.panas.tnn.pl

Tak, ja mam specjalną sprawę z Lublinem i to, co chcę o tym mieście powiedzieć (przede wszystkim sobie chyba), to powstaje w książce, którą piszę. I mam nadzieję, że się skończy w jakimś momencie moja droga. Ta specjalna sprawa polega na tym, że jest to droga kogoś, kto tu nie znalazł się ani z wyboru, ani z przypadku, a z przymusu, na zesłaniu, na takiej Syberii. Jest to droga od nienawiści do czegoś, co jest podobne do miłości.

Wypowiedź na 99. „Urodzinach Czechowicza", s. 197.

Projekt okładki i strony tytułowej:
Małgorzata Rybicka

Układ graficzny wnętrza:
Marcin Skrzypek

Skład:
Amadeusz Targoński www.targonski.pl

Druk i oprawa:
PETIT s.c. Lublin

Nakład:
1000 egz.

© Copyright for cover design by Małgorzata Rybicka 2008

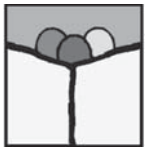

Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego Promocja Czytelnictwa ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

„Scriptores" jest kontynuacją pisma „Scriptores Scholarum [Zeszyty Szkolne] – kwartalnik uczniów, nauczycieli oraz ich Przyjaciół" wydawanego przez Ośrodek od czwartego numeru w latach 1994-2000.

Jest to księga, która jawi się nam żyjącym tutaj jako coś bardzo codziennego i wcale niefascynującego. Ale to jest ten pozór – może taki podstęp? Żeby nam się to wydało nieatrakcyjne i niepociągające, i może wcale nieładne, i wcale takie „nie do kochania" [...] ale może to jest rodzaj ćwiczenia zadanego nam, testu na naszą wrażliwość – żeby stać się jej godnym. Ten będzie godny, kto potrafi dojrzeć coś ważnego pod tym lichym przyodziewkiem. [...] Albo zobaczę, albo nie zobaczę, ale to nie świadczy źle o tym, na co patrzę, tylko o mnie.

„Każdy ma oko, każdy ma oczy, są różne oczy, piękne oczy, niebieskie, kasztanowe, ale co te oczy widzą?" Mówimy o księdze, która tak stawia sprawę: co one mogą zobaczyć? Jak się mogą przebić i czy się przebiją? O czym to będzie świadczyło? Nie o miejscu, nie o tej Księdze, tylko o nas. [...] Księga Miasta, tego i innych miast, stawia takie warunki [...]. To jest promocja „turystyki metafizycznej" czyli takiej, która ma czas, która ma nieskończoną cierpliwość. Ja nigdzie się nie spieszę. Sprowadził mnie tu anioł i pozostawił mnie tu anioł. I albo jest mi tu dobrze, albo nie zasługuję na to.

Magiczne miasto, s. 170.

PANAS – Lublin jest księgą
tom 1: Władysława Panasa opisywanie Lublina

SPIS TREŚCI:

5 Tomasz Pietrasiewicz **Na tropie „Niebieskiego jeźdźca" – nieukończonego „przewodnika" po Lublinie Władysława Panasa**

JEŹDZIEC NIEBIESKI. SZKICE I FRAGMENTY LUBELSKIE

19 ***Brama***
33 ***Oko Cadyka***
51 ***Daas***
81 ***Jeździec niebieski***

111 **SZKICE NA URODZINY CZECHOWICZA**
113 ***„...miejsce mojego urodzenia będą zwiedzali".***
Szkic topograficzny na urodziny Józefa Czechowicza
118 ***Kapucyńska 3: dwa obrazki.***
Szkic semiotyczny na urodziny Józefa Czechowicza
121 ***„tu mnie skrzydłem uderzyła trwoga".***
Szkic traumatyczno-estetyczny na urodziny Józefa Czechowicza
124 ***Poeta i książę.*** *Szkic reinkarnacyjny na urodziny Józefa Czechowicza*

TEKSTY ROZPROSZONE

131 **Wykład o Widzącym z Lublina**

141 **LUBLIN JEST KSIĘGĄ. WŁADYSŁAWA PANASA LUBLIN OPOWIEDZIANY ROZMOWY I WYWIADY**
143 ***Lublin jak wiersz***
147 ***Lublin jest księgą***
153 ***Potrzeba pamięci***
160 **Magiczne miasto**
177 ***Nasze***
188 ***Lublin nierzeczywisty***

193 **W UŁAMKACH TEKSTÓW. WŁADYSŁAWA PANASA LUBLIN OPOWIEDZIANY KRÓTKIE WYWIADY I WYPOWIEDZI**
195 ***** Wypowiedź w reportażu *Brama Pamięci***
196 ***** Rozmowa w programie z cyklu „Kawa czy herbata"**
197 ***** Wypowiedź na 99. „Urodzinach Czechowicza"**
198 ***** Wypowiedź w programie z cyklu „Etniczne klimaty"**

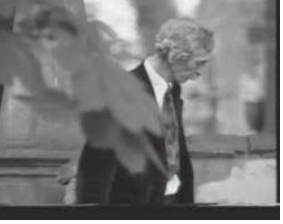

201 ***Odkrywca Lublina magicznego***
202 ***Panas na parnasie***
203 ***Mój alternatywny przewodnik***
204 *** * * Wypowiedź na spotkaniu promocyjnym książki *Oko Cadyka***
206 ***Moim zdaniem***

207 **VARIA**
209 *** * * Notatka o Bramie Grodzkiej**
210 *** * * Notatka: „Miasto magiczne" – projekt**
212 *** * * Notatka: „Lublin magiczny" wykaz wnętrz**
215 ***Tajemnica Bramy Grodzkiej***
216 *** * * Notatka: „Jeździec Niebieski"**
217 ***W ułamkach zwierciadła czyli Schulz w Lublinie***
220 *** * * Wypowiedź podczas „Nocy z Czechowiczem"**
221 ***Singer i... Kraszewski: Tajemniczy trop***
223 **Władysław Panas – kalendarium**
226 **Bibliografia**
230 Aleksandra Zińczuk **Brama – Zaułek – Latarnia**

Tomasz Pietrasiewicz

Na tropie „Niebieskiego jeźdźca”

– nieukończonego „przewodnika” po Lublinie Władysława Panasa

Widzenie Miasta – Miasto Księga

Od samego początku Panas-semiotyk pisząc i mówiąc o Lublinie miał świadomość tego, że na miasto należy patrzeć jak na Księgę. Wspomniał o tym już w grudniu 1994 roku podczas wykładu o Widzącym:

Miejsce, w którym się znajdujemy jest mikrokosmosem odbijającym Lublin, a przez to miasto odbija się cały kosmos. Lublin jest księgą, a ta Brama na granicy dwóch światów, jest małą księgą. Lublin jest księgą, której rozdziały są połączone na zasadzie *chiazmów*. Jej zdania czy wersety są skomponowane metodą *chiazmu*. Albo może jeszcze lepiej – Lublin jest biblioteką Babel i zastanawiam się, czy istnieje katalog, coś w rodzaju indeksu do tej biblioteki. Czy można mówić o niej, że jest kompozycją opartą na *chiazmie*, odwróconej symetrii, na zasadzie lustra, paradoksu obejmującego różne przeciwbieżności, które są również współbieżnościami. Dziwna kompozycja, ale kompozycja – czyli mimo wszystko pewien porządek, denerwujący, ale porządek. Dwa miasta w jednym mieście

Co tu akcentować? Czy tę dwoistość Lublina – dwa w jednym, jedno w dwóch – i jak o tym mówić? Czy akcentować dwoistość czy jedność? Czy to napięcie i grę jedności dwoistości i dwoistości jedności? Czy jest to książka-biblioteka przypominająca szlachecką *silva rerum,* bigos, w którym jest wszystko? I jakie rozdziały czy księgi przeczytaliśmy z tego zbioru, jakie znamy lepiej lub gorzej albo przynajmniej wiemy, gdzie one leżą na półce?

Znamy parę tych ksiąg i pozwolę sobie przytoczyć całą serię nazwisk ich autorów.[1]

Spojrzenie Władysława Panasa na miasto jak na Księgę wynikało z jego zainteresowań semiotycznych. Potwierdza to kilka jeszcze innych jego wypowiedzi:

1

Po pierwsze, jestem literaturoznawcą, który czyta wiersze, prozę, dramaty. Po drugie, wyrosłem z orientacji semiotycznej – najważniejsze jest odczytanie rzeczywistości w kategorii znaku, tekstu. Cała rzeczywistość, która nas otacza to są znaki, teksty.

Czytam przestrzeń miejską tak, jak czytam wiersze, opowiadania Schulza. Badam rytm, liczę sylaby, zgłoski. [...]

Chcę Lublin czytać tak, jak się czyta wiersz. Chcę patrzeć na Lublin jak na ikonę. Kiedy tak się patrzy znajdzie się *genius loci*. [...]

Zastanawiam się, jakim gatunkiem literackim jest Lublin. Raz myślę, że to wiersz liryczny, raz – że epicki. Lublin to ten typ intymności, jak wiersze Czechowicza. To nie przypadek. *Genius loci*. Jest wszędzie. W Lublinie też. Oby tylko nie wyskoczył z niego złośliwy dżin.[2]

Obrazki umieszczone w rogach stron numeru pochodzą z filmu *Magiczne miasto*, reż. Natasza Ziółkowska-Kurczuk, TVP Lublin, 2000. Archiwum TNN.

[1] Zredagowany zapis wykładu Władysława Panasa pt. *Widzący z Lublina* wygłoszonego 16 grudnia 1994 roku na sesji „Żydzi lubelscy” w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie. Zapisy wypowiedzi Władysława Panasa z nagrań audio i wideo w niniejszym numerze zredagowali: Marcin Skrzypek i Aleksandra Zińczuk. Transkrypcje dosłowne znajdują się w archiwum wydawcy, zaś opracowane na stronie www.panas.tnn.pl.

[2] Władysław Panas, *Lublin jak wiersz;* notowała Małgorzata Bielecka-Hołda, „Gazeta Wyborcza. Lublin” nr 51, 1 marca 1997, s. 4.

Na sąsiedniej stronie: „Jeździec niebieski” z fresku w Archikatedrze lubelskiej. Fot. M. Fedorowicz.

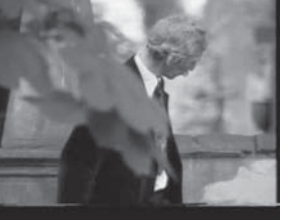

2

Lublin jest księgą. To jest bardzo gęsty tekst. Mam całkowitą pewność, że trzeba stosować do niego metody hermeneutyki, takie jakie stosuje się wobec dzieł literackich, plastycznych czy muzycznych. Ten tekst w wielu miejscach jest zaszyfrowany. Kto go szyfrował? Nie wiem. Opatrzność, historia. Być może jesteśmy literkami tego tekstu, który dzieje się nadal. A może tylko znakami przystankowymi.

Tekst tej księgi przypomina kryształ. Jak go nie uciąć, zawsze w regularne płaszczyzny się układa. Z której strony się nie patrzy, widać ileś tam regularnych płaszczyzn.

Księga Lublina mówi. [...]

Jak czytać tę księgę? Powołam się tu na Simon Weil, która widziała podobieństwa pomiędzy studiami a modlitwą. Twierdziła, że pomiędzy pilnym studiowaniem a modlitwą jest tożsamość. Bo tym, co łączy obie czynności, jest skupienie. A nie rozproszenie, pobieżność, chaos.

Więc studiowanie tej księgi to jest czynność duchowa, bo wypełniona: uwagą, skupieniem i słuchaniem, rozmyślaniem – co mówi. Kto mówi. Studiowanie tej księgi jest też pielgrzymowaniem. Od świątyni do świątyni. Od trójkąta do trójkąta. Od jednego miejsca pustego do drugiego miejsca pustego…[3]

3

Widziałbym Lublin jako Miasto-Księgę, bardzo podobną pod tym względem do innych ksiąg miast europejskich i pozaeuropejskich, takich jak Paryż dla Waltera Benjamina, jak Petersburg Dostojewskiego, jak Praga Franza Kafki, jak Lisbona Vima Vendersa – miast, w których można nieoczekiwanie spotkać dziwne postaci, zetknąć się z niezrozumiałymi wydarzeniami, przeżyć niezwykłe przygody; miasto, w którym nie wiadomo, co się wydarzy następnego dnia. Miasto i przestrzeń. Jest to księga jak palimpsest.[4]

4

Lublin jest dla mnie pewną opowieścią, narracją, pewną fabułą. Nie tworzą jej gołe, suche fakty tak zwanej pozytywistycznej historii, uchodzące za przejaw obiektywizmu. Tak rozumiana mitologia jest otwarciem na to, co nie należy do tej sfery gołych faktów, otwarciem na dozę, powiedzmy, fikcyjności. Fikcyjności, ale nie kłamstwa. [...]

Naszą rolą, nie tylko uczonych, także na przykład pisarzy, poetów, artystów, jest odczytywanie tekstów. Sami jesteśmy nosicielami rozmaitych tekstów. I plac Zamkowy to jest pewien tekst. Całe miasto jest tekstem. Można na to rozmaicie spojrzeć. Jeżeli miasto jest tekstem pokawałkowanym, fragmentarycznym, wtedy można mówić o bibliotece – Lublin jako biblioteka. Nie za duża, prowincjonalna biblioteka, ale zróżnicowana, wielojęzyczna. Albo miasto jest księgą, Lublin jest księgą, gdzie te fragmenty to rozdziały, strony, akapity.[5]

5

Jeśli jednak spojrzeć na przestrzeń, jaką tworzy miasto, z jego historią, ze wszystkimi wydarzeniami, z momentami szczęśliwymi, z momentami wielkiej historii, upadku, dramatów; jeśli spojrzeć na to jak na pewną książkę, pewną księgę, pewien tekst? Jestem filologiem-literaturoznawcą, więc ten trop mnie interesował – o czym jest ta historia?

Dzieje Lublina też tworzą pewien tekst, który ma jakieś nadrzędne przesłanie, nadrzędną wielką opowieść. Próbuję dowiedzieć się i zakomunikować publicznie, o czym jest ta opowieść zatytułowana umownie „Lublin". Co to jest za opowieść: jaka to jest fabuła? Jaki gatunek literacki reprezentuje?[6]

[3] Władysław Panas, *Lublin jest księgą;* wysłuchał, zapisał i do druku podał Waldemar Sulisz, „Na Przykład" nr 48, kwiecień 1997, s. 8-9.

[4] Zredagowany zapis wypowiedzi Władysława Panasa na ścieżce dźwiękowej materiału nakręconego w trakcie realizacji filmu Nataszy Ziółkowskiej-Kurczuk *Magiczne miasto*.

[5] *Lublin nierzeczywisty*, „Gazeta Wyborcza. Lublin", 15-16 maja 2004, s. 7 w dodatku „Magazyn Sobotni – Brama Lubelska". Rozmowa Władysława Panasa z Grzegorzem Józefczukiem zapowiadająca promocję książki *Oko cadyka*, która odbyła się 18 maja 2004 w Bramie Grodzkiej w Lublinie.

[6] Zredagowany zapis wypowiedzi Władysława Panasa na promocji jego książki *Oko cadyka* w Bramie Grodzkiej 18 maja 2004. Nagranie ze zbiorów Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN".

Władysława Panasa opisywanie Lublina

Początki – notatka i wykład

Zanim przejdziemy do najważniejszych tekstów Władysława Panasa związanych z Lublinem, to warto wspomnieć jeszcze o notatce, jaką sporządził jesienią 1994 roku, w której po raz pierwszy wskazał, jakie elementy historii Lublina są dla niego szczególnie ważne. Był to rodzaj „ściągawki" dla jednej z osób z Teatru NN, która miała na jakimś spotkaniu opowiedzieć o miejscu, w którym teatr działa. Według Panasa koniecznie należało podkreślić w tej wypowiedzi, że Teatr NN znajduje się:

1. W Bramie Żydowskiej, w Bramie Grodzkiej, w przejściu między miastem chrześcijańskim i miastem żydowskim.

2. W mieście uczoności żydowskiej, której symbolem jest macewa Szaloma Szachny z 1558 r., twórcy lubelskiej szkoły talmudycznej w XVI wieku – w XX wieku zwieńczonej utworzeniem Jeszywot Chachmej Lublin.

3. W mieście żarliwej, ekstatycznej pobożności chasydzkiej, której znakiem pozostaje macewa Widzącego z Lublina, Jakowa Icchaka Hurwica z 1815 r. W dole – jakie dzisiaj pusty plac u stóp Bramy i Zamku miał swój klaus.

4. W mieście szoah – Majdanek.[7]

Przypomnijmy też, że pierwszym tekstem Panasa, w którym wyraźnie pojawiły się lubelskie motywy, był wygłoszony przez niego z notatek wykład o cadyku Widzącym z Lublina na sesji „Żydzi lubelscy". Działo się to w grudniu roku 1994 w siedzibie Teatru NN. Wspomina o tym sam autor w swojej wypowiedzi podczas promocji książki *Oko cadyka* w maju roku 2004:

Teatr NN wśród wielu przedsięwzięć miał coś, co się nazywało „Spotkania kultur". Udzielałem się zwłaszcza w dwóch wydarzeniach z tego cyklu. W spotkaniach dotyczących prawosławia i judaizmu. [...] Jak było o judaizmie, to mówiłem o chasydach i Widzącym z Lublina, bo po co o innych, jeśli w Lublinie działała jedna z najbardziej ekstrawaganckich i niezwykłych postaci w całym tym ruchu i tu do dzisiaj zachował się jej grób. Możemy go obejrzeć w każdej chwili. Na jednym z takich spotkań wygłosiłem tekst o Widzącym.[8]

Historia powstania esejów *Brama* i *Oko cadyka*

Teksty te powstawały w roku 1995. Autor pracował nad nimi w tym samym czasie. Esej *Brama* miał być opublikowany w przygotowywanej właśnie wtedy książce pt. *Brama*. Esej *Oko cadyka* był efektem wygłoszonego na sesji „Żydzi lubelscy" wykładu o Widzącym. W początkowych założeniach miał się ukazać jako artykuł w książce zawierającej wystąpienia z tej sesji.

Prace nad książką *Brama* zostały podjęte w Teatrze NN na przełomie 1994 i 1995 roku. Miała ona podsumować pierwszy etap jego działalności. Czymś naturalnym było poproszenie Władysława Panasa, przyjaciela Teatru, o napisanie do niej tekstu nawiązującego do symbolicznego znaczenia Bramy Grodzkiej – siedziby Teatru NN. Pracę nad tym tekstem autor rozpoczął wiosną 1995 roku. Stał się wówczas częstym gościem Teatru, wędrując po pomieszczeniach i zakamarkach Bramy w poszukiwaniu inspiracji. O tym, że była ona dla niego ważnym miejscem, świadczą jego późniejsze słowa:

[Brama Grodzka] ma duszę, pod warunkiem, że się na nią otworzymy, a więc również archetypy! Przychodzą w poezji, w lękach, we śnie, w fantazjach... Są oczywiście i inne miejsca z ich duszą, ale Brama Grodzka jest dla mnie najważniejsza, bo niewiele już takich miejsc pozostało...[9]

Duży fragment gotowego już eseju autor wygłosił po raz pierwszy we wrześniu 1995 roku na sesji „Pamięć – Miejsce – Obecność", natomiast w całości *Brama* została opublikowana na początku roku 1996 w „Kontekstach. Polskiej Sztuce Ludowej" (nr 1-2, 1996), a książka „Brama", dla której był przeznaczo-

[7] Według rękopisu notatki Władysława Panasa opisującej Bramę Grodzką jako miejsce, w którym znajduje się Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN". Podkreślenia – Władysław Panas.

[8] Zob. przyp. 6.

[9] *Potrzeba pamięci*; z Władysławem Panasem rozmawiali: Paweł Król i Sławomir J. Żurek. Opracowanie: Magdalena Przybyła; „Scriptores Scholarum" nr 2/3, 1998, s. 18-22.

ny, ukazała się dopiero na początku 1997 roku. W eseju *Brama* znajdujemy wszystkie ważne lubelskie wątki podejmowane przez Władysława Panasa w innych jego „lubelskich" tekstach. Między innymi pojawiają się w nim fragmenty odnoszące się do twórczości Czechowicza i do legendarnych zdarzeń z życia Widzącego.

Nad esejem *Oko cadyka*, który miał być poszerzoną wersją wykładu wygłoszonego w roku 1994 podczas sesji „Żydzi lubelscy", Władysław Panas pracował przez cały rok 1995, a szczególnie intensywnie pod koniec tego roku. Miało to związek z przygotowywaniem do druku książki *Żydzi lubelscy* podsumowującej sesję. Opowiada o tym sam autor:

W pewnym momencie Teatr zdobył pieniądze, pojawiła się możliwość opublikowania tych materiałów w postaci książeczki. I tu się dla mnie zaczął problem. Wszyscy oddali swoje wystąpienia, a ja nie. Zbliżało się Boże Narodzenie, a ja zajmowałem się mistykiem żydowskim. Zacząłem biegać na jego grób i w okolice, bo doszedłem do wniosku, że może będzie dobrze dla czytelnika, jeśli opowiem o dzisiejszym stanie tych miejsc.[10]

Wspomnianego tekstu Panas nigdy nie oddał do druku i początkowy zamiar napisania tekstu o Widzącym zamienił się w coś więcej: powstał z niego esej *Oko cadyka* opublikowany po raz pierwszy w roku 1999 w „Kresach" (nr 40). Sam autor w jednej z wypowiedzi podczas promocji książki *Oko cadyka* w maju 2004 stwierdza, że był on jakby kontynuacją eseju *Brama*: „Przecież napisałem wcześniej o miejscu, w którym jesteśmy – o Bramie Grodzkiej. *Oko Cadyka* jest jakby jego dalszym ciągiem." Zauważmy, że z kolei o eseju *Oko cadyka* wspomina Panas w tekście *Bramy*: „O miejscu dolnym [miasto żydowskie] piszę w osobnym eseju (*Oko cadyka*)".

Brama i *Oko cadyka* – w poszukiwaniu formy

Znając historię powstania *Bramy* i *Oka cadyka* łatwiej zrozumieć, w jaki sposób Władysław Panas chciał opisywać Lublin. To podczas pisania tych esejów ukształtował się jego sposób patrzenia na miasto i opisywania go.

1

Zbliżało się Boże Narodzenie, a ja zajmowałem się mistykiem żydowskim. Zacząłem biegać na jego grób i w okolice, bo doszedłem do wniosku, że może będzie dobrze dla czytelnika, jeśli opowiem o dzisiejszym stanie tych miejsc. Bo przecież nie mogę stworzyć konkurencji dla takich autorów jak Martin Buber, autor znakomitej przecież książki o Widzącym *Gog i Magog*. Jednak historia świata i Lublina nie zakończyła się – ani historia tych miejsc. Mam tę przewagę nad wcześniejszymi autorami, że żyję później od nich i mogę opowiedzieć, jak miejsca związane Widzącym wyglądają teraz. I może to być interesujące.[11]

2

Pracując nad nieopublikowanym tekstem, esejem o Widzącym, chodziłem w miejsca, w których wielokrotnie byłem, oglądałem fotografie, i w jakimś momencie zauważyłem rozmaite elementy. Że tych domów, które na placu Zamkowym zostały po wojnie zbudowane, jest dziesięć. Tak się składa, że dziesięć nie jest liczbą zwyczajną. Że narożna kamienica w miejscu, w którym wypadałoby, że mieszkał Widzący, jakoś się wyróżnia i że tę kamienicę postanowiono jakoś przyozdobić. Tę, ale drugą narożną, od Kowalskiej, już nie, a przecież byłaby wtedy jakaś symetria i wytłumaczenie, że ozdobiono dwie flankujące plac kamienice.[12]

3

Kiedy zacząłem przychodzić do Bramy, oglądać fotografie, ikonografię i zastanawiać się nad tym wszystkim, to wyłonił się zupełnie inny zespół faktów. Zacząłem zauważać rzeczy, których nigdy wcześniej nie widziałem. Otworzyły mi się oczy [...]. Bo wszędzie wokół nas, jeżeli się inaczej spojrzy, dostrzeżemy, że ta rzeczywistość jest tajemnicza, choć pozornie zwykła i banalna. [...] Dla mnie jednak z tego banału nagle

[10] Zob. przyp. 6.
[11] Tamże.
[12] Zob. przyp. 5.

wyłonił się pewien zespół faktów – ta konfiguracja przestrzeni nie jest moim wymysłem – wobec którego trzeba się było jakoś wypowiedzieć, uporządkować je, albo przynajmniej opowiedzieć o nich i tak też zrobiłem. To jest fragment mojego – jak powiadam – przewodnika.[13]

4

Bardzo mnie irytowało operowanie stereotypami, kliszami: jesteśmy miastem Unii, dwóch uniwersytetów, pięciu uczelni… To prawda, to są fakty, ale one zostały bardzo zredukowane. Nawet lubelskie legendy, na przykład legenda o czarciej łapie – również czasem zrobiła się jakaś płaściutka. W tym i w innych tekstach podjąłem próbę napisania takiego przewodnika, jaki sam bym chciał przeczytać – takiego nieortodoksyjnego przewodnika po Lublinie.

Oczywiście nie udaje mi się to, jest w nim jeszcze wiele rozmaitych mankamentów. Ale mam wrażenie, że można by kontynuować to pisanie. Przecież napisałem wcześniej o miejscu, w którym jesteśmy – o Bramie Grodzkiej. *Oko Cadyka* jest jakby jego dalszym ciągiem.[14]

Władysława Panasa przewodnik po Lublinie

Narodziny pomysłu

Na początku roku 1997, już po powstaniu esejów *Brama* i *Oka cadyka* narodził się pomysł napisania przez Władysława Panasa „przewodnika" po Lublinie. Śladem tej niezrealizowanej idei są jego dwie krótkie notki opisujące tekst tekst oraz ściśle wiążące się z nim pismo do Miejskiego Konserwatora Zabytków z dnia 12 listopada 1997. Oto treść pierwszej notatki:

I. Władysław Panas: Miasto magiczne (tytuł roboczy).

II. Książka – album, gdzie tekst i ikonografia są ściśle ze sobą związane. Celem jest pokazanie i opisanie – słowami i obrazami fotograficznymi – takiego wymiaru miasta, jakiego „nikt dotąd nie widział", pokazanie osobliwości i ukrytego „ducha" miejsca, jego magii i tajemnicy. Próbki takiego spojrzenia zaprezentowane są w esejach autora Oko cadyka i Brama (obydwie w druku).

III. Autor pisze tekst eseju (około 50-60 stron maszynopisu) i wskazuje obiekty do sfotografowania (ok. 40-50 fotografii)

IV. Część obiektów do sfotografowania jest ogólnie dostępna, ale istotna ich część znajduje się we wnętrzach już to świeckich, już to sakralnych i wymaga uzyskania specjalnego pozwolenia na wykonanie zdjęć. Oto wykaz tych miejsc, na które trzeba uzyskać zgodę:

– kościół św. Trójcy na Zamku
– kościół Dominikanów na Starym Mieście
– Katedra
– Kościół powizytkowski (Matki Boskiej Zwycięskiej)
– Kościół Kapucynów na Krakowskim Przedmieściu*

Do tego opisu „przewodnika" autor dołączył jeszcze „wykaz wnętrz", które powinny być sfotografowane jako uzupełnienie tekstu:

I. Kaplica Św. Trójcy na Zamku
1. Portret konny króla Władysława Jagiełły
2. Kurtyna wokół dolnej strefy kościoła
3. Kurtyna w prezbiterium
4. Aniołowie strefy górnej
5. Inskrypcja autora fresków

II. Kościół O.O. Kapucynów na Krakowskim Przedmieściu
1. Obraz Sen Leszka Czarnego pod dębem

III Bazylika O.O. Dominikanów na Starym Mieście
1. Dwie ambony
2. Rzeźby:
   a. Turka
   b. młodzieńca

* Notatka Władysława Panasa zatytułowana przez autora *Miasto magiczne* (*tytuł roboczy*). Jest to rękopis z 1997 roku, który odnosi się do planowanej wtedy książki o tytule *Miasto magiczne*. Archiwum TNN.

[13] Zob. przyp. 6.
[14] Tamże.

c. modnej damy
d. dwóch młodych kobiet

IV. Katedra
1. Freski Józefa Meyera w nawie głównej
a) podpis autora nad wyjściem
b) rzekomy autoportret w prezbiterium
2. Freski Józefa Meyera w nawie bocznej
a) iluzjonistyczna architektura
3. Freski Józefa Meyera w zakrystii i kapitularzu
a) Jeździec Niebieski
b) pejzaże we wnękach okiennych
– tyle, ile ich jest i ile nadaje się do fotograficznej reprodukcji

V. Kościół Powizytkowski (Matki Boskiej Zwycięskiej)
1. Sylwetka jeźdźca – fresk na chórze (jeżeli nadaje się do reprodukcji fotograficznej).**

** Notatka Władysława Panasa z 1997 roku zawierająca wykaz ilustracji do planowanego przewodnika *Lublin magiczny*. Rękopis. Archiwum TNN.

Daas i *Jeździec niebieski*

Opisany przez Władysława Panasa „przewodnik" *Miasto magiczne* (tytuł roboczy) nie wyszedł poza sferę planów, natomiast wkrótce powstały dwa cykle tekstów: *Daas* i *Jeździec niebieski*. W kwietniu roku 1998 ukazał się w piśmie „Na Przykład" pierwszy fragment *Daasa*, zaś w następnym numerze (maj-czerwiec 1998) pierwszy fragment *Jeźdźca niebieskiego*. Ostatni, siódmy fragment *Daasa* ukazał się w roku 2001 (numer marcowo-kwietniowy pisma), a ostatni, siódmy fragment *Jeźdźca* w numerze kolejnym (czerwiec-lipiec 2001). Teksty te ukazywały się więc naprzemiennie i były opatrzone wspólnym tytułem rubryki „Magiczne miejsce". Zatrzymajmy się na ostatnim znanym nam tekście z omawianego cyklu. Był to siódmy odcinek *Jeźdźca niebieskiego*, który zaczyna się tajemniczo:

Rozwijam ten swój zawiły dyskurs, który ciągle zwija mi się i gubi w rozmaitych – nie tylko własnych – załomach i zaułkach, właściwie po to jedynie, żeby jakoś przygotować siebie (i ciebie też) na przybycie owego tajemniczego Jeźdźca Niebieskiego, bo zbliża się nieuchronnie ta pora, gdy wtargnie z wielkim impetem do mojego tekstu. A kiedy to nastąpi, na wyjaśnienia może być już za późno. Zanim więc ruszy z kopyta (na razie koń jego wisi kopytami nad ziemią) i spadnie na nas i na nasze miasto (i wcale nie jak łagodna madonna z wiersza Białoszewskiego), spróbuję ci jeszcze coś niecoś opowiedzieć. Może zdążę...[15]

I równie tajemniczo się kończy:

Zaprawdę skarby duchowe, których nie umiemy ocenić w naszym mieście, są ważniejsze niż wszystkie wyobrażane bogactwa materialne.

A Kraszewski dostał w prezencie od miasta kawałek tego dębu, co znajdował się pod świętomichalskim ołtarzem. Może warto go poszukać? Wybierzesz się ze mną na poszukiwanie tej otchłani?[16]

Brakujące teksty

Wczytując się w ten ostatni odcinek *Jeźdźca* musimy dojść do wniosku, że powinien on mieć jeszcze jakąś kontynuację nawiązującą do zarysowanych w nim wcześniej przez autora motywów. W relacjach niektórych członków redakcji pisma „Na Przykład" pojawia się mgliste wspomnienie tego, że widzieli ten brakujący ósmy odcinek *Jeźdźca* (a może *Daasa*).

Ciekawe, że w podtytule rękopisu pierwszego odcinka eseju *Daas* widnieje zapis, iż będzie to cykl składający się z ośmiu artykułów. Rodzi się więc pytanie, czy ten ósmy artykuł w ogóle powstał, czy też był tylko w sferze planów autora. A może powstał i zaginął? Wchodzimy w tak ulubiony przez Panasa motyw zaginionego rękopisu.

Postać *Jeźdźca niebieskiego*

Dopowiedzmy jeszcze, że postać *Jeźdźca* możemy zobaczyć w lubelskiej Katedrze. Pisze o nim ks. Ludwik Zalewski:

Na sklepieniu Sali pierwszego piętra, widzianym z dołu, [Meyer] namalował fikcyjny otwór, przez który widać kolumny i sklepienia świątyń, a na tle malowanej architektury odtworzył przygodę Helio-

[15] *Trzy pytania*; z Władysławem Panasem rozmawiał Waldemar Sulisz, „Na Przykład" 2001, nr 2, s. 40-41.
[16] Tamże.

dora, podskarbiego króla syryjskiego Selenka Filopatra. Przygodę opowiedziały Księgi wtóre Machabejskie w rozdz. III. Według tej opowieści, kiedy Heliodor wjechał z drużyną do świątyni jerozolimskiej, by z polecenia króla zabrać skarby tam złożone [to] ukazał się im niejaki koń, mając na sobie jeźdźca strasznego, kosztownie ubrany, a ten z pędem uderzył Heliodora przednimi nogami; a on który na nim siedział zdał się jakby miał zbroję złotą. Ukazali się też inni dwaj młodzieńcy, siłą krośni, ozdobni chwałą, szatą świetni, którzy obstąpili i z obu stron siekli go biczami bez przestanku i wiele plag mu zadając. [...]

Na galerii malowana architektura wywołuje złudzenie, że wyższe piętra istnieją w rzeczywistości i zakończone są kopułą. Na tle kopuły pędzi jeździec na białym koniu z ognistym miecze, w ręku. Z braku na tle murów miasta dwóch aniołów przed świątynią smaga Heliodora. Żołnierze uciekają w popłochu. [...] Dobra perspektywa powiększa wrażenie obrazu. Anioł nad głową widza, zdaje się lecieć w powietrzu.[17]

Czechowicz

W okresie gdy Panas pisał kolejne odcinki tekstów *Daas* i *Jeździec niebieski*, zaczął też bardzo interesować się twórczością Czechowicza. Szybko stała się ona częścią odkrywanego przez Panasa „magicznego Lublina". Tak mówił o nim w marcu 2002 roku:

Bo to jest niby znany lubelski poeta. Choć Herbert, Miłosz i Różewicz zaliczyli go do najlepszych polskich poetów, to jednak ciągnie się za nim banalny stereotyp katastrofisty, sielankowego piewcy Lublina, takiego swojskiego regionalisty. To tylko pół prawdy o Czechowiczu. [...] Nie znamy niesamowitych tekstów poety o zaginionych miejscach Lublina. Napisał fantastyczny esej o nieistniejącym już kościele św. Michała, po którym został rozgrzebany plac Po Farze. Nie znamy eseju, cudownie interpretującego freski w Kaplicy św. Trójcy, które Czechowicz stawiał wyżej niż malowidła Boscha. Nie znamy Czechowicza fotografa, który zostawił po sobie kilkadziesiąt czarnobiałych fotografii, realistycznie portretujących Lublin. Nie znamy jego marzeń o napisaniu wielkiej, trzytomowej powieści. Nie znamy wreszcie Czechowicza jako człowieka, który przez wiele lat pomagał ludziom. Kształcił ich, karmił, dawał pieniądze. Większość lublinian nawet nie zna miejsca jego narodzin, bo wojna zmiotła ten budynek, a na tyłach Galerii Centrum nie ma nawet tabliczki informacyjnej.[18]

I jeszcze fragment z tekstu-biogramu Czechowicza autorstwa Panasa:

Wprowadzając swoje miasto rodzinne do wielkiej poezji utrwalając je w słowie poetyckim, uczynił je Czechowicz bytem zaiste niezniszczalnym. Obraz naszego miasta – ulice i kościoły, przedmieścia i cmentarze, zaułki zawiłe i rynsztoki, kolory i głosy, jego noce i dnie, jego ziemia i niebo – znajdują się we wszystkich jego tomikach poetyckich.[19]

We wrześniu 1999 roku, w 60. rocznicę śmierci poety, w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" została zorganizowana z inicjatywy Władysława Panasa sesja pt. „Czytanie Czechowicza". Wtedy też po raz pierwszy twórczość poety w sposób bardzo wyraźny weszła w obszar zainteresowań autora *Oka cadyka*. Wygłosił on słowo wstępne na otwarcie sesji oraz wykład pt. *W krainie purpurowego mitu. Prologomena do przyszłych studiów nad Poematem Józefa Czechowicza*.

W latach 2001-2004, w każdą kolejną rocznicę urodzin Czechowicza, Panas publikował na łamach „Gazety Wyborczej" tekst poświęcony poecie. Teksty te podpisywał jako „szkice". Oto one:

- **Władysław Panas, *Miejsce mojego urodzenia będą zwiedzali. Szkic topograficzny na urodziny Józefa Czechowicza*, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 63, 15 marca 2001, s. 8.**
- **Władysław Panas, *Kapucyńska 3: dwa obrazki. Szkic semiotyczny na urodziny Józefa Czechowicza*, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 2, 15 marca 2002, s. II.**

[17] Ks. Ludwik Zalewski, *Katedra i jezuici w Lublinie*, cz. 1, Lublin 1949, s. 86.
[18] „Dziennik Wschodni", 14 marca 2002.
[19] Władysław Panas, *Józef Czechowicz (1903-1939)*, „Gazeta Wyborcza. Lublin", 10 marca 2000, s. 4.

- **Władysław Panas, *„tu mnie skrzydłem uderzyła trwoga". Szkic traumatyczno-estetyczny na urodziny Józefa Czechowicza*, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 3, 15 marca 2003, s. 2, dodatek specjalny: „Na urodziny poety".**
- **Władysław Panas, *Poeta i książę. Szkic reinkarnacyjny na urodziny Józefa Czechowicza*, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 63, 15 marca 2004, dodatek specjalny „Gazeta Na Urodziny Poety", s. 6-7.**

Dalsze losy lubelskiego przewodnika Władysława Panasa

Mimo, że do wydania „przewodnika" „Miasto magiczne" (tytuł roboczy z notatki, którą sporządził w roku 1997) nie doszło, to jego idea pojawiła się znowu w notatce napisanej kilka lat później – 2 stycznia 2002. Oto jej treść:

Jeździec Niebieski
Szkice i fragmenty lubelskie
(do przemyślenia inne warianty tytułu: *Oko Cadyka. Szkice i fragmenty lubelskie*, *Brama. Szkice i fragmenty lubelskie*, *Daas. Szkice i fragmenty lubelskie*)
Spis treści:
I. Brama
II. Oko cadyka
III. Daas
IV. Jeździec Niebieski
V. Ikonografia – fotografie, miedzioryty, rysunki, obrazy, etc.
kolejność do przemyślenia jeszcze

Zanim wrócimy do tej ważnej notatki, warto spojrzeć na te fragmenty wypowiedzi Władysława Panasa, w których wyraźnie mówi, że książka, która ma powstać będzie pewnego rodzaju przewodnikiem. I tak, mówiąc w roku 2004 o *Oku cadyka*, nazywa ten tekst „przewodnikiem". W rozmowie z Grzegorzem Józefczukiem w odpowiedzi na stwierdzenie, że „napisał historię Lublina, jakiej nie znamy", odparł:

Nie lubię historii, wolę mówić o tej książce jako o przewodniku. Jest to przewodnik, jaki ja chciałbym czytać nie tylko o Lublinie, ale i o innych miastach. To mój alternatywny przewodnik, z tradycyjnym nie ma nic wspólnego, z jednej strony literacki, z drugiej – oparty na informacjach. Ponieważ Lublin nie ma takiego przewodnika, piszę go sobie sam. *Oko cadyka* jest jego częścią.

[Ten „przewodnik"] Nie tylko informuje, że tu stało się, tu stoi, było, wydarzyło się... Miasto jest pewną przestrzenią i ta przestrzeń ma też swój wymiar symboliczny. W realnej przestrzeni próbuję odczytać wymiar symboliczny. [...] To są fakty. Podaję tylko realne fakty. Nic nie zmyśliłem. Można się tylko spierać co do ich interpretacji.[20]

O tym, że esej *Oko cadyka* był dla autora rodzajem przewodnika potwierdzają jego cytowane już słowa w czasie promocji tej książki w maju 2004: „To jest fragment mojego – jak to powiadam – przewodnika". Jak miałby ten „przewodnik" po Lublinie wyglądać docelowo, autor mówił wielokrotnie:

1

Z zazdrością myślałem zawsze o takich miastach jak Paryż, Wiedeń, Lwów czy Kraków, mających poza zwykłą historią, tradycją, architekturą i infrastrukturą własną mitologię. Lublin też zasługuje na to, by być uznanym za miasto magiczne. Ma wiele tajemnic ciągle do odkrycia. Moja filozofia jest taka, że powinniśmy tę mitologię podkreowywać, a nawet trochę ją sobie i innym wmawiać.[21]

2

Staram się zbudować mitologię Lublina jako magicznego miasta. Chciałbym, żeby miał ją tak jak czeska Praga, jak Petersburg. Sztywne, akademickie przedstawianie Lublina jako miejsca unii polsko-litewskiej, Trybunału Koronnego nie jest najlepszą drogą na tworzenie mitu miejsca. Mitologia powstaje przez różnych Widzących z Lublina, różne Szerokie 28, anioły przysiadające

[20] *Mój alternatywny przewodnik*; z Władysławem Panasem rozmawiał Grzegorz Józefczuk, „Gazeta Wyborcza. Lublin", 22 kwietnia 2004, s. 3.
[21] *Panas na parnasie*; z Władysławem Panasem rozmawiała Małgorzata Gnot, „Kurier Lubelski", nr 140, 17 czerwca 2003, s. 4.

w zaułkach miasta. Po moich czterech książkach powstaje kolejna z esejami o Lublinie magicznym. Panu pierwszemu mówię jej tytuł: *Niebieski jeździec*. Pochodzi od eseju o malunkach z zakrystii katedry, gdzie przedstawiona jest przygoda z Heliodorem, którego przegania z aniołami ów Jeździec.[22]

3

Mnie brakowało i nadal brakuje podniesienia Lublina na jakiś inny poziom imaginacyjny, wyobrażeniowy. Tkwimy w stereotypach, które wychodzą nosem, jak bańki. Wszystko jest szalenie przyziemne, sprowadzone do faktografii. A to nie jest napęd, trampolina do wybicia się wyżej.[23]

4

Z zazdrością czytałem o Petersburgu, który nie jest tylko miastem rewolucji, byłą stolicą z taką lub inną historią, ale jest pewnym mitycznym tekstem literatury rosyjskiej – można tam przejść trasą Roskolnikowa... Czytałem o Pradze czeskiej, o Paryżu, o Dublinie, także o Drohobyczu, bo tu nie chodzi o wielkość miasta, tylko wyobraźni.

Ja próbuję dostarczyć elementów do takiej opowieści o Lublinie. Dzieje Lublina tworzą taką powieść i ona jest nieodczytana. Znamy opowieść, na którą się składa historia Lublina, historia Łokietka, Unii Lubelskiej... Ale jest jeszcze inna opowieść – symboliczna.[24]

5

W tym i w innych tekstach podjąłem próbę napisania takiego przewodnika, jaki sam bym chciał przeczytać – takiego nieortodoksyjnego przewodnika po Lublinie.

Oczywiście nie udaje mi się to, jest w nim jeszcze wiele rozmaitych mankamentów. Ale mam wrażenie, że można by kontynuować to pisanie. Przecież napisałem wcześniej o miejscu, w którym jesteśmy – o Bramie Grodzkiej. *Oko Cadyka* jest jakby jego dalszym ciągiem.[25]

Tytuł i zawartość przewodnika

Na koniec prześledźmy jeszcze, jak zmieniał się tytuł „przewodnika". W projekcie tej publikacji sporządzonym w notatce z 1997 roku Władysław Panas nazywa go „Miasto Magiczne" , zaznaczając, że jest to tytuł roboczy. Eseje *Daas* i *Jeździec niebieski* publikowane w latach 1999-2001 były podpisywane wspólnym tytułem „Magiczne miejsce". W notatce z roku 2002 Panas nazwał ten przewodnik „Jeździec niebieski. Szkice i fragmenty lubelskie", proponując jednocześnie inne warianty tytułu:

- ***Oko cadyka. Szkice i fragmenty lubelskie***
- ***Brama. Szkice i fragmenty lubelskie***
- ***Daas. Szkice i fragmenty lubelskie***

W krótkiej wypowiedzi z roku 2003 potwierdza zaproponowany we wspomnianej notatce z roku 2002 tytuł „Jeździec niebieski": „Powstaje kolejna [moja książka] z esejami o Lublinie magicznym. Jej tytuł Niebieski jeździec". Tak więc z całą pewnością możemy przyjąć, że „przewodnik" Władysława Panasa po Lublinie magicznym powinien nazywać się: „Jeździec niebieski. Szkice i fragmenty lubelskie", a złożyć się nań powinny teksty zaproponowane przez samego autora w notatce z roku 2002:

- **Brama**
- **Oko cadyka**
- **Daas (7 odcinków)**
- **Jeździec niebieski (7 odcinków)**

Wydaje się, że warto do nich dołączyć jako rodzaj suplementu cztery *Szkice na urodziny Józefa Czechowicza*:

- ***„...miejsce mojego urodzenia będą zwiedzali". Szkic topograficzny***
- ***Kapucyńska 3: dwa obrazki. Szkic semiotyczny***
- ***„tu mnie skrzydłem uderzyła trwoga". Szkic traumatyczno-estetyczny***
- ***Poeta i książę. Szkic reinkarnacyjny***

Trzy z nich ukazały się już po sporządzeniu notatki z projektem przewodnika.

Lublin jest księgą – Władysława Panasa Lublin opowiedziany

Poza zawartymi w przewodniku *Niebieski jeździec* tekstami eseistycznymi poświęco-

[22] *Odkrywca Lublina magicznego*; z Władysławem Panasem rozmawiał Andrzej Molik, „Kurier Lubelski" nr 117, 21 maja 2003, s. 6.
[23] Zob. przyp. 5.
[24] Tamże.
[25] Zob. przyp. 6.

nymi Lublinowi autor opowiadał jeszcze o mieście w kilku wywiadach. Pierwszy z nich, którego tematem był Lublin został przeprowadzony przez Małgorzatę Bielecką-Hołdę i opublikowany pt. *Lublin jak wiersz* w „Gazecie Wyborczej" 1 marca 1997. Już miesiąc później, w kwietniu 1997 roku, w „Na Przykład" ukazał się tekst *Lublin jest księgą*, będący zapisem opowieści Władysława Panasa o Lublinie wysłuchanej i zredagowanej przez Waldemara Sulisza. W tym samym roku w „Scriptores Scholarum" ukazała się rozmowa z Panasem pt. *Potrzeba pamięci* przeprowadzona przez redakcję pisma, a w roku 2002 Waldemar Sulisz przeprowadził z nim kolejną rozmowę, która w najszerszej wersji została opublikowana w „Scriptores" w 2003 roku. Rok później (maj 2004) ukazał się w „Gazecie Wyborczej" wywiad Grzegorza Józefczuka z Władysławem Panasem, zatytułowany *Lublin nierzeczywisty*. Zachowało się również kilkanaście zwartych i bardzo istotnych wypowiedzi Władysława Panasa zarejestrowanych przez Nataszę Kurczuk-Ziółkowską podczas kręcenia wiosną 2000 filmu *Magiczny Lublin*, (premiera: 23 kwietnia 2001). Są one poświęcone konkretnym tematom i dadzą się pogrupować według dwóch głównych zagadnień: Lublin i Czechowicz. W niniejszym numerze zawarto wypowiedzi dotyczące Lublina:

- „O Widzącym z Lublina"
- „Widzenie miasta"
- „Lublin – miasto magiczne, miasto mistyczne (cz. I)"
- „Księga *Zohar*"
- „Lublin – miasto-księga"
- „Magiczne miasto – aura (cz. II)"
- „Lublin – ślady duchowości"
- „Lublin – wyjątkowe miasto"

Wypowiedzi dotyczące Józefa Czechowicza zostaną opublikowane w osobnym numerze „Scriptores" poświęconym tekstom Władysława Panasa na temat poety.

W ułamkach tekstów

Uzupełnieniem do wymienionych wyżej materiałów, które możemy uznać za najważniejsze i najpełniejsze, jest kilkanaście jego drobnych wypowiedzi z różnych okazji, których nie powinniśmy pominąć, ponieważ one także wnoszą coś do naszej wiedzy o tym, jak Władysław Panas postrzegał Lublin. Są to:

Teksty prasowe:

- *Odkrywca Lublina magicznego*, rozmowa Władysława Panasa z Andrzejem Molikiem, „Kurier Lubelski" nr 117, 21 maja 2003, s. 6.
- *Panas na parnasie*, rozmawiała Małgorzata Gnot, „Kurier Lubelski" z 17 czerwca 2003, nr 140, s. 4.
- *Mój alternatywny przewodnik*, rozmowa Wadysława Panasa z Grzegorzem Józefczukiem, „Gazeta Wyborcza. Lublin", 22 kwietnia 2004, s.3.
- Władysław Panas, *Moim zdaniem*, „Kurier Lubelski", 17 sierpnia 2004.

Materiały wideo:

- *Brama Pamięci*, reż. Marek Stacharski, Telewizja Lublin 1997.
- Wypowiedź w programie z cyklu „Kawa czy herbata", 31 marca 2000, Telewizja Polska Program I, emisja na żywo z kawiarni „Szeroka 28" przy Bramie Grodzkiej w Lublinie. Reżyseria: Małgorzata Marczuk i Mirosław Świech.
- *Nomen Nescio*, reż. Szczepan Adamik, TVP S.A., 2000.
- Wypowiedź podczas spotkania z okazji 99. urodzin Józefa Czechowicza w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" 15 marca 2002.
- Wypowiedź w programie „Etniczne klimaty", Telewizja Kraków, 2003.
- Wypowiedź podczas promocji jego książki *Oko cadyka* w Bramie Grodzkiej 18 maja 2004.

Pozostały jeszcze artykuły, notatki i dwie krótkie wypowiedzi Władysława Panasa – materiały, które trudno było zakwalifikować do którejś z wcześniej wymienionych grup tekstów.

Varia – notatki, zapiski:

- Odręczna notatka Władysława Panasa z 1994 roku opisująca Bramę Grodzką jako miejsce, w którym znajduje się Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN".
- Odręczna notatka Władysława Panasa z 1997 roku odnosząca się do planowa-

nej w tymże roku książki o tytule „Miasto magiczne".

- **Odręczna notatka Władysława Panasa z 1997 roku zawierająca wykaz ilustracji do planowanego przewodnika „Lublin magiczny".**
- **Odręczna notatka z propozycjami tytułu i spisu treści planowanej książki „Jeździec Niebieski" (2 stycznia 2002).**

Varia – teksty prasowe:

- **Władysław Panas, *Tajemnica Bramy Grodzkiej*, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 132, 7 czerwca 2001, s. 5.**
- **Władysław Panas, *W ułamkach zwierciadła, czyli Schulz w Lublinie*, „Gazeta Wyborcza. Lublin", 19 listopada 2002, dodatek „Schulz w Lublinie".**
- ***Singer i ... Kraszewski: tajemniczy trop*, niepublikowany tekst wypowiedzi Władysława Panasa z 25 czerwca 2004 opracowany przez Grzegorza Józefczuka.**

Bezpośrednio z dwoma ostatnimi notatkami wiąże się pismo do Państwowej Służby Ochrony Zabytków z dn. 12 listopada 1997 roku wysłane z Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" w sprawie udostępnienia materiałów ikonograficznych do książki Władysława Panasa pod roboczym tytułem roboczy tytuł: *Lublin Magiczny*.

Wypowiedzi:

- **krótka wypowiedź Władysława Panasa w czasie obchodów 99. rocznicy urodzin Józefa Czechowicza w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" z 15 marca 2002.**
- **krótka wypowiedź w kaplicy Trójcy Świętej podczas „Nocy z Czechowiczem" – spaceru trasą *Poematu o mieście Lublinie* – z 13 lipca 2003.**

Klatki filmowe z nagrania wykładu Władysława Panasa o Widzącym z Lublina wygłoszonego 16 grudnia 1994 roku na sesji „Żydzi lubelscy" (14-16 grudnia) w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN". W sali, w której odbył się wykład wystawiona jest obecnie makieta Lubelskiego Zespołu Staromiejskiego czyli Starego Miasta i Podzamcza – Miasta Żydowskiego. Archiwum TNN.

Władysław Panas

Jeździec niebieski

Szkice i fragmenty lubelskie

Brama

... spotkanie w samym sercu *chiazmy*.

Emmanuel Levinas, *Zupełnie inaczej*

1

Magiczne miejsce. W Mieście jest takich kilka, lecz to ma szczególne właściwości. Znajduje się dokładnie na granicy dwóch odrębnych przestrzeni, dwóch radykalnie odmiennych światów. Jest punktem, w którym chrześcijańskie Miasto Górne styka się z Żydowskim Miastem Dolnym. Graniczność jawi się więc jako podstawowa cecha Bramy. Z tego umiejscowienia bierze się jej niezwykłość. Osobliwe osobliwości – mówiąc zupełnie pleomastycznie – zaczynają się ujawniać, kiedy dokładnie przyjrzymy się położeniu Bramy i kiedy uważnie przeczytamy tekst formowany w przestrzeni lub – co będzie ściślejsze – odnotujemy te jego elementy, które znalazły przestrzenny wyraz. Dostrzegamy, iż lokalizacja Bramy jest wyjątkowo wyeksponowana i podlega specjalnemu umocowaniu zarówno w przestrzeni fizycznej, jak i metafizycznej. Rozpoczynam od topografii, bo przecież mowa o miejscu, które jest w konkretnym miejscu. Gdzie jest miejsce tego miejsca?

Jeśli ktoś myśli, że wie, gdzie w Mieście znajduje się ta Brama, ulega głębokiemu złudzeniu. Jedyną tego szkicu ambicją – i tak nadmierną! – jest próba powiedzenia, w jakim miejscu znajduje się Brama. Słowem, chodzi o elementarny gest lokalizacyjny. Nic więcej. Ale i nic mniej.

Najpierw o porządku horyzontalnym. Brama stoi w połowie drogi między Placem Świętego Michała a Placem Widzącego z Lublina (inaczej: Plac Oko Cadyka). Można przyjąć, że dokładnie w połowie odległości, czyli w samym środku. Tak jest, gdy bierze się pod uwagę tylko jeden wymiar – długość. Lecz Brama sytuuje się pomiędzy obu placami „środkowo" jeszcze inaczej. W pewnym sensie – szerokością. Każdy widzi, że obydwa place są nie tylko oddalone od niej na równą odległość, lecz także są po przeciwnych stronach bramowej osi, czyli przeciwstawne. Gdyby je od niej przesunąć, znalazłaby się w środku, pomiędzy nimi, swą szerokością, a łuk jej arkady stałby się łukiem spinającym ich brzegi.

W porządku wertykalnym rzecz ma się podobnie. Brama znajduje się – jak widać – na zboczu staromiejskiego wzgórza. Ani na górze, ani na dole. Z jednej strony niżej niż św. Michał, z drugiej – wyżej niż Widzący. Powiedzmy – w połowie wysokości między placem archanioła i placem cadyka.

Do wskazanych tu prawidłowości, zupełnie fundamentalnych ponieważ odnoszą się jakoś do trzech wymiarów, dodajmy i tę okoliczność, iż dwa istotne w tych relacjach punkty orientacyjne mają identyczną cechę: są placami, czyli wolnymi, otwartymi, pustymi przestrzeniami. W tym momencie nasz opis topografii fizycznej zaczyna się przekształcać w opis topografii metafizycznej... Nie są to bowiem zwykłe place miejskie. W ogóle nie są to place, lecz puste miejsca po tym, co tam było, a czego nie ma i co jest w inny sposób. Niezwykłe miejsca. I wcale nie dlatego, że wcześniej coś tam było. W różnych punktach Miasta znajdowały się w przeszłości ważne obiekty, po których znikły wszelki ślady: świątynie, cmentarze, domy. Wy-

Władysław Panas, *Brama*, „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa" nr 1/2, 1996, s. 14-17.

▸ Fot. s. .29.

▸ Fot. s. .29.

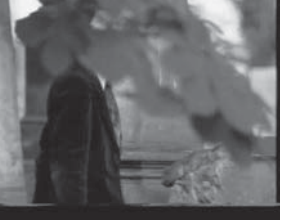

jątkowość tych dwóch miejsc bierze się z tego, iż był tam ulokowany Środek Świata, *Axis Mundi*, oś kosmiczna, kolumna niebios, pępek świata, sakralne, duchowe centrum, punkt orientacyjny i stabilizujący światowy porządek. Czyli to, co sprawia, że świat jest Kosmosem; to, co broni przed Chaosem. Mówiąc ściśle, dwa środki świata i dwa światowe pępki, duże osie kosmiczne. Chrześcijańska, katolicka *Axis Mundi* na górze, a na dole chasydzka Jesod, bo tak po hebrajsku określa się fundament świata, odpowiednik łacińskiej *Axis Mundi*.

Fot. s. 30.

Fot. s. 21.

Na górnym miejscu stał kościół św. Michała Archanioła. Bardzo długo, przez większą część historii Miasta, była to najważniejsza świątynia chrześcijańska. Najważniejsza formalnie, bo długo był to jedyny, wśród przecież licznych w Mieście świątyń, kościół parafialny, czyli fara. Najważniejszy bo w 1574 roku podniesiony został do godności kolegiaty. Tu został pochowany – czyż mogło być inaczej? – Sebastian Klonowic, pierwszy poeta związany trwale z Miastem. Są to jednak formalno-organizacyjne znaki ważności. Najistotniejszy sens przekazuje znana opowieść fundacyjna – zapisana przez Długosza opowieść o tym, jak to książę Leszek Czarny podczas wyprawy wojennej zasnął w tym właśnie miejscu pod wielkim, starym dębem i w śnie objawił mu się archanioł Michał, najwyższy rangą wśród archaniołów, aby przekazać określone dyspozycje militarne. Na pamiątkę tego wydarzenia książę ufundował – dokładnie w tym miejscu, gdzie spał i gdzie spłynęła na niego niebiańska wizja – w 1282 roku świątynię pod archanielskim wezwaniem. A więc miejsce specjalnie wybrane, naznaczone, miejsce, które Niebo wybrało na anielską misję.

Fot. s. 21.

Fot. s. 22.

Wszystko w tej opowieści ma symboliczne znaczenie. Także ów gigantyczny dąb. Prawdopodobnie było tu stare, pogańskie miejsce kultowe z dębem, archaicznym wyobrażeniem osi kosmicznej. Na tej osi wybudowano nową, chrześcijańską *Axis Mundi*, przedłużając ją niepomiernie w górę, co doskonale widać na starych rycinach jako bardzo wysoką, gotycką wieżę całkowicie dominującą nad Miastem. Gdy w połowie XIX wieku rozbierano kościół, pod ołtarzem znaleziono pień wielkiego drzewa... Świętego Michała. W postaci widzialnego kościoła nie ma, zostało puste miejsce i kościół niewidzialny – właśnie tak pisał o nim Czechowicz (charakterystyczne, że poetę interesowały w Mieście tylko dwa kościoły: zamkowa Trójca Święta i Kościół niewidzialny – to tytuł jego szkicu). Jest jeszcze stara świętomichalska mansjonaria z płaskorzeźbą Chrystusa w trójkącie. W przewodnikach czytamy, iż oryginalna płaskorzeźba została przeniesiona na Wieżę Trynitarską. A ta, która jest to replika? Nie wiem. Jeszcze jedno. Nawet w zupełnie bezwietrzny dzień, gdy się stanie pod tym mansjonarskim Trójkątem, da się słyszeć delikatny, specyficzny, szum anielskich skrzydeł.

Fot. s. 30.

O miejscu dolnym piszę w osobnym eseju (*Oko Cadyka*), więc tu ograniczę się do stwierdzenia, że jest tam taki punkt, który stanowił środek świata. Tam, na ulicy Szerokiej 28 żył, modlił się i nauczał człowiek sprawiedliwy, czyli cadyk, powszechnie zwany Widzącym z Lublina, z racji niezwykłych mocy duchowych. Dla licznej rzeszy pobożnych, czyli chasydów, był prawdziwym pępkiem świata, fundamentem – Jesod, kolumną niebios, osią kosmiczną. On i nic poza nim.

Dlaczego środek świata, podwójną *Axis Mundi*, lokalizuję w niewspółmiernych „obiektach" takich jak – z jednej strony – świątynia, co zrozumiałe, ponieważ każda świątynia staje się modelem całego świata, a z drugiej zaś – osoba cadyka? Dlaczego tej roli nie miałaby pełnić któraś z licznych w Mieście synagog? Otóż trzeba wiedzieć, że judaizm jest religią nie tylko Jednego Boga, ale i jednej Świątyni – jerozolimskiej. Od czasu

Kaplica pw. Świętej Trójcy, widok od dziedzińca zamkowego. Fot. J. Zętar.

Charakterystyczne, że poetę interesowały w Mieście tylko dwa kościoły: zamkowa Trójca Święta i Kościół niewidzialny [św. Michała].

Brama, s. 20.

Jeszcze jedno. Nawet w zupełnie bezwietrzny dzień, gdy się stanie pod tym mansjonarskim Trójkątem, da się słyszeć delikatny, specyficzny, szum anielskich skrzydeł.

Brama, s. 20.

Wejście do dawnej mansjonarii przy nieistniejącym kościele św. Michała. Fot. M. Skrzypek.

Kamienica przy ulicy Szerokiej 28, fot. Stefan Kiełsznia. Archiwum TNN.

Tam, na ulicy Szerokiej 28 żył, modlił się i nauczał człowiek sprawiedliwy, czyli cadyk, powszechnie zwany Widzącym z Lublina, z racji niezwykłych mocy duchowych.

Brama, s. 20.

Trzecią *Axis Mundi* wyznacza cerkiew Przemienienia Pańskiego.

Brama, s. 23.

Prawosławna cerkiew pw. Przemienienia Pańskiego przy ul. Ruskiej (dawnym trakcie ruskim) we współczesnym otoczeniu. Fot. M. Skrzypek.

Fot. s. 24-25.

zburzenia jej przez Rzymian w 70 r. n.e. nie ma Świątyni, jest tylko miejsce po niej z kawałkiem muru – Ściana Płaczu. Synagogi, bożnice, domy modlitw nie są w ścisłym sensie świątyniami, są niejako świątyniami zastępczymi, quasi-świątyniami o ograniczonej mocy sakralnej. Zawsze i bezwzględnie zorientowane są na wschód – symboliczny kierunek Jerozolimy – bo tylko tam znajduje się jedna jedyna *Axis Mundi*. I dopiero w kabale chasydzkiej, w mistycznej doktrynie i praktyce, w nieprawdopodobnym fenomenie cadyka, świętego męża, który pośredniczy między Niebem i ziemią, między Bogiem i pobożnymi, dochodzi do utożsamienia – właśnie w postaci cadyka – centrum świata z osobą.

Zdumiewające może się wydać – na pierwszy rzut oka – że jest pewien motyw wspólny między obu środkami świata, między Widzącym i kościołem św. Michała Archanioła. Widzący przybył do Lublina z Łańcuta, bo tak kazało mu Niebo. Boży posłaniec, czyli anioł, po hebrajsku malach, objawił mu się z tym zleceniem. Więc aktywny udział w ustanowieniu obu sakralnych centrów mają – jak mówi Jerzy Nowosielski – byty subtelne, aniołowie, malachim. Zrodzone z archetypów, snu i wizji, powróciły w sen wizję i archetyp.

Trwają ich powidoki.

Dopiero teraz można powiedzieć, chociaż w przybliżeniu, gdzie należy szukać Bramy. Jej miejsce znajduje się w przestrzeni tyle fizycznej, co i metafizycznej. Między snem księcia i snem kabalisty. W polu sił dwóch źródeł duchowej energii. W przestrzeni międzypępkowej – mniej więcej w połowie odległości, mniej więcej w połowie wysokości. Dokładnie: poniżej jednego pępka (mistycznego) i powyżej drugiego.

Jeszcze w sprawie osi kosmicznych. Trzecią *Axis Mundi* wyznacza cerkiew Przemienienia Pańskiego. Także ona wpisuje się w odsłaniany tu ciąg prawidłowości przestrzennych. Wszystkie trzy osie kosmiczne są oddalone od siebie na równą odległość! Odcinek od św. Michała do Widzącego jest równy odcinkowi od Widzącego do Przemienienia Pańskiego. (Uwaga dla skrupulatnych mierniczych: w rzeczywistości symbolicznej centymetry nie odgrywają żadnej roli.) Więc cadyk lokuje się w środku przestrzeni określonej przez dwie świątynie chrześcijańskie różnych obrządków. To jedna linia. Druga linia dotyczy odległości między archanielskim kościołem i cerkwią.

Wydaje się, że nie ma tu żadnej prawidłowości, bo przecież jest to odcinek znacznie dłuższy (dwukrotnie) niż wyżej wymienione. Wydaje się, bowiem nie jest to jeden odcinek, lecz dwa. Dokładnie w środku pojawia się forma mediacji – zamkowy kościół Świętej Trójcy! Bizantyńsko-ruskie freski w rzymskim kościele. Od św. Michała do Świętej Trójcy jest taka sama odległość jak od Świętej Trójcy do Przemienienia Pańskiego, a od Przemienienia Pańskiego do Widzącego taka jak od Widzącego do św. Michała. Z linii prostych uformował się sakralny krąg. I jeszcze inny promień tego koła: Widzący ulokował się naprzeciw Świętej Trójcy, owej bramy w relacjach międzychrześcijańskich, trochę ukośnie, jak główna linia litery alef widziana w lustrzanym odbiciu. Mniej więcej w takiej samej odległości, jaka go dzieli od tej drugiej bramy, czyli Bramy, o której piszę. Szaleństwo prawidłowości. Dla Nieskończonego nie ma przypadku.

Anioły, o których tu mowa, te i inne w znacznej obfitości, „rukoju Andrejewo" materializowały się i obsiadły ściany bram owej Świętej Trójcy.

2

W 1934 roku Poeta wykonał trzy rzeczy związane z Miastem. Po pierwsze, opublikował razem z Franciszką Arnsztajnową bibliofilski tomik wierszy lubelskich *Stare kamienie*. Po drugie, swoje utwory z tego zbiorku ułożył w osobny cykl powiązany

Fot. s. 22.

Odcinek od św. Michała do Widzącego jest równy odcinkowi od Widzącego do Przemienienia Pańskiego. (Uwaga dla skrupulatnych mierniczych: w rzeczywistości symbolicznej centymetry nie odgrywają żadnej roli.) Więc cadyk lokuje się w środku przestrzeni określonej przez dwie świątynie chrześcijańskie różnych obrządków. To jedna linia. Druga linia dotyczy odległości między archanielskim kościołem i cerkwią.

Wydaje się, że nie ma tu żadnej prawidłowości, bo przecież jest to odcinek znacznie dłuższy (dwukrotnie) niż wyżej wymienione. Wydaje się, bowiem nie jest to jeden odcinek, lecz dwa. Dokładnie w środku pojawia się forma mediacji – zamkowy kościół Świętej Trójcy! Bizan-

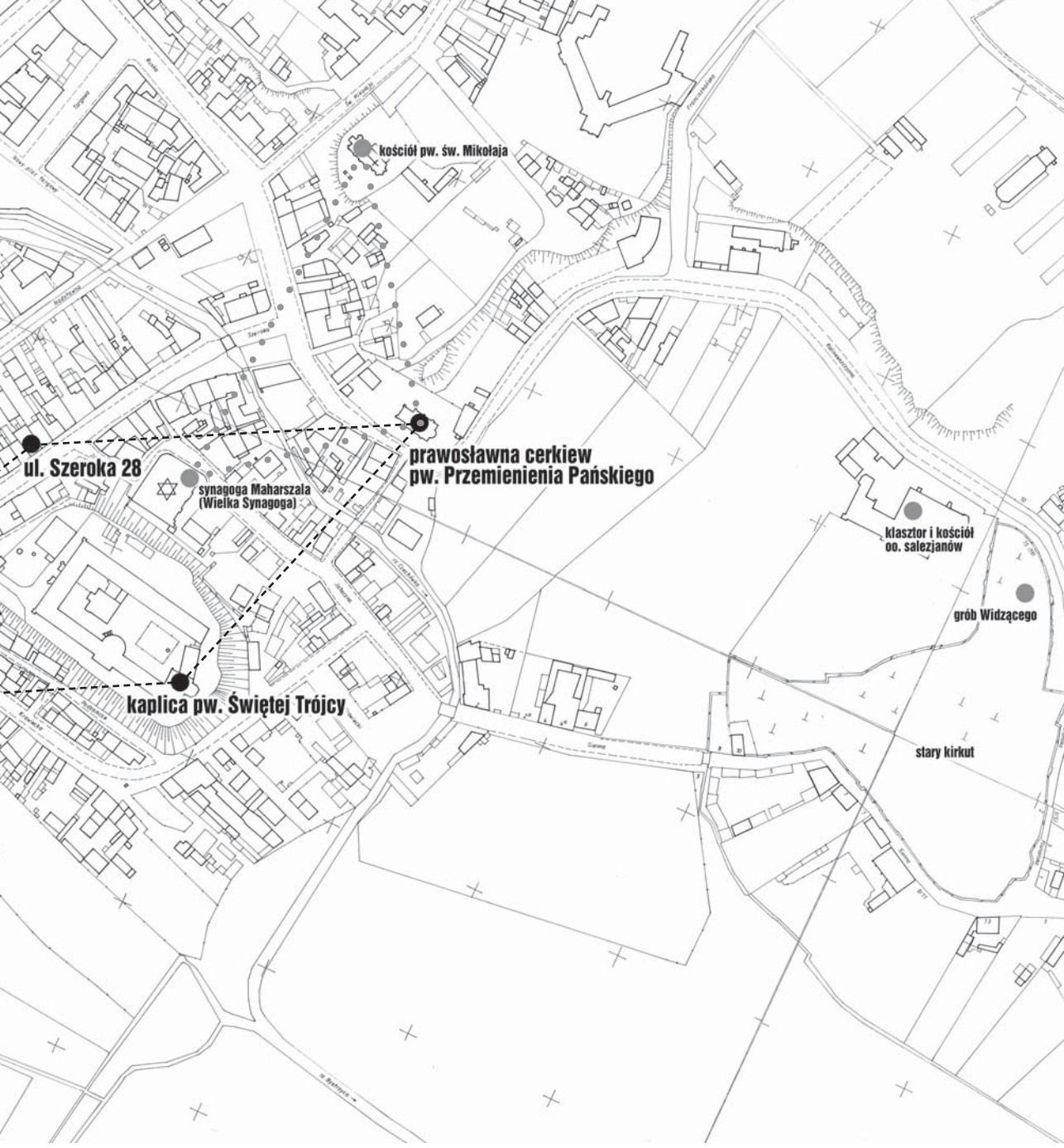

tyńsko-ruskie freski w rzymskim kościele. Od św. Michała do Świętej Trójcy jest taka sama odległość jak od Świętej Trójcy do Przemienienia Pańskiego, a od Przemienienia Pańskiego do Widzącego taka jak od Widzącego do św. Michała. Z linii prostych uformował się sakralny krąg. I jeszcze inny promień tego koła: Widzący ulokował się naprzeciw Świętej Trójcy, owej bramy w relacjach międzychrześcijańskich, trochę ukośnie, jak główna linia litery alef widziana w lustrzanym odbiciu. Mniej więcej w takiej samej odległości jaka go dzieli od tej drugiej bramy, czyli Bramy, o której piszę. Szaleństwo prawidłowości. Dla Nieskończonego nie ma przypadku.

Brama, s. 23.

Fragment planu Lublina z 1928 roku. Z archiwum Urzędu Miasta Lublin.

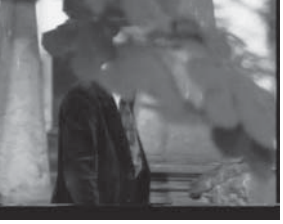

prozą poetycką i nadał mu tytuł *Poemat o mieście Lublinie*. Po trzecie, zrobił serię fotografii Miasta. Wiersze są bardziej znane, fotografie – mniej. Bez wątpienia między wierszami i fotografiami istnieje korespondencja. Interesująca, bo kontrastowa. Na przykład: wiersze są „nocne" i malownicze, fotografie zaś „dzienne" i pozbawione malowniczości. Pomijam tę kwestię. O fotografiach tylko.

Fascynujące są zwłaszcza dwie, ponieważ ujawniają ślad tajemniczej fascynacji Poety. Tylko jedno jedyne miejsce sfotografował dwukrotnie. Podwójną fotografią wyróżnił Poeta Bramę. Nie napisał o niej żadnego tekstu, ale wypowiedział się o niej właśnie takim językiem. Widocznie to, co go w niej intrygowało ma naturę pozasłowną i raczej „przemawia" do oka niż do ucha. Proponuję skróconą z konieczności egzegezę.

Fot. s. 39.

Dziwne zdjęcia. Jedno wykonane pod arkadą Bramy, od strony Starego Miasta, z góry w dół – widać dobrze pochyłość – na ulicę Zamkową, która to ulica trwa dzisiaj tylko na tym zdjęciu (i jeszcze paru innych). Drugie zrobił z przeciwnej strony, z dalszej odległości i z boku, z dołu pod górę. Na obydwu nie ma właściwie Bramy. Na jednym widać jedynie ciemny łuk i ciemne ściany boczne. Na drugim trochę więcej, ale za to tylko połowę bramowej arkady. Ani całościowy wygląd Bramy, ani nawet jakiś detal architektoniczny nie jest przedmiotem tych fotografii. Nie są to również ładne widoki. Poeta fotografował Miasto w nie bardzo fotogenicznej aurze, w czasie zimowej odwilży, może późną jesienią lub w czas przedwiosenny. W Bramie jest bardzo mokro, dużo, bardzo dużo wilgoci, błoto, kałuże. Bramą przechodzą ludzie, ale nie jest ona dla nich tłem, bo nie są to fotografie-portrety względnie scenki rodzajowe. Więc co jest przedmiotem właściwym tych fotografii? Co Poeta chciał utrwalić w fotograficznym obrazie?

Fot. s. 39.

Nie mam wątpliwości – na Czechowiczowskich zdjęciach widzimy to, co w Bramie najważniejsze. Powiem górnolotnie: samą istotę Bramy.

To, co powoduje, że Brama jest Bramą. Poeta sfotografował otwór Bramy, samo przejście przez Bramę. Otwór z jednej strony i otwór z drugiej strony. Można wejść z tej strony i można z drugiej. I tak na tych fotografiach przechodzą ludzie. Jednakowo otwarta z obydwu stron. Chociaż na jednym zdjęciu Poeta jeszcze dodatkowo „zwęził" otwór właściwie do szczeliny, dosyć ciasnego przejścia. Dwukierunkowy, przechodni i tranzytywny otwór-szczelina objawił się Poecie jako istota tego miejsca.

Że Brama miała dla Czechowicza specjalne znaczenie, potwierdza jeszcze inne zdjęcie. Niezwykle ważne, powiem, ostateczne, ponieważ pojawia się w nim sam Poeta. W jakiejś innej bramie, ale gdzieś tu blisko, stoi oparty o ścianę Poeta w bramie, w prześwicie, w wąskiej szczelinie. Od strony oka aparatu mrok, półcień, po drugiej stronie wylotu bramy jasność, która wiązką promieni pada do wnętrza. Poeta stoi w przejściu i na granicy ciemności i światła. W perspektywie, po drugiej stronie bramy tylko jasność. Dokładnie to samo mamy na obu fotografiach Bramy. Otwór i za nim światło, jasność. Przejście jawi się jako wyjście z ciemności. Każde przejście przez szczelinę Bramy, w obydwie strony.

W filozofii Martina Heideggera nazywa się to *die Lichtung* – prześwit. Cytuję za Krzysztofem Michalskim, co oznacza Heideggerowski prześwit-*Lichtung*:

> nieskrytość, otwartą, choć ograniczoną przestrzeń, która czyni możliwym to, że będąc, w ogóle coś odkrywamy, wydobywamy na jaw.

Podobnie miejsce, gdzie las jest przerzedzony, dopuszcza – zależnie od stopnia i rodzaju przerzedzenia – światło, czyniąc w pewnej mierze widocznym to, co się tu znajduje, Można powiedzieć, że

miejsce to w pewnym sensie wyzwala grę światła i cienia – tak jak podniesienie kotwicy zwalnia okręt z uwięzi, wyzwalając go do żeglugi.

Lichtung wyzwala nas tedy do bycia w ten, a nie inny sposób, do odkrywania tego, co nas otacza, tak lub inaczej. Daje wolne pole naszemu byciu, kształtując je tym samym.

Inny aspekt i innym językiem. W kabalistycznej teorii *Sefirot*, czyli Bożych hipostaz, Bożych przejawów, które drogą emanacji spływają z góry w dół tworząc porządek świata, niejako pionowy, mówi się też o poziomych kanałach łączących poszczególne i zarazem przeciwne Sefiroty. Te kanały nazywają się *cinnorot*. Sądzę, że w „pionowej" Bramie, która oddziela dwa światy, otwór – przejście jest właśnie takim *cinnor*. Według kabalistów kosmiczna katastrofa ma swoje źródła między innymi w tym, że owe kanały mediacyjne ulegają zniszczeniu.

I trzeci język, język filozofii spotkania, Emmanuela Levinasa. Spotkanie z Innym i Innością ma formę *chiazmu*. Chiazm to taka konstrukcja, w której następuje spotkanie – nie unifikacja, nawet nie dialog, ale tylko zetknięcie się – powiedzmy – ludzi, idei, myśli zmierzających w przeciwne strony. Jak w piśmie łacińskiego typu, które biegnie od lewej do prawej, w zestawieniu z pismem hebrajskim kierującym się od prawej do lewej. I jak w Bramie, czyli w miejscu spotkania, wyminięcia, otarcia się, przepchnięcia, przeciśnięcia tych i tego, z tej i z tamtej strony.

Lichtung, cinnor, ciazm. Oto co sfotografował Poeta. Sens Bramy. Wędrówka po Mieście prowadzi do odkrycia miejsca metafizycznego, w którym następuje – jak to określa Levinas – epifania Enigmy.

Droga w realnej przestrzeni staje się figurą wędrówki mistycznej. W prześwitach, poprzez szczeliny w istnieniu, w otworach przeprutych w szarej, banalnej codzienności, coś jaśnieje, jakaś druga, inna strona, pojawiają się przeczucia, pytania. Jak w ostatniej strofie wiersza Poety *wąwozy czasu*:

wizje nie nasycają się zawiłym haftem
czy z tego alfabetu co będzie odczytam
po cóż czytać i tak wiem chyba
to jest prawdą
pytania odpowiedzi brzmią
jak odpowiedzi pytań

Zastanawiający ostatni wers! Tak wygląda właśnie *chiazm*: pytania odpowiedzi – odpowiedzi pytań. Skoro miejsce poety (i nie tylko poety) jest w bramie, zaglądam w ten prześwit możliwie daleko, w poszukiwaniu materii poetyckiej, pytań odpowiedzi i odpowiedzi pytań. W głębi *cinnor*, który wybiega dokładnie z tego miejsca, faktycznie dosyć daleko od opisywanego miejsca, w Sztokholmie na Bergsundsstrand 23, Nelly Sachs, wielka i tragiczna poetka, prorokini i kabalistka, napisała kilkanaście linijek wiersza – znalazł się on potem w jej tomie *Fahrt ins Staublose* (1961), czyli *Podróż w bezpył*. Zgodnie z kabalistyczną doktryną, rozsypane po świecie iskry Bożego światła powinny wrócić do swego źródła. Bezpyłowa podróż – impuls, który stąd wyszedł, odbity w Sztokholmie, wraca jako *Lichtung*, *chiazm*, *cinnor*. Przepisuję ten wiersz w przekładzie Ryszarda Krynickiego:

NIE WOLNO sobie pozwolić
żeby tak cierpieć
powiedział Widzący z Lublina
i każde słowo
ukrzyżowane przez porę północy
skulone bezsenne
słyszałeś gdzie indziej
może tam
gdzie odkryta została miara
dla bezmiaru
miłość wyzwolona od ziemskiej materii
mowa meteorów
zabroniona gwieździe
a ty sam odszedłeś od siebie
Widzący z Lublina –

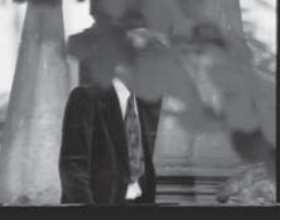

3

Wracam do prozy, czyli materialnej rzeczywistości Bramy. Trzeba przyjrzeć się jej dokładnie, żeby zobaczyć znaczącą osobliwość. Może nie tyle dokładnie, co przytomnie. Mowa dotychczas była o otworze. Wiadomo, najważniejszy. O ile otwór jest otworem z każdej strony, z każdej identyczny i o tych samych właściwościach, o tyle to, co go otacza (bo przecież jest otworem w czymś, ma jakąś oprawę, obramowanie), różni się zasadniczo. Otóż, poza samym otworem, Brama jest asymetryczna, inna od strony Starego Miasta i inna od strony zamku i miasta żydowskiego. Królewski architekt Dominik Merlini uformował ją w 1785 roku (dodam, że wedle moich obliczeń jest to także przybliżona data przybycia Widzącego na Wieniawę) tak, jak się formuje dom mieszkalny, kamienicę, pałac, świątynię itp., to znaczy ma fasadę i tył, przód i tył stronę oficjalną, reprezentacyjną, publiczną – piękniejszą, i stronę prywatną, niereprezentacyjną, niepubliczną – brzydszą. „Filozofia" takich podziałów architektonicznych ma oczywiste uzasadnienie. Odwołuje się do rozróżnień typu: zewnętrzne-wewnętrzne, widoczne-ukryte itd. Kwestia znana i oczywista.

Fot. s. 40.

Fot. s. 40.

Z tą oczywistością mamy tu jednak problem. Piękna królewska fasada Bramy ze wspaniałym, uwieńczonym monogramem ostatniego władcy Rzeczypospolitej, podobna do bazyliki raczej niż świeckiego obiektu użyteczności publicznej, zwrócona jest do Starego Miasta, czyli do wnętrza tej przestrzeni, na której obwodzie zewnętrznym stoi! Tył Bramy znajduje się zaś na zewnątrz. Jawne naruszenie zasady, która wiąże fasadę z przodem i zewnętrznością, a tył z wnętrzem. Architektoniczny chiazm. Co może znaczyć owa inwersja?

Myślę, że stanowi naoczny dowód na to, jak Miasto w tym miejscu zaczęło tracić ostrość i klarowność podziałów przestrzennych, zaczęło mieć problemy z orientacją, usytuowaniem. Słowem, nastąpiły komplikacje w przestrzennym obrazie świata. Gdzie i co jest zewnętrzem, a co wewnętrzem? Gdzie jest przód, a gdzie tył? Albo inaczej: jak i wobec czego się ustawić? Przodem do przodu, czy tyłem do przodu? Co i komu pokazywać? Narzucająca się odpowiedź, iż królewska fasada bramy w sposób oczywisty odnosi się do królewskiego zamku nie wystarcza, bo wszystkiego nie objaśnia. Zamek wówczas przekształcał się w trwałą ruinę, więc byłby to gest mocno ironiczny, owszem, możliwy. Fasada zapowiadała nie tylko zamek, ale i całą rzeczywistość po drugiej stronie, czyli rozrastające się miasto żydowskie.

Zdjęcie lotnicze zrobione ok. 2002 roku (widoczny niezagospodarowany jeszcze pl. po Farze). Dzięki uprzejmości Dedal Studio Poznań.

Brama stoi w połowie drogi między Placem Świętego Michała a Placem Widzącego z Lublina

Brama, s. 19.

Brama znajduje się – jak widać – na zboczu staromiejskiego wzgórza. Ani na górze, ani na dole. Z jednej strony niżej niż św. Michał, z drugiej – wyżej niż Widzący.

Brama, s. 19.

Widok Starego Miasta z okolic dawnej ul. Krawieckiej. Plac po Farze, czyli puste miejsce po kościele św. Michała, wygląda jak „wyrwa" w linii dawnej zabudowy. Po prawej widać początek Wzgórza Zamkowego. Za nim znajduje się pl. Zamkowy (Oko Cadyka) z nieistniejącą ul. Szeroką przebiegająca u stóp Zamku, na której pod numerem 28 mieszkał Widzący. Fot. M. Skrzypek

Pożar miasta Lublina w 1719 r., obraz z kościoła oo. dominikanów, fot. J. Zętar.

Na tej osi wybudowano nową, chrześcijańską *Axis Mundi*, przedłużając ją niepomiernie w górę, co doskonale widać na starych rycinach jako bardzo wysoką, gotycką wieżę całkowicie dominującą nad Miastem.

Brama, s. 20.

W postaci widzialnego kościoła nie ma, zostało puste miejsce i kościół niewidzialny – właśnie tak pisał o nim Czechowicz.

Brama, s. 20.

Plac po Farze. Na pierwszym planie widoczna makieta kościoła pw. św. Michała. Za nią współczesne murki będące kontynuacją fundamentów świątyni. Po prawej Szopka – jedno z kilku wydarzeń miejskich ożywiających ten plac. Fot. M. Skrzypek.

Wcale nie idzie o jakieś wyabstrahowane kategorie, lecz o codzienność, o życie. Trzeba było sobie odpowiedzieć, z czym się ma do czynienia. Z jednym miastem, czy dwoma? Z jednym, chociaż rozdwojonym, czy z dwoma, chociaż połączonymi? Dwa „wnętrza" i dwa „zewnętrza" lub może taka struktura, gdzie „wnętrze" jest zarazem „zewnętrzne" i odwrotnie.

Wszystkie te pytania odpowiedzi i odpowiedzi pytań wypisane są na Bramie. Postawiona niegdyś w murze obronnym jako znak rozdziału i rozróżnienia, aczkolwiek z możliwością przejścia, w swojej architektonicznej inwersji pokazuje zmianę funkcji – przejście do roli Bramy wewnętrznej, wewnętrznego organu Miasta. Dokonuje się to poprzez przekształcenia wnętrza w izby mieszkalne, sklepy, poprzez połączenia boczne z sąsiadującymi domami, poprzez wmontowanie jej w prawdziwy labirynt otaczającej tkanki. Od zewnątrz proces ów manifestuje się poprzez niezwykle gęste zarastanie najbliższej przestrzeni Bramy domami mieszkalnymi. Na starych fotografiach wykonywanych z zamku Bramy prawie nie widać. Jedynie kawałek trójkątnego szczytu wśród dachów, jedynie niewielki, słabo widoczny otwór – wejście wśród plątaniny dachów, kamienic, zaułków, okien, drzwi...

Brama jawi się jako model dokonujących się w Mieście przejść pomiędzy różnymi światami. Architektoniczna ikona spotkania z Innym. Skupia w sobie i reprezentuje całe zróżnicowanie Miasta, wszelką podwójność, graniczność i pograniczność. Już samo jej miano stało się symbolem wielkości. Nazywa się Grodzka. Nazywa się Żydowska. Powinna nazywać się też Królewska. Mogłaby nazywać się Ruska lub Bizantyńska lub Grecka. Z nazwami, ze spotkaniem, z pogranicznością rzecz się ma dokładnie tak, jak z jej fasadą. Z tej strony taka, a z tej inna, czyli i taka, i taka, i jeszcze inna. Naoczny fenomen przejścia. A Miasto wykorzystywało to przejście, co znalazło wyraz w rozwiązaniach absolutnie wyjątkowych, niepowtarzalnych, wprost spektakularnych.

Przypominam niektóre tylko efekty przechodzenia widoczne w różnych częściach Miasta: zaczynając, rzecz jasna, od słynnej zamkowej Świętej Trójcy z jej rusko-bizantyńskimi freskami w gotyckim kościele katolickim, przez nagro-

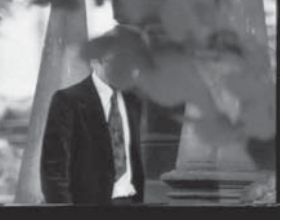

bek u Bernardynów niejakiego Teodora Ustrzyckiego z inskrypcją pisaną po grecku, żeby zaświadczała o jego ruskim pochodzeniu, i łacińską, żeby mówiła, dokąd doszedł, przez owe słynne dwie ambony u Dominikanów przeznaczone – to nic, iż rzekomo – dla mówców o odmiennych poglądach, przez główny cmentarz Miasta, na którym kwatery poszczególnych wyznań są ściśle odgrodzone murem – jak wszędzie – ale w murze przedzielającym katolików i ewangelików jest wyłom: kilkanaście grobów lokuje się na samej granicy, są po obydwu stronach, dla rodzin podwójnych wyznaniowo – a kończąc wyjątkowym przekroczeniem z cmentarza żydowskiego, gdzie do ostatniej wojny była macewa Abrahama Heilperna z 1762 roku, na której – rzecz niesłychana, niewyobrażalna, jedyna w całej Rzeczypospolitej! – znajdowało się wyobrażenie postaci ludzkiej, w dodatku gołej, chociaż bez widocznych cech płciowych; a był to grób jednego z ówczesnych liderów całej społeczności żydowskiej w Polsce, i wcale nie jakiegoś oświeceniowca czy prekursora asymilacji.

Brama mówi wszystko wszystkim. Równocześnie. Mansjonarz od św. Michała, który szedł uliczką Zamkową od Świętej Trójcy, gdzie przed chwilą oglądał na fresku bizantyńskiego archanioła, w pewnym momencie zauważył, jak Brama od tej strony gromadzi wyjątkowo dużą ilość form troistych: trójkątny szczyt – tympanon, potrójne okna w trójkącie, potrójne poniżej, potrójne pionowo (bywało także okno tuż za łukiem; bywało, znikało...). Wydało mu się, że ta cecha jakoś odwołuje się i do całego podziału tej przestrzeni, gdzie liczba trzy odgrywa główną rolę, i do Trójcy skąd właśnie szedł, i do trójkątnych szczytów świętomichalskiego kościoła, a trójkątny tympanon szczytu zapowiada ów Trójkąt z Chrystusem na domu, w którym mieszka...

Kabalista z ulicy Zamkowej, z tego domu, który stał prawie przed Bramą (na fotografii Czechowicza widać ten dom i okno mieszkania kabalisty na pierwszym piętrze), przy stole pod oknem, żeby było więcej światła, studiował *Szaanej Ura – Bramy Światła* Józefa Gikatillii, rzecz o symbolice *Sefirot*, przeglądał rozmaite wyobrażenia plastyczne, przerysowywał abstrakcyjne diagramy, widział, że Boży układ *Sefirot* jest we wszystkim; w człowieku, drzewie, w drabinie, w literze *alef*. Gdy podniósł głowę i spojrzał w okno, zobaczył Bramę i diagram złożony z okien: trzy w górze, trzy w dole, kolumna środkowa, kolumna lewa, kolumna prawa – porządek górnych *Sefirot*. Brak dolnych, bo w świecie jest zło, grzech, upadek. Pomyślał: gdzieś tam na dole w przejściu – jak mówi talmudyczna legenda – siedzi Mesjasz...

Oko Cadyka

zaznacz miejsce
gdzie stał przedmiot
którego nie ma
czarnym kwadratem
będzie to
prosty tren
o pięknym nieobecnym

Zbigniew Herbert, *Studium przedmiotu*

א

Alef • Dopiero z nieba – i tylko z nieba – widać tę przedziwną osobliwość Miasta. Z nieba, czyli z góry, z pewnej wysokości. To, o czym mówię, może zobaczyć każdy bez wyjątku, każdy, kto ma oczy do patrzenia, ale pod warunkiem, że będzie patrzył z niebieskiego punktu widzenia. Z ziemi nic nie widać. Chociaż to fenomen tajemniczy i nieprawdopodobny, pewnie mistyczny, jest całkowicie postrzegalny zmysłowo. Po prostu: widoczny gołym okiem. Trzeba tylko oderwać się od ziemi i unieść ciało i duszę – choćby samą duszę – ku niebu, do górnego świata. Trzeba posłuchać poety, gdy mówi: „słuchaj rad / wewnętrznego oka". W ostateczności można posłużyć się fotografiami wykonanymi z lotu ptaka. Objawi się wówczas ów niezwykły obraz, nie mam wątpliwości, największa osobliwość Miasta. Obraz wstrząsający. Już teraz, wyprzedzając opis, powiem za Emmanuelem Levinasem, że jest to czysta epifania Enigmy. Powiem, nadal za Levinasem, że będziemy mieli do czynienia z wielką „intrygą Nieskończoności". Bo jak inaczej określić to, co poniżej opisuję?

Władysław Panas, *Oko Cadyka*, Lublin 2004, wyd. UMCS, s. 5-36. Informacje dotyczące pierwodruków i przedruków tekstów Władysława Panasa znajdują się w końcowej bibliografii.

ב

Bet • Tak, to było dokładnie tu – ulica Szeroka 28. Pewnie numeracja w różnych czasach zmieniała się. Nieważne. Ważne, że to miejsce, a właściwie – Miejsce, było ciągle tutaj. W 1918 roku miało numer 28 i chyba do samego końca tak pozostało, bo na Szerokiej w dwudziestoleciu międzywojennym nic się specjalnie nie zmieniało – ani przybywało, ani ubywało. Nic, co mogłoby zmienić status Miejsca.

W Lublinie na ulicy Szerokiej 28 znajdował się „pępek świata", czyli *Axis Mundi*, oś kosmiczna, kolumna świata, jego centrum, absolutny środek, przestrzeń najświętsza. Szeroka 28 spełniała

▸ Fot. s. 47.

te wszystkie kryteria, które opisuje fenomenologia religii w rozdziałach traktujących o symbolice „środka" i przestrzeni sakralnej. Wyjątkowa pozycja Miejsca ma swoje źródło w tym, że mieszkał tam wyjątkowy człowiek.

Ha-Hozeh mi-Lublin, Widzący z Lublina, Jasnowidz z Lublina, Świątobliwy z Lublina, rabbi Jakub Icchak, Lubliner, Lublin – po prostu. Takie jest jego chasydzkie miano, pod którym zna go świat. Jego nazwisko brzmiało Jakub Icchak Horowic, syn Abrahama Elizera. Nie był rodowitym lublinianinem, lecz tu spędził ostatnie 30 lat życia, najważniejsze, tak że jego imię zrosło się z nazwą miasta i ta nazwa wyparła, nawet z wielu encyklopedii i z literatury, jego prawdziwe nazwisko. Czasami nawet imię. Lublin – tyle wystarczyło, żeby wszyscy chasydzi wiedzieli, o kogo chodzi. Więc w Lublinie na ulicy Szerokiej 28 mieszkał Lublin. Był cadykiem, czyli sprawiedliwym, i skupiał wokół siebie chasydów, czyli pobożnych. Był jednym z największych cadyków w całej historii chasydyzmu. A cadyk – mówiąc krótko i pozostawiając zupełnie na boku fenomen chasydyzmu i fenomen samego cadyka – dla swoich chasydów jest, jak najdokładniej, *Axis Mundi*, środkiem świata, kimś, kto z racji swojej świętości stoi najbliżej Boga, ma z Bogiem najlepszą i najskuteczniejszą komunikację. Pisze Martin Buber w *Gogu i Magogu*:

O Lublinie można powiedzieć coś wtedy dopiero, gdy poznało się go od wewnątrz: czym jest świątynia, wiesz dobrze, gdy stałeś w środku. Kto zna Lublin, ten wie, że jest to kraj Izraela, podwórze tego domu jest Jerozolimą, szula pagórkiem świątyni, izba rabbiego Świętym Świętych, a Szechina mówi przez jego usta. Tak mówili i śpiewali – chociaż u chasydów zawsze mowa jest śpiewem, a śpiew mową – chasydzi Widzącego.

O Widzącym mówiono i pisano wiele, ba, mówiono i pisano o Widzącym w kręgach chasydzkich i przez cały wiek XIX. Powstała obszerna „lubelska" literatura chasydzka. Jeszcze w XX wieku, tylko w latach 1907-1911, opublikowano 5 książek w całości lub w części poświęconych Lublinowi. Są tu niezwykłej urody opowieści Jiřego Langera i Martina Bubera. Lecz, być może, jedyny opis samego Miejsca, czyli Szerokiej 28, przedstawił Majer Bałaban. Opis bardzo skrótowy, bo tylko jeden akapit:

Na tej samej ulicy pod numerem 28 stoi dom rodzinny Horowiców. Są to potomkowie Widzącego z Lublina, Jakuba Icchaka Horowica, którzy do dziś są dumni ze swego przodka i stale procesują się o dom. Na podwórzu, na które wchodzi się przez wąski korytarz, stoi obszerny parterowy dom z drewnianym dachem i wieloma dużymi oknami. Jest to klauza, w której modlił się i spędzał większą część dnia Widzący. Swoje właściwe mieszkanie miał w domu stojącym od ulicy na pierwszym piętrze. Sama klauza jest wielką, źle otynkowaną salą z sufitem z drewnianych bali. Przy wejściu widzimy małe przepierzenie w kształcie chrząszcza, za którym modliły się kobiety.

Tak wyglądało miejsce, które było środkiem świata, w którym działy się wszystkie cudowne i dziwne, wzniosłe i straszne rzeczy. Dom, podwórze, kwadratowa czy też prostokątna lub może innego kształtu parcela. Miejska „realność", która może od 1791, może 1792 do 1815 roku była bez reszty nadrealna, a później jeszcze przeszła w wymiar sakralnej legendy jako miejsce dokonującego się cudu, gdzie było najbliżej do Boga.

Ulica Szeroka, która była główną arterią dzielnicy Podzamcze, zaczynała się u wylotu Kowalskiej i biegła dołem zamkowego wzgórza aż do Ruskiej, wychodząc na kompleks cerkiewny obok – stojącej do dzisiaj na terenie dworca autobusowego – starej studni. Mniej więcej w połowie jej długości, po lewej stronie, czyli frontem do zamku, stał dom oznaczony numerem 28.

ג

Gimel • Gdy Baal Szem Tow, Pan Dobrego Imienia, stawał przed trudnym do wykonania zadaniem, wyprawiał się w pewne miejsce w lesie, rozniecał ognisko i pogrążał się w modlitwie. To, co miał zamiar osiągnąć, dokonywało się.

W następnym pokoleniu Wielki Magid z Międzyrzeca znajdował się w podobnej sytuacji, więc również szedł w to samo ustronne miejsce i mówił: „Nie mogę już rozniecić ognia, ale mogę nadal modlić się". I to, co pragnął urzeczywistnić – realizowało się.

Kiedy minęło jeszcze jedno pokolenie, rabbi Mosze Lejb z Sasowa także miał trudny problem do rozwiązania. Szedł do lasu i mówił: „Nie mogę już rozpalić ogniska, nie znam tajemnych medytacji ożywiających modlitwę, lecz przecież znam to miejsce w lesie, gdzie to wszystko odbywało się – to powinno wystarczyć". I rzeczywiście wystarczyło.

Minęło jeszcze jedno pokolenie i cadyk Izrael z Rużyna miał to samo zmartwienie co wszyscy jego wielcy poprzednicy. Rozsiadł się więc wygodnie w fotelu w swoim pięknym pałacu i rzekł: „Nie możemy rozpalić ognia, nie znamy już odpowiedniej modlitwy, nie wiemy nawet, gdzie znajduje się to miejsce w lesie, ale przecież możemy opowiedzieć historię o tym, jak to wszystko się odbywało". I opowieść cadyka była tak samo skuteczna jak działania jego poprzedników.

Opowiadam – ciągle, bo taka jest zasada chasydzkiej opowieści – tę historię za Gershomem Scholemem, któremu opowiedział ją Samuel Josef Agnon, wybitny pisarz, noblista, a kto opowiedział Agnonowi – nie wiem. Ten, kto interpretuje chasydzką opowieść, przypomina kogoś wyjaśniającego, na czym polega opowiedziany dowcip. Więc dodam, że chciałem przypomnieć tylko miejsce. Tak się bowiem składa – i nie jest to wcale mało – że znamy adres tego niezwykłego miejsca. Nic więcej nie wiemy, być może nie będziemy w stanie nawet opowiedzieć historii o tym wszystkim, ale mogę powiedzieć, gdzie mieszkał Widzący, skąd promieniowała jego niezwykła moc. Powinno wystarczyć. Musi wystarczyć.

ד

Dalet • Jeszcze o Szerokiej, bo opowieść, jako czynność magiczna, chce odwrócić to, co się zbliża, chce zatrzymać lub chociaż odroczyć to co nieuchronne. Więc przepisuję wiersz Józefa Czechowicza *Ulica Szeroka*. Jest to chyba jedyny poetycki opis tej ulicy.

Chorągiewka na dachu śpiewa.
Pierwszej gwiazdy wypełza pająk.
Latarnie w czarnych drzewach,
kołyszących się,
mrugają.

Ciepła woń płynie z piekarń,
a cisza z zamkniętych bram.
Gdyby pies na dalekim przedmieściu
nie szczekał,
byłbyś – jak nigdy – sam.

Sam, może jeszcze z rzeczułką,
której nie słychać,
choć chyba w taką jasną noc z lazuru
i ona – niebios kochanka –
od zmierzchu aż do ranka,
na pewno wzdycha
wśród murów.

Wiersz opublikowany najpierw w tomiku *Stare kamienie*, wspólnym zbiorku Czechowicza i Franciszki Arnsztajnowej z 1934 roku. Szeroka 1934, Szeroka na początku lat trzydziestych. Wiersz – sielanka. Cisza, spokój, bezgłośny śpiew chorągiewki na dachu, rzeczułka, czyli Czechówka „niebios kochanka", „której nie słychać", tylko szczekanie psa na odległym przedmieściu nie tyle przerywa ciszę, ile raczej niweluje samotność. Jest to noc, lecz jasna – gwiazdy, latarnie, w ogóle „noc z lazuru". Pachnie chlebem. Bezpieczny, harmonijny świat ulicy Szerokiej. Chociaż w cyklu wierszy lubelskich pojawi się – jak to u Czechowicza – także niepokój. Chodzi o Wieniawę – też ważne miejsce, bo tam przez kilka lat mieszkał Widzący, zanim osiedlił się na Szerokiej. Również Wieniawa jest widziana nocą, ale jest to ciemność groźna. Z tej ciemności wybiegają bowiem „czarne, kosmate" „niedźwiedzie nocy" i zwalają się na przedmieście:

Gną się, kucają domki, zajazdy, bożnice
pod mroku cichego łapą.
Ach, trzasnąłby niskie pułapy –
ale już zajaśniało.

Na źle oświetlonym przedmieściu wyobraźnia podsuwa katastroficzne obrazy, ale wychodzi księżyc i mroczne zjawy ustępują – światło na ten raz zwycięża. Jeszcze. W końcu składa się z tego ładny – chociaż trochę udramatyzowany – nokturn: „Pejzaż: Wieniawa z księżycem". To są obrzeża wyobraźni i peryferie miasta. W środku tego świata, na Szerokiej, panuje równowaga pierwiastków kosmicznych, wszystko jest na swoim miejscu. Wierszyk jest prosty, nie ma w nim żadnych komplikacji, żadnych pęknięć. Czechowicz w tym pastoralnym wierszu uchwycił – i zatrzymał – pewien stan świata i miejsca. Taki stan, w którym istnieje miejsce z osią kosmiczną organizującą Kosmos, miejsce niepozwalające, żeby Chaos zbliżył się na niebezpieczną odległość. Tu Szeroka istnieje. A na niej dom z numerem 28. I podwórko ze starą chasydzką modlitewnią. „Ciepła woń płynie z piekarń / a cisza z zamkniętych bram".

ה

He • Trzeba o tym powiedzieć językiem Widzącego, czyli językiem kabalistycznym. Nie było w tym języku kategorii historycznych czy politycznych, bo był on w całości symboliczny; nastawiony na opis i interpretację rzeczywistości uniwersalnej i metafizycznej. Nadszedł czas *sitry achara*, drugiej strony, lewej strony stworzenia, czas zła i ciemności, zniszczenia i śmierci. Paroksyzm drugiej strony, upostaciowany w formie wojen Goga i Magoga, i władcy zła Armilusa, szatańskiego syna spłodzonego z kamienną statuą rzymskiej dziewczyny, i wszystkich apokaliptycznych bestii i potworów, i niezmierzonej rzeszy demonów, jakie tylko zdolne są pomieścić demonologie: żydowska, chrześcijańska i arabska. Czechowiczowskie „niedźwiedzie nocy" jednak zmaterializowały się i spadły na Miasto. I „trzasnęły niskie pułapy" – „domków, zajazdów, bożnic". Gdzieś około 1942, 1943 roku podwładni Armilusa zaczęli burzyć dzielnicę wokół zamku. Zostały tylko ruiny, kikuty domów, rumowisko gruzów. Środowisko naturalne demonów, ruiny bowiem są ulubionym terenem działania duchów zła.

Nie wiem, w jakim stanie znajdowała się Szeroka 28, jaki był stopień jej zniszczenia. Przez dziesięć lat, od 1944 do 1954, stały tylko ruiny, niczego nie pró-

bowano podnosić, naprawiać czy rekonstruować. 13 stycznia 1954 podjęto decyzję, aby na 10. rocznicę PKWN, czyli „nowego wspaniałego świata", poddać Miasto uporządkowaniu, renowacji, odbudowie. Słowem, po wielkiej apokalipsie – mała kosmogonia, akt demiurgii. O tym, że powyższe określenia nie są złośliwymi metaforami, świadczy charakter i idea podjętych wówczas działań. Dla tej części Miasta, gdzie była dzielnica Podzamcze, czyli wokół zamku, powtórzono akt stwórczy. Postanowiono bowiem wszystko zacząć od początku i zupełnie inaczej. Jak w opisywanym w kabale luriańskiej procesie kreacji, najpierw nastąpił akt cimcum, uwolnienie przestrzeni. Cała okolica została z wyjątkową starannością i precyzją oczyszczona, ruiny rozebrano, gruz uprzątnięto co do kamyczka. Znikła ulica Szeroka, znikły inne ulice i wszystko, co tam było. Nie pozostało absolutnie nic, żaden materialny ślad, nawet ślad przebiegu ulic. Powstała wolna, pusta przestrzeń gotowa na przyjęcie twórczego impulsu. Tylko zamek pozostał na swoim miejscu – jedyny punkt orientacyjny w tej przestrzeni. I właśnie cały impuls stwórczy, cała energia kreacyjna skupiły się w jednym miejscu: u stóp wzgórza zamkowego, przed jego frontem, tam, gdzie wcześniej przebiegała Szeroka, w tej jej części, gdzie był dom Widzącego. Tu, w tej przestrzeni, postanowiono coś stworzyć, na nowo, od początku. Reszta okolicy pozostała pusta – ta nie. Akt tworzenia trwał 6 miesięcy, od lutego do lipca 1954. Widać liczba 6 odgrywa podstawową rolę w dziele stworzenia, jakiekolwiek ono by było. Więc z ideologiczną szybkością zbudowano „nowe Podzamcze", lubelską kopię – ideową kopię! – warszawskiego Mariensztatu. Po pierwsze, pięknie wymodelowano zamkowe wzgórze, szerokie schody, z dołu do góry, z góry na dół, na zboczu uformowano też ścieżki, ławy do siedzenia – wyraźnie o charakterze widowni, w rodzaju amfiteatru, miejsca, skąd dobrze widać to co w dole. Po drugie, właśnie na dole, również pięknie, wymodelowano spory owalny plac, od strony zamku wyznaczony przez podmurowaną podstawę wzgórza, ustawiono stylizowane latarnie, jakieś podwyższenia, podesty. Po trzecie, po przeciwnej stronie placu zbudowano wygięty łukowato ciąg ściśle złączonych ze sobą domów, tak ściśle, że wyglądają jak jeden. Domy równie piękne jak wszystko w tym miejscu – nowiutkie jak ustrój, ale swoją fasadową – czyli zewnętrzną, widoczną – architekturą nawiązujące do renesansowych kamienic mieszczańskich. Więc podcienia, arkadki, części mieszkalne i handlowe, prywatne i publiczne. Zamek, owalny plac, półkole domów – oto nowa konfiguracja przestrzeni, w której elementy optyczne – mówiąc krótko – odgrywają istotną rolę. Dobre miejsce do patrzenia. Tylko nie ma na co patrzeć i nic stąd nie widać. To znaczy widać – puste miejsce.

Fot. s. 55.

Fot. s. 55.

Fot. s. 56.

Fot. s. 56.

ו

Waw • Tu kończy się materialna historia Szerokiej 28. Takiego miejsca i adresu już nie ma. Pozostała tylko garść starych fotografii, trochę rysunków, opis Bałabana, wiersz Czechowicza, jakieś wspomnienie nawiązujące do Szerokiej, przedwojenne i starsze plany miasta. Od 1954 roku nie można powiedzieć: To było tutaj. Odtąd można mówić: To było gdzieś w tej okolicy, mniej więcej tutaj.

A co się stało z *Axis Mundi*? Jak pisze Mircea Eliade, oś kosmiczna obejmowa-

Fot. s. 63.

ła nie tylko powierzchnię ziemi, nie tylko wyznaczała kierunek ziemia-niebo, ale stanowiła łącznik między wszystkimi poziomami kosmicznymi: regionami dolnymi (piekło, *szeol*, chaos, podziemie), powierzchnią ziemi i światem górnym (niebo). Była więc, z jednej strony, głęboko zanurzona w dole, w głębinach ziemi, z drugiej zaś – sięgała wysoko w górę, ponad ziemię, w powietrze. Czy operacja wykonana na powierzchni, na jednym tylko poziomie, unicestwia również to co poniżej i to co powyżej? A co z archetypami i obrazami kreowanymi przez archetypy? Jak pisze Carl Gustaw Jung, archetypy mają charakter ogólnoludzki i ogólnotelluryczny i są głęboko zakorzenione w oceanie nieświadomości zbiorowej. I jako takie nie podlegają władzy świadomości – nie można działaniami świadomymi ani stworzyć archetypu, ani go zniszczyć, ani zastąpić jakimś innym archetypem, ani spowodować, żeby się nie pojawiał, ani spowodować, żeby się ujawnił.

Tu się rozpoczyna mój napowietrzny bedeker, o którym mówiłem na początku tych notatek. Przewodnik połączony z ćwiczeniami oka – zakładający w ogóle jako warunek wstępny otwarcie wszystkich oczu, zewnętrznych i wewnętrznych. Bo jak inaczej można mówić i słuchać, pisać i czytać o Widzącym, jeśli samemu się nic nie widzi? Wszak idzie o widzenie, patrzenie, dostrzeganie, o niezwykły fenomen widzenia, o mistykę, o kabalistykę. Takie widzenie, które, patrząc na widoczne, widzi także to, co niewidoczne. O takie patrzenie, które w przypadkowym dostrzega pewien porządek. Chodzi o takie oko, które słyszy, i o takie ucho, które widzi.

Kto nie ma zamiaru otwierać oczu, niech w tym miejscu przerwie lekturę. „Czarny kwadrat" z wiersza Herberta został już położony, a tren o „pięknym nieobecnym" odśpiewany. Na znak rozdzielenia, w tym pęknięciu, kładę nowe motto:

gdy nic nie nosi korony królem powietrza cię nazwę
Józef Czechowicz, *w kolorowej nocy*

W Mieście Widzącego po Widzącym pozostał widoczny tylko jeden jedyny materialny ślad – nagrobek na cmentarzu. Dosłownie „po", bo postawiony po śmierci rabbiego. Śmiertelna sygnatura, ślad śmierci w *bet-olam* – w domu wieczności (jak pięknie i mądrze określa się po hebrajsku cmentarz). Na kompletnie zniszczonym przez ludzi Armilusa starym *bet-olam* ocalało tylko kilkadziesiąt grobów i nagrobków, wśród nich grób i nagrobek Sprawiedliwego. Na dużej, gładkiej, leżącej poziomo płycie kamiennej, u jej wezgłowia na niewielkim cokole, wznosi się równie duża, monumentalna, ustawiona pionowo płyta nagrobka – macewa. Jak każda macewa, stanowi złożoną całość tekstową, słowno-ikoniczną, którą tworzą elementy architektoniczne, wyobrażenia plastyczne, tekst inskrypcji – epitafium, kompozycja wszystkich tych elementów, kolorystyka, wypukłości i wklęśnięcia, liternictwo wreszcie. Taka jest poetyka każdej macewy. Na pierwszy rzut oka uderza typowość, wręcz konwencjonalizm, nagrobka Widzącego. Jakaś wyraźna dysproporcja i zastanawiający brak adekwatności pomiędzy tym, co widać, a tym, co wiemy o postaci, której prochy tu spoczywają. Jakby pochowany tu został „standardowy" pobożny. Żadnych niezwykłości. Odwrotnie, klasycyzujący umiar na tle wybujałości wizualnych, które znamy z innych *bet-olam*. Sądzę, że nie chodzi tu o pośmiertne „wciągnięcie do szeregu", a raczej o taką cechę Widzącego, jak pokora – wprawdzie żywiołowa i ekstatyczna – ale jednak pokora. Więc macewa cadyka jest typowa, a przecież bardzo indywidualna równocześnie i niczego z jego postaci nie tuszuje. Głównym nośnikiem tej indywidualizacji staje się tekst epitafium, długi, gęsto zapisany, szczelnie wypeł-

Fot. Józef Czechowicz, ok. 1933. W zbiorach Muzeum Literackiego im. J. Czechowicza.

Tylko jedno jedyne miejsce sfotografował [Czechowicz] dwukrotnie. Dziwne zdjęcia. Jedno wykonane pod arkadą Bramy, od strony Starego Miasta, z góry w dół – widać dobrze pochyłość – na ulicę Zamkową.

Brama, s. 26.

Drugie zrobił z przeciwnej strony, z dalszej odległości i z boku, z dołu pod górę. Na obydwu nie ma właściwie Bramy.

Brama, s. 26.

Fot. Józef Czechowicz, ok. 1933. W zbiorach Muzeum Literackiego im. J. Czechowicza, sygn. 2542.

Brama Grodzka od strony Starego Miasta. Fot. J. Zętar, ok. 2006.

Brama jest asymetryczna, inna od strony Starego Miasta...

Brama, s. 28.

... i inna od strony zamku i miasta żydowskiego.

Brama, s. 28.

Brama Grodzka „z zewnątrz" – od strony Podzamcza. Fot. J. Zętar, ok. 2006.

niający prawie całą prostokątną część nagrobkowej płyty, bez marginesu – tylko na samym dole, po ostatnim słowie, zresztą umieszczonym na środku, zostawiono pas wolnej przestrzeni. Analiza tego tekstu, jego specyficznej poetyki, to osobny i samodzielny problem. Tu przytoczę tylko – w przekładzie Andrzeja Trzcińskiego – początek:

Świadkiem jest ten pomnik, ten święty nagrobek,
świątobliwości naszego mistrza, geniusza,
naszej mocy,
światła naszych oczu, pragnienia naszych serc.
I cały dom Izraela płacze, ponieważ otoczyło się
ciemnością światło
wokół nas, w tym dniu, w którym został zburzony
dom naszego Pana.

W dalszym ciągu inskrypcji wymienia się imię i nazwisko, i datę śmierci, i kim był zmarły. Śmierć Widzącego miała specjalną semantykę. Wszystkie towarzyszące jej okoliczności były niezwykłe, jej przyczyna i forma. Nie mówię tu o nich, bo są już na ten temat piękne opowieści Langera i Bubera. Zwrócę uwagę jedynie na symbolikę samych dat. Widzący wypadł – został wyrzucony – z okna swego domu przy Szerokiej 28 w święto *Simchat Tora* (Radość Tory) 1814 roku, najbardziej radosne święto żydowskiego roku liturgicznego. Po długiej agonii umarł 9 *Aw* 5575 (15 sierpnia 1815), w *Tisza Be-Aw*, najsmutniejszy dzień całego roku, bo tego dnia obchodzi się rocznicę zburzenia Świątyni w Jerozolimie. Stąd w epitafium pojawia się podwójne odniesienie: do śmierci Sprawiedliwego i do śmierci domu Bożego – „zburzony dom naszego Pana". W XX wieku doszło jeszcze do tego zburzenie doczesnego domu rabbiego. Został – niezniszczalny – dom w wieczności, *bet-olam*. Widzący umarł, czy też raczej zginął, bo chciał przyspieszyć nadejście ostatecznego Mesjasza. Wśród mesjańsko nastawionych kabalistów i chasydów panowała opinia, że Mesjasz nadejdzie właśnie 9 Aw i ten dzień upadku i smutku stanie się dniem podniesienia i radości. Przyjaciel, a może i mistrz Widzącego, Lewi Icchak z Berdyczowa, miał taką nadzieję.

Jeszcze raz przywołuję obraz nagrobka Widzącego, bo trzeba ten obraz zapamiętać i mieć stale w oczach. Płyta prostokątna po obu stronach ograniczona dwiema półkolumnami, a u góry zamknięta łukiem. W przestrzeni prostokąta – inskrypcja, w górnej, tej wyznaczonej przez łuk – przyczółek wypełniony płaskorzeźbą. Całość kompozycji zdaje się nawiązywać do architektury aron ha-kodesz, szafy ołtarzowej w synagodze, w której przechowywane są zwoje Tory – ręcznie przepisywany hebrajski tekst Pięcioksięgu. W półkolistym naczółku, wewnątrz dużego łuku, znajduje się wypukły relief o ogólnym kształcie korony. Jest to jakby trójdzielna korona – lub też rodzaj tryptyku – złożona z trzech odrębnych części. Dwie boczne – mniejsze, identyczne i symetryczne, centralna – większa, o innym kształcie. Całość, od góry i z boku, zamknięta trzema łukami. Więc w łuku łuki, w półkolu półkola. Wszystko ma tu zresztą swój wyższy sens. Korona nie jest samodzielnym obrazem, lecz tylko planem lub ogólnym schematem wypełnionym konkretnymi figurami. Ale jest i ma swoje znaczenie. Korona może mieć trzy znaczenia: może to być korona Tory (*keter Tora*) i oznaczać uczonego w Piśmie, może symbolizować kapłana – korona kapłaństwa (*keter Kehuna*), może wreszcie odnosić się do cnót zmarłego – korona dobrego imienia (keter szem tow). Widzący był szem tow, miał dobre imię wśród pobożnych, więc ten zarys korony ma takie znaczenie.

W ogóle w kabale praktycznej i w kabale chasydzkiej ważną rolę odgrywało określenie baal szem, mistrz imienia. Pierwotnie oznaczało cudotwórców i praktykujących – żeby się tak wyrazić – medycynę niekonwencjonalną, które to umiejętności posiedli dzięki znajo-

mości tajemnic Imienia Boga. Twórca idei chasydzkiej był nazywany Baal Szem Tow – Pan Dobrego Imienia. To określenie „tow", dobry, stało się chasydzkim wyróżnikiem prawdziwej pobożności i sprawiedliwości, bez odcienia magicznego, chociaż cudowność pozostała.

Taki kontekst i w koronie Widzącego jest obecny. W schemacie korony dwie boczne kwatery wypełnione są przez dwa lwy. Wspięte na tylnych łapach, ogony podwinięte, łby zwrócone wstecz, a w przednich łapach trzymają część środkową. I tu jest tak: ma ona formę prostokąta (tyle że leżącego na dłuższym boku) od góry zakończonego łukiem. Nie sposób nie zauważyć, że powtórzony jest tu – w miniaturze – model kompozycyjny całej macewy. A całość tej części obramowana jest wieńcem – lwy trzymają po prostu wieniec. Bardzo to wyodrębnia i dodatkowo „centralizuje" ów środek płaskorzeźby. Właściwie to jest dopiero korona. Czyli korona w koronie, macewa w macewie, korona-macewa, macewa-korona uwieńczona bądź zwieńczenie koronymacewy. A w tym środkowym środku, czyli wewnątrz przestrzeni – i symboliki – środka, plastyczne znaki bezpośrednio wskazujące na osobę Widzącego: dłoń trzymająca dzban z wodą, obok drugi dzban. Są to symbole lewitów, czyli mężczyzn z rodu Lewiego przeznaczonych do służby w świątyni. O ich powołaniu i obowiązkach mowa w Księdze Liczb Starego Testamentu. Do tych obowiązków należało między innymi obmywanie rąk kapłanom przed błogosławieństwem. Świątobliwy z Lublina pochodził z tego rodu – był Ha-Levi.

Z tym obrazem macewy zwracamy się w stronę zamku, w stronę, gdzie kiedyś mieszkał Widzący. Przenosimy się z domu wieczności w kierunku teraźniejszości. Napotykamy w górze taki punkt – od tego momentu trzeba przestać chodzić po ziemi – z którego ujrzymy coś zdumiewającego. Sprawa ma charakter wielce ryzykowny, więc spróbuję ująć ją możliwie najprecyzyjniej. Jeśli – po pierwsze – znajdziemy się na odpowiedniej wysokości, jeśli – po drugie – będziemy w odpowiedniej odległości i jeśli będziemy patrzyli – po trzecie – pod właściwym kątem, to zobaczymy wielki prostokąt zamku po bokach obramowany grubszymi bocznymi skrzydłami, a od góry zakończony łukiem otaczających plac domów. Podkreślam, przy zachowaniu właściwych parametrów wysokości, odległości i kąta. Wtedy linia szczytowa płaszczyzny zamku zakryje drugi łuk placu, ten wyznaczony przez podstawę wzgórza, a będzie widoczny tylko przeciwległy. Prostokąt z naczółkiem w półokręgu. Zamek i plac zamkowy, który obejmuje miejsce po Widzącym, spustoszone Miejsce, odwzorowuje kształt macewy Sprawiedliwego. Gigantyczny nagrobek rzucony w przestrzeń. W przestrzeń nieobojętną przecież, choć zdaje się wyglądać na zobojętniałą. Ikona macewy.

▸ Fot. s. 64.

ז

Zain • W macewie Widzącego – tej stojącej w *bet-olam* – są, jak pamiętamy, dwie macewy, właściwa, duża, i jej jakby obraz powtórzony w reliefie. Obydwie są zakończone od góry charakterystycznym łukiem. W obrazie, który widzimy, jest tylko jeden łuk. Można uznać, że nie ma to istotnego znaczenia, że wystarczy ten ogólny zarys, ogólne podobieństwo kształtu. Spróbujmy przyjrzeć się dokładnie tej ikonie macewy wyznaczonej przez kształt zamku i placu. I porównać

z rzeczywistą. Zwracam uwagę na relację łuku i prostokąta. W realnej macewie – tej dużej – płyta jest szersza niż łukowate jej zamknięcie, szersza o obydwie półkolumny. Łuk właściwie zamyka tylko tę część prostokąta, którą wypełnia epitafium. W macewie-koronie łuk rozpięty jest dokładnie nad całym prostokącikiem.

W tym, co zobaczyliśmy z nieba, jest jeszcze inaczej, bo łuk placu wyraźnie przekracza przystający do niego bok zamkowego prostokąta. Nie ma zgodności, więc można orzec, iż chodzi o odwołanie do obydwu zakrzywień równocześnie. Sądzę jednak, że dokładna odpowiedź istnieje. Łuk placu jest łukiem środkowej części korony w macewie Widzącego. Tej z symbolami lewity, najbardziej osobistymi wśród plastycznych wyobrażeń. Pośród osobistych znaków najbardziej osobisty to owa dłoń trzymająca dzban. Z prawej strony, z wieńca podtrzymywanego przez lwa, a faktycznie znikąd, z nicości, wysuwa się dłoń lewity. Jedyne dopuszczalne wyobrażenie człowieka. Rzecz jasna, dłoń Ha-Lewiego. Przenieśmy tylko ten obraz na nasz – nadal tylko z jednym, górnym łukiem – plac. Punkt widzenia zawsze od strony zamku. Odszukajmy ostatni po prawej stronie dom w łuku. Od lewego narożnika fasady tej kamienicy przeprowadźmy linię pionową, w dół, do zamku, to znaczy do tego drugiego, na razie niewidocznego dla nas, łuku zamkowego. Dokładnie w środku tej linii znajdzie się dłoń lewity.

Studiuję stare plany Miasta, zwłaszcza okolice ulicy Szerokiej porównuję je ze sobą, wymierzam odległości, badam proporcje, kierunki, kąty, stopnie, skale. I nanoszę te dane na tę przestrzeń, która jest teraz. Sprawdzam jeszcze raz, sprawdzam wielokrotnie. Znowu studiuję cały materiał topograficzny. Chcę zlokalizować Szeroką 28, chcę wiedzieć, gdzie mieszkał i modlił się Widzący z Lublina. Chcę wiedzieć, gdzie było to Miejsce, którego nie ma. Wydaje mi się, że jak nie znajdę tego miejsca, gdzie było Miejsce, nie będę mógł mówić ani tym bardziej pisać o Widzącym.

Obok materiałów topograficznych, ściśle technicznych, posługuję się też materiałem symbolicznym – ową świeżo odkrytą ikoną macewy Widzącego. Plany i macewa wzajemnie się weryfikują i interpretują. Ich właściwości nakładają się na siebie i przenikają. Zwykły plan miasta, szkic topograficzny, rzecz bardzo prozaiczna, zaczyna nabierać symbolicznego znaczenia. A całkowicie poetyczna, odrealniona i symboliczna macewa uzyskuje walor precyzyjnego planu. Jest taka dyscyplina – geopoetyka. Usiłuję ją tu stosować. Oczywiście, w połączeniu z wszystkimi regułami hermeneutyki kabalistycznej.

Oto wynik: Szeroka 28, dom Widzącego, znajdował się dokładnie tam, gdzie na macewie jest dłoń lewity. Jego dom, jego dłoń; dłoń jego, dom jego. Buduję powyższe zdanie w formie chiazmu, bo Widzący pozostawił po sobie między innymi dwie książki o dziwnych, chiazmatycznych, lustrzanych tytułach: *Zichron Zot* (*Na pamiątkę tego*) i *Zot Zichron* (*Tego upamiętnienie*). Pisze Langer: „Niewiele tak wzniosłych dzieł wyszło spod ręki ludzkiej". *Chiazm* jest też figurą spotkania dwu zbieżno-rozbieżnych i rozbieżno-zbieżnych rzeczywistości, pomiędzy którymi pozostaje wolna przestrzeń. Nie mówiąc już o tym, że daje się czytać taką konstrukcję w sposób łaciński – od lewej do prawej – i na sposób hebrajski – od prawej do lewej. W realnej przestrzeni placu to znaczące miejsce znajduje się właśnie w pustce między dwoma łukami, tam, gdzie najbardziej zbliżają się do siebie, lecz nie łączą. W tym miejscu możemy wyznaczyć „czarny kwadrat" i odśpiewać niggun „o pięknym nieobecnym". Dopiero tu i teraz, gdy już wiemy dokładnie, gdzie to było.

ח

Het • Zmieniamy parametry wysokości, odległości i kąta spojrzenia. Zmienia się obraz. Pojawia się w polu widzenia drugi, dolny łuk placu. Są więc widoczne obydwa łuki, cały plac. Formuje się nowy układ: nadal prostokąt zamku i nad nim dwa łukowato wygięte ramiona. Napięta kusza bez strzały. Samo napięcie skumulowanej energii, koncentracja siły. Jakaś zatrzymana, unieruchomiona dynamika. Przestrzeń nabrzmiała. Statyczny obraz-ikona rzutowanej w tę przestrzeń macewy przekształca się lub też uzupełnia o aspekt energetyczny, o napięcie. Jak w ikonie, w widzialnym zawarte jest niewidzialne pole sił. Niewidzialny, bo niematerialny, jest sens. Między górnym ramieniem a napiętą cięciwą, w tej niby pustej przestrzeni placu, tłoczą się wszystkie znaczenia wpisane w macewę Widzącego. Można przywołać tu i takie skojarzenia wzrokowe: nawias i elipsa. Obydwie figury są figurami nieobecności, lecz nie pustki, ponieważ natarczywie stawiają pytanie o to, co zostało wzięte w nawias, co uległo eliptycznemu pominięciu. I obydwie, a zwłaszcza elipsa, zakreślając granice nieobecności, odpowiadają natychmiast: to, co było w środku, to, co było tutaj, to, o co uzupełnia się ta całość. W środku był Widzący, to jego miejsce zostało wzięte w nawias i eliptycznie wyeliminowane. Dłoń z dzbanem, misa, obmywanie rąk przed błogosławieństwem.

ט

Tet • Zmieniamy pozycję. Teraz widać sam plac, bez zamku. Zmiany pozycji ujawniały pewien obraz i jego dynamiczne transformacje. Tak jest i tym razem. Oczywiście, zawsze można powiedzieć, że widać plac, jego kształt, z góry. Zawsze można powiedzieć, że taki, a nie inny kształt nasunie pewnego typu asocjacje – przez analogie, przez podobieństwo, przez fantazję. Trzeba jednak wziąć pod uwagę logikę całości i koherencję myślową prezentowanego tu punktu widzenia. Chodzi po prostu o dyscyplinę, a nie dowolność. Tak jak w filozofii, tak jak w metafizyce, jak w fizyce teoretycznej, jak w chemii, jak we wszystkich tych dyscyplinach, które opisują rzeczywistości nieoczywiste. Motywem przewodnim tego szkicu jest wzrok, widzenie, patrzenie, spojrzenie. Cały czas chodzi o oczy, o to, co naoczne, co można i trzeba zobaczyć. Chodzi o nasze oczy, nas patrzących w tę przestrzeń, ale chodzi też o kogoś, kto miał niezwykłe oczy, oczy obdarzone mocą widzenia przez czas i przestrzeń.

Spójrzmy uważnie na plac: owalny, trochę spłaszczony, łagodne łuki, kąciki z lewej i prawej strony. Oko. Migdałowe oko. Nieustannie otwarte oko. Położone na ziemi – patrzy prosto w niebo, wyłącznie w niebo. Gdy się tak patrzy na to oko z góry, ściślej, gdy się spogląda w oko, widać ruchome kropelki: ludzi, pojazdy.

Jak już pisałem, w tym miejscu był chasydzki środek świata, oś kosmiczna, *Axis Mundi*. Do właściwości owej kosmicznej kolumny – według Eliadego – należy także i to, że jest ona otwarta ku górze, aby mogła istnieć bezpośrednia łączność z Bogiem czy bóstwami. Taką funkcję ma świątynia, lecz i inne miejsca. Wyraża się ten sens w licznych obrazach i sym-

bolach „otwarcia ku górze". Znajdziemy tu i biblijną drabinę Jakubową, i obrazy „bramy niebieskiej", i „oko sklepień" – tak określano w archaicznych sanktuariach odkryte dachy. Można więc powiedzieć, że to miejsce, ten plac, zachowało cechę *Axis Mundi* – otwarte na niebo oko. W kabalistycznej doktrynie gilgul, czyli wędrówki dusz, mówi się, że dusza może wcielić się w inną osobę, że może wcielić się w zwierzę i nawet w przedmiot. Nie wiem, czy gilgul dotyczy także placu.

י

Jod • Jeszcze o placu Oko Cadyka, czyli o placu Widzącego. Są tu rzeczy, zaiste, niezwyczajne i dzieją się niesłychane sprawy. Mimochodem tylko zauważę, że w łuku zabudowanym stoi akurat 10 domów. Wiem, przypadek, tak wyszło, ale wyszła wyjątkowo symboliczna liczba. A w takim miejscu wszystko ma znaczenie. Wskażę jedynie na dwa zespoły znaczeń.

Pierwszy – węższy – krąg odniesień wiąże się z faktem, iż 10 jest liczbą oznaczającą minjan, rytualną liczbę pobożnych konieczną do odprawienia publicznych modłów. Zwłaszcza kadisz – modlitwa za zmarłych – bezwzględnie wymaga minjanu. Ponieważ nie wolno liczyć samych ludzi, żeby liczeniem ich nie depersonalizować lub też – w wersji folklorystycznej – nie prowokować złych duchów, trzeba przy odliczaniu stosować specjalne wybiegi mające pozorować, że rachubie podlegają nie ludzie, lecz coś innego. Na przykład – domy. Więc to takie wybudowane liczydło do minjanu. A kadisz w tym miejscu byłby modlitwą wyjątkowo pożądaną. Wszak mowa o punkcie, gdzie umarł Widzący, gdzie przestrzeń ułożyła się w kształt jego nagrobka.

Drugi – nieskończenie szerszy – zespół semantyczny wiąże się z taką okolicznością, iż 10 jest liczbą *Sefirot* (*Sfirot*), dziesięciu Bożych aspektów, poprzez które Bóg – drogą emanacji – kreuje świat, uobecnia się w tym świecie, i które zarazem określają strukturę wyłonionej rzeczywistości. Teoria Sefirot stanowi najbardziej skomplikowaną część refleksji kabalistycznej, więc tylko o tym napomykam. Są rozmaite plastyczne wyobrażenia układu Sefirot: w formie drzewa, w postaci człowieka, drabiny Jakubowej, stylizowanej litery Alef, abstrakcyjnych diagramów. Otóż owalny – w kształcie oka – plac przypomina także schemat graficzny sefirotycznego porządku. Punktem orientacyjnym jest najważniejsze miejsce tej przestrzeni – miejsce domu Widzącego, miejsce jego życia i śmierci, tam, gdzie znajduje się dłoń lewity. Trzeba stanąć twarzą do placu, po lewej – łuk wzgórza zamkowego, po prawej – ów minjan domów. Po lewej stronie jest miejsce dla *Sefirot*: *Hod* (Chwała), *Din* (Prawo), *Bina* (Inteligencja). Po prawej stronie – *Necach* (Zwycięstwo), *Chesed* (Miłość), *Chochma* (Mądrość). Środek wypełnia *Tiferet* (Piękno). Nad placem – w tym kierunku – wznosi się gęsto zabudowana czapa wzgórza staromiejskiego. W strukturze sefirotycznej odpowiada temu najwyższa i równocześnie pierwsza *Sefirota* – *Keter* (Korona). Od niej odchodzą, rozgałęziają się czy też wypływają wszystkie pozostałe. Spływają w dół, kumulują się lub też schodzą w miejscu, z którego patrzymy. Jest to miejsce zarezerwowane dla *Sefiroty Jesod* (Podstawa). *Sefiroty* prawej strony mają charakter męski, aktywny, te po lewej stronie – żeński, bierny. *Jesod* skupia w sobie całą energię emanacyjną ich wszystkich i jest rodzaju męskiego. Odpowiada męskiemu organowi roz-

▸ Fot. s. 83.

rodczemu, ma naturę falliczną, jest bowiem kanałem, przez który spływa na świat Boski strumień energii. W kabale chasydzkiej właśnie cadyk wyraża *Sefirotę Jesod*. To on jest podstawą i fundamentem świata, kimś, kto pośredniczy między światem wyższym – Boskim, i światem niższym – ludzkim. Mówiąc innym językiem: pępek świata – *Axis Mundi*. Nieprawdopodobne, ale miejsce Jesod wypada dokładnie w miejscu domu cadyka. Wszystkie znaki – jakkolwiek by na nie patrzeć i jakiejkolwiek byłyby proweniencji – ciągle wskazują ten punkt. Przez męski *Jesod* stwórcza energia wpływa do ostatniej Sefiry – *Malkut* (Królestwo). Inaczej nazywa się też Szechina – Boża obecność, żeński aspekt Boskiego porządku. Odpowiadają jej żeńskie narządy płciowe. W kabale określa się ją też mianem „córka Boga". Łuki placu zbiegają się, zbliżają się do siebie, lecz nie zamykają, pozostaje wąskie dosyć wejście – wylot z placu w zewnętrzny świat. Oto waginiczny obraz usytuowania żeńskiej *Malkut*. Szechinę często wyobraża się w postaci wędrującej lub raczej tułającej się po świecie kobiety. Ruchliwa ulica, bazar, dworzec autobusowy – to, co jest dalej za placem, to, co zajęło miejsce drugiej połowy ulicy Szerokiej – zdaje się wprost idealnie symbolizować sytuację Szechiny.

Fot. s. 84.

Fot. s. 84.

Zatrzymuję się przed ostatnim domem w łuku, ostatnim z prawej strony. Jesod, dom cadyka, podwórko z modlitewnią chasydzką, dłoń lewity, czyli Szeroka 28. Wiemy, że tu się wszystko koncentruje, tu zbiegają się wszystkie linie napięć niewidocznego pola sił i tu skupiają się też widoczne znaki. I oto odsłania się ostatni obraz, obraz widoczny już z samej ziemi. Obraz ostatni i ostateczny. Wstrząsający. Naoczny argument. Chodzi o ten ostatni (lub pierwszy) dom. Jako jedyny został specjalnie wyróżniony. Podwójnie wyróżniony w całej dziesiątce domów. Po pierwsze, jest wyższy (większy) niż pozostała dziewiątka. Tamte mają po dwa piętra, ten trzy. Po drugie, na szczycie fasady, na obu jej narożnikach, w miejscu, gdzie zaczyna się dach, umieszczono pewne figury.

Lewy narożnik. Na niewielkim cokole przykucnął jakiś potwór, bestia przypominająca jakby trochę goryla. Niekształtny, nieforemny, toporny, prymitywny i przerażający. Lewą łapą przyciska coś do piersi – pewnie jego zdobycz. Prawa łapa, zaciśnięta w kułak i uniesiona w górę, grozi lub szykuje się do zadania ciosu. Pomiędzy nogami widoczny członek zanurzony pionowo w podłoże, na którym bestia stoi.

Prawy narożnik. Podobny stwór, chociaż trochę mniej gorylowaty, a bardziej – ze łba – przypominający niedźwiedzia. Okropny. Stoi z jedną łapą podniesioną do uderzenia, drugą zaś gotową ma do chwytania. Podstępnie, od tyłu, atakuje stojącego przed nim małego, nagiego chłopca. Chłopiec odwraca się. W jednej rączce ma miecz, którym za chwilę ugodzi potwora, w drugiej trzyma dużą tarczę. Walka z bestią. Obok nich, pod stopami, leży jakaś głowa, właściwie sama twarz: szeroko otwarte oczy i usta. Zapewne – ofiara. Obydwa potwory zdają się być ślepe, jak ów Armilus, król zła, syn szatana.

Nie może być wątpliwości! Są w tych potworach wyobrażone moce zła, siły ciemności, niszczycielska furia sitry achara. Te małoforemne bryły są to po prostu demony. Tak, na szczycie tego domu ulokowały się demony, które wypełzły z ruin, z mroku, z chaosu. Czające się na fasadzie zło, które nieustannie zagraża światu. Pokraczne figury duchów zła, wszystkich razem i każdego z osobna. Potwornego Armilusa, którego matką była kamienna statua (!), złośliwego króla demonów Asmodeusza, podstępnego Samaela, pomniejszych demonów, jak Ketew Meriri czy demon ślepoty Szabriri. Do kompletu brakuje tu tylko żeńskiego demona – Lilit. Demo-

Tak, to było dokładnie tu – ulica Szeroka 28. Mieszkał tam wyjątkowy człowiek: Ha-Hozeh mi-Lublin, Widzący z Lublina, Jasnowidz z Lublina, Świątobliwy z Lublina, rabbi Jakub Icchak, Lubliner, Lublin – po prostu.

Oko Cadyka, s. 33.

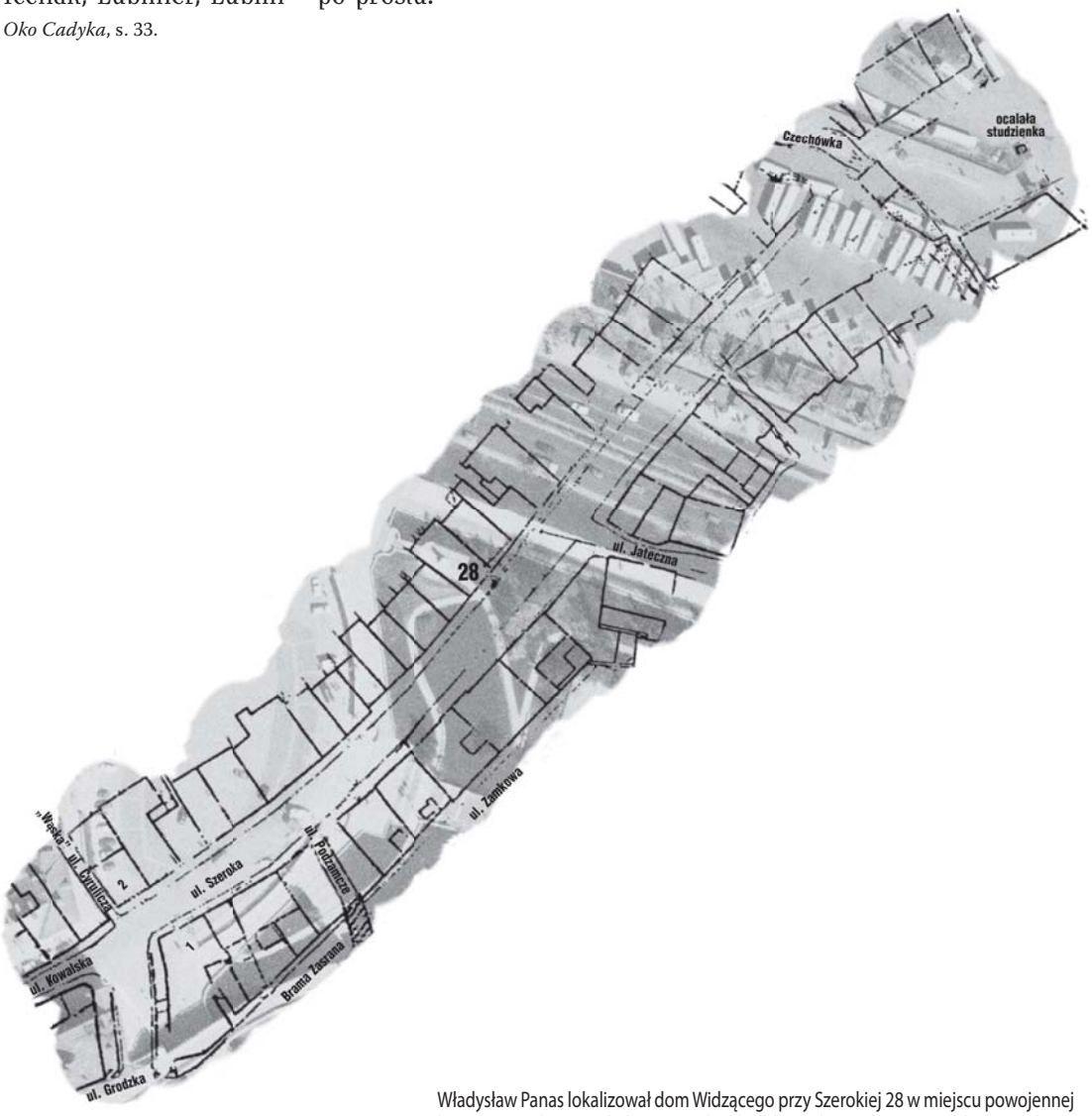

Władysław Panas lokalizował dom Widzącego przy Szerokiej 28 w miejscu powojennej kamienicy (zob. strona kolejna). Z nałożenia planu ul. Szerokiej na współczesne zdjęcie lotnicze wynika jednak, że dom Widzącego znajdował się po drugiej stronie wjazdu na plac Zamkowy, dokładnie tam, gdzie dziś znajduje się kamienny lew – „symbol Lwowa", jak głosi inskrypcja. Jest to kopia rzeźby z cmentarza Orląt upamiętniająca 75. rocznicę odzyskania niepodległości, a więc nie ma nic wspólnego z przeszłością tego miejsca. Tak się jednak składa, że wizerunkami lwa ozdabiano również *Aaron ha-kodesz* i *parochet* czyli szafę do przechowywania Tory. Lew, symbol pokolenia Judy, umieszczany na macewie oznacza kogoś ważnego, silnego lub odważnego.

Po lewej – powojenna kamienica błędnie uznawana za stojącą tam, gdzie był dom Widzącego przy ul. Szerokiej 28. Faktycznie miejsce po domu Widzącego znajduje się po przeciwnej stronie wjazdu na plac – tam, gdzie stoi dziś pomnik lwa. Ta pomyłka Władysława Panasa nie podważa jednak jego rozważań, a wręcz przeciwnie – przez symetrię obu lokalizacji i przypadkowe skojarzenie symbolu lwa z osobą cadyka, dodaje im kolejnych znaczeń. Fot. M. Skrzypek.

Tablice na współczesnej kamienicy rozpowszechniają błędną informację, dodatkowo sugerując turystom, że to właśnie w niej mieszkał Widzący. Inskrypcja na tablicy pamiątkowej po polsku i alfabetem hebrajskim: „W tym miejscu przy byłej ul. Szerokiej nr 28 żył i działał współtwórca chasydyzmuw Królestwie Polskim rabi Jakow Ichcak Horowic CHOZE Widzący z Lublina 1745-1815." Napis na tablicy informacyjnej „Szlaku znanych lublinian" po polsku i angielsku: „Miejsce związane z życiem i działalnością Widzącego z Lublina". Fot. M. Skrzypek.

niczna pseudooś kosmiczna, fałszywa kolumna świata, uwidoczniona w fallusie jednego z potworów, skierowana jest tylko w dół, w dolny świat materialnocielesny. Bestia wydaje się zakotwiczona w materii tylko członkiem. Fallus demona reprezentuje tu starą symbolikę zła artykułowaną w formie seksualnych odniesień. Takich odniesień, gdzie członek nie oznacza życiodajnych, stwórczych mocy, ale wprost przeciwnie – negatywne, śmiercionośne, podziemne. Wielce znamienne, że ów dosadny, jednoznaczny, jednostronny i jednowymiarowy obraz znalazł się w miejscu Jesod, wysublimowanego symbolu Bożej płodności, w miejscu osi kosmicznej skierowanej ku górze. Jawne przeciwieństwo i próba zastąpienia.

Mały chłopiec stawia opór potworowi. Wprawdzie tylko jednemu – drugi jest wolny. Widoczny znak sprzeciwu wobec zła. Uniesiony w górę miecz stanowi nie tylko oręż, lecz także odnosi się do górnego ukierunkowania *Axis Mundi*. Stanowi alternatywę dla „dolnego" fallusa. Całość ma niewątpliwie charakter obrazu archetypowego o przejrzystej, uniwersalnej symbolice. Nie wiem, kto to wszystko wymyślił i jaki konkretny sens chciał nadać tym wyobrażeniom. W każdym razie musiała się w niego wcielić dusza jakiegoś kabalisty. Żeby umieścić takie rzeczy i w takim miejscu!

Rzeźby stojące na szczycie fasady opowiadają historię tego miejsca, opowiadają o Widzącym, o tym, co się tu wydarzyło. Artysta wykonujący socjalistyczne zamówienie nieświadomie, niechcący uformował swoje dzieło – lepiej chyba powiedzieć, że samo tak się ułożyło – według chasydzkiej opowieści o sprawiedliwym cadyku z Lublina. Opowiadają te rzeźby o tym, co było główną treścią wszystkich działań Świątobliwego, o tym, co go wyróżniało – dramatycznie i nader kontrowersyjnie – wśród innych cadyków chasydzkich. Jak wszyscy świątobliwi zwalczał zło, ale pragnął je pokonać i unicestwić na zawsze, ostatecznie, całkowicie. Pragnął, żeby nadszedł Mesjasz, a z nim Zbawienie. Żeby nastąpił kres czasów, koniec historii ludzkiej. Żeby zapanowało królestwo mesjańskie. Pragnął tak bardzo, że podejmował specjalne działania magiczne, aby wymusić na Bogu przyspieszenie decyzji. Pilnie badał wszystkie znaki czasu, w którym żył, a zwłaszcza wojny, czy nie są to „bóle porodowe" przejawiające się w postaci wielkich konfliktów militarnych, oznaki zbliżających się czasów mesjańskich. Niebo się zachmurzyło, a złe moce rozjątrzyły się wyjątkowo zawzięcie. Gdzieś na wysokości tych rzeźb było mieszkanie cadyka. Czuł, że wokół niego krążą demony, że szukają dostępu, więc prosił swoich chasydów, domowników, żonę, aby go nieustannie pilnowali. W święto Simchat Tora radość pobożnych, wyrażana ekstatycznym tańcem, śpiewem niekończących się niggunów i odpowiednią ilością gorzałki, przemieniła się w mocny sen. Żonę wywabił z pokoju płacz dziecka. Poszła zobaczyć – nie było nikogo. Kiedy wróciła, cadyka już nie zastała. Leżał pod domem strasznie potłuczony. Patrzył w górę. Był Widzącym, więc musiał widzieć to, na co my teraz patrzymy. Demony, potwory, bestie. A Mesjasz jest jeszcze taki młody. Trzeba będzie długo czekać aż porazi ostatecznie zło.

Fot. s. 83.

W kabale akcentowano, że jest dwóch Mesjaszy. Mesjasz, syn Józefa, który rozpoczyna mesjańską wojnę, ale ginie w niej zabity przez Armilusa. I Mesjasz, syn Dawida, ostateczny, zwycięski Zbawiciel. Wydaje się, że historia opowiadana w rzeźbach odnosi się do obydwu motywów. W kąciku oka toczy się kosmiczna walka. Oko patrzy. Z jednej strony widzi zmagania, w których zło jest nadal silne, może jeszcze przeważa, z drugiej zaś pojawia się w oku zapowiedź walki ostatecznej, już zwycięskiej. Kiedy chłopiec z mieczem dorośnie…

Daas

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Na pierwszy rzut oka wydawać się może, iż mamy tu do czynienia z jakąś lokalną odmianą romantycznej powieści grozy wymieszaną z równie lokalnym wariantem współczesnej powieści kryminalnej. Nietrudno odnieść takie właśnie wrażenie, albowiem są w tej historii wszelkie niezbędne do tego akcesoria: w centrum znajduje się więc, a jakże, grób, a nawet dwa groby, jest również otwarcie komory grobowej i ekshumacja złożonych w niej zwłok i jest, przede wszystkim, najważniejszy protagonista, czyli trup.

Mogę też dodać, żeby trochę poszerzyć tę wybitnie klaustrofobiczną, wszak trumienną, przestrzeń i równocześnie nieco bardziej urozmaicić jej zbyt jednostronnie zdemonizowany wystrój, że wśród mnogich i wielce magicznych – aczkolwiek skądinąd całkiem realnych – krain, jakie rozbłyskują na odległym horyzoncie niniejszej narracji, pojawia się także rozproszone widmo Transylwanii, która jest, o czym wszyscy wiedzą, ojczyzną znanego powszechnie księcia Vlada Draculi. Nie muszę chyba specjalnie podkreślać, że tak zarysowaną scenerię spowija gęsty i ciągle mroczny, chociaż mocno już przysypany szarym i lotnym pyłem zrodzonym przez tutejszy less, całun tajemnicy. Rzecz jasna, wobec rzeczywistości wyposażonej w tego typu cechy, jedynie śledztwo – prowadzone, oczywiście, wedle najlepszych wzorów klasycznej detektywistyki – będzie naturalną i zarazem najwłaściwszą metodą postępowania.

Owszem, przedmiot mojego dyskursu zawiera wiele elementów, które w powierzchownym spojrzeniu układają się w literacką fabułę o łatwo rozpoznawalnym rodowodzie gatunkowym, ale literaturą – mimo daleko idących podobieństw – nigdy jednak ów przedmiot nie był. Przywołane bowiem wyżej gotycko-sensacyjne akcesorium odnosi się w całości do biografii – i to jako jej składnik najistotniejszy – jednego z obywateli naszego miasta. Powiem od razu: chodzi o postać niebywale zagadkową i ze wszech miar niezwykłą. Myślę, że nadeszła już odpowiednia pora, aby tę osobliwą postać wyprowadzić wreszcie z cienia i uhonorować biogramem, na jaki z pewnością zasługuje.

Wprawdzie nasze miasto nigdy nie było sanatoryjną czarodziejską górą i żaden Hans Castorp nigdy nie wspinał się na na-

Magiczne miejsce
Daas (1)

„Na Przykład" nr 4, 1998, s. 38-39. Artykuły z cyklu *Daas* i *Jeździec niebieski* o wspólnym podtytule *Magiczne miejsce* ukazywały się w „Na Przykład" na przemian w latach 1998-2001.

sze pagórki, aby na ich szczytach odnaleźć zamiast życia śmierć, co znakomicie usprawiedliwiałoby nadumieralność przyjezdnych, lecz przecież nie sposób nie dostrzec, iż przynajmniej kilka osób przybyło tu najwyraźniej tylko po to, żeby spotkać się ze swoim aniołem śmierci: Kochanowski, Czechowicz... Ów człowiek, którego moja opowieść pragnie ożywić, wpisuje się akurat na listę takich przybyszów.

Za życia przebywał u nas bardzo krótko, najwyżej ze dwa tygodnie, ponieważ mieliśmy być jedynie małym przystankiem w jego wędrówce, którą odbywał zresztą nie z własnej woli, ale z woli – i przy boku – kogoś innego. Wola Najwyższa przemieniła jego wizę przejazdową w kartę stałego pobytu. Muszę więc stwierdzić, iż w tej sytuacji znaczenie owego przybysza – dla nas i dla naszego miasta – znaczenie, jak utrzymuję, zupełnie wyjątkowe, polega wyłącznie na tym, że tu właśnie umarł i tu został pochowany, i stąd też będzie – razem z nami wezwany na Sąd Ostateczny. Nie oznacza to wcale, że przyznaję mu prawo do naszego obywatelstwa, mając na uwadze tylko jego tutejsze, powiem niezbyt ładnie lecz ściśle, zależenie. W związku z tym dorzucę jeszcze taką oto uwagę: mój bohater wniósł – zarówno swoim krótkim tu życiem, jak i swoją tu śmiercią – nader znaczący, chociaż nadzwyczaj specyficzny, wkład w duchowość naszego miasta.

Ten, który go przywiódł w nasze strony, wygłosił kiedyś następującą opinię: „Ze wszech historyj, które dotąd były na świecie, niczem będzie wszystko w porównaniu do naszej historyi, która nie rozpowiedziana, ni słyszana była od dnia stworzenia świata!" Nie ma w tych słowach najmniejszej przesady. Otóż w początkowych rozdziałach owej niesłychanej historii, przy której wszystkie inne są niczym, występuje główny protagonista mojej narracji. Maleńki jej fragment rozegrał się także w naszym mieście. Dla naszego – wówczas jeszcze tylko *in spe* – współobywatela tutejszy fragment okazał się rozdziałem ostatnim i – zaiste – ostatecznym. Jego dalsze dzieje mają już charakter zdecydowanie lokalny i zarazem bezwzględnie zaświatowy. Śmierć dziwnego gościa – przede wszystkim ona – dała miastu sposobność do włączenia się w tę najdziwniejszą z dziwnych historię – włączenia się działaniami, które przekraczają rozmaite nasze i nie nasze wyobrażenia, działaniami dla których nie znajduję analogii.

Najpewniejsze informacje, jakie mam o Piotrze – pod takim imieniem wyprawiano go stąd na tamten świat – dotyczą jego pośmiertnych losów. Oczywiście, chodzi o ciało, bo gdzie jest dusza – jak mówi Wieszcz w pewnym wierszu – ja nie wiem. Spróbuję zatem zrelacjonować, możliwie zwięźle, co się działo z ciałem Piotra po tym, jak je złożono w krypcie kolegiaty św. Michała. Pomijam opis procesów biologicznych, dokonujących się w jego zwłokach, gdyż sądzę, aby przebiegały tu one jakoś zasadniczo inaczej niż w przypadku każdego innego trupa. Znakomitą prezentacją tanatomorfozy, wystarczającą w zu-

pełności, żeby wyrobić sobie odpowiedni pogląd w tej sprawie, znajdziemy w pracy wybitnego współczesnego trupologa, może zabrzmi nieco lepiej, gdy powiemy kadawerologa, Luisa-Vincenta Thomasa. Zainteresowanych szczegółami odsyłam do jego książki. Ja natomiast skupię się raczej na faktach o znaczeniu symbolicznym. I zacznę od końca, od końca dość odległego od tego końca, jakim był zgon Piotra i jego pochówek, albowiem ostatnie uchwytne wydarzenie w tej pozgonnej biografii miało miejsce niemal dziewięćdziesiąt trzy lata później.

To ostatnie – jak na razie – wydarzenie rozegrało się w dwóch płaszczyznach równocześnie w płaszczyźnie zdarzeń całkowicie realnych i w płaszczyźnie zdarzeń kompletnie symbolicznych. W sferze faktów realnych rzecz przedstawia się może i dramatycznie – na pewno dramatycznie! – ale przecież nienadzwyczajnie. Kiedy bowiem gubernator rosyjski nakazał rozebrać archanielską świątynię, miasto musiało pomyśleć, co zrobić ze szczątkami pochowanych w niej zmarłych. Postanowiono je zebrać i przenieść na miejscowy cmentarz do mogiły zbiorowej. W ten sposób powstało swoiste, bo niezamierzone, lecz wymuszone okolicznościami, tutejsze ossuarium. Stanowi ono jedną z paru osobliwości (wypada do nich zaliczyć także dwa inne ossuaria, utworzone ze szczątków przewiezionych z pozostałych kościołów, które rozebrano w XIX wieku, oraz groby wolnomularzy z miejscowej loży „Wolność Odzyskana" i dwuwyznaniowe – katolicko- ewangelickie – kwatery na cmentarnej granicy) naszej nekropolii. Nie mogę powiedzieć, że świętomichalskie ossuarium odznacza się oszałamiającą urodą plastyczną, mimo to opiszę je trochę dokładniej, ponieważ kryje w sobie doczesne szczątki Piotra i jest jednym – prawie – materialnym śladem jego tu obecności. Ma ono kompozycję wprawdzie przejrzystą, lecz wcale złożoną: na trzech trójkątnych płytach, położonych płasko na ziemi, ustawiono pionowo czwarty trójkąt, utworzony z trzech innych, połączonych ze sobą trójkątów. Całość ma zatem kształt niewielkiej piramidy. To dobry, jak wiadomo, kształt dla budowli, która pragnie zachować i przenieść w wieczność to, co uległo zniszczeniu. Roger Caillois przytacza z aprobatą pogląd pewnego filozofa, który zauważył, że „wieczność piramid płynie z ich podobieństwa do pryzmy piasku – zbudowano je tak, jak gdyby od razu były ruiną". Na trójkącie, który chce uchodzić za czołowy, znajduje się napis: „Tu spoczywają szczątki zmarłych przeniesione w dniu 27 maja 1852 r. z grobów b. kościoła parafialnego św. Michała wystawionego przez Leszka Czarnego króla polskiego w roku 1282". Symbolika, jaką umieszczono na tej piramidce, jest dosyć typowa: krzyż, oczywiście trupia czaszka, dwie skrzyżowane pochodnie odwrócone płomieniem w dół. Uwagę zwraca jedynie motywika artystyczna ulokowana, powiedzmy, na jednym z „bocznych" trójkątów. Widzimy tu bowiem lirę, dużą gałązkę wawrzynu albo cyprysu i głowę wąsatego mężczyzny w wieńcu laurowym. Nie pomylimy się, aczkolwiek nie ma

Fot. s. 107.

Fot. s. 107.

żadnego podpisu, gdy rozpoznamy w tych wyobrażeniach bezpośrednie odniesienie do osoby Sebastiana Klonowica. Z licznej i anonimowej zbiorowości zmarłych nasze miasto postanowiło wydobyć postać najznaczniejszą. Piotr, mówmy otwarcie, przybłęda przecież, nie mógł żadną miarą konkurować z miejscowym poetą i patrycjuszem, nie należy więc mieć do nikogo pretensji, że go nie wyróżniano osobną symboliką. Prawdę mówiąc, sam nie wiem, jakimi znakami plastycznymi dałoby się go wyodrębnić, bo te, które przychodzą mi dzisiaj do głowy, z pewnością nie pomieściłyby się w ówczesnych – i nie tylko – głowach.

Tyle w wymiarze faktów realnych i poniekąd zwyczajnych. Wymiar zaś symboliczny polega tu na tym, iż dokonując wymuszonej translokacji szczątków zmarłych ludzi do pozakościelnej nekropolii, wykonano przy okazji znany szeroko w kulturach i wielokrotnie opisywany przez tanatologów obrzęd powtórnego pochówku. W kulturach typu tradycyjnego podwójna ceremonia pogrzebowa – drugi pogrzeb był czasami realizowany w wiele lat po pierwszym – miała fundamentalne znaczenie zarówno dla zmarłego, jak i dla wspólnoty żywych. Służyła mianowicie do zatwierdzenia ostatecznego statusu nieboszczyka jako persony całkowicie zintegrowanej ze światem żywych i umarłych. Włączała go w ów świat jako postać już na zawsze oswojoną i bliską całej społeczności. W wypadku Piotra gest ten, powtórzę, niezamierzony i zapewne w ogóle nieuświadomiony, miał szczególne znaczenie symboliczne. My jednak potrzebujemy jeszcze nieco czasu, żeby się z tym faktem oswoić. Zostawiamy więc w tym miejscu zintegrowanego trupa mojego bohatera – niech się nadal z nami integruje. A my z nim.

Magiczne miejsce
Daas (2)

„Na Przykład" nr 5-6, 1998, s. 40-41.

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Co to jest Daas? Albo też, bo i taką pisownię spotykamy – Das? ów człowiek, którego stworzona przez niego wspólnota nazywała Panem, a nawet – muszę to oznajmić mimo w pełni uzasadnionego zgorszenia, jakie może ta informacja wywołać – Panem Najświętszym, rzekł kiedyś do swoich zwolenników:

„Gdy godnymi będziecie przyjść do Ezawa, wówczas godni będziecie wiedzieć, co to jest słowo Das, gdyż Das jest tylko dwa słowa, a cały świat nie ma żadnej wiadomości o tym, co rzecz jest ukryta, i jeszcze ukryta, i jeszcze raz ukryta."

W tej akurat kwestii myślę analogicznie: na taką wiedzę, jakiej nie ma cały świat, albowiem jest ona przed nim starannie,

Budowa placu Zebrań Ludowych (obecnie pl. Zamkowy) i pawilonów wystawowych oraz porządkowanie terenu po byłej dzielnicy żydowskiej w ramach przygotowań do wystawy na 10-lecie PRL-u. Fot. ok. 1954 roku ze zbiorów Urzędu Miasta Lublin.

Powstała wolna, pusta przestrzeń gotowa na przyjęcie twórczego impulsu.

Oko Cadyka, s. 37.

13 stycznia 1954 podjęto decyzję, aby na 10. rocznicę PKWN, czyli „nowego wspaniałego świata", poddać Miasto uporządkowaniu, renowacji, odbudowie. Słowem, po wielkiej apokalipsie – mała kosmogonia, akt demiurgii.

Oko Cadyka, s. 37.

Budowa placu Zebrań Ludowych (obecnie pl. Zamkowy) na terenie byłej dzielnicy żydowskiej (ul. Nadstawna i Szeroka) w ramach przygotowań do wystawy na 10-lecie PRL-u. Fot. ok. 1954 roku ze zbiorów Urzędu Miasta Lublin.

Oko cadyka – pl. Zamkowy. Fot. M. Skrzypek.

Zamek, owalny plac, półkole domów – oto nowa konfiguracja przestrzeni, w której elementy optyczne – mówiąc krótko – odgrywają istotną rolę.

Oko Cadyka, s. 37.

Dobre miejsce do patrzenia. Tylko nie ma na co patrzeć i nic stąd nie widać. To znaczy widać – puste miejsce.

Oko Cadyka, s. 37.

Oko cadyka – pl. Zamkowy. Fot. J. Zętar.

po trzykroć ukryta, a która przy tym jest tak wielka, że do jej sformułowania wystarczą jedynie dwa słowa, mieszczące się zresztą swobodnie w jednym, trzeba po prostu i bezwarunkowo zasłużyć. Zdaję sobie sprawę, że już na odległość pachnie tu dość intensywnie jakąś gnozą, ale w tym momencie nie mogę temu w żaden sposób zapobiec. Niestety, poetyka – moja i mojego przedmiotu, czyli poniekąd wspólna – przymusza mnie, abym brnął dalej. Przyparty zatem przez tę nieubłaganą poetykę do muru, dorzucam jeszcze parę dodatkowych uwag w podobnym stylu, żeby dojść lub chociażby zbliżyć się tylko do źródła takiej wiedzy, wpierw należy odpowiednio, przede wszystkim duchowo, przygotować się. Sądzę więc, że będzie najlepiej, oczywiście dla was, jeśli odnajdziecie możliwie szybko właściwą drogę i wyruszycie nią bezzwłocznie na pielgrzymkę, która powinna trwać aż do czasu, gdy osiągniecie wymagany poziom godności. Taka wędrówka przygotuje też was, niejako ubocznie, na bezpieczne przyjście owej wiedzy. Trzeba bowiem nam wiedzieć, iż chodzi o rzecz wcale niebezpieczną zarówno dla waszego ducha, jak i dla waszego ciała. Ten, którego nazywano Panem, powiedział o tym wprost do swojej kompanii: „Gdybym wam odkrył i wytłumaczył te wiersze, to byście padli ze mdłości, i któż by was ratował?" No, właśnie. Kto ocuci was, jeśli pomdlejecie? Nie widzę tu nikogo takiego.

Zachowamy się przecież znacznie rozsądniej, kiedy skupimy się na jakimś konkrecie, który będzie dla wszystkich dostępny. W takim razie proponuję – zamiast przedwczesnych odpowiedzi na przedwcześnie zadane pytania – żebyśmy postali jeszcze przez chwilę przy archanielskiej nekropolii, której nadano charakter lokalnego ossuarium. Jeśli mój dyskurs zatrzymuje się na cmentarzu, to bynajmniej nie dlatego, że kieruje nim *amor mortis*. I proszę też nie traktować mojej propozycji jako wyzwania do udziału w ćwiczeniach z zakresu *ars moriendi*. Dzisiaj nie przychodzimy tu po to, aby utwierdzać się w melancholii. Nawiasem mówiąc, w mieście tak mocno nasyconym melancholią, jak nasze, szukanie jej na cmentarzu byłoby już nadmierną perwersją. Dzisiaj nie przychodzi tu także po to, aby pobudzać nasze wanitatywne obsesje. Nawiasem mówiąc, w naszym mieście *vanitas* ma się całkiem dobrze i nie musimy jej poszukiwać aż na cmentarzu. Dzisiaj nie występujemy tu nawet w roli, czego zresztą ogromnie żałuję, pasterzy arkadyjskich z obrazu Nicolasa Poussina i oczom naszym nie objawi się tajemnicza inskrypcja: *Et in Arcadia Ego*... Może kiedy indziej, dzisiaj nie. Z największym też chyba trudem zdołałbym przecisnąć przez gardło stwierdzenie, że zatrzymał nas tu podziw – wszak nader umiarkowany – jaki żywimy dla wytworów miejscowej sztuki sepulkralnej. Oddalam również wszystkie asocjacje malarskie, zwłaszcza że brak mi pewności, czy w pejzażu, który nas tu otacza, da się uchwycić znaczące podobieństwo do tych cmentarnych pejzaży, jakie znamy z płócien, powiedzmy, Jacoba van Ruisdaela albo Caspara Davida Friedri-

cha. Tym razem stajemy więc przed wybranym konkretem, czyli przed świętomichalską piramidą grobową, bez zwykłych w takiej sytuacji intencji i skojarzeń tematycznych.

Stoimy i wpatrujemy się w trójkątny kształt dokładnie tak, jak ten ktoś, kto u Paula Celana (w *Mandorli*) wpatruje się w migdał. Z początku widzimy to samo, co on, czyli nic:

W migdale – co tam stoi w migdale?
Nic.
Nic stoi w migdale.
Stoi tam i stoi

Naturalnie, pamiętam: ktoś już kiedyś zachwycił się *Mandorlą* Celana i od zapisu tego zachwycenia rozpoczął swój romans z tekstem. Jeśli teraz z kolei ja wprowadzam ten wiersz do mojego romansu z miastem, to przecież nie dlatego jedynie, że całkowicie podzielam ów zachwyt, ale raczej dlatego, że najściślej opisują pozycję, w jakiej się znajdujemy. Nie bez znaczenia, aczkolwiek nie umiem owego znaczenia precyzyjnie określić, jest dla mnie także fakt, że poeta z Bukowiny urodził się i spędził młodość – nazywał się wówczas Paul Anczel – w tym samym mieście, w którym dwa stulecia wcześniej mieszkał przez kilkanaście lat najgłówniejszy bodajże bohater mojej narracji. Powiększa to znaczenie, ciągle jednak niejasne, też i taka okoliczność, że również inne postacie, także należące do naszej historii, stąpały po tej samej ziemi, co autor *Mandorli*. Oczywiście, w takim kontekście do rangi nieomal symbolicznej, chociaż nadal nie wiem dokładnie, o jaki symbol chodzi, urasta w końcu i ten fakt, iż w owej grupie odnajduję przynajmniej kilku ludzi, którzy mieli na imię Anczel. Wpatrując się zatem w to nic, co stoi w trójkącie archanielskiej piramidy, możemy dalej czytać wiersz Celana:

W niczym – kto tam stoi? Król.
Stoi tam król, król.
Stoi tam i stoi.

Tak jest zawsze: długie i cierpliwe wpatrywanie się w coś, co wydaje się niczym – a może rzeczywiście jest niczym? – przynosi wprost królewską nagrodę – na naszych oczach nic wypełnia się czymś. Ostatecznie bowiem chodzi zawsze o nasze oczy: jakie one są i czy chcą coś zobaczyć. Fundamentalne w tej sprawie pytanie jest pytaniem właśnie o oko: „A twoje oko – ku czemu stoi oko?" Fundamentalna zaś odpowiedź brzmi tak:

Ku migdałowi stoi twoje oko.
Ku nicości stoi twoje oko.
Stoi ku królowi.
Stoi tak i stoi.

W migdałowej nicości – u nas ma ona formę trójkąta – ku której, stoi nasze oko, znajduje się więc król i jakaś o nim opowieść. Bruno Schulz, żeby teraz dla odmiany przywołać kogoś, kto mieszkał w połowie drogi między nami a Czerniowcami – miastem Celana oraz paru innych bohaterów na czele z tym najważniejszym, otóż Bruno Schulz, który również stanął przed nicością skrytą w najgłębszych Podziemiach (Tu są te kolumbaria, te szuflady na umarłych, w których leżą zaschnięci, czarni jak korzenie i czekają na swój czas. Tu są te wielkie drogerie, gdzie stoją na sprzedaż w łzawnikach, tyglach, słojach. Stoją latami w swych regałach, w długich uroczystych porządkach, choć nikt ich nie kupuje. Może ożyli już w przegrodach owych gniazd, już całkiem ozdrowieni, czyści jak kadzidło i wonni – specyfiki, obudzone niecierpliwie leki, balsamy i maści poranne ważące swój wczesny smak na końcu języka. Te zamurowane gołębniki pełne są wykluwających się dziobków i najpierwszego, próbującego, świetlistego ćwierkania. Jak porannie i przed wszelkim czasem robi się nagle w tych pustych i długich szpalerach, gdzie umarli budzą się rzędem, głęboko wypoczęci – do całkiem nowego świtu!...), też zobaczył w finale monarszą fabułę: „To jest historia o porwanej i zamienionej księżniczce". My, którzy jeszcze tak daleko nie zaszliśmy, możemy na razie powiedzieć tylko tyle: to jest historia człowieka uwiedzionego, porwanego i przemienionego przez Daas.

W *Legendzie* Czechowicz napisał: „spojrzeniem obłoki przebrał trójkąt mądre oko boże". Trzymajmy się tego wersu. Kiedy już tu tak stoimy i stoimy, zanotujmy także – bo nie wiem, czy będziemy mieli lepszą sposobność – i tę obserwację: wydaje się, że to wielokrotnie trójkątne assuarium świętomichalskie nie tylko przykrywa przeniesione ze świątyni prochy zmarłych, ale również swoim kształtem nawiązuje bezpośrednio do trójkątnych form, jakie cechowały bądź samą świątynię (dachy prezbiterium i nawy), bądź jej najbliższe otoczenie (trójkąt z Chrystusem na ścianie mansjonarii). Trudno, rzecz jasna, obecnie stwierdzić, czy to nawiązanie było jakoś zamierzone, czy też tak się jedynie nieświadomie, czyli archetypowo „złożyło". Jeszcze trudniej jednak rzec, czy liczne nieszczęścia (epidemia cholery), klęski żywiołowe i kataklizmy (nieurodzaj, powodzie), jakie nawiedzały miasto i jego okolice w połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku – pisze o tym Kajetan Koźmian w pamiętnikach – miały jakiś związek z lekkomyślnym zachowaniem mieszkańców, którzy z nie najcięższym wszak sercem przystali na zburzenie anielskiej *Axis Mundi*.

Rzecz dziwna, ale zburzenie kolegiaty św. Michała przyczyniło się najwyraźniej do wydobycia z mroków niepamięci zarówno osoby jak i dzieła Sebastiana Klonowica. Czyżby nastąpiło tu coś w rodzaju duchowej rekompensaty? Gesty, jakie wówczas wykonało miasto, aby upamiętnić największego ze swoich nielicznych poetów, były dość skromne i zarazem bardzo swoiste. Kompletny ich zestaw otwierają – omówione już wcześniej – anonimowe wprawdzie, lecz dostatecznie czytel-

ne zdobienia umieszczone na jednym z boków rurskiego ossuarium. Pozostała część memorialnej gestykulacji skupiła się wokół oryginalnej tablicy nagrobkowej poety, którą – ocalałą szczęśliwie z architektonicznego programu – przeniesiono do katedry i przyozdobiono – nader nieszczęśliwie – dodatkowymi elementami. Najważniejsze składniki, wszystkie niestety nieudane, tego nowego wystroju są takie: wyimaginowany portrecik Klonowica, podpis z kłującym w oczy błędem w dacie śmierci poety, lichy czterowiersz Koźmiana – lichy artystycznie i zafałszowany w warstwie informacyjnej, bo obciążający winą za zniszczenie świątyni jedynie czas („Zniszczył czas pomnik Leszka ku czci Archanioła") jakby ludzie nie brali w tym żadnego udziału! Natomiast naprawdę zdumiewające wydarzenia – cała seria! – rozegrały się poza naszym miastem. Rozpoczęły się one już w dekadzie poprzedzającej proces rozbiórki kościoła – czy była to jakaś antycypacja losów świątyni i złożonych w niej prochów poety? – i trwały z dużym natężeniem przez całą dekadę po przeniesieniu szczątków autora *Worka Judaszów* do mogiły zbiorowej. Rozpoczął się ów zdumiewający ciąg zdarzeń edycją dzieł Klonowica w Lipsku (1836) i zakończył edycją jego pism w Krakowie (1858). To w porządku bibliografii podmiotowej. W porządku zaś bibliografii przedmiotowej „sprawa Acerna" zaczyna się szkicem Kraszewskiego (1843), a zamyka się powieścią Zachariasiewicza (1862). Kiedy tu wydobywano z krypty pozostałości z doczesnej powłoki Klonowica – przypominam, rok 1852 – w Wilnie Syrokomla ogłosił swój przekład *Roxolanii.* Kiedy tu wznoszono na cmentarzu świętomichalską piramidę, po kraju rozbiegły się kolejne teksty o poecie: poemat Pruszakowej (1855), gawęda Syrokomli (1856), opowiadanie Zachariasiewicza (1857).

Całkiem inne konsekwencje miała ekshumacja zwłok człowieka, który odszedł stąd do wieczności jako Piotr. Owszem, powtórny pochówek zapewnił mu udział we wszelkich korzyściach, jakie daje integracja, także pośmiertna, ale integracja ma też – jak wiadomo – swoją cenę: wspólna mogiła zatarła kompletnie ślady jego pozgonnej odrębności. Cenię wartości wspólnotowe, lecz przecież dałbym wiele, żeby zobaczyć nagrobek Piotra w kościele św. Michała. Wyjęcie z grobu jego szczątków i przeniesienie ich na nowe miejsce było również zapowiedzią podobnej operacji, jaka odbyła się czternaście lat później w odległym mieście nad Menem. Analogiczny los spotkał wówczas zwłoki najważniejszej osoby w biografii Piotra – osoby, która była dla niego Mistrzem i Panem. Ta późniejsza „operacja" wyglądała poniekąd podobnie, ale jej wynik okazał się bezwzględnie okrutny, ponieważ podczas ekshumacji odłączono od reszty kości czaszkę Pana. Odtąd zaczęła wieść samodzielny żywot – żywot typowego przedmiotu kolekcjonerskiego. Ale to już – jak się mówi w takich sytuacjach – zupełnie inna historia.

Magiczne miejsce
Daas (3)

„Na Przykład" nr 9, 1998, s. 40-41.

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Powinienem napisać ten tekst w maju 1852 roku, bo wydaje się, że o Piotrze już wtedy nic w Lublinie nie wiedziano. Dlatego też jego szczątki były dla ówczesnych mieszkańców miasta tylko zwykłymi szczątkami jakiejś dawno zmarłej, nieznanej osoby, która nie pozostawiła w zbiorowej pamięci żadnych praktycznych śladów. Ot, po prostu jeden z szeregowych członków dość licznej populacji nieboszczyków, którzy znaleźli schronienie – wyszło na to, że przedostatnie – w podziemiach kolegiaty św. Michała Archanioła, a których teraz, czyli w maju 1852, eksmituje się i przenosi do mogiły zbiorowej.

Zsypane na płachtę kości Piotra nie zatrzymały na dłużej bodajże niczyjej uwagi. Z wyjątkiem grabarzy, oczywiście. Nie sądzę bowiem, żeby któryś z tutejszych książąt duńskich przypatrywał się grabarskiej robocie i przy tej okazji westchnął nad jego czaszką – niechby cytatem – „Biedny Yorku!". Nikt też chyba nie przywołał nad ową płachtą obrazu tych zgoła sensacyjnych wydarzeń, jakie się tu rozegrały jesienią 1759 roku...

20 albo może 24 października 1759 roku odbył się pogrzeb Piotra. Sprawę dat dziennych pozostawiam tymczasowo na boku – nie będziemy przecież zajmowali się w tak podniosłej chwili detalami. Od razu natomiast chcę stwierdzić, że jest to bardzo ważne wydarzenie w biografii naszego bohatera, rzecz można, jego prawdziwe historyczne pięć minut, rozciągnięte w tym wypadku na parę godzin, ponieważ dopiero na swoim pogrzebie zaistniał – naturalnie, cokolwiek specyficznie – właśnie jako osoba publiczna. Opis pochówku Piotra króciuteńki, lecz wymowny, wyjmuję z kroniki, jaką zredagowano kilkadziesiąt lat później w środowisku ludzi, z którymi przyjechał do Lublina:
Dnia 24-go zaprowadzono go do fary do kościoła z procesjami, wszystkie Cechy i pospólstwo i Pan sam z ludźmi szedł go wyprowadzać, gdzie go w sklepieniu pogrzebano, a solenne przy tym było kazanie. Pan rzewnie podówczas płakał.
Przytoczona w powyższej notatce charakterystyka ceremonii pogrzebowej znajduje potwierdzenie w sprawozdaniach sporządzonych przez postronnych obserwatorów. Jednym z nich był ksiądz Konstanty Awedyk, jezuita, który wprawdzie nie uczestniczył bezpośrednio w lubelskich wypadkach, ale dysponował jednak dobrymi informacjami, gdyż z wielką pilnością – jak to się dzisiaj mówi – monitorował całą tę historię. Otóż ksiądz Awedyk w swojej relacji, ogłosił ją w 1760 roku we Lwowie, wspomniał również o pogrzebie Piotra, którego ciało – wedle jego sformułowania – „z piękną okazałością i z liczną procesją do kościoła kolegiaty prowadzone" było. Duchowny sprawozdawca zanotował także, kto przemówił – wszak „solenne przy

tym było kazanie" – nad trumną zmarłego. Lecz niech nas o tym powiadomi Hipolit Skimborowicz, albowiem i on zasłużył, aby go umieścić w niniejszej opowieści. W 1866 roku (w tym samym roku w gabinecie dr Ottona von Speyera, dyrektora banku we Frankfurcie nad Menem, pojawił się nowy bibelot: czaszka Pana) w takiej oto parafrazie podał Skimborowicz tę informację o kaznodziei i o pochówku Piotrowych zwłok: „ciało z wielkim przepychem do kościoła Kolegiaty wprowadzono, a kanonik Brzeski D.P. dr mowę stosowną wygłosił".

I to już właściwie wszystko, co o pogrzebie Piotra mówią źródła. Niewiele tego. Ale nie narzekajmy zbytnio, ponieważ otrzymaliśmy jednak wcale wyrazisty, choć mocno skondensowany obraz wydarzeń. Jeśli zechcemy, możemy go przecież zawsze rozwinąć. Wystarczy tylko odwołać się do wiedzy i wyobraźni. Do wyobraźni – żeby zobaczyć, do wiedzy – żeby zrozumieć. Wyobraźnia pozwoli nam wziąć udział w uroczystościach pogrzebowych, rzecz jasna, nie w głównym kondukcie, gdzie duchowieństwo i panowie bracia, patrycjat miejski i palestra trybunalska, procesje i wszystkie cechy, gdzie wreszcie – i przede wszystkim – Pan sam z ludźmi, tam nie, bo aż tak bogatej wyobraźni to my, wbrew pozorom, nie mamy. My wystąpimy tu sobie skromnie – na szarym końcu żałobnego zgromadzenia, razem z pospólstwem, w ciżbie, wśród zwykłych łyków i żądnej sensacji gawiedzi ulicznej. Że mało widać i prawie nic nie słychać? Ktoś, kto przebywa w takim jak my punkcie czasoprzestrzeni, niech się cieszy, że jeszcze w ogóle coś widzi i słyszy z tamtej epoki. Wiedza dostarczy naszym oczom i uszom niezbędnych w tej sytuacji objaśnień, bez których ta żałobna ceremonia mogłaby wydać się czymś zupełnie innym. Moglibyśmy mianowicie odnieść wrażenie, że uczestniczymy w imprezie, która ma więcej wspólnego z karnawałem niż z pogrzebem. Pewien komentarz erudycyjny będzie nam potrzebny, gdyż pogrzeb w 1759 roku to nie to samo, co pogrzeb w 1998 roku.

Zacznę od lokalizacji grobu Piotra. Pochowano go w kościele, czyli *ad sanctos*, przy świętych. Tego typu pochówek przez długie stulecia był najwyższym, jeśli tak wolno powiedzieć, wyróżnieniem dla zmarłego. Umieszczenie grobu w obrębie świątyni wymagało więc specjalnej zgody odpowiednich władz kościelnych: co najmniej proboszcza danej parafii, często – biskupa. A o taką zgodę nie było łatwo, albowiem chodziło o przestrzeń nie tylko fizycznie bardzo ograniczoną. Nic dziwnego zatem, że pochówki na terenie świątyni podlegały niezwykle ścisłej reglamentacji. W praktyce grzebano w ten sposób niemal wyłącznie duchowieństwo. Jedynie zwłoki stosunkowo nielicznych *fideles laici* (wierni świeccy) dostępowały takiego zaszczytu. Na grób w określonym kościele mogły liczyć tylko osoby wybitnie dla niego zasłużone – materialnie i duchowo – fundatorzy i dobroczyńcy, władcy i szlachta, patrycjat i zamożne mieszczaństwo. Reszta wiernych – *apud ecclesiam*, czyli w pobliżu kościoła: na

Macewa Widzącego z Lublina. Fot. M. Skrzypek

W Mieście Widzącego po Widzącym pozostał widoczny tylko jeden jedyny materialny ślad – nagrobek na cmentarzu.

Oko Cadyka, s. 38.

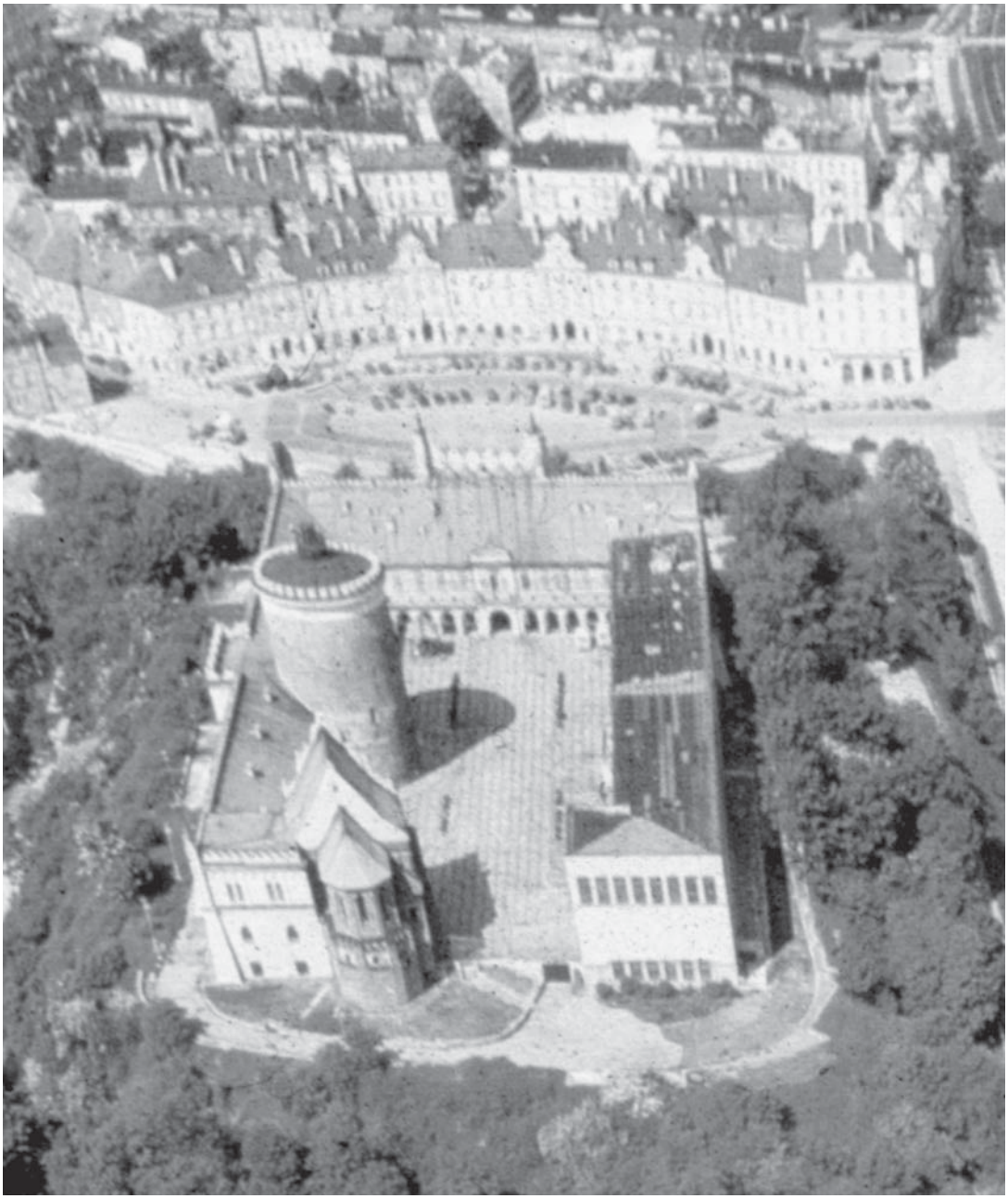

Zamek i Oko Cadyka. Archiwum TNN.

Gigantyczny nagrobek rzucony w przestrzeń.
Oko Cadyka, s. 42.

cmentarzach przykościelnych, faktycznie w grobach masowych, bo nie oznakowanych. Przypominam ten fragment z dziejów obyczajów grzebalnych po to, abyśmy lepiej pojęli, jak duże znaczenie miał pochówek Piotra w „sklepieniu" kościoła św. Michała. Rangę owego wyniesienia podkreśla dodatkowo również ten i fakt, iż kościół św. Michała był wówczas najważniejszą świątynią w mieście, podwójnie najważniejszą – jako kościół farny i jako kolegiata.

Teraz o „pięknej okazałości" pogrzebu Piotra. Autorzy tekstów, których cytowałem wyżej, wypowiadają się na ten temat co prawda lakonicznie i trochę ogólnikowo – „piękna okazałość", „wielki przepych", „liczna procesja" lub nawet „procesje", „wszystkie cechy i pospólstwo", „solenne kazanie" – ale dzięki historykom kultury wiemy, co się kryje pod tymi określeniami. Osiemnastowieczny czytelnik nie miał najmniejszych trudności z ich konkretyzacją, gdyż „piękną okazałość" obrzędów pogrzebowych znał z autopsji. My takich akurat doświadczeń nie posiadamy, a te, które posiadamy, są niewiele warte. Dlatego też – żeby „piękną okazałość" wypełnić jakąś głębszą treścią – zamiast pójść na najbliższy pogrzeb, biegniemy do najbliższej biblioteki uniwersyteckiej. Zresztą biblioteka i cmentarz są do siebie podobne, a zawód, jaki uprawiam, przypomina jako żywo fach dozorcy nekropolii, ponieważ – jak napisał kiedyś dzisiejszy nieboszczyk Jean Paul Sartre – „krytyk to w większości wypadków człowiek, któremu nie dopisało szczęście i który w chwili gdy wpadł już w rozpacz, znalazł skromną, spokojną posadę strażnika cmentarnego. Bóg jeden wie czy cmentarze są spokojne; nie ma weselszych niż biblioteka. Są tam zmarli, którzy wyłącznie pisali; od dawna zmyto z nich grzech życia, a zresztą ich życie znane jest tylko z książek, które pisali o nich inni zmarli. [...] pozostały tylko małe trumienki ustawione na półkach wzdłuż ścian, niczym urny w kolumbarium. Krytykowi źle się powodzi, żona nie ceni go tak, jak by należało, synowie są niewdzięczni, a koniec miesiąca trudny. Lecz zawsze można wejść do biblioteki, wziąć z półki książkę i otworzyć. Ulatnia się z niej lekka woń piwnicy i zaczynają się osobliwe zabiegi, które on postanowił nazywać czytaniem. Pod pewnym względem jest to rodzaj opętania: oddaje się zmarłym swoje ciało, aby mogli ożyć. Pod innym – to kontakt zaświatem". Wystarczy. Przeczytaliśmy co trzeba i bez dalszych już retardacji rozszyfrowujemy te skąpe wzmianki o pochówku Piotra: wynika z nich niezbicie, że ów obrzęd miał formę, która nas obecnie mocno szokuje, bo to była prawdziwa, sarmacka i barokowa *pompa funebris*! W kulturze sarmackiej pogrzeb (także i inne uroczystości okazjonalne) przekształcił się we wspaniałe, starannie wyreżyserowane widowisko, trochę jakby z gatunku światło i dźwięk, widowisko z rozbudowanym scenariuszem, z bogatą scenografią, z elementami choreografii nawet. Słowem – *theatrum funebris*, w którym *sacrum* splatało się z *profanum*, liturgia ze sztuką, modlitwa

z grą, żal z podziwem. Tadeusz Chrzanowski tę efemeryczną sztukę naszych możnych przodków nazywa „sarmackim happeningiem" – ja powiedziałbym: raczej teatr alternatywny – i dodaje refleksję ogólniejszą: „niczego, absolutnie niczego, całkiem nowego nie da się już wymyślić, artyści – *lasciate ogni speranza*!". Tamta epoka miała w tych sprawach taki właśnie gust – no, i gest – i zgodnie z nim pochowała Piotra.

Widowisko jest więc przednie, jesienny chód nikomu nie dokucza, gawiedź – jak to zwykle bywa z gawiedzią – ma otwory gębowe rozwarte maksymalnie, chociaż nic nie rozumie z oracji księdza kanonika Brzeskiego, ale gdzie tu powód do jakiejś szczególnej sensacji, skoro wszystko mieści się w standardach swojego czasu? Spróbujmy jednakowoż posłuchać nieco uważniej solennego kazania księdza kanonika – może się czegoś dowiemy. Jego mowy nikt nie zarejestrował, lecz nie mamy z tym większego kłopotu, gdyż wiemy, jak mówił. Wiemy, bo dobrze znamy poetykę sarmackich oracji – ostatecznie mieszkamy w mieście, w którym Wojciech Bystrzonowski wydał w 1740 roku sławetny, wielokrotnie potem wznawiany, podręcznik retoryki użytkowej: *Polak, sensat w liście, w komplemencie polityk, humanista w dyskursie, w mowach statysta, na przykład dany szkolnej młodzi*. Nie wątpię, że wymienione kwalifikacje, bez żadnego wyjątku, nasz kaznodzieja posiadł był w stopniu przynajmniej zadawalającym. Domyślamy się też, o czym musiał mówić ksiądz Brzeski, albowiem znamy głosy innych duchownych, opowiadających wówczas o tych wydarzeniach. Dolatują zatem do nas takie mniej więcej strzępy z homilii pogrzebowej uczonego kanonika: coś o „złości żydowskiej przeciwko Bogu i bliźniemu, prawdzie i sumieniu", coś o „błędach talmudowych", o „przeklętych talmudystach", coś o „zawstydzeniu żydowskiego urągania" i o „dworniejszych okolicznościach nawrócenia do wiatry świętej kontratalmudystów". Czyli coś o Żydach. Miejscowa gawiedź może wszakże i nie pojmuje subtelnych wywodów sarmackiego kaznodziei, ale swoje wszakże wie: w naszej starej kolegiacie chowają Żyda, nadzwyczaj dziwnego Żyda, jakby nie-Żyda, gdyż kontra-Żyda, tego, co to niedawno przyjechał do miasta i tu w śmiertelnej chorobie chrzest z wody przyjął. A teraz prowadzą go wielką pompą i paradą, ze śpiewami i świecami, z procesjami i przemowami. Jak się nazywał? Nie wiadomo. Jak miał na imię? Nieważne. Przecież nie przyszliśmy go, broń Boże opłakiwać, lecz tylko popatrzeć, bo czegoś podobnego świat jeszcze nie widział: ani tu u nas, ani gdzie indziej, ani wcześniej, ani później. Kiep nad kiepami, kto przegapiłby taki spektakl.

Magiczne miejsce
Daas (4)

„Na Przykład" nr 3-4, 1999, str. 36-37.

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Kiedy ciało Piotra złożono wreszcie w „sklepieniu" i kiedy przebrzmiały ostatnie modlitwy, a wszyscy dostojni uczestnicy pogrzebowej liturgii oraz ci całkiem niedostojni gapie, co tłoczyli się na Grodzkiej, rozeszli się już byli definitywnie, udając się czy to bezpośrednio do swoich stancji, żeby strudzone pyszną niewątpliwie, lecz też trochę męczącą, uroczystością członki rozciągnąć czym prędzej w pościeli, czy to do pobliskich traktierów i kafenhauzów, żeby przy grzanym piwie albo krupniku porozmawiać jeszcze o przedziwnym sensie tej dopiero co zakończonej, zaiste, niecodziennej manifestacji, w jaką przekształcił się – albo można było tego uniknąć? – pochówek niecodziennego wszak nieboszczyka, w opustoszałej farze pozostał tylko Pan i jego ludzie.

Ale powiedzmy o tym, posługując się formułą owych „ludzi": „Pan sam z ludźmi", bo jej nie zamierzona oksymoroniczność dobrze pasuje do człowieka, który był przecież jednym wielkim i najzupełniej zamierzonym oksymoronem. I wydaje się, że Pan – oczywiście, razem ze swoimi towarzyszami – musiał spędzić wiele czasu w kościele św. Michała, gdyż cytowana tu już kronika zawiera pewną informację, która pośrednio może odnosić się właśnie do tej sprawy: „Nazad powracając kole 11-tej w nocy"... Wiadomo, że wszelkie uroczystości, pogrzeby również, trwały wtedy bardzo długo, lecz trudno przyjąć, aby pogrzeb Piotra, jeśli nawet był wyjątkowo uroczysty, co oznacza także: niezmiernie długi, miał się skończyć o 11 w nocy! (Jan Doktór widzi w tym miejscu cyfrę „12". Sądzę, że w rękopisie, do którego odwołuję się, opowiadając o tych wydarzeniach, jest raczej cyfra „11". Tak lub inaczej pora to dość późna.) Chociaż, trzeba przyznać taki nocny pogrzeb mógłby znakomicie korespondować z tą niepokojącą aurą tajemniczości, jaka otaczała Pana i jego grupę. Jestem jednak przekonany, że tutejszym organizatorom żałobnej ceremonii wcale nie zależało na podtrzymaniu tej aury. Wprost przeciwnie... Pompa, z jaką wyprawiono Piotra w zaświaty, odsłania intencję odmienną: wystawić na widok publiczny – choćby na katafalku – występujące w owej historii *dramatis personae*, rozproszyć – choćby światłem gromnicy – kłębiącą się wokół nich ciemność, zwerbalizować – choćby w formie kazania – nie wyartykułowane do końca motywy ich działania. Zatem przesłanki rozmaitej natury pozwalają wysnuć przypuszczenie, iż uroczystość w kolegiacie zakończyła się o jakiejś przyzwoitej porze. Naturalnie, porą najbardziej „przyzwoitą", jeśli pozostać przy tej moralizatorskiej metaforze, jest dzień. Jeszcze „przyzwoitą" – rzecz dzieje się w październiku i dni są już krótkie – popołudnie. Ledwie „przyzwoitą" – takie mam poczucie – wczesny wieczór. Ale nie głęboka jesienna noc! Noc jest pod tym względem zdecydowanie „nieprzyzwoita".

Sekretna kronika skupionej wokół Pana wspólnoty (przeznaczona, jak wszystkie zresztą pisma tej wspólnoty, wyłącznie do wewnętrznego użytku i pilnie strzeżona, dodajmy, przez bardzo długi czas nader skutecznie) opisuje wydarzenia z 20 (albo 24) października 1759 roku nadzwyczaj zwięźle: poświęca im raptem trzy zdania, dwa o pogrzebie Piotra i jedno o powrocie z pogrzebu. (Jan Doktór niepotrzebnie interweniuje tu w składnię i robi z tych dwóch pierwszych zdań trzy. Ja wolę trzymać się wersji oryginalnej, czyli rękopiśmiennej). Skrypt niniejszy usiłuje ten skąpy zapis nieco poszerzyć – analogicznie postępuję z innymi fragmentami owej kroniki – dopisując do niego coś w rodzaju komentarza. Mam niejaką nadzieję, że mój tekst nie upodobni się zbytnio do tego dziwacznego tworu, o którym pisze Schulz w *Księdze*: Ale w dalszym ciągu staczał się ten skrypt żałosny w coraz głębszy upadek. Teraz zszedł na bezdroża wątpliwej jakiejś szarlatańskiej mantyki. W długim płaszczu z uśmiechem na wpół pochłoniętym przez czarną brodę, któż to prezentował się do usług publiczności? Pan Bosco z Mediolanu, swego znaku mistrz czarnej magii, i mówił długo i niewyraźnie, demonstrując coś na końcach palców, co nie czyniło rzeczy zrozumialszą. I choć w przekonaniu własnym dochodził do zadziwiających konkluzji, które ważyć się zdawał przez chwilę między czułymi palcami, zanim ich lotny sens nie uszedł z palców w powietrze, i choć pointował on subtelnie przeguby dialektyki ostrzegawczym podniesieniem brwi, przygotowującym na rzeczy niezwykłe, nie rozumiało się go, a co gorsza, nie pragnęło nic rozumieć i pozostawiało się go z jego gestykulacją, z przyciszonym tonem i całą skalą ciemnych uśmiechów, ażeby przekartkować szybko ostatnie, rozpadające się w strzępy.

Jednak – błyska nam w głowie zbawczy koncept – rola pana Bosco z Mediolanu, „swojego znaku" mistrza czarnej magii, nie jest znowuż taką najgorszą dla nas perspektywą, albowiem należy pamiętać, iż właśnie w tym upadłym skrypcie objawiła się Schulzowemu bohaterowi Księga. A wiele sygnałów wskazuje, że tylko w takiej postaci – żałosnej i upadłej – jest ona nam w ogóle dostępna. W dzienniku Jeana Guittona znajduję mądrą radę, za którą warto pójść: „Notować, notować, aż do chwili, kiedy notatek tych nie prześwietli wielka nadzieja". Brnijmy więc z naszym ciemnym uśmiechem cierpliwie dalej.

Tymczasem próbuję wyjaśnić, co się mogło wydarzyć w tej luce czasowej, jaka istnieje w kronikarskim zapisie między ostatnim zdaniem („Pan rzewnie podówczas płakał") miniaturowej sekwencji „pogrzebowej" a zdaniem mówiącym o powrocie z uroczystości (pierwsza jego ćwiartka, jak pamiętamy, brzmi: „Nazad powracając kole 11-tej w nocy"...), i dochodzę do wniosku , że w owej wyrwie mieści się najprawdopodobniej, kilkugodzinny pobyt Pana oraz jego kompanii w kościele św. Michała. Ostatecznie, nie ma w tym niczego dziwnego, że po tak szumnym i tłumnym obrzędzie zapragnął wyciszenia przy grobie – jak pisze ksiądz Awedyk – „jednego z najpoufalszych" swoich ludzi. Miał też wystarczająco dużo powodów, aby roz-

mawiać tu z Bogiem długo i dramatycznie. Oto bowiem w rozwijającej się dotąd pomyślnie misji, tuż przed jej – jak mu się wydawało – chwalebnym finałem w Warszawie, pojawiła się niespodziewanie przerażająca rysa: otworzyła się na oścież otchłań szeolu. Dla niego, który głosił, że ci, co za nim pójdą, nie umrą nigdy, zgon Piotra musiał być potwornym wstrząsem. Trudno stwierdzić, czy zdołał dostrzec – tak jak my, którzy znamy jego przyszłość – w owym bolesnym wydarzeniu złowróżbny znak, zapowiadający nader przejrzyście i bezpośrednio wieloletnią epokę rozlicznych nieszczęść i klęsk, jakie wkrótce staną się jego udziałem. W każdym razie ten katastroficzny dla niego scenariusz, obfitujący w różnorodne plagi ze śmiercią najbliższych na czele – iście egipska noc paschalna! – zaczął się powoli realizować akurat tu u nas w Lublinie. Odtąd śmierć będzie szła za nim trop w trop („Śmierć – tuż za nim spore czyni kroki" – pisze poeta), uderzając coraz bliżej i bliżej... Jak w tragedii greckiej albo w Biblii... Streści nam ów dramatyczny okres Schulzowski obraz, który biorą z odrzuconego wariantu *Wiosny*: „Tak rosła ta obca i twarda noc wiosenna w swej głębi od plag i klęski i wśród rechotu jej gwiazd rozmnażały się żaby, węże i robactwo wszelkie w rośnych przestworzach i roiła się na całej przestrzeni od tajnego dziania się, a w sednie jej otwierała się ciemność labiryntami pokoi, czerwonych komór, malowanych szuflad, w których gwałtownie umierali pierworodni, a drzwi zatrzaskiwały się za lamentem rodziców". Za dwa tygodnie powędruje na tamten świat następny z „najpoufalszych", za niecały rok śmierć zabierze pierworodnego synka Pana, który nosił wysoce symboliczne imię Emanuel, za cztery lata urodzi mu się kolejny syn, Jakub, ale i on umrze w dzieciństwie. Zgon żony zamknie wreszcie tę okrutną dekadę. Być może trzeba dołączyć do tej tragicznej listy także ostatnie dziecko Pana, tajemniczą Józefę Franciszkę. (Jedyny i bardzo wątły ślad jej istnienia to notatka w kronice z 1769 roku: „Dnia 13 marca urodziła się córka. Nazywała się Józefa Franciszka. Dnia 14 ochrzczona była". Tyle tylko o niej wiemy. Więc może niebawem umarła? Dlaczego jednak nie ma na ten temat żadnej wzmianki ani pedantycznej pod tym względem kronice, ani w innych dokumentach wspólnoty? Może więc spotkał ją los, bez wątpienia lepszy niż przedwczesna śmierć „porwanej i zamienionej księżniczki", której postać często nawiedzała jej ojca?). To wszystko wydarzy się w przyszłości – niedalekiej, choć wydaje się odległa. Teraz Pan rozmawia jeszcze z Bogiem w lubelskiej kolegiacie. Lecz pora zamykać wrota świątyni.

„Nazad powracając kole 11-tej w nocy, rozkraczył Pan końce swej szaty i dał ją dwóm trzymać, a reszta żeby się trzymających trzymała węzłem, i tak szedł przez miasto do Pałacu." Pyszna scena, trochę jakby surrealistyczna! Cóż to za cudaczny korowód wyruszył z kościoła św. Michała w tamtą październikową noc! Jeśli ktoś obserwował wówczas przemarsz tego osobliwego łań-

cuszka przez nasze miasto, mógł pomyśleć, że ma do czynienia z jakimś mocno podchmielonym towarzystwem, które wytoczyło się z szynku i żeby utrzymać się jako tako na nogach, a i też nie pogubić się w nie oświetlonych uliczkach, przedsięwzięło taki właśnie środek zaradczy. Ot, taka sobie pijacka pragmatyka albo – jak kto woli – fantazja. Nic więcej. I zapewne wcale by do głowy nie przyszło temu wirtualnemu obserwatorowi, że jest świadkiem szczególnej odmiany ważnego aktu mistycznego, występującego w wielu systemach symbolicznych pod nazwą *coniunctio*. Pan, który miał w repertuarze spory zestaw tego typu aktów, określał go mianem „połączenia". Był to rytuał służący do podtrzymywania zachwianej przez różne wypadki – tu śmiercią Piotra – jedności grupy współwyznawców. Widzimy ich jak idą („stąpają posłowie nocy w ciężkich szatach z buczackich makat" – czytamy u Czechowicza) ulicą Grodzką, przechodzą obok Trybunału i znikają nam z oczu w Bramie Krakowskiej. A dalej – gdzie? Skierują się od razu w lewo? Pójdą prosto i dopiero po pewnej chwili skręcą w lewo? Pójdą prosto i później skręcą w prawo? Gdzie jest ten pałac, do którego zmierzają? Gdzieś w mroku, który przykrywa nasze miasto, lecz gdzie dokładnie – nie wiadomo. Wypatrujmy jednak pilnie. Mam w tej sprawie dodatkową wskazówkę: człowiek, który prowadzi ów korowód duchów, ma na sobie czerwoną szatę. Wiem, w obecnych warunkach taka informacja jest mało użyteczna, ale przecież kiedyś skończy się ta noc i wtedy może coś zobaczymy.

Magiczne miejsce
Daas (5)

„Na Przykład" nr 6-7, 1999, s. 28-29.

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Ten ostatni powidok (czarna dziura Bramy Krakowskiej, która wtedy, czyli 20 lub 24 października 1759 roku, około 11 w nocy, pochłonęła powracającego z pogrzebu Pana wraz z jego osobliwie skomponowanym orszakiem) doprowadził nas już bezpośrednio na skraj sennej otchłani. Jak to radził Gombrowicz? „Wejdź w sferę snu".

Wchodzę, bo może w ten sposób zdołam ustalić, w którym z lubelskich pałaców zatrzymał się wówczas ten samozwańczy Mesjasz ze swoją świtą. Zatem wszystko posnęło. Świat cały. Niczym w słynnej *Wielkiej elegii dla Johna Donne´a* Josifa Brodskiego. W naszej małej elegii uśpienia śpi (gdzieś tu niedaleko, w jednym z tutejszych pałaców) Pan z ludźmi swymi. Pozwólmy mu spokojnie spać i śnić, gdyż to ostatnia jego noc w naszym mieście. Jutro stąd odjedzie. Zainteresujmy się więc raczej własnym snem. I niech nam coś powie o nim miejscowy poeta:

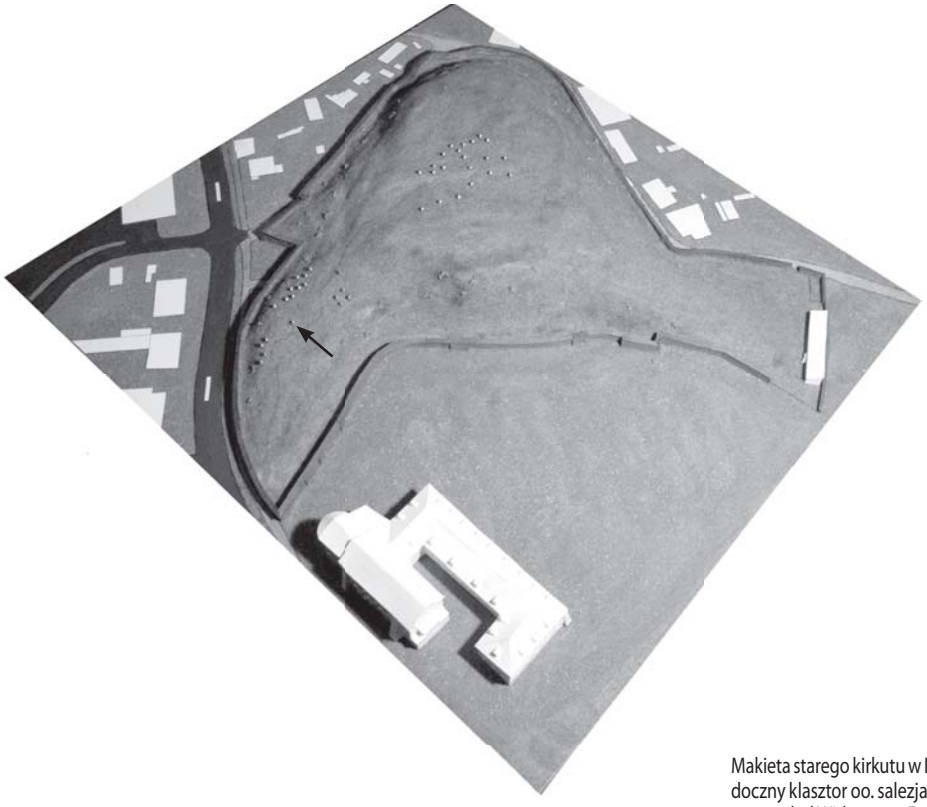

Makieta starego kirkutu w Lublinie. Na dole widoczny klasztor oo. salezjanów. Strzałką oznaczono ohel Widzącego. Fot. M. Skrzypek.

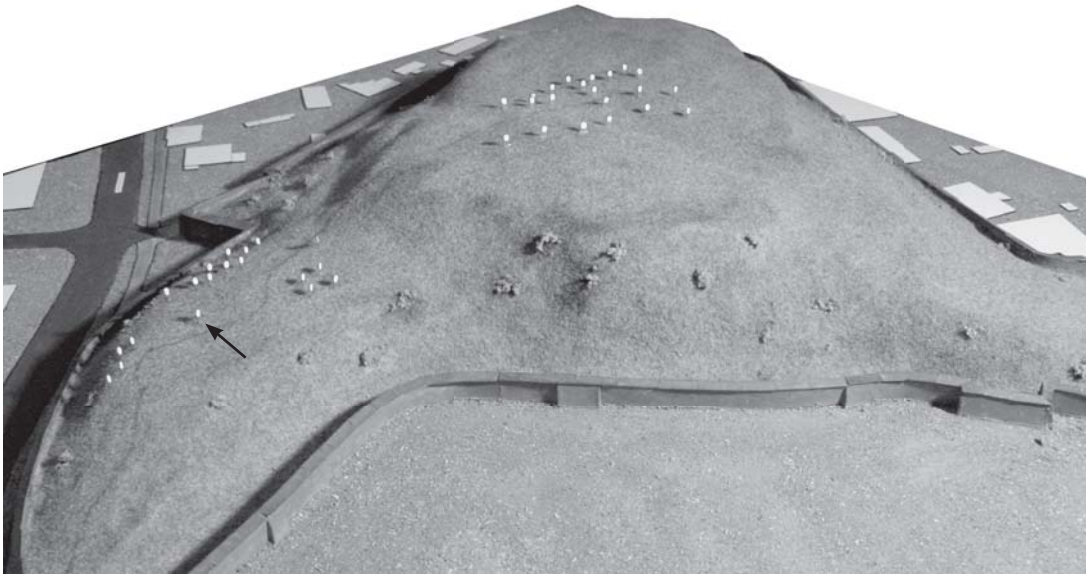

Ohel (obudowa macewy) Widzącego z Lublina na starym kirkucie w Lublinie. Fot. J. Zętar.

Dla jego zwolenników – chasydów rozsianych dzisiaj po świecie, w Izraelu, w Stanach – jest to widomy dowód, że moc Widzącego nadal działa. Przyjeżdżają, składają na jego macewie *kwitełech*, karteczki z modlitwami, na których wypisują imiona tych, którym dobrze życzą albo za których się modlą.

Miasto magiczne, s. 164.

Ohel (obudowa macewy) Widzącego z Lublina na starym kirkucie w Lublinie. Za siatką na ziemi widoczne *kwitełech* – prośby do cadyka o modlitwę (kartki z intencjami). Fot. J. Zętar.

sen życie ujął
osłoda sen ciężki a nieważki
piękne zjawy sennie kołują
w krwawych ciemnościach czaszki

Wprawdzie zjawy (piękne!) nie przestają kołować sennie w krwawych ciemnościach czaszki, ale niektóre fragmenty tej fantasmagorii materializują się jednak... Kolor zakrzepłej krwi? Dawno zakrzepłej. Chyba nie. Skóra jest gładka, przyjemna w dotyku, ale już nieco powycierana i dlatego nie ma jednolitej barwy. Próbują ją określić. To jakiś rodzaj brązu. Jaśniejszy trochę – tam gdzie naskórek starł się bardziej. Ciemniejszy – w innych miejscach. Ochra? Sangwin? Ugier? Może tak, może inaczej. Zatem rubin? Albo bursztyn? Lub miód, stary miód? Miedź? Możliwe. Wszystko możliwe. Żeby tej sprawy nie komplikować nadmiernie, umówmy się, że będziemy ten kolor nazywali cynamonowym. Nie taję, że chodzi mi o nawiązanie do tajemniczych „sklepów cynamonowych" Brunona Schulza. Pamiętam przecież, co w nich było:

Mogłeś tam znaleźć ognie bengalskie, szkatułki czarodziejskie, marki krajów dawno zaginionych, chińskie odbijanki, indygo, kalafonium z Malabaru, jaja owadów egzotycznych, papug, tukanów, żywe salamandry i bazyliszki, korzeń Mandragory, norymberskie mechanizmy, homunkulusy w doniczkach, mikroskopy i lunety, a nade wszystko rzadkie i osobliwe książki, stare folianty, pełne przedziwnych rycin i oszałamiających historyj.

Ów manuskrypt ma także niezwykłą zawartość. Na razie dokonuję tylko jego zewnętrznej autopsji. Właśnie jestem przy opisie okładek, które mają cynamonową barwę. Cynamonowy rękopis, tajemnica cynamonowego rękopisu. Nieźle brzmi, nieprawdaż? Ale idziemy dalej z naszą deskrypcją. Solidnie oprawione w świńską, najprawdopodobniej, skórę okładki posiadają również pewien element zdobniczy. Nader skromny, lecz dobrze widoczny. Otóż na obydwu okładkach umieszczono złoty prostokąt w kształcie falistego szlaczka z grzbietami fal skierowanymi do środka – złoty prostokąt, obrysowujący niejako od wewnątrz prostokątną powierzchnię okładziny. Nie wyczuwam pod palcami żadnego wgłębienia, więc pewnie złocenia te wykonano bez tłoczeń. Także grzbiet książeczki przyozdobiono takimi samymi (kilka poprzecznie ulokowanych) falującymi złotymi szlaczkami. Złotą farbą pomalowano też wszystkie grzbiety kart. Słowem, sporo tego złota, które tu pobłyskuje ciemno i zielonkawo. Cynamonowy rękopis i stare na nim złoto. Nie ulega wątpliwości, że wystrój ten ma swoją urodę: dyskretną, ale wysmakowaną i w dobrym gatunku. Powiedziałbym nawet, że jest to arystokratyczna uroda.

Teraz otwieram cynamonowy manuskrypt i patrzę na forzac, czyli introligatorską wyklejkę, która łączy wewnętrzne strony okładek z zasadniczym blokiem książeczki. Natychmiast rzuca się w oczy kolorystyczny kontrast: wyklejka jest wielo-

barwna i dość jaskrawa. Jak „tapeta". Rozmaite brązy i żółcie, trochę złota, gdzieniegdzie czerń. Wzór trudno uchwycić, bo wszystko jest tu splątane. Nie ma wyraźnych linii, lecz da się przy odrobinie dobrej woli zauważyć coś w rodzaju pewnego typu „ziarnistej" struktury albo też coś, co przypomina mocno zamazaną „mapę". Jakieś „skupienia", ale czego – nie wiadomo. Jakieś „rzeki" i „dorzecza", jakieś „laguny" i „wyspy", jakieś „meandry" i „labirynty". Może jednak trzeba ten wzór kojarzyć ze wschodnim kobiercem? Doprawdy nie wiem, co o tym myśleć. Ma ten barwny chaos jakąś symbolikę, czy jej nie ma? Ta, która przychodzi mi w tej chwili do głowy, wydaje się zbyt naciągana. Studia nad teorią fascynacji oraz lektura Schulza i... Dostojewskiego (nie mylę się, proszę zwrócić uwagę na rolę żółtych tapet w klitce Raskolnikowa) upewniają mnie, że takie „tapety" mają zawsze swoje znaczenie. Być może wrócę jeszcze kiedyś do tej wyklejki, w niej bowiem, jak się zdaje, odbija się „cała jaskrawość" relacjonowanej historii.

Kiedy po raz pierwszy wziąłem do ręki ten rękopis, poczułem się cokolwiek zawiedziony, gdyż spodziewałem się, że będzie miał zupełnie inną barwę. Oczekiwałem, że będzie cały czerwony: w czerwonych okładkach, czerwonym atramentem napisany, z czerwoną wyklejką. Dlaczego? Bo czerwień jest podstawowym kolorem człowieka, o którym tu piszę. Ubierał się przeważnie na czerwono, mówił o symbolice czerwieni w swoich wielce ezoterycznych naukach, niektóre pisma sporządzone przez skupioną wokół niego wspólnotę były czerwone. W silnie zmitologizowanej recepcji dziejów tego człowieka można spotkać opinię, że swoją doktrynę spisał w częstochowskim więzieniu własną krwią. Nasz manuskrypt tego wszystkiego nie potwierdza, przynajmniej w warstwie zewnętrznej. Owszem, motyw czerwieni występuje w paru miejscach tekstu, ale całość została napisana czarnym atramentem.

Studiuję uważnie ten rękopis, z maksymalną pedanterią, wedle zaleceń niegdysiejszych mistrzów filologii (dzisiejsi nie mają głowy do takich spraw, ponieważ operują dyskietkami, a one – wszak martwe przedmioty – nie są tajemniczymi obiektami), aby przeniknąć jego tajemnicę. Ale nie tylko chodzi mi o tajemnicę. Dwa inne momenty są dla mnie równie ważne. Po pierwsze, to jedyny materialny ślad tej historii, jaki znajduje się w naszym mieście. Szczególnie istotny, bo bezpośredni. Miała go w ręku córka Pana. Powstał z jej nakazu i w jej domu. Jeszcze dzisiaj czuję ciepło jej dłoni na cynamonowych okładkach. Mój wzrok przesuwa się po tych samych stronach, które i ona czytała. Nie wiem, jak dla kogo, ale dla mnie takie rzeczy liczą się niezmiernie. Po drugie, historia, którą staram się rekonstruować, jest tak niezwykła i nieprawdopodobna, że mogę jej przeciwstawić jedynie – jako formę obrony przed tą fantastyczną nadzwyczajnością – twardą, bezwzględnie obiektywną i ścisłą analizę. A i tak – wiem to – pozostaną w opisie

szczeliny wypełnione tajemnicą. Perforacja dyskursu wydaje się czymś nieuchronnym, proliferacja znaczeń jest prawie pewna. Podziurawiony dyskurs i rozplenione sensy – taki los nas czeka. Próbuję, jak mogę, stawić mu opór. To, co się powie o wymiarze materialnym będzie – być może – jedyną względnie pewną wiedzą. Ów tajemniczy byt, jakim jest Księga, byt mistyczny i magiczny, ma przecież też swoje fizyczne wcielenie. Opisać tę cielesność – oto moje dzisiejsze zadanie.

Zatem trochę pomiarów. Format okładki: 20 x 12,5 cm. Format kart: 19 x 11 cm. Papier lekko pożółkły. Czysty bez linii, lecz zapisany równiutko. Gęsto prążkowany w filigranie, pionowo i poziomo. Linie pionowe odległe od siebie o 2,5 cm. Liczne prążki poprzeczne. Prawdopodobnie można będzie określić papiernię, ponieważ na kartach widoczne są fragmenty znaków wodnych. Niestety, okazuje się, że mam z tym kłopot, gdyż znak firmowy znajdował się w środku arkusza, który został pocięty w poprzek kartki. Jego strzępy odnajduję w rozmaitych miejscach rękopisu. Jakieś litery, jakiś napis, jakiś rozmazany obraz. Zaczynam składać tekst. Bladoniebieski znak wodny ujawnia swą słowną treść: FRIEDRICH WILHM... Tylko tyle mogę odczytać. Więc imiona. Drugie niezbyt czytelne. Czyżby król pruski Fryderyk Wilhelm? Ale który? Ten oznaczony cyfrą II czy ów sygnowany liczbą porządkową III? Pierwszy panował w latach 1786-1797, drugi zaś w latach 1797-1840. Gdybym rozerwał manuskrypt i złożył kartę na powrót w arkusz, mógłbym to ściśle ustalić. Bez obawy, nie będę tego robił. Zresztą nie muszę, bo swoje i tak wiem. Rękopis spisano na papierze pruskim, który wyprodukowała królewska papiernia. Nad tłoczonym napisem znajduje się ikona wodna: w owalnym wieńcu (przypomina się *Mandorla* Celana „w migdale – co tam stoi w migdale?" Wiemy już co stoi w migdale: król. „Stoi tam i stoi.") popiersie władcy. Najlepiej da się rozpoznać koronę. To już jest coś, kolor mnie trochę rozczarował, lecz papier, nie! Pan miał królewskie ambicje, jego dzieje oraz słowa znalazły się – a jakże – na królewskim papierze. Pełna satysfakcja. Wszystko się zgadza.

Muszę powiedzieć, że wiem również (bez tej całej analizy), gdzie powstał lubelski manuskrypt. Podają dokładny adres: Offenbach, miasto nad Menem, niedaleko Frankfurtu, dwupiętrowy dom, który pod koniec XVIII wieku nazywano Fűrstliches Palais, na rogu ulicy Canalstrasse (od 1876 Kaiserstrasse) i Judenstrasse (od 1876 Grosse Marktstrasse). W latach 1796-1816 mieszkała tam rodzina Pana, córka Ewa i dwaj synowie Roch i Józef, wraz ze swoim dworem. Dziewiętnastowieczne losy tego domu opisał Aleksander Kraushav. Co tam jest dzisiaj? Hotel? Galeria jakaś lub muzeum? Może budynek wyburzono i postawiono w tym miejscu budowlę zdecydowanie mniej mistyczną: bank albo supermarket? Nie wiem.

Wiem natomiast, że rękopis ów jednoznacznie spokrewnia nasze miasto z tym niemieckim miastem. Wiem także, że

napisana tam Księga (nasz manuskrypt jest jej istotnym fragmentem) wróciła do jednego z tych miejsc, gdzie toczy się jej akcja. Zgodnie ze starą kabalistyczną nauką, iż u kresu czarów wszystkie rzeczy powinny powrócić do swego źródła.

Magiczne miejsce
Daas (6)

„Na Przykład" nr 3-4, 2000, s. 32-33. Brak pogrubionego wstępu oraz odstępy między akapitami – zgodnie z pierwodrukiem.

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Wiadomo: kiedy rozum śpi, budzą się potwory. A jednak, nie bacząc na ryzyko, chcę przedłużyć tę ostatnią noc i ostatni sen Pana w naszym mieście. (Mam nadzieję, że w końcu zasnął, chociaż – jeśli wziąć pod uwagę okoliczności – nie jest to całkiem pewne, a może nawet dość wątpliwe.) Ogromnie zależy mi na tym, aby tu jeszcze z nami trochę pobył. Ten, kto mówi (lub pisze) ma tylko jeden sposób, żeby powstrzymać bieg wydarzeń: naśladować Szeherezadę. Ba! Łatwo powiedzieć – wykonać trudno. I wcale nie chodzi o powody ściśle literackie. Wręcz odwrotnie. Podziwiając bowiem jak najsłuszniej zresztą, narracyjny kunszt mądrej i pięknej córki wezyra, najczęściej zapomina się, że niesłychana skuteczność jej sztuki – ocaliła przecież życie – miała swe źródło w umiejętnym połączeniu kreacji i prokreacji, albowiem przez tysiąc i jedną noc nie tylko opowiadała swemu władcy czarodziejskie baśnie, ale także w tym czasie trzykrotnie zaszła z nim w ciążę i powiła mu trzech rozkosznych synów. Ostatecznie to właśnie ten potrójnie udokumentowany związek estetyki i erotyki przesądził o szczęśliwym zakończeniu jej historii. Jakże nam, mnie zwłaszcza, równać się z nią! Jak bardzo nasze możliwości, moje zwłaszcza, są z tego punktu widzenia ograniczone! Mówiąc szczerze – niemoc doskonała. Niestety, nie jestem ani piękną (nawet umownie), ani mądrą (nawet pozornie) córką wezyra i nijak nie mogę zajść w ciążę (niechby urojoną) ze swoim czytelnikiem (wszak jedynie wirtualnym), i nie zdołam urodzić mu żadnego (choćby wirtualnego) dziecięcia. Ot co!

A ja nadal nie wiem, gdzie mieszkał Pan podczas swego pobytu w Lublinie. Zamieszczona w cynamonowym rękopisie kronika mówi tylko, że był to pałac. Który? Wszystkie bodaj lubelskie pałace przetrwały (mniej ważne, w jakim stanie) do naszych czasów: Sprawa dotyczy zatem budowli wciąż istniejącej. Chyba nie trzeba specjalnie rozwodzić się nad tym, jakie też znaczenie miałaby dokładna identyfikacja tego pałacu. Chcę zwrócić jedynie uwagę, że w ten sposób moglibyśmy dorzucić do tych paru osobliwości naszego miasta, które już znamy i którymi

tak lubimy się szczycić, jeszcze jeden konkret związany z osobistością dotąd w ogóle nieobecną w tutejszej świadomości, a osobliwą przecież w stopniu najwyższym. Moglibyśmy mianowicie, wskazując palcem, orzec: tu w październiku 1759 roku mieszkał człowiek, który uważał się za Mesjasza. I tu umarł jego zaufany wyznawca, którego pochowano z iście sarmacką pompą w krypcie kościoła św. Michała. Jak widać, ta gra, czyli moje dochodzenie, warta jest więc świeczki – sporej świeczki.

Tymczasem utknąłem w martwym punkcie. Zatrzymuję narrację i kluczę, wprowadzam dygresje i odbiegam od tematu, pozwalam, aby mój dyskurs zwijał się zawile i gubił we własnych załomach jak Czechowiczowski zaułek z elegii uśpienia, próbuję zyskać na czasie jak Szeherezada, bo ciągle wierzę, że otrzymam (nie wiem skąd, lecz to akurat wcale mnie nie martwi) jakąś wskazówkę (wszystko mi jedno, w jakiej postaci: dokument albo i sen), która pomoże ustalić, gdzie u nas zatrzymał się ów samozwańczy Zbawca. Na razie tkwię w niewiedzy, ale jestem, że się tak wyrażę przy nadziei. Powiem nieco dokładniej: już teraz coś wiem i mam też pewne niejasne sygnały dodatkowe. Lecz właśnie – sygnały są niezbyt czytelne, a co do informacji, jakie posiadam, to brak mi pewności, czy mają jakiś bezpośredni związek z głównym przedmiotem mojego śledztwa. Weźmy taki przykład: wprawdzie nie wiem, w którym pałacu mieszkał Pan, ale wiem – i to od dawna – w którym pałacu spoczywa ów rękopis, zawierający relację o jego pobycie w Lublinie. Nader mglista intuicja podpowiada mi, że należy w tym dostrzec określone przesłanie. Jakie? Znam pewną historię chasydzką (często ją przytaczam), która interpretowałaby ten fakt bardzo ambiwalentnie: może ma jakieś znaczenie, a może nie ma, może miejsce jest ważne, a może zupełnie nieważne. Nie szkodzi nikomu, jeśli przytoczę po raz kolejny tę opowieść. Oto ona:

Kiedy Baal Szem Tow, pan Dobrego Imienia, stawał przed trudnym do wykonania zadaniem, wyprawiał się w ustronne miejsce w lesie, rozniecał ognisko i pogrążał w modlitwie. To, co miał zamiar osiągnąć, realizowało się pomyślnie.

W następnym pokoleniu Wielki Magid z Międzyrzeca znajdował się w podobnej sytuacji, więc również szedł w to samo miejsce i mówił: „Nie mogę już rozniecić ogniska, ale mogę nadal modlić się". I to, co pragnął urzeczywistnić, dokonywało się.

Gdy minęło jeszcze jedno pokolenie, rabbi Mosze Leib z Sasowa także miał trudny problem do rozwiązania. Szedł do lasu i mówił: „Nie umiem już rozpalić ogniska, nie znam tajemnych medytacji ożywiających modlitwę, lecz przecież znam to miejsce w lesie, gdzie te wszystkie cuda dokonywały się i to powinno wystarczyć". I rzeczywiście wystarczyło.

Minęło kolejne pokolenie i cadyk Izrael z Rużyna miał podobne zmartwienie, co wszyscy jego poprzednicy. Rozsiadł się

więc wygodnie w fotelu w swoim pięknym pałacu i przemówił: „Nie możemy rozpalić ognia, nie znamy już odpowiedniej modlitwy, nawet nie wiemy, gdzie znajduje się to miejsce w lesie, ale przecież możemy opowiedzieć historię o tym, jak to wszystko odbywało się. Powinno wystarczyć". I opowieść cadyka była tak samo skuteczna, jak działania jego poprzedników.

Otóż to. W tej chwili nie potrafię rozstrzygnąć, czy znajduję się na poziomie Bal Szem Towa, czy też w sytuacji cadyka – sybaryty z Rużyna. Otrzymaliśmy natomiast pocieszenie w zupełnie innej kwestii: morał wypływający z chasydzkiej opowieści osłabia troszeczkę pesymistyczną dla nas, dla mnie zwłaszcza, wymowę historii pięknej mądrej córki wezyra. To powinno wystarczyć – doraźnie. A Pan niech sobie jeszcze śpi między okładkami cynamonowego rękopisu. Z budzeniem nie ma co się śpieszyć. Myślę, że potwory budzą się przede wszystkim wtedy, kiedy rozum śpi.

Magiczne miejsce
Daas (7)

„Na Przykład" nr 1, 2001, s. 40-41. Brak pogrubionego wstępu zgodny z pierwodrukiem.

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Nasz sen – mój i twój, jeśli chcesz mi towarzyszyć – jeszcze się nie skończył i, prawdę mówiąc, nic nie wskazuje, żeby miał się ku końcowi, ale w cynamonowym rękopisie ta noc po pogrzebie Piotra wreszcie przeminęła i nastał dzień: 25 (tak jest w kronice, która stanowi podstawę mojej relacji) albo 21 (tak podają inne źródła) października 1759 roku. Dla Pana i jego kompanii – ostatni już dzień w Lublinie. Zaraz ruszą w dalszą drogę, lecz zanim to nastąpi...

Widzimy, jak wynurzają się z sennej mgły, bardzo porannej i bardzo jesiennej, i gdzieś idą – zjawy uformowane w ów wielce dziwaczny orszak. Na czele kroczy on. Jest ubrany w długą – prawie aż do samej ziemi – czerwoną turecką szatę. Na głowie ma wysoką, też czerwoną, bałkańską czapkę futrzaną. Za nim podąża reszta ludzi. Dwóch najbliższych uchwyciło się kurczowo skraju jego krwawej sukni. Następna para uczepiła się z kolei tej dwójki. Ich zaś – para kolejna. A na końcu drepcze, trzymając się oburącz tych, co przed nim, pojedynczy osobnik. Siedmiu mężczyzn, których czerwony człowiek, najwyraźniej, ciągnie za sobą. Wszystko to dzieje się w pejzażu mocno nasyconym jesiennymi plamami, wśród złota, rudości i rozmaitych odmian czerwieni. Można więc i tak powiedzieć: jedna plama jest w tym obrazie ruchoma. Właśnie ją śledzimy. W którą zatem stronę przesuwa się ten niezwykły różaniec?

Wprawdzie w naszym rękopisie tylko dwa zdania mówią o wydarzeniach tego dnia, ale od informacji, jaką zawierają, może zakręcić się nawet w całkiem tęgiej czaszce. (Pamiętasz przecież te wersy Czechowicza: „piękne zjawy sennie kołują / w krwawych ciemnościach czaszki".) Ściślej rzecz biorąc: szokujące jest jedynie zdanie pierwsze. Drugie natomiast – bez rewelacji. Posłuchaj i nie zemdlej:

Dnia 25 poszedł Pan z ludźmi do Bernardynów, a klęknąwszy przed wielkim ołtarzem zaczął sam śpiewać *Signor mostro*, a z nim wszyscy z wielkim głosem i płaczem strasznym, i przy tym *Igułę* i *Burechio*, i kilka Psalmów. Po tym wyjechali do Warszawy.

I co? Nic? Coś mi się zdaje, ze przytoczony fragment nie wywarł na tobie specjalnego wrażenia. Dostrzegam w twoich oczach starannie maskowane (żeby nie zrobić mi przykrości?) rozczarowanie i wcale ci się nie dziwię, bo na pierwszy rzut oka (na drugi zresztą też) rzeczywiście nie ma tu niczego nadzwyczajnego. Domyślam się, że tylko te trzy tytuły nieznanych pieśni zwróciły twoją uwagę, lecz skoro ich nie znasz, trudno oczekiwać, aby miały dla ciebie jakiekolwiek znaczenie. W takim razie spróbuję wyjaśnić, co się wtedy wydarzyło u Bernardynów, czy w dobrze nam znanym kościele św. Pawła. I najlepiej chyba będzie, gdy od razu oznajmię, o co w tym wszystkim chodzi. Otóż dokonała się tam rzecz wprost niesłychana: do położonego w samym centrum miasta kościoła wszedł ze swoją świtą człowiek w czerwieni w bialutki dzień nie oglądając się na nic i na nikogo, odprawił przed głównym ołtarzem jakieś dzikie oraz absolutnie heretyckie modły. Czegoś takiego nie doświadczyła, nigdy i nigdzie żadna czynna świątynia katolicka! Takich śpiewów i takiej liturgii nie da się odnieść do żadnej ze znanych nam religii. Ani to bowiem chrześcijańskie, ani żydowskie ani muzułmańskie. Albo inaczej – trochę chrześcijańskie, trochę żydowskie i odrobinę jakby muzułmańskie. Jedynie psalmy nie budzą podejrzeń i są tu na swoim miejscu. A te inne pieśni? Skąd się wywodzą?

▸ Fot. s. 108.

Z przebiegu całej historii, której niewielki tylko epizod rozegrał się w naszym mieście, zdaje się wynikać, że najważniejsza z nich była *Iguła*. Nazywano ją także *Pieśnią rabbiego Izraela Nagary*. Nagara to szesnastowieczny poeta hebrajski i zarazem kabalista z kręgu Izaaka Lurii. Zbiór jego liryków religijnych zatytułowany *Semrod Israel*, ukazał się w Wenecji w 1599 roku. *Iguła* jest pieśnią kabalistów wierzących w bliskie nadejście Mesjasza, który przyniesie ostateczne zbawienie i ustanowi na ziemi swoje wieczne królestwo. Nie muszę dodawać, że tym zbawcą nie będzie Ten, w którego wierzą chrześcijanie. Jeśli nie On, to kto? *Signor mostro*, oczywiście (w transkrypcji nieco poprawniejszej: *Signor mo´aistro*). Lecz kto nim jest? „Pan nasz". Kogo w tych pieśniach tak się nazywa? Odpowiedź znajdziemy w tekstach napisanych w ladino. (Pomyśl tylko: u nas, w naszym zacnym kościele św. Pawła – ladino! Języków

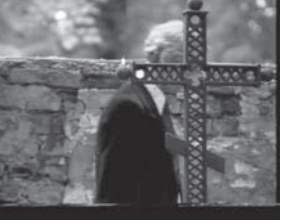

Żydów sefardyjskich. Hiszpański z domieszką portugalskiego i Bóg wie jeszcze czego.) Ten, który ma tytuł *Signor mostro* głosi chwałę Sabbataja Cwi jako prawdziwego Mesjasza. On właśnie, jak wiadomo, zainicjował ów przerażający i równocześnie fascynujący (jakaś odmiana *mysterium tremendum* i *mysterium fascinans* Rudolfa Otto) ruch mesjański, jaki ogarnął Żydów w XVII i XVIII wieku. Tekst drugi, *Burechio* lub dokładniej: *Mio dio Baruchja*, jest litanią, w której przyzywa się na pomoc jednego z następców Sabbataja, niejakiego, lecz stanowczo nie nijakiego, Baruchję Ruso. Był on Mesjaszem wyjątkowo obleśnym, chociaż z pewnego punktu widzenia także wyjątkowo bardzo pociągającym, ponieważ wprowadził do zgromadzonej wokół siebie wspólnoty orgię seksualną jako integralny składnik obowiązującego rytuału. Wśród wyznawców Sabbataja oraz ich potomków, których Turcy nazywali *dőnme*, czyli konwertyci, gdyż za swoimi fałszywymi prorokami jeszcze bardziej fałszywymi Mesjaszami przeszli (pozornie) na islam, tworząc wielce oryginalną sektę żydowsko-muzułmańską, pieśni te miały status kultowych hymnów. Donmeńczycy gnieździli się głównie w salonikach, ale ich wpływy lub też – jak kto woli – macki rozciągały się praktycznie na całe Bałkany.

I oto tę bałkańską zarazę przywlókł Pan do nas. I wyśpiewał ją wielkim głosem u św. Pawła. Zdumienie Bernardynów musiało być przeogromne. Nic z tego nie rozumieli, chociażby z powodów językowych, gdyż śpiewano po hebrajsku i w ladino, ale tyle przecież wiedzieli: nie po katolicku, nie po chrześcijańsku. Płacz straszny, krzyk wielki, obłędne melodie turecko-bałkańskie, turecki strój czerwonego mężczyzny. Demon jakiś, aczkolwiek już częściowo (z wody) ochrzczony? Kim są ci ludzie i cóż to za obrzęd. Ludzie z których składał się orszak Pana? Ależ proszę, podaję ich pełny spis według cynamonowego rękopisu: Mojsche, Herszełe, Nachmar, Hajm Kopyczyniecki, Hajm Rebliszes, Icek Minkiewicer, Jeruchem , Icek Rebliszes. Rabbi Mojsze (tak go się w kronice bardzo konsekwentnie nazywa) umarł i został pochowany w kościele farnym jako Piotr, lecz dla nich pozostał tym, kim był zawsze: rabbim Mojsze. Przyszli więc tu, do św. Pawła, aby pożegnać się z nim po swojemu. Odśpiewali, co mieli odśpiewać, i pojechali do Warszawy. Kiedy tam umrze następny ich towarzysz, Herszełe, też będą śpiewać *Signor mostro*, *Igułę* i *Burechio*. A gdy jeszcze później sąd kościelny, wszak bardzo zaniepokojony tymi heretyckimi śpiewami, będzie ich indagował na okoliczność owych tajemniczych pieśni, Pan wykrzyknie słowa, które miały przynieść im ukojenie: „Szczyjcie na ten ogień". Po prostu. Teraz już wiesz?

Jeździec niebieski

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Unzer sztetł brent! Płonie Kowalska, Nadstawna, Szeroka, Jateczna, płoną wszystkie bezimienne i jakże zawiłe zaułki, płoną zagubione we własnych załomach podwórka, zwijają się w ogniu domy i kramy, karczmy i synagogi (prawie jak w Czechowiczowskim obrazie Wieniawy: „Gną się kucają domki, zajazdy, bożnice..."), pali się Maharszalszul i Maharamszul, gminny bethamidrasz i mykwa, ogień trawi święte księgi i uczone komentarze, traktaty racjonalistów i natchnione hagady mistyków, w płomieniach giną ludzie i zwierzęta, i wszelki dobytek.

Jeszcze raz słyszymy ów pożar: śmiertelnie przerażone głosy (Czechowicz powie tak: „w każdym głosie słychać w całym bezwstydzie / Ostatecznego Dnia trąby"), lament, strzępy hebrajskiej modlitwy, skwierczenie, syk, trzaski, szumy, grzmoty... Jeszcze raz czujemy swąd spalenizny: mięsa, skór, kości, sosnowego drewna, szmat, piór, farby drukarskiej... Jeszcze teraz mamy w ustach popiół i w oczy gryzie nas dym... Brakuje nam słów i obrazów, więc bierzemy je z wierszy tutejszego poety: „dymy zataczały się na bruku / spitym mglistorudawym pożarem, a blask siarkowy płynął po ścianach". A niebo? „Niebo ogniste/ miasto mdlejące przestrzeń która rzęzi". Ta przestrzeń, ▸ Fot. s. 91.
którą wydano tu na pastwę niszczycielskiego żywiołu, to skulone u stóp zamkowej góry Miasto Żydowskie. W jednej z bram, ▸ Fot. s. 91.
najprawdopodobniej gdzieś na Szerokiej, dostrzegamy postać, która wyraża i reprezentuje cały ludzki wymiar dotkniętego zagładą miasta: podświetlona przez pożar sylwetka rzuca na ziemię poszarpany i chybotliwy cień, ognisty podmuch rozwiewa jej szaty, dramatycznie rozrzucone ręce są wzniesione ku niebu. Nie pomylimy się przecież, jeśli zobaczymy w tej postaci odwieczną figurę Hioba. I nie omyli nas również słuch, gdy w głosie tego człowieka usłyszymy zarówno rozpacz, jak i gniew, zarówno złorzeczenie, jak i błagalną prośbę, zarówno klątwę, jak i błogosławieństwo. W takiej bowiem jak ta sytuacji, czyli – mówiąc po Jasperowsku – w sytuacji granicznej, wolno mężowi pobożnemu i skądinąd bogobojnemu krzyczeć do swego Boga, wolno protestować przeciwko Jego decyzjom i wolno próbować wymusić ich zmianę. El male rachamim!

Najbardziej jednak zaskakuje nas w tej skrajnie tragicznej ▸ Fot. s. 92.
scenerii fenomen zupełnie przedziwny: ogarnięte pożarem

Magiczne miejsce

Jeździec niebieski (1)

„Na Przykład"nr 5, 1998, s. 38-39.

Miasto Żydowskie tonie niemal w ciemnościach. Potężne płomienie dają bardzo mało światła i tylko gdzieniegdzie pojawia się jakiś nieco jaśniejszy rozbłysk, który pozwala tu cokolwiek dostrzec. Nawet woda z położonego w najniższej partii obrazu rozlewiska Czechówki, stanowiąca zazwyczaj naturalne lustro, niczego nie odbija i jest tak samo mroczna, jak rozciągnięte nad jej brzegiem miasto.

Zresztą w ciemnościach, jakie porywają ów świat, granica między ziemią i wodą zaciera się całkowicie i jedynie nader niewyraźny zarys łodzi z wioślarzem każe domyślać się, że w tej okolicy musi znajdować się najwidoczniej jakiś zbiornik wody. Oczywiście, nie bylibyśmy wcale zdziwieni, gdyby komuś w tym momencie nasunęło się skojarzenie z Charonem, przewożącym przez Czechówkę, która przemieniła się w Styks, dusze pogorzelców do szeolu. Ten ogień, co wszystko niszczy i zabija, ale niczego nie oświetla i nie ogrzewa, kataliści nazywają „or szachor" – czarny ogień – i jest on jednym z symbolicznych obrazów radykalnego zła. W *Księdze Zohar* wiele się na ten temat mówi. Kabalista z ulicy Szerokiej, kiedy ujrzał w swoim oknie płonącą ciemność, przypomniał sobie zapewne słowa *Zoharu*: Ciemność ta wznosi się aż do kryjówki ogniowego dymu, i cała ona jest barwy dymu, barwy ognia i barwy czarnej. Te trzy barwy rozdzielają się na wszystkie strony i przenikają w najgłębsze zakamarki świata. Wiedział już, że każda z tych barw niesie zło.

Barwa dymu: zstępuje ona na świat i rozchodzi się na wsze strony, a z nią rozprzestrzeniają się po świecie i tu, nisko, tchnienia witalne synów ludzkich, pełne złości, tak by krzywiły się ich ścieżki i by utwierdzali się w swej złości.

Barwa ognia: ta barwa zstępuje na świat i rozchodzi się na wszystkie strony, aby pobudzać do zła, do zabijania, przelewania krwi i maltretowania synów człowieczych.

Barwa czarna: ta barwa spływa na świat, aby zarządzać wszelkimi rodzajami ran, biciem, aresztowaniami, więzieniem ciała, krzyżowaniem i duszeniem, wszelkimi krzywdami, jakie zawsze spadają na ludzi.

Miasto chrześcijańskie również płonie, ale zdecydowanie inaczej. Przede wszystkim jest rozświetlone i bardzo kolorowe. To kolorystyczne rozdwojenie, które istnieje tu w obrębie przecież tego samego żywiołu, stanowi bodajże pierwszą i zarazem podstawową cechę obrazu, jaka natychmiast narzuca się naszemu spojrzeniu. Naturalnie, są w tym obrazie także jeszcze inne różnice i wewnętrzne napięcia, ale odkrywamy je dopiero przy uważniejszym oglądzie. Wprawdzie i w mieście chrześcijańskim znajduje się niewielkie gniazdo ciemnego ognia, lecz autor malowidła zepchnął je w odległy kąt płótna, który jest równocześnie granicą ówczesnego miasta. W ten sposób ognista ciemność obramowuje chrześcijańską aglomerację – wstępu do jej centrum jednak nie ma. Niech nas wszakże zbytnio nie myli owa barwność miasta, gdyż została wywołana przez pożar, czyli czynnik bądź co bądź zewnętrzny i poniekąd sztuczny. Okoliczność ta powo-

Plac Zamkowy. Fot. J. Zętar.

W łuku zabudowanym stoi akurat 10 domów. Wiem, przypadek, tak wyszło, ale wyszła wyjątkowo symboliczna liczba. [...] 10 jest liczbą oznaczającą minjan, rytualną liczbę pobożnych konieczną do odprawienia publicznych modłów. [...] 10 jest liczbą Sefirot, dziesięciu Bożych aspektów, poprzez które Bóg – drogą emanacji – kreuje świat, uobecnia się w tym świecie.

Oko Cadyka, s. 45.

Rzeźby stojące na szczycie fasady opowiadają historię tego miejsca, opowiadają o Widzącym, o tym, co się tu wydarzyło.

Oko Cadyka, s. 49.

Współczesna kamienica z dwoma tajemniczymi maszkaronami, powszechnie – choć błędnie – utożsammiana z miejscem po dawnej kamienicy Widzącego przy Szerokiej 28, Fot. J. Zętar.

Lewy maszkaron na miedziorycie Leona Urbańskiego oraz to, co z niego zostało w 2008 roku. Fot. M. Skrzypek.

Lewy narożnik. Na niewielkim cokole przykucnął jakiś potwór, bestia przypominająca jakby trochę goryla.

Oko Cadyka, s. 46.

Prawy narożnik. Podobny stwór, chociaż trochę mniej gorylowaty, a bardziej – ze łba – przypominający niedźwiedzia.

Oko Cadyka, s. 46.

Prawy maszkaron na miedziorycie Leona Urbańskiego oraz jego współczesna fotografia z 2008 roku. Fot. M. Skrzypek.

duje, że widzimy w tych kolorach raczej chorobliwe wypieki zagrożonego organizmu, jakieś niezdrowe rumieńce gorączkującej istoty, jakieś plamy, wykwity i przebarwienia, które wystąpiły na powierzchni ciała jako wyraźne oznaki infekcji. Oględziny wstępne dominikańskiego płótna ujawniają zatem, że w świecie przedstawionym obrazu – wydawałoby się na pierwszy rzut oka dość prostym, powiedzmy wprost, prowincjonalnie prostym i wręcz schematycznym – zawiera się niezwykle złożona i dramatyczna wizja zarówno naszego miasta, jak i całego *universum*. Dotąd lekceważyliśmy ten obraz – wierny, ale mierny! – teraz już wiemy, że będziemy musieli przyjrzeć się mu z najwyższą uwagą, bo ma nam do powiedzenia prawdy straszne i ważne.

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, elegia uśpienia

Od razu chcę wyznać, że opisuję ten obraz nie po to, żeby go jakoś przemycić do historii sztuki, zwłaszcza tej wielkiej, jako dzieło – powiedzmy – do tej pory przez fachowców niedoceniane. Nie będę więc go przemocą wpychał ani do tego szeregu, gdzie wśród licznych widoków miast stoją – na przykład – widoki Toleda El Greca, ani też do tego szeregu, gdzie pośród wielu obrazów płonących miast znajduje się – na przykład – Pożar San Marcuola Francesco Guardiego.

Chociaż muszę zaznaczyć, że Toledo i nasze miasto łączą skądinąd głębokie, znacznie głębsze niż można by przypuszczać, analogie. A byli tu nawet i tacy, jak Klemens Junosza-Szaniawski przed stuleciem z górą, co dostrzegli w naszym mieście również pewne podobieństwo – mówili o tym, jakżeby inaczej, żartobliwie – do Wenecji: [...] jeżeli to jest wiosna i Bystrzyca szeroko wylała, to może nam się zdawać, że jesteśmy na lagunach w Wenecji... Domy i woda, woda i domy... Na upartego można znaleźć i plac Św. Marka (targ się na nim odbywa) i pałac Dożów. Nie zaręczyłbym, że który obywatel tej dzielnicy nie nazywa się Jankiel Doża. Wprawdzie tutejsze rzeczki i ruczaje od dawna już nie tworzą malowniczych rozlewisk pozorujących laguny Serenissiny, bo cywilizacyjny wysiłek mieszkańców przemienił je dość skutecznie w ścieki, co sprawiło, że są dzisiaj raczej mizerną repliką rzymskiej Cloaca Maxima, lecz jeśli podejść do tej sprawy – jak powiada autor *Cudu na Kirkucie* – „na upartego", to przecież ów kawałek ciemnego stawu czechowskiego na dnie naszego malowidła rzeczywiście przypomina wcale nie większy i podobnie ulokowany fragment weneckiego kanału na płótnie Guardiego. Przy odrobinie samozaparcia moglibyśmy przeprowadzić również paralelę między kolorystyką,

Magiczne miejsce
Jeździec niebieski (2)

„Na Przykład" nr 8, 1998, s. 40-41.

odrealnioną i niepokojącą, toledańskich pejzaży hiszpańskiego Greka a barwami, także niepokojącymi i nierealnymi, dominikańskiego wizerunku Lublina. Ale porzucam tego typu asocjacje, aczkolwiek wątek toledański kusi mnie bardzo, gdyż zmierzam w zupełnie inną stronę. Żeby przynajmniej tymczasowo zamknąć kwestię estetycznego wymiaru prezentowanego w tych notatkach obrazu, powiem tak: jaki jest, każdy widzi. Nie wybrzydzajmy jednak zbyt mocno, ponieważ w mieście, które niesłychanie rzadko pozowało malarzom do całopostaciowych portretów i ma ich naprawdę niewiele, nawet skromna uroda naszego płótna jest nie do pogardzenia.

Kiedy patrzymy na ów obraz, powinniśmy pamiętać, że ludziom, którzy zlecili jego wykonanie, nie chodziło o piękno, lecz przede wszystkim o prawdę. Piękno jako wartość autonomiczna nie było tu czynnikiem szczególnie pożądanym, albowiem nieznany nam malarz miał sporządzić ściśle określony dokument – a nie jakiś widoczek, miasta „lanczaft", jak wówczas pisano. Zatem niejako już z samego założenia czysto plastyczna uroda konterfektu musiała się podporządkować prawdzie faktograficznego przekazu. Naturalnie, piękno mogło pojawić się w tym przedstawieniu, ale jedynie jako cecha drugorzędna, jako dodatkowa wartość komunikatu, który w pierwszym rzędzie chciał pełnić funkcję poznawczą.

Dokumentalny charakter malowidła ujawnia jego specyficzna kompozycja. Jest ono bowiem złożoną, może wręcz zawiłą – jak Czechowiczowski zaułek zagubiony we własnych załomach – całością ikoniczno-słowną, którą tworzą w jednakowym bodajże stopniu zarówno składniki obrazowe, jak i językowe. Oznacza to, iż mamy do czynienia z takim wizerunkiem, który wymaga od nas podwójnej percepcji: oglądania i czytania, czytania i oglądania. Płótno zostało podzielone na dwie odrębne formalnie, choć nierówne części. W górnej partii – większa, mniejsza – w dolnej. Właściwy obraz, czyli panorama ogarniętego pożarem miasta, znajduje się w części górnej. Część dolną natomiast wypełnia tekst słowny, a dokładniej – zestaw kilku tekstów. I właśnie ta tekstowa warstwa informuje odbiorcę, że to wszystko, co pokazano wyżej, należy traktować jako dokument bezwzględnie prawdziwy. Przejrzyjmy więc zgromadzone tu *dossier*.

Składa się on z trzech różnych zapisów. Pierwszy zapis – najobszerniejszy – mieści się w dosyć wąskim paśmie, jakie rozciąga się bezpośrednio pod częścią ikoniczną płótna. Jakiś anonimowy skryba – nie wiadomo, czy był nim sam malarz, czy może ktoś inny – opowiedział w tym miejscu „fabułę" obrazu. Jego relacja jest co prawda nader skrótowa i schematyczna, ponieważ w sześciu ponumerowanych i oddzielonych od siebie przestrzennie punktach wymienia tylko parę najbardziej dramatycznych momentów, ale zawiera jednak wcale jednoznaczną interpretację oglądanych przez nas wydarzeń. To wystarczy, aby widz nie miał żadnych wątpliwości co do najgłębszego sensu malowidła.

Zapis drugi – najważniejszy – zajmuje cały środek dolnej strefy. Ulokowano go w ozdobnym kartuszu – jedyny w tej kompozycji element o funkcji wyłącznie estetycznej – gdyż jest on oficjalnym podpisem i zarazem tytułem, w którym raz jeszcze, chociaż już bardzo syntetycznie, formułuje się ostateczną wykładnię dominikańskiego płótna.

Trzeci zapis – najdziwniejszy chyba – zachował się, niestety w szczątkowej formie. Otóż pod pasmem narracyjnym, na najniższym poziomie kompozycji, można zauważyć cztery owalne pola, po dwa z każdej strony kartusza, ale tylko na jednym z nich widnieje mocno zatarty fragment jakiegoś tekstu. Dopiero wnikliwa autopsja umożliwia rekonstrukcję jego treści. Okazuje się, że zamieszczono tu materiał ściśle prawniczy: coś w rodzaju wyciągu z protokołu przesłuchania świadków, którzy pod przysięgą zeznali, iż przedstawiony na obrazie przebieg wydarzeń odpowiada prawdzie. Być może analogiczna dokumentacja znajdowała się także na trzech pozostałych, dziś pustych polach.

Wszystkie te teksty i załączniki, które dodajmy – zajmują ponad jedną czwartą powierzchni obrazu, mówią zgodnym chórem, że zawieszony w dominikańskim kościele wizerunek naszego miasta jest ikonograficznym świadectwem. Czego? Oczywiście – cudu! W tutejszym piśmiennictwie – jakże skąpym, gdy idzie o ten obraz – nadaje się owemu wizerunkowi całkowicie błędny, bo wbrew autentycznemu podpisowi, tytuł: *Pożar Lublina w 1719 roku*. Tymczasem umieszczony w kartuszu podpis – dobrze widoczny i specjalnie przecież wyeksponowany – brzmi następująco: „Przecudowna Krzyża Świętego nad tym miastem Lublinem podczas cięszkiego tegoż pożaru protekcija z osoblwey prowidencji Boskiej raz nie dawno pokazana widziana y w innych cudach doznana".

Zatem skrócona wersja tytułu powinna mieć taką postać: *Cudowne ocalenie Lublina podczas pożaru w 1719 roku*. Trochę rozwlekła i mało poręczna? Owszem, lecz wiernie oddaje to, co ów obraz przedstawia. Wszak malarz – ustalmy to wreszcie raz na zawsze – nie namalował pożaru, ale cud, który ochronił miasto przed straszną katastrofą , jaką mógł spowodować pożar. Jak wiadomo, w cuda albo się wierzy, albo nie, lecz z faktami na pewno się nie dyskutuje. A fakty są widoczne gołym okiem – wystarczy spojrzeć na malowidło – niszczycielska moc żywiołu, która wielokrotnie zamieniała miasto w stertę gruzu, tym razem nie zdołała się w pełni rozwinąć i Lublin wyszedł z potencjalnie zagrażającej mu opresji.... prawie bez szwanku. Prawie, gdyż występują jednak w tym wizerunku dość istotne komplikacje, psujące nieco – mówiąc oględnie – jego jednoznacznie optymistyczną wymowę.

Komplikacje te osłabiają także jednoznaczność tego, co przed chwilą napisałem, z właściwą sobie stanowczością, o braku pożaru.

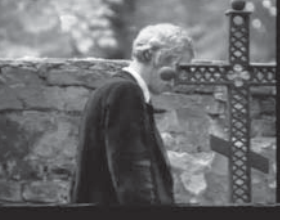

Moja opowieść o dominikańskim płótnie rozpoczęła się wszakże od apokaliptycznego niemal opisu płonącego miasta! Więc jak w końcu: pali się, czy nie pali? Ucierpiało miasto podczas ciężkiego tegoż pożaru, czy nie ucierpiało? No, i co kazano nam tu oglądać. Teraz bowiem trzeba powiedzieć w ten sposób: miasto pali się i nie pali się, ogień je niszczy i nie niszczy, cud dokonuje się i nie dokonuje. Może jeszcze dokładniej, uwzględniając proporcje między owymi skrajnymi „stanami" miasta: bardziej się nie pali, niż pali, bardziej się nie niszczy, niż niszczy; bardziej się cud dokonuje, niż nie dokonuje. Że jakby absurd? Ależ skąd! To najściślejsza deskrypcja obrazu, który dokumentuje wydarzenia, jakie rozegrały się w naszym mieście 2 czerwca 1719 roku. Tego dnia w lubelskim Mieście Żydowskim wybuchł gwałtowny pożar i zaczął się szybko rozprzestrzeniać, docierając również w kilku miejscach do chrześcijańskiej części miasta. I wtedy przeciw żywiołowi wyruszyła z kościoła Dominikanów procesja z cudowną relikwią – przechowywanym w tej świątyni od kilku stuleci fragmentem Krzyża Świętego. Ogień, który już gdzieniegdzie przeniknął w obręb miejskich murów, zgasł. Miasto chrześcijańskie, dzięki Bogu, ocalało. Miasto Żydowskie spłonęło jednak doszczętnie.

Fot. s. 92.

Autor malowidła nie był z pewnością wielkim artystą, ale majstrem okazał się niezłym, albowiem potrafił pokazać nam te wszystkie dramatyczne i zarazem cudowne, choć z komplikacjami, zdarzenia z kronikarską wręcz rzetelnością, a jego wizerunek architektury miasta odznacza się wprost inwentaryzacyjną precyzją. Pod jego solidnym pędzlem dokument teologiczny nabrał także wszelkich cech dokumentu po prostu historycznego. Aczkolwiek obraz anonimowego malarza cudem sztuki rzecz jasna nie jest, przecież ma za przedmiot rzeczywistość cudowną. Chcemy jeszcze zobaczyć, jak prowincjonalny artysta poradził sobie z taką niezwykłą materią. Nie kryję, że intryguje mnie ta jego cudowna robota.

Magiczne miejsce
Jeździec niebieski (3)

„Na Przykład" nr 1-2, 1999, s. 40-41. Odstępy między akapitami zgodne z pierwodrukiem.

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Bez większego trudu odszukujemy to miejsce, z którego osiemnastowieczny malarz patrzył na nasze – może i jego? – miasto. Znajduje się ono na wzniesieniu za Czechówką, na terenie dawnej jurydyki Probostwo, tam, gdzie dzisiaj biegnie ulica o tej samej nazwie. Należy tak się ustawić, żeby mieć wprost przed oczami przesmyk między kościołem Dominikanów i kościołem Jezuitów (katedra). Linia, dzieląca obraz na dwie duże połowy – rzecz jasna, linia wyimaginowana – przechodzi prawie dokładnie przez środek owej międzyświątynnej przełęczy.

W ten sposób wyznaczamy dla świata przedstawionego na płótnie coś w rodzaju południka Greenwich. Artysta zajął pozycję na jego północnym biegunie, który mieści się właśnie na Probostwie, mniej więcej tu, gdzie teraz stoimy. Gdzieś w tej okolicy rozstawił sztalugi i zabrał się za szkicowania. Parę kroków w lewo albo w prawo, trochę do przodu lub do tyłu – i już mamy ów punkt pod stopami. Teraz nasze oczy mogą ogarnąć tę samą panoramę, co oczy tego, który spoglądał stąd przed nami. Jeszcze tylko rozciągamy je mocno – aż do bólu – aby lewym kącikiem uchwycić wzgórze zamkowe z basztą i kaplicą św. Trójcy, prawym zaś kawałek placu Litewskiego ze wznoszącym się tam wówczas kościołem Bonifratów. Czujemy, że bez pomocy wewnętrznego oka nie obędzie się. (Ciągle mamy w pamięci zalecenie Herberta: Słuchaj rad wewnętrznego oka).

Warto poświęcić nieco czasu, żeby w tym najzupełniej realnym pejzażu ustalić możliwie precyzyjnie punkty widzenia malarza, gdyż za chwilę w to autentyczne pole widzenia wedrze się niewidoczne i niewidzialne. Niewidoczne, bo zakryte przed wzrokiem, niewidzialne, bo w ogóle niedostępne zmysłowo. Za chwilę oczy malarza, a więc i nasze, zobaczą rzeczy niesłychane. Jak w wierszu Czechowicza:

Otworzyły się oczy niebieskie
widzą razem witrynę sklepową i Sąd
przenika się nawzajem tłum – archanioły i ludzie
chmurne morze faluje przez ląd

Za chwilę dowiemy się, dlaczego niemal w środku obrazu widzimy niewidoczne z Probostwa drzwi dominikańskiego kościoła. Za chwilę ujrzymy, jak niewidzialna moc odpycha ogień od bram chrześcijańskiego miasta. Za chwilę w znieruchomiałym obrazie pojawi się ruch...

Oto z wbitej w zbocze staromiejskiego wzgórza Bramy Grodzkiej zwanej także Żydowską, wtedy jeszcze gotyckiej, dopiero kilkadziesiąt lat później Dominik Merlini nadaje jej obecny kształt, wysuwa się powoli procesja z cudowną relikwią, którą opiekowali się lubelscy dominikanie. To wyjaśnia, dlaczego w centrum płótna znalazły się drzwi ich świątyni: stamtąd wyruszył święty orszak, tam rozpoczęła się sakralna akcja. Podczas gdy szukaliśmy sobie odpowiedniego miejsca widokowego na Probostwie, procesja zdążyła dotrzeć – poza naszym wzrokiem – do Bramy Grodzkiej i teraz akurat wkracza na prowadzący do zamku i Miasta Żydowskiego mostek.

▸ Fot. s. 99.

Już z daleka dostrzegamy białe habity dominikanów: tego z chorągwią, który otwiera pobożny pochód, i tych następnych, którzy niosą zapalone świece, i wreszcie – zapewne – przeora

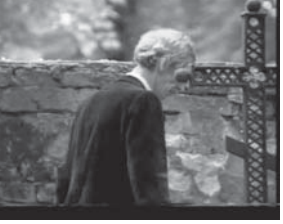

z relikwiarzem, kryjącym fragmenty Drzewa Krzyża Świętego. A naprzeciw – po drugiej stronie kładki – wystrzela w niebo ciemny, silnie spiętrzony masyw grodzkiego wzgórza, obrywającego się prawie pionowo tuż przy baszcie, wokół której stłoczyły się zamkowe budowle. Zamek to iście Kafkowski, bo nieosiągalny, chociaż tak bliski – na wyciągnięcie ręki. Wszak na taką stromiznę trudno się wdrapać! Nie tylko zamiejscowym geometrom. A naprzeciw – po drugiej stronie rozpadliny – leży Miasto Żydowskie, całe w płomieniach i dymie. A pod nogami – przerzucony nad przepaścią, która zresztą nie wygląda zbyt przepastnie, co świadczy, że jest raczej przepaścią aksjologiczną niż geologiczną, drewniany mostek zwodzony. I bardzo zwodniczy zarazem, gdyż jego konstrukcja nie budzi zaufania. Cienkie deski pomostu – nie zdziwilibyśmy się przecież, gdyby okazało się, że nadpróchniałe – podtrzymywane są od dołu przez krzywe, byle jak zbite podpórki. Wątłe jak pajęczyna linki konopne – nie zaskoczyłaby nas wcale informacja, że lekko zetlałe – utrzymują tę rachityczną strukturę od góry. Naturalnie, w pierwszym rzędzie obraz ten mówi o ówczesnym stanie, nader kiepskim, rozmaitych miejskich instalacji i urządzeń. Jego znaczenie nie wyczerpuje się jednakowoż na tym poziomie, ponieważ ów kruchy i chybotliwy mostek nabiera tu także cech wyraźnie symbolicznych. Można powiedzieć nawet, iż jest wyjątkowo pojemną metaforą, która doskonale odwzorowuje pewne istotne właściwości egzystencji naszego miasta, jego – żeby posłużyć się formułą Sępa-Szarzyńskiego – „bytu podniebnego": „Wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie".

Kiedy na to liche przejście wstępuje procesja, skutki są od razu widoczne: ogień cofa się i rozpłaszcza jakby przygnieciony jakimś potężnym podmuchem z niewidzialnych ust. I wszędzie tam, gdzie pojawi się procesja z relikwią, ogień będzie ustępował. Wiemy – cud. Ale autor malowidła pokazał cudowność w inny jeszcze, zaiste, niezwyczajny sposób. Mowa o sprawie bodaj najbardziej bulwersującej w tym płótnie. Otóż ta sama procesja, która dopiero co zaczęła wychodzić z Bramy Grodzkiej, jest też już na Świętoduskiej, dociera właśnie do klasztoru Karmelitanek, od wezwania kościoła nazywanych również Józefatkami, i jest już także przed Bonifratrami na Krakowskim Przedmieściu. Widzimy więc ją w trzech miejscach równocześnie! Sarmacki artysta, nie czekając aż Lessing ogłosi, co wkrótce nastąpi, że malarstwo jako sztuka z natury przestrzenna nie jest w stanie pokazywać zdarzeń rozgrywających się w czasie, z dziecięcą wręcz prostotą – ktoś mógłby rzec: naiwnością – przystąpił do rozwiązywania nierozwiązywalnego, wydawałoby się, dylematu plastycznych przedstawień. Problem ruchu w nieruchomym obrazie trapił artystów nieomal od zawsze. Różnie też starano się go zamarkować. Minie jednak w sztuce jeszcze kilka epok, kiedy Cézanne w słynnej *Górze św. Wiktorii* – nie mogąc uruchomić samego

▸ Fot. s. 185.

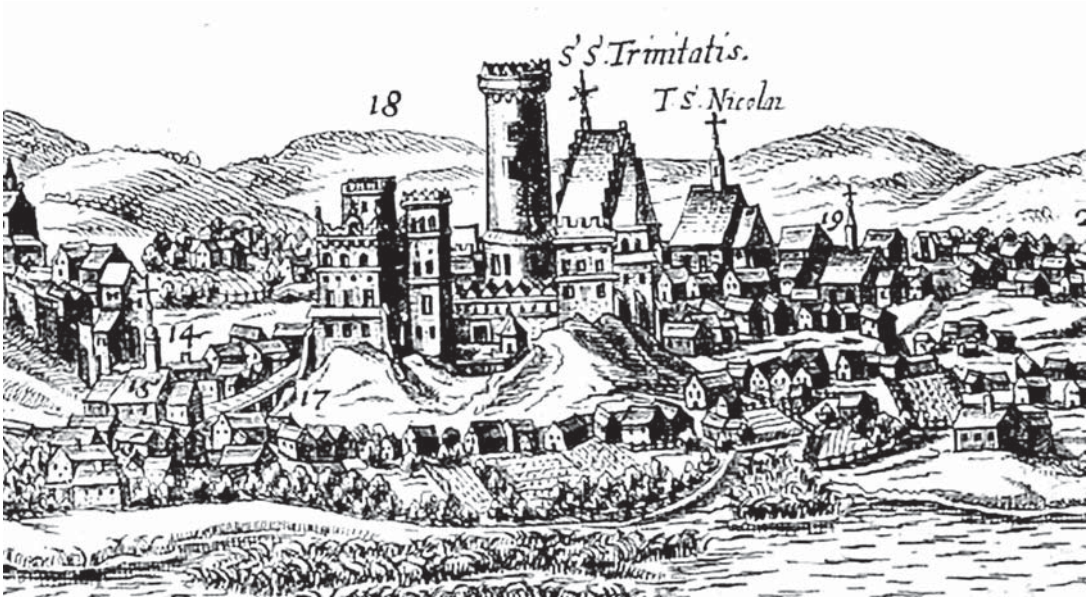

Ta przestrzeń, którą wydano tu na pastwę niszczycielskiego żywiołu, to skulone u stóp zamkowej góry Miasto Żydowskie.

Jeździec niebieski, s. 81.

Żydowskie Podzamcze wg miedziorytu J. Brauna i A. Hogenberga z atlasu miast *Civitas orbis terranum* z 1618 roku. Obraz przedstawiający pożar dzielnicy żydowskiej można zobaczyć na stronie 26. Jak słusznie zauważył Władysław Panas nie przedstawia on jednak pożaru Lublina (wbrew ogólnie przyjętemu tytułowi), lecz cudowne ocalenie miasta z pożaru, który mu zagrażał, gdyby ogień z żydowskiego przedmieścia przeniósł się do wewnątrz murów miejskich.

W jednej z bram, najprawdopodobniej gdzieś na Szerokiej, dostrzegamy postać, która wyraża i reprezentuje cały ludzki wymiar dotkniętego zagładą miasta

Jeździec niebieski, s. 81.

Cudowne ocalenie Lublina podczas pożaru w 1719 roku. Fragment obrazu z bazyliki oo. dominikanów. Fot. J. Zętar.

Cudowne ocalenie Lublina podczas pożaru w 1719 roku. Fragment obrazu z bazyliki oo. dominikanów. Fot. J. Zętar.

Najbardziej jednak zaskakuje nas w tej skrajnie tragicznej scenerii fenomen zupełnie przedziwny: ogarnięte pożarem Miasto Żydowskie tonie niemal w ciemnościach.

Jeździec niebieski, s. 81.

I wtedy przeciw żywiołowi wyruszyła z kościoła Dominikanów procesja z cudowną relikwią – przechowywanym w tej świątyni od kilku stuleci fragmentem Krzyża Świętego.

Jeździec niebieski, s. 88.

Cudowne ocalenie Lublina podczas pożaru w 1719 roku. Fragment obrazu z bazyliki oo. dominikanów. Fot. J. Zętar.

świata przedstawionego w obrazie, uruchomi po prostu proces jego percepcji. Lubelski malarz takimi kwestiami, zdaje się, głowy sobie nie zawracał i nie oglądając się ani wstecz, ani do przodu, ani na przeszłą, ani na przyszłą teorię sztuki, ani na wcześniejszą, ani na późniejszą praktykę artystyczną, najzupełniej beztrosko połączył w swoim obrazie dwa przeciwstawne systemy przekazu: realistyczny, który respektuje ograniczone prawa widzenia, i symboliczny, który te ograniczenia ignoruje. Z jednej strony zachował się jak typowy europejski pejzażysta, który pokazuje to, co widzą oczy, z drugiej natomiast jak artysta naiwny albo ... ikonopiśca, który przedstawia to, czego oczy nie mogą zobaczyć. Tym sposobem stworzył wizerunek naszego miasta trochę dziwaczny, lecz – nie bójmy się tego słowa – fascynujący. Przy okazji zilustrował też elegacki paradoks strzały, gdyż uruchomiona przez niego procesja w każdym punkcie przestrzeni, którą przebywa, stoi faktycznie w miejscu. Ruch przemienił się zatem u naszego malarza w bezruch wieczności, czyli mówiąc inaczej nieco – w wieczny ruch, w którym nie ma ani przeszłości, ani teraźniejszości, ani przyszłości. Odtąd procesja z relikwią będzie już zawsze w tym samym czasie wychodziła z Bramy Grodzkiej i wchodziła równocześnie na Świętoduską, i dochodziła w tej samej chwili do Bonifratrów na dzisiejszym placu Litewskim.

Ten sakralny w istocie ruchomy bezruch lub – jak kto woli – nieruchomy ruch został w obrazie ostro przeciwstawiony ruchowi, powiedzmy, doczesnemu, który należy całkowicie do świata profanum: wieczną procesję mijają – i przemijają! – galopujący jeźdźcy, jakiś niewielki oddziałek wojska z tłukącym w bęben doboszem, w Mieście Żydowskim ludzie usiłują gasić pożar, ktoś lamentuje, ktoś ucieka... Wszystko gwałtowne, wszystko ma tu swój początek i koniec, wszystko wyczerpuje się w czasie... Tylko święty orszak jest tu zawsze i wszędzie. Wolno nam w tej sytuacji zapytać: Co tak naprawdę namalował artysta, który malował pożar Lublina w 1719 roku? Owszem, konkretne wydarzenie historyczne. Ale czy tylko?

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Teraz już chyba mogę to powiedzieć: *Cudowne ocalenie Lublina podczas pożaru w 1719 roku* jest ikoną naszego miasta. Nie, nie przejęzyczyłem się. I nie popełniłem też terminologicznego nadużycia, gdyż do takiego właśnie stwierdzenia upoważniają mnie wszystkie dotychczasowe obserwacje. Wydaje się jedna-

Magiczne miejsce
Jeździec niebieski (4)

„Na Przykład" nr 5, 1999, s. 28-29. Brak pogrubionego wstępu zgodny z pierwodrukiem.

kowoż, iż tak rewelacyjną – przyjmijmy – proklamację trzeba zaopatrzyć w jakieś dodatkowe objaśnienia. Służę. Najpierw wypada więc zauważyć – i podkreślić z niemałym naciskiem! – że dominikańskie malowidło jest, owszem, ikoną miasta, lecz niekoniecznie jego mieszkańców. Rzecz jasna, ludzie są tu obecni, ale w liczbie mocno ograniczonej: tyle tylko, żeby miasto nie sprawiało wrażenia kompletnie wyludnionego. No i żeby było z kogo uformować pobożną procesję z cudowną relikwią. Zresztą, jedynie ta zwielokrotniona (wszak rozmieszczana w trzech różnych punktach płótna) procesja nieco poprawia statystykę demograficzną obrazu. Troszeczkę poprawia, lecz radykalnie jednak jej przecież nie zmienia, albowiem i ona nie jest zbyt tłumna. Przeciwnie. Kiedy orszak z relikwią wkracza na Świętoduską, widzimy go w całej okazałości i łatwo możemy policzyć wszystkich jego uczestników. Otóż w tej procesji, złożonej bodajże z samych duchownych, idzie zaledwie siedem osób! To mniej, nawiasem mówiąc, niż biblijne kworum sprawiedliwych, które było niezbędne do ocalenia Sodomy i Gomory. Ale na nasze miasto nie spadł totalny deszcz siarki i ognia. (Nadpaliło się tylko fragmentarycznie). Wolno zatem przypuszczać, że według autora obrazu ów niedostatek sprawiedliwych rekompensuje tu z naddatkiem obecność świętej relikwii. Najwidoczniej malarzowi nie zależało specjalnie na portretowaniu mieszkańców miasta. Ich nader skromna reprezentacja wystarczyła mu w zupełności. Miasto natomiast potraktował z największą uwagą. I przedstawił je ze szczególną akrybią. W jego obrazie odnajdujemy bowiem całą substancję architektoniczną Lublina, jaką mógł zarejestrować osiemnastowieczny obserwator ulokowany na wzgórzu za Czechówką, czyli na Probostwie: świątynie i klasztory, gęsto stłoczone kamienice w obrębie miejskich murów i pojedyncze domy poza murami, królewski zamek z wieżą i mieszczańskie wały obronne z basztami, basztkami, bramami, furtami... Oko sarmackiego artysty dostrzegło nawet dziurę w murze, przez którą wypływały miejskie nieczystości. A ręka – jakżeby inaczej! – skwapliwie ten detal uwieczniła. Urbanistyczne nastawienie autora omawianego płótna ujawnia się ze zdwojoną siłą, gdy zestawimy jego dzieło z innym obrazem, który również znajduje się w świętokrzyskiej galerii lubelskich Dominikanów. Ten drugi obraz – w swoim czasie brał udział w głośnej wystawie „Polaków portret własny" – też wyszedł spod pędzla anonimowego malarza i także pokazuje procesję z cudotwórczą relikwią, która uchroniła miasto przed zagładą podczas wojny z Chmielnickim w 1648 roku, ale konkretyzacja tej wizji jest tu całkowicie odmienna: płótno zostało wypełnione – aż po same brzegi i niemal bez reszty – wielkim tłumem ludzi. Miasto zaś – ledwo zaznaczone, mocno odrealnione i prawie nieobecne.

Oczywiście – ikona miasta. Tak, lecz na czym polega ów ikoniczny charakter naszego malowidła? Że ma religijny temat? Że występują w nim elementy specyficznej stylistyki?

Bez wątpienia są to okoliczności ważne, ale nie wystarczające, aby mu przyznać status ikony. Podstawowe znaczenie ma dla mnie coś innego: jego archetypiczna wprost reprezentatywność. Tak się bowiem składa, iż ta opowieść nieznanego nam twórcy o konkretnym zdarzeniu historycznym zawiera również w sobie pewną uniwersalną prawdę o naturze i egzystencji naszego miasta. Kiedy patrzy się na ten obraz, nie sposób przecież zapomnieć o wpisanym w tutejsze dzieje i stale powtarzającym się przedziwnym rytmie apokaliptycznych – mniej lub bardziej – katastrof i cudownych – mniej lub bardziej – ocaleń. Właśnie w tym konwulsyjnym rytmie, który wiąże ze sobą skrajnie przeciwstawne stany świata, dostrzegam główną bodaj zasadę organizacyjną miejscowego *genius loci*. Gdybyśmy chcieli sporządzić wykres ilustrujący przebieg naszej historii, przybrałby niechybnie kształt sinusoidy, najczęściej spokojnej, czasami jednak spazmatycznej jak gwałtownie pulsujący zapis elektrokardiografu. Tę niepokojącą rytmikę miasta ciągle oscylującego między sielanką a katastrofą najlepiej wyczuwają mistycy i poeci: Widzący z Lublina i Józef Czechowicz. Ona też ma przemożny wpływ na ich wyobraźnię. Tubylcy zwykli, jeśli można się w taki sposób wyrazić, mają zazwyczaj spore trudności z jej uchwyceniem, ponieważ realizuje się w długiej perspektywie czasowej i poszczególne bieguny są od siebie odsunięte na zbyt dużą – jak na możliwości percepcyjne przeciętnego człowieka – odległość. Długiego okresu absolutnego wyciszenia i raptowne najazdy apokaliptycznych jeźdźców – taką ma naturę schemat metryczny Lublina. Jak klasyczny trochej albo równie klasyczny jamb. Mieszkańcy, zwiedzeni tym powoli toczącym się dziejowym rytmem, mają wyraźną skłonność, aby postrzegać swoje miasto jako przestrzeń, w której nic się nie dzieje, nic się nie spełnia, nic się nie rozwija. Prawie jak w Schulzowskiej *Ulicy Krokodyli*:

Powiedzmy bez ogródek: fatalnością tej dzielnicy jest, że nic w niej nie dochodzi do skutku, nic nie dobiega do swojego *definitivum*, wszystkie ruchy rozpoczęte zawisają w powietrzu, wszystkie gesty wyczerpują się przedwcześnie i nie mogą przekroczyć pewnego martwego punktu. Mogliśmy już zauważyć wielką bujność i rozrzutność – w intencjach, w projektach i w antycypacjach, która cechuje tą dziedzinę. Cała ona nie jest niczym innym, jak fermentacją pragnień przedwcześnie wybujałą i dlatego bezsilną i pustą. [...] Nigdzie, jak tu, nie czujemy się tak zagrożeni możliwościami, wstrząśnięci bliskością spełnienia, pobladli i bezwładni rozkosznym struchleniem ziszczenia, lecz na tym się też kończy.

Jakże głęboko mylą się ci wszyscy, którzy żywią podobne mniemanie. Wyprowadźmy ich czym prędzej z błędu. Nie możemy dalej utrzymywać, że w naszym mieście króluje wielkie „nic" i że tkwimy – aż po czubek głowy w gigantycznej „nicości", bo prawdziwe „nic" i autentyczna „nicość" są bardzo poważnymi jakościami metafizycznymi, którymi nie wolno ust sobie wycierać. Warto pamiętać, że niektórzy kabaliści i teozofowie

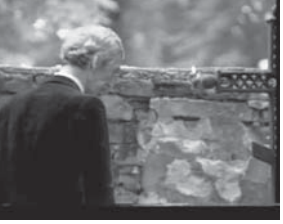

terminami tymi określali wyłącznie Absolut. Tak samo chasydzi. Rabbi Szneur Zalman z Ładów powiedział tuż przed śmiercią: „Ja widzę jeszcze tylko Boże Nic, które ożywia świat". A rabbi Abraham, zwany Aniołem, pragnął przemieniać Coś w Nic. Rabbie Aron z Karolina, gdy pytano go, czego nauczył się u swojego mistrza, odpowiedział: „Niczego. Nauczyłem się niczego. Nauczyłem się znaczenia niczego. Nauczyłem się, że jestem niczym, a przecież jestem." Takie Nic to dopiero Coś, takie Nic to ho, ho... Nasze „nic" nie ma z tym Nim nic wspólnego. Uściślenie, które proponuję, brzmi więc następująco: u nas nie dzieje się nic, lecz – po prostu i najzwyczajniej – niewiele. Naturalnie, gdy jesteśmy w okresie arkadyjskiej sielanki.

Żeby nie pozostać gołosłownym retorem, a i obniżyć cokolwiek wysoką ponad dopuszczalną miarę tonację, podam przykład, który – jak sądzę – pomoże lepiej pojąć różnicę między „nic" i „niewiele". Kiedy w naszym mieście występują kłopoty, oczywiście przejściowe, z podażą dostatecznie dramatycznych wydarzeń, skupiamy się na zdarzeniach mniejszego kalibru. Mogą to być na przykład pękające spodnie. Najlepiej, czyli najgorzej, gdy ów akt ma miejsce na jakiejś publicznej imprezie. I koniecznie przy paniach. W trakcie pobieżnej kwerendy znalazłem w literaturze na razie dwa tego typu przypadki, ale mam zamiar kontynuować moje poszukiwania. Ze zgromadzonej przeze mnie dokumentacji wynika niezbicie, że początek tej tragicznej serii dały spodnie hrabiego Aleksandra Fredry, który stacjonował u nas gdzieś w latach 1809-1811. Bezczelne sukno, nie bacząc na powagę sytuacji, pękło kompromitująco na kolanie podczas rozkosznej zabawy w ciuciubabkę u generałowej Kamienieckiej. Analogiczny los zgotowały swemu właścicielowi spodnie Onufrego Pietraszkiewicza, wileńskiego filomaty i przyjaciela Mickiewicza, który tu odbywał nauczycielską katorgę w roku szkolnym 1821-1822. Może nawet gorszy, bo trzasnęły dwukrotnie. Po raz pierwszy w karnawale 1822 – na pikniku, co zmusiło promienistego filomatę do rejterady, a liczył, że – jak pisze w liście do Malewskiego – dopomoże obecnym tam dziewicom do włożenia szlafroczka lub salopki. Mógłby ktoś w tym momencie pomyśleć, że fakty tak trywialne należą całkowicie do sfery *profanum*. I pomyliłby się srodze, gdyż po raz drugi spodnie Pietraszkiewicza puściły w kościele św. Michała podczas Podniesienia – „chociaż nie barzo nisko przyklękam".

Znakomity komentarz, rozbrajająco szczery i porażająco trafny, dla prezentowanej w tym fragmencie historiozofii Lublina znajduję u tutejszego diariuszysty, Ignacego Baranowskiego, który 13 czerwca 1815 roku zanotował: „Nie umiem rozwiązać, czyli mamy teraz spokojność, czyli niespokojność? Widzimy jakieś uciszenie w naszym horyzoncie, a po gabinetach i różnych zakątkach szmeru dosyć. Albo co nadzwyczajnego wybuchnie, albo się wszystko uspokoi". Podpisuję się pod tą diagnozą oburącz, bo to odwieczny nasz problem: coś czy niewiele?

Nieoceniony Baranowski napisał jeszcze i tak: „W tym tygodniu nie było żadnej komedii, ale dzisiaj ma pono być." W jakiś czas później dodał informację: „W tę niedzielę żadnej tu komedii nie było." Ani Boskiej, ani Nie-Boskiej. Tylko co? Mamy teraz spokojność czy niespokojność? Albo co wybuchnie, albo nie wybuchnie.

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Czekając zatem cierpliwie na owego Godota, który jawi się nam pod postacią dylematu (można go nazwać dylematem Baranowskiego): albo coś tu wybuchnie, albo i nie wybuchnie, chcę w tak zwanym międzyczasie uzupełnić nieco moje wcześniejsze informacje o pękających spodniach Aleksandra Fredry i Onufrego Pietraszkiewicza. Trochę dręczą mnie te spodnie, ponieważ obawiam się, że mógłby ktoś na podstawie mojej relacji odnieść niezupełnie prawdziwe wrażenia, iż wyjąca po ulicach oraz salonach pospolitość jest podstawową cechą naszego miasta. Czy nie uprościłem zbytnio rzeczywistości, ogłaszając, że tutejsza historia pulsuje jedynie skrajnościami: apokalipsa lub arkadia?

A między nimi – czarna dziura? Tylko dziura w spodniach? Przecież zawsze coś przez taką dziurę prześwituje. Nie mówię, że musi to być od razu Heideggerowski prześwit, ale jednak jakiś prześwit jest. Prześwit swojski, skrojony (chyba raczej: rozdarty) na naszą miarę. Z prześwitem bowiem jest dokładnie tak samo, jak z przepaścią. Wszak czytaliśmy kiedyś u Herberta:

nie jest to przepaść Pascala
nie jest to przepaść Dostojewskiego
jest to przepaść
na miarę Pana Cogito

Cóż więc takiego odsłaniają te zdradzieckie szczeliny w spodniach hrabiego tudzież filomaty i filarety w jednej osobie? Tak się złożyło (pytanie: czy przypadkowo?), iż obydwaj pechowi panowie poprzedzają swą opowieść o niemiłym incydencie garderobianym narracją o zgoła odmiennych wydarzeniach i doświadczeniach. U Fredry wydarzenia te mają charakter wręcz tragiczny i musiały pozostawić w jego psychice, jak wolno przypuszczać, traumatyczny ślad. U Pietraszkiewicza są one erotycznej natury i spłynęły po nim – jak sądzę – dość gładko. Być może jednak to te właśnie zdarzenia przesądziły o późniejszych losach obydwu mężczyzn.

Magiczne miejsce
Jeździec niebieski (5)

„Na Przykład" nr 1-2, 2000, s.28-29.

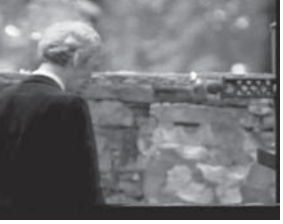

Jeździec niebieski... Władysław Panas

Aleksander Fredro, wówczas zaledwie siedemnastoletni chłopiec, a już porucznik w armii Księstwa Warszawskiego, został w Lublinie odkomenderowany do pracy w sądzie wojskowym, albowiem – jak pisze z nieukrywanym sarkazmem – „dobrze tańcował, nawet bardzo dobrze". Do jego obowiązków należało między innymi komunikowanie wyroków osądzonym żołnierzom. Po latach powie o sądownictwie wojskowym krótko i dobitnie: „Nasze sądy w owym czasie były prawdziwą zgrozą". Zetknął się z nią bezpośrednio, twarzą w twarz, akurat u nas. Była sprawa kilku żołnierzy oskarżonych o rabunek. Rzecz w wygłodzonej okrutnie armii zdaje się nie tak znowu rzadka. Lecz książę Pepi dbał o dyscyplinę i przywódcę rabusiów skazano na śmierć. Młodziutkiemu oficerowi zlecono ponurą misję: odczytać nieszczęśnikowi wyrok. Najpierw w celi, później jeszcze raz, tuż przed egzekucją. Fredro nie spał całą noc. O świcie ubrał się w galowy mundur i poszedł do aresztu, który mieścił się w pojezuickim klasztorze. Koszmarna scena: mroczne i wilgotne gmaszysko, poranny chłód trzęsie ciałem, złowieszczy odgłos kroków na pustych korytarzach, ksiądz odmawiający ze skazańcem pacierz, ogarnięty śmiertelnym już strachem człowiek, który na klęczkach błaga o litość, na otępienie – szklanka wódki. Wszystko w zgodzie z obowiązującym rytuałem. Brak jedynie wzmianki o papierosie. Czyżby nie były jeszcze wtedy w użyciu? Wreszcie – publiczna egzekucja na Placu Litewskim, ale o tym niech opowie sam Fredro, bo to jego doświadczenie, a nie moje:

Nazajutrz na placu przed Kapucynami, tam gdzie teraz pałac komisji wojewódzkiej, czyli raczej, niestety guberskiej, odczytałem raz jeszcze wyrok z konia wobec oddziałów z różnych pułków zgromadzonych na tę okropną uroczystość. A gdy zwróciłem, huknęły wystrzały jakby jeden. Wyrok został spełniony. – Głodny za kartofle... biedny za pięć złotych!... Śmierć! Więzienie!... Konieczność! Konieczność!... konieczna, wyparta zbiegiem okoliczności. – Okoliczności zatem jak kostki... jak padną, taka liczba... Ale kostkami gracz ciska, a okolicznościami niewiadoma ręka i dopiero wtedy dowiadujemy się o grze, kiedy już za nią płacić trzeba.

Drugiego dnia po tej przeprawie byłem blady, nic nie jadłem... trzeciego byłem smutny, nic nie piłem, a czwartego wieczór grałem u jenerałowej Kamienieckiej w pantofla, jakubka i ciuciubabkę.

Bardzo możliwe, że właśnie tamtego wieczoru pękły Fredrze spodnie. W każdym razie po opisie zgrozy na Placu Litewskim następuje opis zgrozy w salonie generałowej Kamienieckiej. Zaiste, człowiek z takimi przeżyciami mógł zostać tylko komediopisarzem.

Onufry Pietraszkiewicz, z przymusu administracyjnego nauczyciel lubelskiej szkoły, dość młody jeszcze, bo dwudziestoośmioletni, miał u nas przygodę znacznie przyjemniejszą niż hrabia Aleksander. W jego własnym mniemaniu – całkiem przyjemną. Mam co do tego mniemania poważne wątpliwości. Przyjemność, owszem, ale przecież nie całkowita. Nie ma w niej bowiem przy-

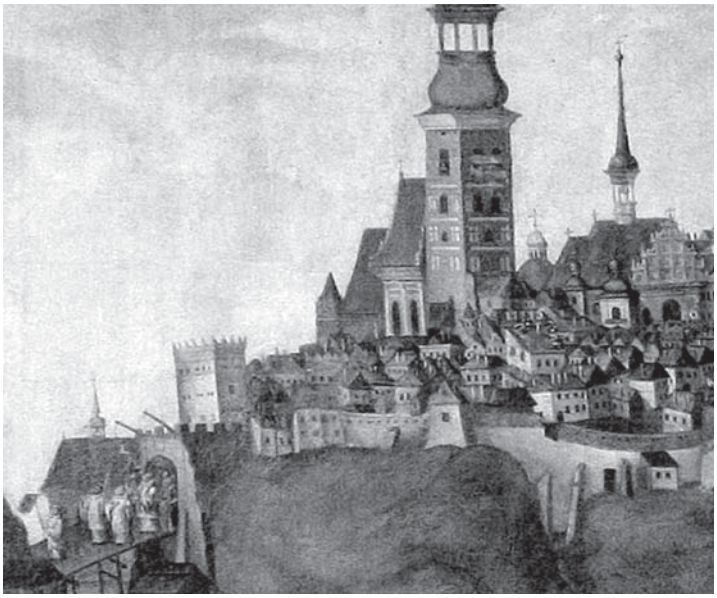

Cudowne ocalenie Lublina podczas pożaru w 1719 roku. Fragment obrazu z bazyliki oo. dominikanów. Fot. J. Zętar.

Oto z wbitej w zbocze staromiejskiego wzgórza Bramy Grodzkiej zwanej także Żydowską, wtedy jeszcze gotyckiej, dopiero kilkadziesiąt lat później Dominik Merlini nadaje jej obecny kształt, wysuwa się powoli procesja z cudowną relikwią, którą opiekowali się lubelscy dominikanie. To wyjaśnia, dlaczego w centrum płótna znalazły się drzwi ich świątyni: stamtąd wyruszył święty orszak, tam rozpoczęła się sakralna akcja.

Jeździec niebieski, s. 89.

Na poziomie symboliki interpretowanej w duchu freudowskiej psychoanalizy łatwo chyba dostrzec tu obraz seksualnego gwałtu. Ten brodaty cap, który wskakuje na kruchą roślinkę, żeby obgryzać listki... Na poziomie zaś obrazów odczytywanych archetypicznie widzimy tu brutalny akt przemocy, jaki capia i wulgarna Natura stosuje wobec Kultury z takim trudem zaszczepionej w naszym mieście.

Jeździec niebieski, s. 105.

Herb Lublina.

Krzyż, na którym Chrystus, według legendy o Czarciej Łapie, odwrócił twarz, aby nie patrzeć na niesprawiedliwość sędziów w Trybunale Koronnym. Obecnie znajduje się w lubelskiej Katedrze. Treść inskrypcji nad krzyżem: „Ten cudowny krzyż trybunalski do r. 1727 pozostawał w trybunale lubelskim. Później do r. 1832 w kolegjacie św. Michała. Odtąd zaś w tej kaplicy. O Jezu, miłosierdzia!". Fot. M. Fedorowicz.

w 1637 roku Zbawiciel odwrócił od nas twarz...

Jeździec niebieski, s. 105.

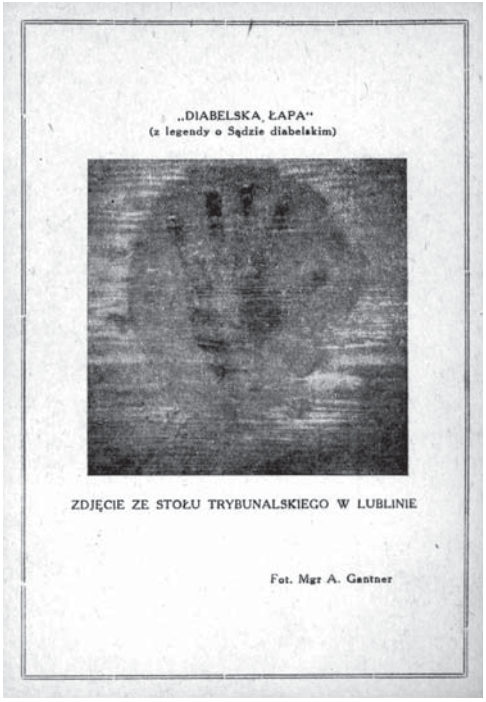

... a szatan zostawił nam swoją piekielną sygnaturę. To jedna z najstraszniejszych opowieści, jakie znam. Ukrzyżowany zwróci ponownie ku nam swoje umęczone oblicze, gdy z sądów zniknie przekupstwo, kler wyzbędzie się chciwości, a lud – pijaństwa.

Jeździec niebieski, s. 105.

„Czarcia łapa" według legendy odciśnięta na stole trybunalskim. Obecnie w holu Muzeum na Zamku. Pocztówka z początku XX w. Ze zbiorów Zbigniewa Lemiecha.

najmniej dwu istotnych składników, z których jeden – z mojego punktu widzenia – jest szczególnie ważny: nie doszedł mianowicie Pietraszkiewicz w tej swojej częściowej przyjemności do tego, co Roland Barthes nazywa „przyjemnością tekstu". Mogła go ona – ta przygoda – postawić w rzędzie największych powieściopisarzy, ale nie postawiła. Oto miara niespełnienia.

Po kolei jednak. A kolej jest taka: Gustaw Flaubert urodził się 12 grudnia 1821 roku w Rouen. Kilkadziesiąt lat później miasto to posłużyło pisarzowi jako scena dla rozegrania jednego z najsłynniejszych epizodów w całej światowej literaturze. Na razie jesteśmy jeszcze w grudniu 1821. Jakieś dwa tygodnie po narodzinach Flauberta wyrwał się Pietraszkiewicz na ferie Bożonarodzeniowe do Warszawy. Miło było w stolicy Onufremu: spotkał się z przyjaciółmi, troszeczkę rozerwał, wydał, jakże skromne miesięczne pobory. Z żalem więc niemałym puścił się w drogę powrotną do Lublina. I w tym dopiero momencie zaczyna się owa przygoda, o której chcę tu opowiedzieć. Przygoda – iście Flaubertowska. Zapyta ktoś może: co ma jedno do drugiego? Jaki też związek istnieje pomiędzy niemowlęciem z Rouen, które będzie w przyszłości wielkim pisarzem, i filomatą w karecie na trasie Warszawa-Lublin, który przecież nigdy nie zostanie pisarzem? Otóż istnieje, istnieje... Gdybym posiadał, chociaż odrobinę inne usposobienie intelektualne niż posiadam, zdobyłbym się na stwierdzenie, iż Flaubert w *Pani Bovary* podąża tropem naszego Pietraszkiewicza.

Naturalnie, chodzi o karetę. A ściślej rzecz biorąc: o to, co się w niej odbywa. Ależ pamiętamy doskonale: Emma Bovary, z woli autora cudzołoży w karecie. Cóż, jak wiadomo, *Madame Bovary c´est moi*. To bez wątpienia najbardziej głośny w dziejach piśmiennictwa akt małżeńskiej zdrady. Ale jak wspaniale przedstawiony! Wprost zazdrość bierze. Rzecz jasna, pisarska. Zresztą, kto wie jaka... Emma wyznacza kochankowi schadzkę w katedrze. Na pierwszy rzut oka – dziwne miejsce, bo zderzające ze sobą bezpośrednio świętość i grzech. Zestawienie – jakby zbyt oczywiste. Nie pomylił się jednakowoż mistrz stary i wszystko ma tu głęboką motywację. Co najmniej podwójną: psychologiczną i literacką. Ta pierwsza dotyczy bohaterki: Emma już w istocie wewnętrznie uległa, już zgodziła się na cudzołóstwo, lecz jeszcze próbuje odwlec to, co nieuchronne, jeszcze oczekuje jakiegoś znaku – może od Boga? – który zatrzymałby bieg wydarzeń. Ta druga wiąże się z techniką narracji: Flaubert w ten sposób wprowadza klasyczną zwłokę epicką, która ma pobudzić czytelniczy apetyt. Napięcie zatem rośnie, kochanek Emmy niecierpliwi się coraz bardziej, czytelnicy Flauberta również. W końcu kochankowie wychodzą ze świątyni i wsiadają do karety. I Rouen staje się przestrzenią, w której realizuje się seksualna odyseja. Flaubert jest narratorem wyjątkowo perwersyjnym, gdyż skupia się wyłącznie na bardzo detalicznym opisie chaotycznej marszruty, „kołyszącej się jak okręt" karety,

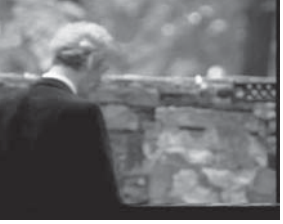

która przez dobre kilka godzin krążyła po mieście bez żadnego widocznego (dla postronnego obserwatora) celu.

A co z Pietraszkiewiczem? On także jedzie karetą: w towarzystwie konduktora, jakiegoś trunkowego porucznika i nieszpetnej panienki. Od razu też zabrał się do umizgów, ale warunki miał niesprzyjające – za dużo świadków. Sytuacja poprawiła się wreszcie w Puławach, gdy wojskowy wysiadł, a konduktor zasnął. Wtedy... Oddaję mu głos – niech ma tę swoją przyjemność:

Wówczas, co napisał Katallus, sprawdzałem: całowałem po dwa, trzy, sto i nie wiem, wiele razy, ściskałem białą i toczystą pierś; ileż to sportów, ile całusków, nim spięcie odwiązał, nim paski, uciskające suknię, zwolnił, nim kołnierzyk uchylił! Taką białą pierś nie przez osłony całowałem, pieściłem się z nagą, jak samo chce przyrodzenie. Wszkże ty i sam przyznasz, że dotąd nic wszetecznego, ale wielki krok do wszeteczności. Śledziłem, kędy się miłość kryje. Szymanowskiego świątynia śpiewa:

Później zlata do kolan i tam znaleziona.

Lecz tu już granica nie zlata, ale jak troskliwa ptaszyna, osłania w gniazdku swe dzieci, tak ona strzeże tajniejszych zakątków. „Będę płakać". Jeden wyraz rozbraja Onufra, tłumi ognie wszeteczne. W takiej walce i rozkoszy prawdziwie estetycznej zostawaliśmy przez cały sen konduktora.

Tylko tyle. Nic więcej. W Lublinie zaczęły Pietraszkiewiczowi pękać spodnie. Po dwakroć. Czyż można w tym nie dostrzec jakiejś symbolicznej zemsty materii? Że z panienką nic więcej nie wyszło, pal sześć, ostatecznie to jego hormony ucierpiały, a nie nasze, lecz trudno wybaczyć, iż spaprał wyśmienity motyw literacki. Ale motywu, motywu szkoda! Miał szansę wprowadzić przynajmniej motyw do literatury. Gdyby zamiast rozwlekłego listu napisał jakąkolwiek powieść, byłby pierwszy. A tak, co Francuz wymyśli...

Magiczne miejsce
Jeździec niebieski (6)

„Na Przykład" nr 5, 2000, s. 36-37. Odstępy między akapitami zgodne z pierwodrukiem. Pogrubienie wstępu – redakcja „Scriptores".

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Nie mam wątpliwości, że przez tutejsze dzieje, które pulsują tym konwulsyjnym rytmem, przewija się jakiś archetypiczny kod. Gdzie szukać do niego klucza? Wiadomo: w symbolicznych obrazach i opowieściach. Archetypy bowiem, jak nauczał mistrz Jung, w nich zazwyczaj znajdują bezpieczne schronienie. Proponuję zatem głęboką regresję, czyli lekturę najstarszej opowieści o naszym mieście. Jest ona szczególnie ważna, gdyż traktuje o jego absolutnym porządku. Jeśli poddamy ją odpowiedniej egzegezie, dowiadujemy się, na jakim też archetypie został ufundowany nasz założycielski mit.

Opowiedział tę historię błogosławiony Wincenty Kadłubek w swojej słynnej i osławionej zarazem *Kronice polskiej*. Dzia-

ło się to za panowania jednego z naszych przedhistorycznych władców, niejakiego Lestka. Był on wielkim wodzem i gromił przeciwników na wszystkich frontach niczym Napoleon w najlepszej formie. Przekonał się o tym na własnej skórze sam Juliusz Cezar, którego niezwyciężone skądinąd legiony rozbił Lestek w trzech kolejnych bitwach. Żeby jakoś zneutralizować niebezpiecznego sąsiada, upokorzony Juliusz proponuje polskiemu monarsze rękę swojej siostry Julii wraz z potężnym posagiem terytorialnym w postaci – bagatela! – Bawarii. Lestek ofertę przyjął i piękna Rzymianka (wprawdzie Kadłubek nic nie pisze o jej urodzie, ale myślę, że musiała być piękna, bo brzyduli nie ośmieliłby się chyba Cezar proponować w tak bardzo dla siebie niekorzystnej sytuacji militarnej) przyjechała do Polski. Natychmiast też podjęła wielce konstruktywną działalność: założyła mianowicie dwa miasta. Jedno nazwała imieniem brata, drugiemu zaś dała swoje imię – Julia. To drugie jest właśnie naszym miastem. Julia! Pięknie nazywaliśmy się, nieprawdaż? Jak pięknie moglibyśmy mówić: Jadę do Julii! Mieszka w Julii! Jestem z Julii! Słowem, Julia i ja! Ale historia nasza, niestety, potoczyła się inaczej. Rzymski senat wkrótce zaczął burzyć się przeciw Juliuszowi, że okazał nadmierną uległość wobec jakiegoś nieokrzesanego barbarzyńcy i oddał mu we władanie pokaźną część swego imperium. Ślubne wiano Julii, czyli wspaniała Bawaria, zostało więc odebrane. Kto daje i odbiera, ten... Jak ty tak, to ja tak... I Lestek odprawił nieszczęsną Julię z powrotem do Rzymu. A jego kochanica, gdyż musimy wiedzieć, że król nasz oprócz legalnej małżonki miał również spory zastęp nałożnic, kierując się podwójnym uczuciem, nienawiścią do Rzymianki i miłością do swego królewskiego kochanka, pozmieniała nazwy założonych przez Julię miast. Naszą piękną i rzymską Julię przechrzciła na słowiański Lublin, pozostawiając w tym nowym mianie widoczny dla wszystkich ślad swej występnej namiętności. Jesteśmy zatem, nie da się ukryć, przechrztami zrodzonymi z nieprawego łoża. Dobrze, że nie kazała obrócić miasta w perzynę, bo nie mielibyśmy dzisiaj gdzie mieszkać.

Tyle Kadłubek. Teraz ja. *Przewodnik po przemianowanym mieście* – tak Josif Brodski zatytułował esej o miejscu, gdzie przyszedł na świat. Okazuje się, że my także mamy wszelkie dane, aby napisać podobny tekst o miejscu, gdzie najpewniej zejdziemy z tego świata. W każdym razie w dziedzinie przemianowywania my ze swoją (-im) Julią-Lublinem wyprzedziliśmy znacznie tandem Sankt Petersburg-Leningrad. I proszę nie mamrotać, że Błogosławiony był raczej szemranym historykiem, ponieważ zmyślał bez żadnego umiaru. Owszem, można go śmiało uważać za prekursora rodzinnego pisarstwa postmodernistycznego, ale przecież nawet taki jak on prepostmodernista (skoro mowa tu o nadawaniu nazw, to dajmy i jemu: prepost) nie tworzy *ex nihilo*. Nikt – poza Stwórcą – nie jest w stanie wywołać z absolutnej nicości jakiegokolwiek bytu.

A przytoczona wyżej opowieść o naszym mieście jest prawdą czy wymysłem? Ależ oczywiście prawdziwa, prawdziwa jak najbardziej, lecz nie w sferze faktów pojmowanych na sposób pozytywistyczny, a w sferze elementarnych doświadczeń archetypicznych i nieuświadomionych kompleksów. One to właśnie wcieliły się w Kadłubkową fabułkę, która długo służyła niemądrym i pysznym za przedmiot stałych żartów. Z kogo i czego się śmiejecie? W ogóle trzeba stwierdzić, że ten jakiś zdrobniały Kadłubek jest wcale tęgim pisarzem, który doskonale posługuje się pisarskim narzędziem i może zaimponować nawet takim jak my zgryźliwcom.

Wracam do Julii. Wiemy już, że postarano się, aby wszelki ślad po niej zaginął, lecz wiemy też, iż ten, kto tworzy ma prawo do formuły *non omnis moriar*. Wiemy również – przypomniał nam o tym Michał Bułhakow – że „rękopisy nie płoną". Nigdy nie płoną. Jej dzieło, chociaż zmieniono mu tytuł i ktoś inny podpisał się pod nim, jednak przetrwało. Zapytajmy więc, czy oprócz wzmianki u średniowiecznego kronikarza coś tu jeszcze po niej pozostało? Sądzę, że istnieje taki trop – mocno zatarty i bezimienny – który wolno kojarzyć z jej postacią. Mam na myśli wyraźnie obecny w dziejach naszego miasta motyw winny. Kiedy zastanawiam się, skąd u nas wzięły się winnice, nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Bo czy jesteście w stanie wyobrazić sobie, żeby delikatna Julia piła nasze ciężkie piwo? Ja takiej wyobraźni nie mam i dlatego uważam, że przekazy mówiące o uprawie tej szlachetnej rośliny w podlubelskim miasteczku zwanym Winiawa lub Winiary są jakimś swoistym postscriptum do Kadłubkowej historii. A jeszcze bardziej przekonują mnie o tym związku dalsze losy zarówno winorośli, jak i Winiar. Dostrzegam bowiem w tych losach przedziwną paralelę do losu, jaki spotkał Julię i jej miasto. Jak wiadomo, winnice dawno znikły z naszego pejzażu, a winna miejscowość zaczęto powoli przemianowywać, pozbawiając ją przy tym administracyjnej niezależności. W końcu Winiary stały się Wieniawą, którą pochłonął bez reszty rozrastający się Lublin. W XIX wieku bodaj tylko Kraszewski konsekwentnie pisze w swych lubelskich powieściach o Winiarach. Chcę być ostrożny, ale nie mogę tego przemilczeć: w *Synu marnotrawnym* tam akurat mieszka Włoch Melini z siostrzenicą Pepitą, która kocha się – uwaga! – w tubylcu Wicku. Powiedzmy wreszcie w ostatnim tekście – tym razem jest to tekst ikoniczny – gdzie przechował się ślad po Julii. Oczywiście, chodzi o nasz sławetny herb, w którym widnieje winny krzew i kozioł. Tak przedstawia się mniej więcej nasze *dossier*. Dochodzą w nim do głosu – jak się rzekło – nieświadome sensy. Jakie?

Żeby o tym coś powiedzieć, muszę do mistrza Junga dołączyć również mistrza Freuda. Oto z konieczności skrócona psychoanaliza naszego miasta połączona z krytyką archetypiczną.

Gwałtowny i nierozwiązany konflikt jest tutejszym emblematem. Żeński i kulturowy początek przekształcił się w męską i naturalną kontynuację, ale nie przekształcił się przecież ani pokojowo, ani naturalnie, ani harmonijnie. Przyjrzyjmy się raz jeszcze herbowej ikonie, gdzie dostrzegamy Julię i Lublin, winorośl i kozła. Toż to obraz dwupoziomowy! Na poziomie symboliki interpretowanej w duchu freudowskiej psychoanalizy łatwo chyba dostrzec tu obraz seksualnego gwałtu. Ten brodaty cap, który wskakuje na kruchą roślinkę, żeby obgryzać listki... Na poziomie zaś obrazów odczytywanych archetypicznie widzimy tu brutalny akt przemocy, jaki capia i wulgarna Natura stosuje wobec Kultury z takim trudem zaszczepionej w naszym mieście. Pytanie, w jakim stopniu obrazy te są adekwatne do tego, co się tutaj działo i dzieje, pozostawiam bez odpowiedzi.

▸ Fot. s. 99.

zwija się zaułek zawiły
zagubiony we własnych załomach

Józef Czechowicz, *elegia uśpienia*

Magiczne miejsce
Jeździec niebieski (7)

„Na Przykład" nr 2, 2001, s. 40-41. Brak pogrubionego wstępu zgodny z pierwodrukiem.

Rozwijam ten swój zawiły dyskurs, który ciągle zwija mi się i gubi w rozmaitych – nie tylko własnych – załomach i zaułkach, właściwie po to jedynie, żeby jakoś przygotować siebie (i ciebie też) na przybycie owego tajemniczego Jeźdźca Niebieskiego, bo zbliża się nieuchronnie ta pora, gdy wtargnie z wielkim impetem do mojego tekstu. A kiedy to nastąpi, na wyjaśnienia może być już za późno. Zanim więc ruszy z kopyta (na razie koń jego wisi kopytami nad ziemią) i spadnie na nas i na nasze miasto (i wcale nie jak łagodna madonna z wiersza Białoszewskiego), spróbuję ci jeszcze coś niecoś opowiedzieć. Może zdążę...

I zacznę w taki sposób: w dziejach naszego miasta odnajduję nie tylko wydarzenia, które pozwalają nawiązać do *Przewodnika po przemianowanym mieście* Brodskiego, ale dostrzegam również fakty, które wpisują się w *Powszechną historię nikczemności* Borgesa. Od samego początku snuje się tu bardzo mroczny wątek utkany ze zła we wszelkich jego przejawach. Tutejszy obywatel ma prawo powtarzać słowa poety: „To nić czarna się przędzie: Ona za mną, przede mną i przy mnie..." Jakimś przerażającym tego stanu symbolem jest nasza słynna legenda o Chrystusie z trybunalskiego krucyfiksu: w 1637 roku Zbawiciel odwrócił od nas twarz, a szatan zostawił nam swoją piekielną sygnaturę. To jedna z najstraszniejszych opowieści, jakie znam. Jej wymowy nie osłabiają wcale legendarne okoliczności i nie da się też jej ograniczyć do określonej grupy zawodowej – niesprawiedliwych sędziów trybunalskich. Nie łudźmy się – chodzi o nas. Pewien bazylianin miał bowiem widzenie, które jednoznacznie

▸ Fot. s. 100.
▸ Fot. s. 100.

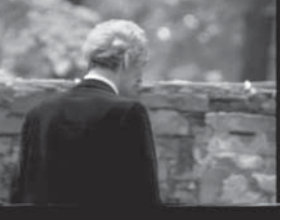

rozszerza jej zasięg: Ukrzyżowany zwróci ponownie ku nam swoje umęczone oblicze, gdy z sądów zniknie przekupstwo, kler wyzbędzie się chciwości, a lud – pijaństwa. Kryterium mamy zatem jasne i każdy może samodzielnie ocenić, jaka odległość dzieli nas od spełnienia tej przepowiedni.

Tę akurat historię wszyscy w Lublinie świetnie znają i są z niej nawet w jakimś sensie dumni – że taka barwna i widowiskowa. No, i można dzieciom oraz turystom pokazać czarcią łapę. (Ciekawe, dlaczego nie pokazuje się owego krzyża trybunalskiego? Czyżby...) Ale jest też opowieść, mroczna jak czeluści piekielne i zagadkowa jak tajemny alfabet aniołów, której nikt dziś chyba tu nie pamięta. Wcześniej – także nie bardzo. Opowieść, którą tutejsze zbiorowe *superego* wypchnęło poza obręb tego, co by się chciało pamiętać. Jednak: „Nie bądź bezpieczny – poeta pamięta". Coś w tym rodzaju, chociaż niezbyt ściśle. W formie pisemnej utrwalił ją bodaj tylko Kraszewski. (Dzięki temu się uchowała – żeby kłuć nas w oczy.) Uczynił to w powieści *Krwawe znamię*, którą opublikował we Lwowie w 1878 roku. Mieliśmy duże szczęście, że istniał ktoś taki, jak on, bo gdyby go nie było, nasza obecność w literaturze – aż do czasu Czechowicza – byłaby mniej niż śladowa. Gdzie jak gdzie, ale w Lublinie poklepywać po ramieniu Kraszewskiego – że niby ilość, co nie przeszła w jakość – po prostu nie wolno. Nasze miasto znalazło się w wielu jego utworach, bardzo wielu. Narobił się przy nas – gęsim piórem – za parę pokoleń polskich literatów. Doceniło w swoim czasie tę jego niewymierną zasługę miasto – po książęcu. Opowiem o tym później. Mamy też jednak

Płaskorzeźba na ossuarium świętomichalskim. Fot. M. Skrzypek.

Nie pomylimy się, aczkolwiek nie ma żadnego podpisu, gdy rozpoznamy w tych wyobrażeniach bezpośrednie odniesienie do osoby Sebastiana Klonowica. Z licznej i anonimowej zbiorowości zmarłych nasze miasto postanowiło wydobyć postać najznaczniejszą. Piotr, mówmy otwarcie, przybłęda przecież, nie mógł żadną miarą konkurować z miejscowym poetą i patrycjuszem

Daas, s.53.

Nie mogę powiedzieć, że świętomichalskie ossuarium odznacza się oszałamiającą urodą plastyczną. [...] Całość ma zatem kształt niewielkiej piramidy. To dobry, jak wiadomo, kształt dla budowli, która pragnie zachować i przenieść w wieczność to, co uległo zniszczeniu.

Daas, s. 53.

Ossuarium świętomichalskie z otoczeniem. Fot. M. Skrzypek

Kościół pw. św. Pawła przy klasztorze oo. bernardynów. Fot. M. Skrzypek.

Otóż dokonała się tam rzecz wprost niesłychana: do położonego w samym centrum miasta kościoła wszedł ze swoją świtą człowiek w czerwieni w bialutki dzień nie oglądając się na nic i na nikogo, odprawił przed głównym ołtarzem jakieś dzikie oraz absolutnie heretyckie modły.

Daas, s. 79.

W kościele świętego Pawła jest tablica nagrobkowa rycerza, który umarł w Lublinie a wywodził z Rusi Zakarpackiej. Widnieje na niej napis dwujęzyczny: grecki, wskazujący na jego wschodnie pochodzenie i transkrypcja łacińska. Jest też przekład polski, żeby pokazać tę wielojęzyczność, wieloprzynależność. Zachować jakiś ślad. To wbrew pozorom nigdy nie było łatwe.

Daas, s. 166.

Nagrobek rycerza z trójjęzyczną inskrypcja w kościele pw. św. Pawła przy klasztorze oo. bernardynów. Fot. M. Fedorowicz.

z Kraszewskim dużego pecha, ponieważ jego lubelskie powieści nie były wznawiane od XIX wieku i w konsekwencji mało kto je tutaj zna. Tym bardziej że kompletu tych pierwodruków nie posiada żadna z miejscowych bibliotek. Dlatego wyjmuję z jego powieści poniższą historię. Ale najpierw – nie mogę tego sobie odmówić – chcę jeszcze wyprowadzić z przypadku Kraszewskiego (proponuję nazwę: *casus Kraszewski*) niewielki w sumie morał. Na dobrą sprawę nie miał Kraszewski powodu, żeby nas promować w literaturze. Miał natomiast powody, aby nas raczej nie promować. My go nie wypromowaliśmy, więc zobowiązań nie miał. Jednakże – po kolei. Kraszewski był w Lublinie tylko przez jeden rok szkolny (1826/1827) i ten jego dość krótki pobyt zakończył się wprost katastrofą: nie zdał do następnej klasy. Prymusem zatem przyszły pisarz nie był, zamiast wkuwać szkolne przedmioty, oglądał zabytki, lecz przysłużył się nam bardziej niż wszyscy miejscowi prymusi razem wzięci, bo z nich to my, jak dotąd, pożytków szczególnych nie mamy. Tak więc lokalne doświadczenie historyczne każe nam zwracać baczną uwagę na repetentów – mogą zrobić dla promocji miasta znacznie więcej, niż byłby w stanie przewidzieć najbardziej przewidujący pedagodzy.

A teraz historia, którą przytacza Kraszewski w *Krwawym znamieniu*, zapewniając, że jest autentyczna – zapoznał się z nią podczas tego niefortunnego (ze szkolnego punktu widzenia, oczywiście) roku w Lublinie. Pięćdziesiąt lat jej nie ujawniał! Rzecz dosyć dziwna, gdyż umieścił ją w powieści, której akcja nie rozgrywa się bezpośrednio w mieście: wsie podlubelskie są jej terenem. Dlaczego nie pojawiła się w jego wcześniejszych, ściśle lubelskich, utworach? Nie pamiętał o niej? Czy przypomniał ją sobie dopiero wtedy, gdy miasto ofiarowało mu pewien symboliczny prezent, ponieważ ma ów prezent związek z tą historią? Może było odwrotnie, może dostał ten prezent po ogłoszeniu powieści? Jak widać, już na tym poziomie mamy do czynienia z zagadką, którą bez specjalnych studiów trudno rozwiązać. Opowieść dotyczy kościoła św. Michała, co nadaje jej od razu wyjątkową rangę. Wśród faktów i legend, jakie oplatały tę zrodzoną z książęcej wizji świątynię, krążyła też w Lublinie przez stulecia uporczywa pogłoska, że hojny fundator, książę Leszek Czarny, postarał się ją zabezpieczyć materialnie również na przyszłość ukrył mianowicie gdzieś w jej wnętrzu wielki skarb, który miał zostać użyty, gdyby anielski kościół znalazł się w jakiejś nadzwyczaj dramatycznej sytuacji. Niektórzy utrzymywali, że zakopał go w najbardziej symbolicznym miejscu kościoła – pod głównym ołtarzem, w pobliżu pnia dębowego, pod którym objawił mu się anioł. Jak wiadomo, ukryty skarb ma to do siebie, że rozpala wyobraźnię i budzi gwałtowne namiętności. Jest potężnym wyzwaniem i prowokuje do poszukiwań. Tak było i w tym wypadku. Do akcji wkroczyli poszukiwacze tej miejscowej odmiany zaginionej Arki. Albo – jeśli wola – św.

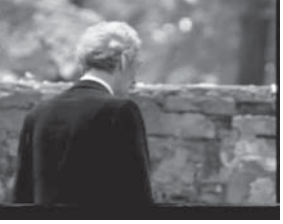

Graala. Obydwa motywy i pasje za nimi skryte są wszak niemal bliźniaczo podobne. Czechowicz, który zresztą, jak mi się wydaje, nie znał tej historii, napisał w debiutanckiej *Opowieści o papierowej koronie*: „Jadę na szukanie Graala, a może otchłani"... I otchłań ze św. Graalem otworzyła się w Lublinie. Wielu do niej zaglądało, lecz długo bez widocznego skutku. Wreszcie – nie wiadomo jednak dokładnie kiedy – na trop skarbu trafił zakrystianin od św. Michała. Rzeczywiście znajdował się w podziemiach kościoła – obok naznaczonego objawieniem anielskim dębowego pnia. Podzielił się swoim odkryciem z proboszczem i razem zabrali się do roboty. Wydobyli skrzynię, ale nie zdołali jej otworzyć, ponieważ posiadała trzy zamki, które wymagały równoczesnego otwarcia. Chcąc nie chcąc, musieli powiększyć krąg wtajemniczonych i do pomocy zaangażowali ślusarza, który uchodził za specjalistę od zamków. We trzech także nie poszło im gładko. Skrzynia uparcie broniła swej tajemnicy. Może z chciwości drżały im ręce? Biedzili się parę tygodni. Kiedy ją w końcu otworzyli, czekał ich olbrzymi zawód, bo zamiast kosztowności i pieniędzy, jakich się spodziewali, zobaczyli mały relikwiarzyk, pozłacany, lecz silnie już zaśniedziały, i pergaminową karteczkę. Dowiedzieli się z niej, że relikwiarz zawiera niezwykle drogocenny skarb, lecz w zupełnie innym wymiarze niż myśleli: był tam kawałek szaty Chrystusa, którą zabrali żołnierze rzymscy. Relikwię tę podarował księciu jakiś anonimowy krzyżowiec, a ten uznał, że najlepszym dla niej miejscem będzie nasza archanielska świątynia. Co się dalej stało z tą relikwią po świętokradczym czynie tych trzech nikczemników – nikt nie wie. Znikła i znikła też pamięć o niej. Wiadomo tylko, że zabrakło jej tu, gdy kościół św. Michała faktycznie znalazł się w potrzebie. Gdyby w nim spoczywała, nikt nie odważyłby się go rozebrać. Zaprawdę skarby duchowe, których nie umiemy ocenić w naszym mieście, są ważniejsze niż wszystkie wyobrażane bogactwa materialne.

A Kraszewski dostał w prezencie od miasta kawałek tego dębu, co znajdował się pod świętomichalskim ołtarzem. Może warto go poszukać? Wybierzesz się ze mną na poszukiwanie tej otchłani?

Szkice
na urodziny Czechowicza

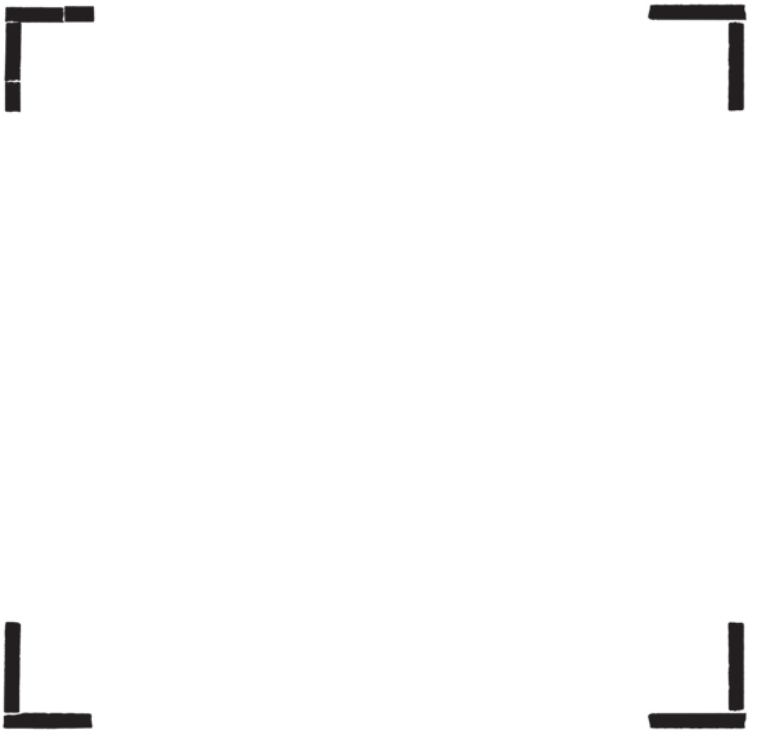

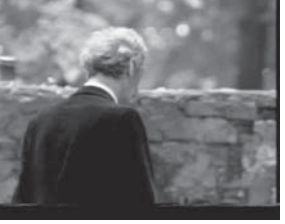

„...miejsce mojego urodzenia będą zwiedzali"

Szkic topograficzny na urodziny Józefa Czechowicza*

że pod kwiatami nie ma dna
to wiemy wiemy

Józef Czechowicz, *Modlitwa żałobna*

Pewnego razu powiedział do kuzynki: „Zapewniam cię, że jeszcze kiedyś miejsce mojego urodzenia będą zwiedzali." Otóż – nie, nie będą. Nie ma co i nie ma jak. Niestety, wypełnienie tej przepowiedni poety, jeśli rozumieć ją dosłownie, nie jest dzisiaj możliwe. Owszem, od kilkudziesięciu lat przychodzą na ten teren liczne tłumy, lecz przecież nie w charakterze pielgrzymów owładniętych pragnieniem dotknięcia stopą miejsca narodzin jednego z największych poetów polskich. Wprost przeciwnie: tylko bardzo nieliczni ludzie w ogóle kojarzą ów fragment miasta z Czechowiczem. Prawdę mówiąc, nawet nie ma gdzie tu umocować tablicy pamiątkowej i nie ma gdzie położyć urodzinowej róży.

Gdyby jednak znalazł się ktoś wyjątkowo uparty i zarazem odpowiednio przedsiębiorczy, mógłby przybliżyć się nieco do tego punktu w przestrzeni, gdzie przyszedł na świat poeta, ale na odległość nie bliższą niż jakieś trzy metry. Po prostu – bliżej się nie da podejść. Te trzy metry są dla nas tak samo nie do pokonania, jak owe słynne trzy minuty, jakie dzielą uczonych od uchwycenia absolutnego początku wszechświata. Coś w tym jest... Czyżby akurat w tej sprawie pomylił się ten, który dokładnie przewidział prawie wszystko: zarówno okoliczności własnej śmierci („bombą trafiony"), jak i swój poetycki los pośmiertny („i tak kiedyś zaleje sława ciemnym złotem grób")?

Miejsce, którego nie ma

Lecz wielcy poeci nigdy się nie mylą. On – również. Bo od czego jest wyobraźnia, jeśli nie od zwiedzania przestrzeni, które są niedostępne w realnej rzeczywistości? Jej odrobina wystarczy nam, żeby rozpocząć wirtualną wizję lokalną. Więc zamiast róży, której nie mam gdzie położyć, układam skromny szkic o miejscu, w którym chciałbym ją położyć.

Swój poetycki autoportret zaczął od ważnego dla siebie – i dla nas – oświadczenia: „stanąłem na ziemi w Lublinie."

Wydarzyło się to 15 marca 1903 r. o godz. 9.30 w suterenie oficyny przy ul. Kapucyńskiej 3. Cała zapisana pod tym adresem nieruchomość stanowiła własność warszawskiego Banku Handlowego i ów podziemny lokal został przydzielony ojcu poety jako mieszkanie służbowe, ponieważ pracował w tejże instytucji na stanowisku woźnego. Wiemy zatem, gdzie urodził się Czechowicz, ale ta nasza wiedza jest zupełnie abstrakcyjna, albowiem tego miejsca nie ma już w Lublinie od dawna. Zagłada nastąpiła 9 września 1939: podczas tego samego bombardowania zginął zarówno poeta, jak i dom, w którym stanął na ziemi. Jakby działały tu jakieś demoniczne siły, które sprzysięgły się, aby zabić artystę i równocześnie zetrzeć z powierzchni ziemi wszelki po nim ślad! Dalsza historia Kapucyńskiej 3 – to kontynuacja owego demonicznego procederu, gdyż powojenni budowniczowie w pewnym sensie domknęli dzieło wojennych bu-

* Władysław Panas, *Miejsce mojego urodzenia będą zwiedzali. Szkic topograficzny na urodziny Józefa Czechowicza*, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 63, 15 marca 2001, s. 8; Dodatek specjalny: „Gazeta na urodziny poety".

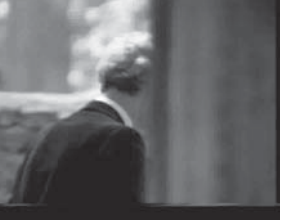

rzycieli. Dwa posunięcia miały pod tym względem decydujące znaczenie: zmiana nazwy ulicy i wybudowanie w miejsce zniszczonych kamienic dużego domu towarowego (obecna Galeria Centrum), który swym masywnym cielskiem przykrył nie tylko teren po byłej Kapucyńskiej 3, lecz również sporą część sąsiednich nieruchomości. I w taki oto sposób ostatecznie unicestwiono nawet tę pustą przestrzeń, jaka pozostała po domu, w którym urodził się Czechowicz.

A można było ją zachować, chociażby w formie niewielkiego placyku, bo miejsca pod budowę nie brakowało! Wystarczyło jedynie przesunąć budowlę do Krakowskiego Przedmieścia. Tam gdzie Czechowicza doścignęła śmierć, postawiono pomnik i najwidoczniej uważano, że gestem tym miasto już w dostatecznym stopniu wywiązało się z obowiązku upamiętniania swego największego artysty. „Cóż po poecie w czasie marnym?" – pytał niegdyś inny poeta i jest to dobry komentarz także dla naszej tutejszej historii. Na szczęście mamy jego poezję, której nie da się zepchnąć w cień. Napisał: „wiersze o mnie walczą". Skutecznie.

Na planach dwie sutereny

Jak teraz w tej przestrzeni spustoszonej, aczkolwiek zabudowanej kompletnie, ustalić, gdzie mogła znajdować się Czechowiczowska suterena?

Musimy się tym zająć nie tylko z powodów czysto erudycyjnych. Jeśli bowiem nasze zadanie wykonamy rzetelnie, z maksymalną na jaką nas tylko stać precyzją, będzie to również swoisty akt ekspiacji za różne uchybienia, jakich dopuściliśmy się wobec poety. Wszak pamiętamy lekcję Simone Weil, która zwróciła nam uwagę na pokrewieństwo, jakie łączy porządne studia i modlitwę. Trzeba wreszcie wziąć do ręki stare i nowe plany, rozmaite dokumenty i relacje, trzeba przyjrzeć się im i przeczytać – to powinno nas doprowadzić do owej mitycznej sutereny.

Wykonuję wszystkie te czynności bardzo dokładnie i stwierdzam, iż rzecz nie przedstawia się tak prosto, jak mi się na początku wydawało. Okazuje się, że w materiałach tych nie ma żadnej ścisłej lokalizacji podziemnego mieszkania Czechowiczów. Pod oficyną były dwie sutereny, ale w której z nich urodził się poeta? Nie wiem. Zatem moja pilność nie doczekała się nagrody? Rozpacz. I kiedy zaczynam już prawie nienawidzieć jego przyjaciół za brak pedanterii, bo w swoich wspomnieniach opisali tę piwniczną izbę, lecz nie zlokalizowali jej precyzyjnie, z pomocą przychodzi mi w końcu sam poeta. Po śmierci matki (25 kwietnia 1936) Czechowicz spisał na kilku kartkach garść podstawowych faktów dotyczących rodziny. Tu właśnie odnajduję jakiś konkretniejszy trop.

W większej czy mniejszej

Czytałem te notatki wielokrotnie, ale dopiero niedawno zauważyłem, że następujący zapis może mnie do czegoś doprowadzić: „Urodził się w suterenie, w tej samej, w której zmarła jego matka". Tak pisze o sobie Czechowicz i jest to informacja ogromnie ważna. Teraz należy jedynie dowiedzieć się, gdzie mieszkała w 1936 roku jego matka. Lecz i z tym także mam kłopot. Z kartki, jaką poeta wysłał do matki w lecie 1935 r., poznaję jej dokładny adres: ul. Kapucyńska 3 m. 8. Która suterena miała taki numer? Są znakomite plany architektoniczne opisujące nieruchomość przy ul. Kapucyńskiej 3. Wykonano je we wrześniu 1903 roku, jakby specjalnie, żeby od razu, w parę miesięcy po urodzeniu Czechowicza, utrwalić chociaż w takim zakresie to miejsce, które zniknie w przyszłości. Rosyjskie napisy, solidna robota, wszystko niemal widać, jeśli umie się je czytać, jednak numeracji poszczególnych lokali oczywiście tam nie ma. Numer miesz-

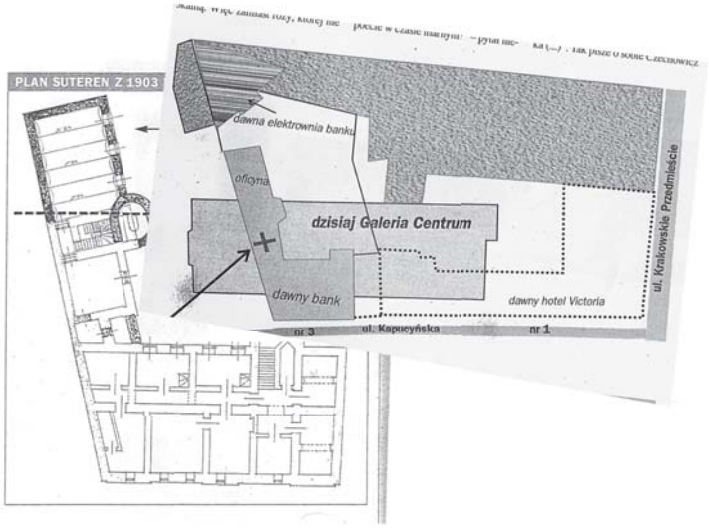

Plany kamienicy przy ulicy Kapucyńskiej 3 z 1903 roku towarzyszące *Esejowi semiotycznemu* Władysława Panasa w „Gazecie Wyborczej". Krzyżyk na drugim z nich wskazuje domniemane miejsce urodzenia Czechowicza. Faktycznie urodził sie on w suterenie pod samą kamienicą a nie pod jej oficyną (zob. „Scriptores" nr 31, s. 127-128).

Widok na nieparzystą część ulicy Kapucyńskiej z kamienicą przy Kapucyńskiej 3, w której mieszkał Czechowicz. Pocztówka z przełomu wieków. Ze zbiorów Zbigniewa Lemiecha. Archiwum TNN.

Ulica Kapucyńska, widok z ulicy Krakowskie Przedmieście. Pocztówka z 1912 roku. Ze zbiorów Zbigniewa Lemiecha. Archiwum TNN.

Ulica Kapucyńska dziś. Fot. M. Skrzypek.

kania wiedzie mnie więc w ślepy zaułek, całkiem, jak ten Czechowiczowski z elegii uśpienia: „zwija się zaułek zagubiony we własnych załomach".

Kolejne przęsło informacyjne również znajduje się we wspomnianych wyżej notatkach poety. Przy roku 1911 napisał: „Mieszkamy znowu w suterenie, tej wielkiej, w której w r. 1936 jest skład hurtowni aptekarskiej". Oto komplet elementów do mojej Czechowiczowskiej układanki i każdy czytelnik niniejszego, wykonując elementarną pracę myślową, może je samodzielnie uporządkować. Opuszczam zatem pośrednie ogniwa rozumowania i podaję wynik końcowy: Czechowicz urodził się w tej suterenie, która była mniejsza. Jej adres pocztowy: ul. Kapucyńska 3 m. 8 (w oficynie). Nie taję, że istnieje także relacja, która – gdyby była wiarygodna – podważałaby to ustalenie, gdyż wynika z niej, że w ostatnich latach życia matka poety przeniosła się z oficyny do sutereny w kamienicy frontowej. Jednak dokumenty z 1936 r. (ankieta ówczesnego Zarządu Miasta) dość jednoznacznie wykluczają taką możliwość. Świetne plany z 1903 r. nareszcie się przydają, widać bowiem na nich doskonale, która z dwóch interesujących nas suteren w oficynie jest większa, a która mniejsza.

***

Jesteśmy w Galerii Centrum i idziemy do umieszczonego na parterze stoiska z galanterią skórzaną. Na półkach eleganckie walizeczki, portfele, teczki... Między tą elegancją europejską są w ścianie drzwi, zwykłe drzwi ze zwykłym napisem, który informuje nas, że dla osób postronnych wstęp wzbroniony i że wejście tylko dla personelu. Za tymi drzwiami, jak to na zapleczu, kończy się elegancja i zaczyna jakaś klatka schodowa, jakiś korytarzyk lub magazynek, jakaś rampa. I właśnie za tymi drzwiami, których nie możemy przekroczyć, tuż za progiem, wśród pospolitego otoczenia, jest ten magiczny punkt, gdzie trzy metry pod ziemią urodził się niezwykły poeta. O złożonej bardzo bogatej symbolice jaką ewokuje to miejsce i jego dramatyczna historia – opowiem kiedy indziej. Dzisiaj zatrzymuję się przed zamkniętymi drzwiami. Za nimi – tajemnica. Więc niech jeszcze przez chwilę będą zamknięte...

Kapucyńska 3: dwa obrazki

Szkic semiotyczny na urodziny Józefa Czechowicza*

To nie koncepcje szukają scenicznej oprawy, to miejsce wyprowadza na jaw dzieje, postacie, loty, upadki.

Józef Czechowicz, *Czekając na autobus*

* Władysław Panas, *Kapucyńska 3: dwa obrazki. Szkic semiotyczny na urodziny Józefa Czechowicza*, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 2, 15 marca 2002, s. II; Dodatek specjalny: „Gazeta na urodziny poety".

Że jest to miejsce magiczne – kolejne w naszym mieście – nie ulega wątpliwości. Tu podarowano mu życie, tu zaczął odkrywać tajemnicę sztuki. Intryguje mnie ów mały punkcik w czasoprzestrzeni, w którym objawił się na tym świecie ktoś tak bardzo niezwykły.

Chciałbym o nim wiedzieć o wiele więcej niż wiem, najlepiej wszystko, nawet więcej niż wszystko. Wydaje mi się, że jak będziemy wpatrywali się uważnie w ten punkt i jego najbliższe otoczenie, to może przybliżymy się nieco do podstawowej zagadki: skąd mianowicie wziął się akurat w Lublinie – i zdołał w nim przetrwać – taki artysta? Wszak nic go nie zapowiadało. Warunki domowe – wyjątkowo tragiczne. Wykształcenie – nader skromne. Atmosfera kulturalna miasta – mocno rozrzedzona. Przecież żadna masa krytyczna nie została wtedy w lubelskiej kulturze przekroczona, nie nastąpiła też jakaś reakcja łańcuchowa w tutejszej sztuce, która uzasadniałaby aż taki wybuch talentu, sejsmografy nie zarejestrowały również znaczących wstrząsów intelektualnych w miejscowej glebie. Nic. „Prowincja noc" – napisze Czechowicz o wiele lat później. Ale może trzeba wypatrywać na tutejszym niebie (i ziemi także) całkiem innych znaków? Takich zwłaszcza, które wcale na znaki nie wyglądają?

Policmajster czy czarodziej?

Tyle wiemy: urodził się w niedzielę 15 marca 1903 roku o godz. 9.30 na ulicy Kapucyńskiej 3 w suterenie oficyny oznaczonej numerem 8. A inne wydarzenia tego wielkiego dnia w Lublinie? Czy były wśród nich takie, w których moglibyśmy dostrzec chociaż blady cień jakiejś symboliki nawiązującej do narodzin przyszłego poety? Wiadomości o zjawiskach absolutnie nadzwyczajnych nie oczekujemy – meteoryt tunguski spadnie na ziemię dopiero za parę lat, kometa Halleya przeleci przez niebo także w późniejszym terminie. Zadowolilibyśmy się, mówiąc trochę żartobliwie, informacją o dwugłowym cielęciu, które urodziło się na jednym z lubelskich przedmieść. Każda szczypta niezwykłości, każdy okruch cudowności – wystarczy.

Czytam więc pilnie pod tym kątem (jedyny wówczas dziennik) „Gazetę Lubelską", która w podtytule wiele obiecuje: „Pismo Codzienne Rolniczo-Przemysłowo-Handlowe i Literackie". Na tę jej literaturę, która jest raczej „litwaturą", spuszczam natychmiast zasłonę miłosierdzia. (Na prawdziwą sztukę słowa lubelskie gazety będą musiały czekać aż dziecko z Kapucyńskiej dorośnie). Oto pełna lista wydarzeń z niedzieli 15 marca 1903 roku w naszym mieście:

W niedalekim kościele Panien Brygidek (nazywanym zresztą z uporem iście lubelskim kościołem Powizytkowskim) o godz. 18 rozpoczęły się rekolekcje dla mężczyzn, które prowadzi ks. Leon Wydżga. To dla ducha, przecież jest niedziela.

Są również przyjemności natury, że się tak wyrażę, estetycznej. Po sąsiedzku niemal, na Kapucyńskiej 7, w sali Towarzystwa Muzycznego o godz. 20.30 mamy koncert popularnych pieśni w wykonaniu Aleksandra Bandrowskiego, który przyjechał do nas wprost z Kijowa, gdzie odniósł oszałamiający sukces. Poniedziałkowa „Gazeta" daje entuzjastyczne sprawozdanie z tej imprezy: że „cały Lublin", że palpitacja serduszek, że rozpromienione oczy, że hołdy wszelakie, że..., że... Muszę obiektywnie przyznać, że ówczesny sprawozdawca, czyli protoplasta po piórze (lepiej: piórowy przodek?) dzisiejszych recenzentów lubelskich gazet, nie odznaczał się skąpstwem w zakresie dystrybucji rozmaitych epitetów i przymiotników.

Na tym tle niedzielna oferta teatru prezentowała się słabo: komedia w czterech aktach zatytułowana *Nadczłowiek*, której autorem był niejaki H.M. (pewnie płód samego dyrektora tej instytucji Henryka Mrozewicza).

To propozycja dla elity. Tak zwana szeroka publiczność mogła natomiast pójść do objazdowego fotoplastikonu pana Kaczurby, który przygotował na ten dzień fotografie z Japonii i Kalifornii.

Sztuka sztuką, lecz ciało też ma swoje potrzeby i rodzina Czechowiczów powinna coś zjeść. Są biedni, więc nie zwracamy uwagi na restauracje i drogie sklepy. Proszę bardzo, mamy dyżurne jatki: nr 5 i nr 11. Jedna należała do Jankla, druga do Berka. (Niestety, nazwiska obydwu są nieczytelne).

I to już wszystko. Nie wiem jak kto, lecz ja nie dostrzegam tu niczego szczególnego. Nie mamy chyba innego wyjścia, jak tylko przyjąć w charakterze konkluzji słowa Czechowicza z wiersza *Przemiany*:

przez zepsucie się małej sprężynki
spadłeś piękny meteorze
na zupełnie inną planetę

Spadł w samym środku miasta, a tu – tyle co nic. Zero magii, zero cudowności. Ani grama poezji. Chociaż, jeżeli się dobrze zastanowić i przyjrzeć się dokładnie swoim własnym notatkom... Że też tego wcześniej nie zauważyłem. Chyba jednak mamy pewien trop prowadzący do krainy i baśni, i magii, i poezji. Wiem, że głupio wypadnie, lecz jedyna niezwykłość, jaką udało mi się w tamtych czasach wypatrzyć – to lubelski policmajster! Oczywiście, profesja na wskroś prozaiczna, wolno nawet powiedzieć – marna. Ale nazwisko – czysta poezja i czysta bajka! Pan policmajster nazywał się Merlin, kapitan Merlin. Jak wiadomo, tak też brzmiało nazwisko potężnego czarodzieja, który był doradcą króla Artura. Skoro król Artur, to i święty Graal. No, no... Z celtyckich legend do Lublina! I ten mundurowy kamuflaż. Ciekawe, kto go tu faktycznie przysłał – Ministierstwo Wnutriennych Dieł czy instancja bardziej metafizyczna? A prawdziwy cel jego misji? Merlin, święty Graal, Czechowicz... Urodzinowa fantasmagoria – tak myślicie. Proszę jednak pamiętać, że są na niebie i ziemi rzeczy, o których nie tylko filozofom się nie śniło. Jeżeli chodzi o mnie, teraz zaczynam rozumieć, dlaczego chłopcu nic się nie stało podczas strzelaniny na Kapucyńskiej. A trafiła go przecież kula!

Ale po kolei. Przez całe życie towarzyszył Czechowiczowi obraz dramatycznego wydarzenia, które stało się jego udziałem we wczesnym dzieciństwie. Na trzy lata przed śmiercią opisał tę scenę w notatkach nieprzeznaczonych do publikacji. Jest rok 1905, może 1906 – tak lokalizuje w czasie to wydarzenie. Miejsce akcji: rzecz jasna Kapucyńska 3. Czytamy:

„Stanęliśmy z ojcem przed bramą domu. A ta brama wówczas była drewniana. Nagle w ulicy rozległy się krzyki i strzały. Uciekający Kapucyńską rewolucjonista czy opryszek strzelał na oślep z rewolweru w tył. Policjanci zasypywali go w biegu dosłownie gradem kul. Nim ojciec oprzytomniał, nim skrył się w bra-

mie, pociągając mnie za sobą, usłyszałem brzęk. Kula rozbiła szybę tuż obok nas, w pierwszym oknie sali bankowej. Następna wplątała mi się w sukienkę, urywając mi rąbek. Nic mi się nie stało. Ani ojcu."

Nie muszę chyba dodawać, że strzelali ludzie Merlina. To pierwszy obrazek z Kapucyńskiej. Wyrazisty, chociaż cudowny. Może dlatego, bo dotyczy życia. Podarowanego. Prolongowanego na trzydzieści kilka lat.

A może liliowe powieki?

Obrazek drugi jest zamglony. Może dlatego, bo dotyczy wtajemniczenia w sztukę. Zamglony jak nieistniejąca prawa strona Kapucyńskiej. Zwłaszcza Kapucyńska 3. Owszem, rogi ulicy fotografowano dość często, ponieważ znajdowały się na nich ważne i interesujące budowle. Róg Kapucyńskiej i Krakowskiego Przedmieścia: hotel Victoria. Róg Kapucyńskiej i Namiestnikowskiej (dzisiaj: Narutowicza): teatr. Ale dwie kamienice między tymi obiektami – numer 3 i 5 – nie wydawały się godne obiektywu. Ulokowany na parterze Kapucyńskiej 3 Bank Handlowy najwidoczniej nie wzbudzał dostatecznie silnych emocji wśród lubelskich fotografów. Stąd też z wielkim zainteresowaniem przyglądamy się karcie pocztowej, którą przed 1914 rokiem wydał warszawski nakładca Konstanty Wojutyński, albowiem jest to najprawdopodobniej jedyna upubliczniona fotografia pokazująca kamienicę, gdzie w oficynie urodził się Czechowicz. Naturalnie, widzimy tylko fasadę kamienicy frontowej, lecz dobre i to. Właśnie przed nią rozegrała się ta scena, którą opowiedział poeta. Tak wygląda zatem magiczne miejsce. Że odrobinę rozczarowuje? Nic dziwnego, gdyż magii nie da się utrwalić na fotografii.

Wiem coś jeszcze o tej kamienicy frontowej. Tego już nie zobaczymy na fotografii. Mikroskopijny (dwie linijki!) ślad zachował się tylko w wierszu Czechowicza. Ale musiał mieć dla niego znacznie większe znaczenie. Być może decydujące. Daleko posunięta dyskrecja poety i mnie zobowiązuje do oszczędności. Opowiem o tym możliwie najkrócej. Otóż na pierwszym piętrze kamienicy mieszkał znany malarz lubelski Konstanty Kietlicz-Rayski z żoną Teresą, która była córką dyrektora Banku Handlowego Tadeusza Piotrowskiego. Co do urody żony malarza są dwie wersje: jedna mówi, że była ekscentryczna i piękna, druga zaś, że niekoniecznie. Wybieram tę pierwszą i chętnie wyobrażam ją sobie jako kobietę z obrazów Gustawa Klimta (mąż malowałby ją gorzej), bo chciałbym, aby dziecko z brzydkiej sutereny mogło od czasu do czasu zobaczyć kogoś pięknego. I taką też ją chyba widział. W pierwszej z dwu wspomnianych wyżej linijek napisał, kiedy był już dorosły:

pani na pierwszym piętrze ma
powieki płatki liliowe

Te liliowe powieki są zapewne wspomnieniem dziecięcego doświadczenia niezwykłego piękna. Przechował to odczucie przez całe życie. Lecz nie obyło się tu bez bólu – rzeczywistego, aczkolwiek wiązał się zaledwie ze sztuką, ze sztuką malowania powiek. W drugiej linijce napisze bowiem tak:

gdym poznał że malowane jakże
dusiły łzy

Z takiego powodu może rozpłakać się tylko chłopiec, który zostanie w przyszłości poetą. Chłopiec, który już w dzieciństwie poznał, że piękno jest efektem jedynie umiejętnej kreacji. Czy w tamtym momencie zrodziła się w nim pokusa, żeby robić mniej więcej to samo, co pani z pierwszego piętra? Możliwe. Pewności jednak nie mam. Pewne jest, że działo się to wszystko w magicznym miejscu: na Kapucyńskiej 3.

„tu mnie skrzydłem uderzyła trwoga"

Szkic traumatyczno-estetyczny na urodziny Józefa Czechowicza

Przecież wiem, kiedy i gdzie dokładnie pojawił się w naszym mieście, a jednak ciągle, prawie do znudzenia, powtarzam te informacje niczym jakąś magiczną formułę: w niedzielę 15 marca 1903 roku o godz. 9.30 na ulicy Kapucyńskiej 3 m. 8 – w suterenie oficyny.

Władysław Panas, *„tu mnie skrzydłem uderzyła trwoga". Szkic traumatyczno-estetyczny na urodziny Józefa Czechowicza*, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 3, 15 marca 2003, s. 2; Dodatek specjalny: „Gazeta na urodziny poety".

Nikogo nie powinna dziwić ta moja monotonna mantra, która jest także i Twoją, czyli naszą wspólną, wszak chodzi o najważniejszy fakt w dziejach tutejszej sztuki. Od tego bowiem momentu i z tego miejsca zaczął się nasz artystyczny awans. Wreszcie i my również doczekaliśmy się – po stuleciach mizerii – swojego prawdziwie wielkiego poety.

Stale więc wracam do owego początku, aby tam szukać jakiegoś wyjaśnienia dla jego wrażliwości i wyobraźni. Bo jeśli zapytać, skąd wziął się właśnie taki jak on artysta, odpowiedź ogólna będzie następująca: ależ wiadomo skąd! Z suteryny na Kapucyńskiej! No, tak, lecz cóż to w szczegółach znaczy?

Jak z Dostojewskiego

Nie ma rady – trzeba wyobrazić sobie tę suterenę. Ze wspomnień przyjaciół Poety wyłania się jej obraz. Ponury. Może nawet straszny. Kto ma klaustrofobię, niech raczej tam nie wchodzi. To niezmiernie ciasne pomieszczenie jest położone dość głęboko pod ziemią. Korytarzyk prowadzący do niego też jest bardzo wąski. Schody także. W wilgotnym i zimnym mroku, gdyż przez wszystkie te piwniczne izby przechodzą – na różnych wysokościach – rury kanalizacyjne. Stanowią one dodatkową i nie byle jaką przeszkodę w poruszaniu się po tych ciasnych i ciemnych norach. Dobre lokum dla nietoperzy ale nie dla ludzi. Krypta grobowa i loch więzienny – równocześnie. Dorzućmy jeszcze do tego obrazu specyficzny akompaniament dźwiękowy: hydrauliczną kakofonię. W rurach tych bowiem, jak to w rurach, nieustannie coś bulgotało, rzęziło, chrobotało, stukało, szumiało, syczało...

Jeśli teraz przestrzeń tę nasycimy jeszcze dodatkowo (czy jesteśmy w stanie?) wyobrażeniami niedostatku, choroby, szaleństwa i śmierci, będziemy mieli pewien zarys świata, w jakim upływało dzieciństwo Czechowicza. Świata mrocznego – wielorako. Jak w powieściach Dostojewskiego. Na szczęście nie cała prawda o Czechowiczu zawiera się w tych przygnębiających obrazach i w jego późniejszej biografii nie znajdziemy żadnego podobieństwa do postaci z utworów rosyjskiego pisarza: nie został człowiekiem z podziemia, nie dołączył do biesów, nie był nawet idiotą... Wyrwał się z ciemnych podziemi i wstąpił w jasność: został poetą. I to wcale nie przeklętym, lecz po prostu – wybitnym.

Jak z Andersena

W takim razie powiem o nim trochę inaczej. Otóż sytuacja Czechowicza przypomina mi sytuację jaskółki ze znanej baśni Andersena. Pamiętasz tę ranną jaskółkę? Spadła biedaczka na ziemię prawie martwa, ale jakimś – a jednak! – cudem znalazła się w kreciej norze. Długo była nieprzytomna, lecz w końcu udało się ją odchuchać i powróciła do zdrowia. Całą zimę spędziła w krecim

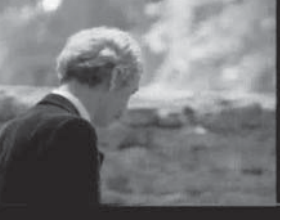

mieszkaniu. Aż nadeszła wiosna i wtedy odleciała, do świata jasnego i ciepłego, wolnego i rozległego... Nie było dobrze jaskółce w podziemnej krainie – to oczywiste. Oczywiste jest jednak i to także, iż właśnie ta ponura nora ocaliła jej życie. Taki mamy tu bilans strat i zysków. (...)[1]

Niestety, również analogie z baśnią Andersena nie obejmują całej prawdy o Czechowiczu. Jest on wprawdzie mniej ponury niż Dostojewski, ale za to bardziej smutny niż Andersen. Nic nam bowiem nie wiadomo, żeby Andersenowską jaskółeczkę cechował przysłowiowy jaskółczy niepokój – ślad jej traumatycznych przeżyć z przeszłości, które płynnie przechodzą w przeczucie przyszłości. A Czechowicza – tak. Miał coś takiego od samego początku. Być może jest tak dlatego, że baśniowa jaskółka była już jaskółką zanim trafiła do kreciej nory. Nora to tylko niewielki, chociaż przykry, antrakt w jej ptasiej egzystencji. Natomiast Czechowicz jako poeta narodził się właśnie w norze na Kapucyńskiej. Musimy zatem ponownie tam wrócić, żeby dokładniej przyjrzeć się podziemnemu dziecku.

Dziecko przerażone

Wszystko, co wiemy o najwcześniejszym dzieciństwie Czechowicza pochodzi z jego notatek, które spisał w 1936 roku. Sięga w nich zdumiewająco daleko w swoją przeszłość, bo do lat 1905-1906! To tylko kilka migawkowych wspomnień, ale skoro je zapamiętał i postanowił po tylu latach zapisać, musiały być dla niego szczególnie ważne. Już pierwsza notatka jest porażająca, chociaż z pozoru na taką nie wygląda: „Najdawniejsze wspomnienie: w zielonym ogródku wózek dzieciany, na którym siedzę wraz ze Stasiem. Pszczoła latała dokoła nas. Płaczę". Oto cały Czechowicz! Od początku aż po kres. W dziecięcym przeczuciu odsłoniła się, kompletna wizja jego losu i jego twórczości. Powie ktoś może, że nie ma tu niczego niezwykłego, gdyż dzieci boją się brzęczących owadów, które wokół nich krążą w niejasnych zamiarach. Słowem, banalne zdarzenie. Powtórzę więc raz jeszcze: gdyby tak było, Poeta nie wysunąłby czegoś takiego na czoło swoich najdawniejszych wspomnień. Przecież w tym zdarzeniu zaprogramowany jest cały jego poetycki świat, w którym sielanka (ogródek, dzieci, pszczółki) zderza się z czymś przerażającym, co zresztą nadchodzi z góry. Poetycki ekwiwalent tego dziecięcego odczucia lęku ma taką postać: „stanąłem na ziemi w lublinie / tu mnie skrzydłem uderzyła trwoga". W ten sposób zaczyna swój poetycki autoportret. W ten sposób zakończy się również jego życie i obraz skrzydlatej trwogi, która uderza go w Lublinie, będzie jego ostatnim na ziemi wspomnieniem.

Dziecko zachwycone

Że zobaczyliśmy na Kapucyńskiej przerażone dziecko, nie zaskakuje nas, bo wiemy, że źródeł jego lęku było aż nadto. Natomiast chyba bardzo zaskakuje nas fakt, iż w tym przerażeniu nie widać bezpośredniego związku ze światem podziemnym. Zostawiam jednak tę sprawę na boku, gdyż interesuje mnie w tym momencie coś innego: znaleźliśmy trwogę, a gdzie miejsce na poezję? O jakiejkolwiek sztuce w wypadku dwuletniego dziecka trudno sensownie mówić, ale o jakichś elementarnych doznaniach natury estetycznej możemy. I w notatce opisującej „najdawniejsze wspomnienia" mamy taki fragment:

„Pamiętam szary, stary płot ogródka. Okryty był jakimiś porostami liszajami, których się brzydziłem. Z drugiej strony podwórka, gdzie dziś murek oddzielający od hotelu »Victoria«, stał również płot, ale ładny, opleciony dzikim winem."

Jak widać, Czechowicz zapamiętał nie tylko swój lęk, lecz także swoje najdawniejsze odczucie estetyczne. Z ogródka w podwórku zejdziemy jednak do tej

[1] Zaznaczenie skrótu zgodne z pierwodrukiem.

okropnej sutereny i zobaczymy, czy tam też mógł doświadczyć czegoś podobnego. Obrzydliwych porostów pewnie w niej nie brakowało, ale na coś pięknego nie mógł chyba liczyć? Jeśli tak myślimy, to jesteśmy w błędzie. Oto fragment innej notatki z najdawniejszych wspomnień:

Ojciec prenumerował gazety. Także i tygodnik „Świat". Lampa naftowa paliła się na stole. Siedziałem na wysokim zielonym kufrze i oglądałem obrazki w „Świecie". Były niezrozumiałe, ale śliczne".

To już zachwyt czysto estetyczny – nie umie jeszcze czytać, nic z tego, co ogląda, nie rozumie, lecz czuje, że ma do czynienia z czymś pięknym. Tak jak czuł, siedząc w wózku, że trzeba się bać. Przerażenie i zachwyt lub też, może lepiej, wrażliwości miał Czechowicz „od zawsze" i one go będą dalej formowały. Kiedy bowiem zacznie je na siebie przekładać, zostanie poetą. Takim, jakim go znamy: nadającym swoim lękom poetycką urodę, odkrywającym w swoich zachwytach ciemny żywioł trwogi.

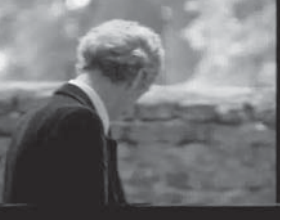

Poeta i książę

Szkic reinkarnacyjny na urodziny Józefa Czechowicza

byłem czym jesteś
jestem czym będziesz

Józef Czechowicz, *inicjał w błyskawicy*

Władysław Panas, *Poeta i książę. Szkic reinkarnacyjny na urodziny Józefa Czechowicza*, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 63, 15 marca 2004; Dodatek specjalny: „Gazeta na urodziny poety", s. 6-7.

Być może nadszedł już czas, pewności jednak nie mam, aby opowiedzieć o największej tajemnicy Józefa Czechowicza. Strzegł jej tak pilnie, że nawet jego przyjaciele nie mieli o niej najmniejszego pojęcia. A jeśli ocierali się o nią niechcący, to natychmiast wpadali w całą sieć mylnych tropów i pułapek zabezpieczających, które ich odprowadzały skutecznie w zupełnie innym kierunku.

Niewykluczone, że chronił ją również przed samym sobą i starał się nie dopuścić jej do swojej świadomości. Tropię ją od dosyć dawna, lecz niekiedy wydaje mi się, że ścigam swoją własną chimerę, zjawę wyprodukowaną przez śpiący rozum albo też – jak kto woli – nadmiernie pobudzoną wyobraźnię. W chwilach zwątpienia wstawiam tu słowo: chorą. Tylko poszlaki, jedynie mgliste zarysy faktów, które natychmiast rozwiewają się. Jak w *elegii uśpienia*: „piękne zjawy sennie kołują / w krwawych ciemnościach czaszki". Gromadziłem tę fantasmagoryczną dokumentację, ale długo traktowałem to swoje postępowanie badawcze jako sekretną misję, którą sam sobie zleciłem. Miałem wątpliwości – i nadal je mam – czy kiedykolwiek powinienem złożyć jakiś dostępny dla wszystkich raport z tego poszlakowego od początku do końca śledztwa. Zwłaszcza skrócony do rozmiarów szczupłego szkicu, gdzie nie zdołam ani w pełni rozwinąć tematu, ani też wejść w rozmaite subtelności jakich on wymaga. Kto jednak zaczyna dostrzegać w głębi lustra zimne, bezbarwne oczy Meduzy, skłonny jest do zmiany dotychczasowych poglądów...

Tajemniczy początek

Który ze znanych nam dzisiaj tekstów Czechowicza jest najwcześniejszy? Odpowiedź na to pytanie, wbrew pozorom, może sprawić pewien kłopot. Najpierw (jak zawsze) jest prosto: przeglądamy odpowiednie książki – no, bo skąd niby mamy wiedzieć? – i ustalamy, iż bezwzględnie najwcześniejszym zapisem są *Notatki pamiętnikowe 1920 roku*, nadmiernie zwięzłe, ledwie kilka stroniczek, na których młodziutki żołnierz i przyszły poeta relacjonuje swój udział w polsko – sowieckiej wojnie. Później (jak zawsze) prosto jednak nie jest: okazuje się bowiem, że te najwcześniejsze notatki kryją w sobie jeszcze wcześniejszy tekst Czechowicza! Powoli więc i po kolei.

Ponad jedną czwartą tych notatek zajmuje zapis z 15 września 1920 roku, w którym Czechowicz zwierza się ze swoich planów literackich: Od kilku dni noszę się z projektem napisania dramatu o księciu Henryku Pobożnym, który bije się za nic. I ginie za nic pod Legnicą, bez wiary w zwycięstwo. Naturalnie wiąże się to z moim odczuciem obecnej wojny. Nie wierzę w zwycięstwo, ale uważam, że należało pójść na wojnę, jak szli powstańcy 1863 roku, przed którymi również nie było zwycięstwa. Oto

najwcześniejszy z pomysłów literackich Czechowicza: dramat o księciu Henryku. Nigdy go nie zrealizował – w takiej formie. W innej – owszem.

I było to wcześniej, ponieważ temat tego pomysłu – książę – miał znacznie starszy rodowód niż te kilka dni, o których potencjalny autor wspomina. Jak stary? Nie wiem dokładnie. W ogóle muszę oświadczyć, że mam zasadniczą trudność w wyobrażeniu sobie, co dla siedemnastolatka może znaczyć określenie „dawno" odniesione do siebie samego. Dawno – to dwa lata temu? Trzy? Cztery? Gdy miał lat – no, właśnie – ile? Piętnaście? Trzynaście? W każdym razie gdzieś wtedy napisał Czechowicz naprawdę najwcześniejszy tekst, jaki do nas doszedł. Przytacza go w całości w dalszym ciągu literackiej notatki, poprzedzając zdaniem, które zawiera to mało dla mnie zrozumiałe słówko „dawno": „W zeszycie moim dawnym, dziecinnym pismem zapisane:"

Henryk żyje bardzo związany z matką swoją, Jadwigą. Zbliża się ku Śląskowi groza tatarska. Henryk wyjdzie w pole, lecz wie że, nie zwycięży, i to jest jego smutek. W izdebce Salomei, dwórki, zjawia się archanioł Gabriel i zwiastuje jej, że tej nocy po cichu będzie na świecie naszym Pan Jezus. O północy przed bitwą straże wprowadzają ubogiego. To On. Zasiada do późnego posiłku z księciem i jego matką. Salomea i Jadwiga obmywają Mu nogi.

– Wprowadzę cię w raj męki – mówi Pan Jezus do księcia.

O świcie wyrusza rycerstwo z zamku (vide obraz Matejki).

Tekst – embrion. Trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy tu do czynienia ze swoistą zapowiedzią o wiele późniejszego – może wręcz ostatniego – „wynalazku" literackiego Czechowicza: tzw. skrótów powieści, gdzie streszczenie jest jedyną, pełną i autentyczną formą wypowiedzi. (Nawiasem mówiąc, bardzo mi się ta idea i ten gatunek podoba). Tak, chcąc nie chcąc, wyszło. Tylko dziesięć zdań. Wystarczy jednakowoż , aby odsłonić przed nami niewielki fragment, jakąś początkową fazę, tego osobliwego związku, który połączył obydwie postaci: księcia i poetę, poetę i księcia.

Rzecz jasna, niczego osobliwego nie ma w tym, że podczas polsko-sowieckiej wojny objawił się Czechowiczowi książę Henryk Pobożny jako postać literacka. Historyczna analogia była aż nadto widoczna. Znowu ze Wschodu – jak zawsze – prze na Zachód śmiercionośna nawałnica i znowu trzeba ją za wszelką cenę – jak zawsze – powstrzymać. Kiedy jednak wyszło na jaw, że książę pojawił się na długo („w zeszyciku moim dawnym") przed tą iście apokaliptyczną wojną światów (chciałbym napisać w tym miejscu: wojną z Gogiem z krainy Magog), sprawa stała się o wiele bardziej zastanawiająca, aczkolwiek nadal można jego obecność wiązać (chociaż jest to wiązanie słabiutkie) z toczącą się do niedawna wojną światową. Ale na tym nie kończy się historia o tajemniczym pojawieniu się w biografii Czechowicza tragicznego bohatera legnickiej bitwy. Są według mnie poszlaki wskazujące , że jakoś obraz księcia, pewnie niejasny, zamazany, może nawet nie zwerbalizowany ściśle, towarzyszył mu od bardzo dawna. Może od samego początku życia. Ktoś zapamiętał dziesięcioletniego chłopca, jak w swojej suterenie wycinał z papieru scenkę teatralną i odgrywał na niej dramat „kartagińskiego wodza". Może jednak polskiego?

Tajemnica księcia Henryka Legnickiego

Wiele, jeśli nie wszystko, wyjaśnia debiut Czechowicza: *Opowieść o papierowej koronie*. Niestety, recepcje tego utworu zdominował w znacznym stopniu wątek homoerotyczny, jaki się w nim ujawnił w kontekście dość jednoznacznie autobiograficznym. Tymczasem *Opowieść* niesie tajemnicę znacznie większą niż jakakolwiek tajemnica erotyczna. Nie cielesność, lecz duchowość jest jej przed-

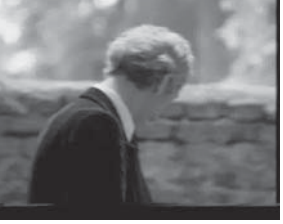

miotem. Żeby nie kluczyć, powiem od razu: *Opowieść o papierowej koronie* jest przede wszystkim opowieścią o reinkarnacji, czyli wędrówce dusz.

Czyja dusza wędruje? Księcia. W kogo się wcieliła? W poetę. Zajrzyjmy jednak do tekstu. Rzecz ma bohatera obdarzonego podwójną tożsamością i dzieje się w dwóch planach historycznych: współcześnie i w średniowieczu. W teraźniejszości Henryk, tak ma na imię bohater, jest początkującym poetą i ma wiele cech wspólnych z samym Czechowiczem. W przeszłości natomiast jest królem Polski, lecz nie wiadomo którym. Król wciela się tu w poetę, poeta nabiera królewskich właściwości. Na pierwszy rzut oka (i kolejne również) nie ma w tym obrazie metempsychozy niczego szokującego, ponieważ skłonni jesteśmy traktować – i tak też czynimy – kwestię te w kategoriach tylko i wyłącznie estetycznych: jako pewien lepszy lub gorszy pomysł literacki. Kiedy jednakże w krwawych ciemnościach czaszki, gdzie zamieszkują zjawy, niekoniecznie piękne, błyśnie w końcu świadomość, że chodzi także (kto wie, może nawet głównie?) o fakt biograficzny, włosy mogą się lekko unieść.

Dopiero z listów Czechowicza dowiadujemy się, że ów nieokreślony bliżej w *Opowieści* król – to książę Henryk Pobożny, którego zresztą woli autor nazywać Henrykiem Lignickim. Dowiadujemy się też, że Czechowicz planował wielką kontynuację *Opowieści* zatytułowaną roboczo *Henryk* i pomyślną, jak pisał, jako „ciąg dalszy dziejów żywota i duszy Henryka Lignickiego". Zwracam uwagę na reinkarnacyjną terminologię tej charakterystyki. Nic z tych planów nie wyszło i książę nie pojawił się już nigdy w żadnym innym utworze Czechowicza. Ale w biografii pozostał.

Wydaje się bowiem, że Czechowicz (staram się zakomunikować tę rewelację najostrzej, jak tylko potrafię) uważał się za jakieś wcielenie księcia Henryka. Od kiedy? Na pewno od Słobódki, czyli od 1921 roku, gdzie pisał *Opowieść o papierowej koronie*: literacki utwór i dokument metempsychiczny. Postać księcia przeszła u niego przez cały transmigracyjny proces – od literatury, gdzie początkowo, jak w młodzieńczym projekcie dramatu, miała jakąś motywację historyczną, lecz później, w *Opowieści*, już nie było nawet cienia jakiegokolwiek uzasadnienia historycznego, do życia poza literacką fikcją, gdzie trzeba odnotować dwa wielce znamienne fakty. Jeden z nich nosi wszelkie znamiona przedsięwzięcia najdziwniejszego pośród najdziwniejszych. Otóż w 1929 roku, gdy wydawać by się mogło, że Czechowicz dawno zapomniał o księciu, w łódzkim „Głosie Porannym", w różnych tekstach, jakie tam publikował, zaczął umieszczać – uwaga! – Henryka Lignickiego wśród poetów lubelskiego Reflektora, którzy złożyli akces do łódzkiej grupy poetyckiej Meteor. Obecność takiej informacji także w tekście o śmierci Jacka Malczewskiego uchyla podejrzenie, że Czechowicz sobie żartował. Fakt drugi nie wymaga komentarza, gdyż jest nader symbolicznym aktem: to przyjęcie przez poetę imienia Henryk.

Dlaczego akurat ten książę, który nie miał nic wspólnego z Lublinem, a nie na przykład tak mocno związany z naszym miastem Leszek Czarny? Jaki motyw miał połączyć władcę drugiego państwa Piastów śląskich i chłopca z lubelskiej sutereny? Według kabalistów dusza wchodzi w inne ciało, aby zrealizować to, czego nie zdążyła za życia macierzystego ciała. Czyżby książę wcielił się w Czechowicza, bo nie spełnił się jako poeta?! Jakaś poetycka cząsteczka jego duszy czekała na takiego właśnie poetę? Albo odwrotnie: to książęca część duszy poety poszukiwała takiego władcy, jakim był Henryk? Nie wiem, lecz mogę powiedzieć, że jest w biografii księcia pewien ogromnie ważny dla polskiej literatury trop. Otóż Henryk Pobożny uchodzi dzisiaj za autora pierwszego polskiego zdania, jakie zostało zapisa-

ne. Słynne zdanie, pogodne i ludzkie z *Księgi henrykowskiej* abdykowało na rzecz zdania, które wypowiedział książę 9 kwietnia 1241 roku w krytycznym momencie bitwy legnickiej: „Gorze się nam stało". Zatem od zdania pełnego rozpaczy, od stwierdzenia, że spadło na nas wielkie nieszczęście, od słów apokaliptycznych, za którymi czai się rychła śmierć ich autora, rozpoczyna się nam pisanie po polsku. Oto autentyczny incipit polskiej literatury.

Tajemnica księcia Henryka Zasławskiego

W 1933 roku powołał Czechowicz do życia nową personę, która – jak sądzę – pełniła funkcję medium pośredniczącego między nim i księciem Henrykiem Lignickim. Poeta rozmaicie „aktualizował" w swojej biografii księcia, ale przecież nie zdecydował się na podpisanie – kamuflaż czy szacunek? – jego nazwiskiem żadnego swojego tekstu. Arystokrata był mu jednakowoż potrzebny. Stąd – książę Henryk Zasławski, „infant olbrzymiej ordynacji kresowej". Przez kilka lat wydawało się, że jest to tylko jeden z licznych pseudonimów Czechowicza, lecz w 1939 roku ukazało się kilka opowiadań nawiązujących do wojny 1920 roku, w których występuje Zasławski jako bohater literacki obok narratora o nazwisku Czechowicz! To nowa reinkarnacyjnej proweniencji transformacja. Po co? Między innymi po to, żeby wprowadzić motyw, którego nie mógłby żadną miarą wprowadzić ktoś urodzony w suterenie, a nie w pałacu.

i jego obraz

Taki chociażby, jaki występuje w *Dwu kierunkach*, gdy Zasławski opowiada Czechowiczowi:

W sypialni miałem taki obraz, duży, w ciężkiej ramie. Stary. Czy ja wiem, może czternasty, może piętnasty wiek. Trochę jak Benozzo Gozzoli, trochę jak Gentile da Fabriano. Obraz przedstawiał pochód rycerzy. Droga kręta wśród skał i drzew pióropuszowych, pokryta była tłumem pieszych lancknechtów i konnych bohaterów. Ach, te konie białe, strojne w atłas i blachy! Ci rycerze w półpancerzach, giermkowie murzyńscy z hełmami rzeźbionymi najprzedniejszą robotą! Nieco dalej: I niebo było nad tym świetnym pochodem trochę podobne do tego. Chmury jak wyspy niebywałe, zjawienia jakieś w promieniach, strzały blasków...

Świetny popis erudycji, bo te dwa nazwiska artystów znają tylko raczej specjaliści od dawnego włoskiego malarstwa. A młody arystokrata wymienia je z taką swobodą. Świetny obraz „namalował" słowami Zasławski-Czechowicz, odwołując się do stylu wskazanych malarzy. Aż szkoda, że nie istnieje taki obraz. Obraz jest wprawdzie fikcyjny, lecz jego opis bardzo realny i sugestywny. Spróbuję więc sprawdzić, trochę wygląda absurdalnie to weryfikowanie bytu fikcyjnego, czy te fajerwerki erudycyjno-estetyczne mają rzeczywiście jakieś zaplecze w poetyce obydwu artystów. Przynajmniej jedną zagadkę postaram się rozwiązać w sposób pewny. Opuszczam duże partie, w których referuję detalicznie swoje postępowanie śledcze i podaję wynik końcowy: fikcyjny obraz w sypialni księcia Zasławskiego faktycznie został wykonany na podstawie dzieł obu malarzy. Da się je precyzyjnie wskazać. To fresk Benozzo Gozzoli *Orszak Trzech Króli* (1459) w kaplicy pałacu Medici-Riccardi we Florencji i obraz Gentile da Fabriano również pokazujący *Pokłon Trzech Króli* (1423). Ciekawe: z cywilnego pochodu władców spieszących do Dzieciątka powstał całkowicie militarny pochód rycerzy. Jedno jest tu wspólne i dlatego pojawiły się nazwiska: wielki przepych i wielka dekoracyjność, orszaki, ciągnące przez wspaniałe, fantastyczne krainy, zdają się nie mieć końca – ludzie, zwierzęta, rośliny, obłoki.

Bez epilogu

Czy śmierć Czechowicza zamknęła reinkarnacyjny krąg? A któż ze śmiertelnych może wiedzieć?

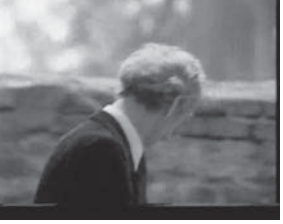

Teksty rozproszone

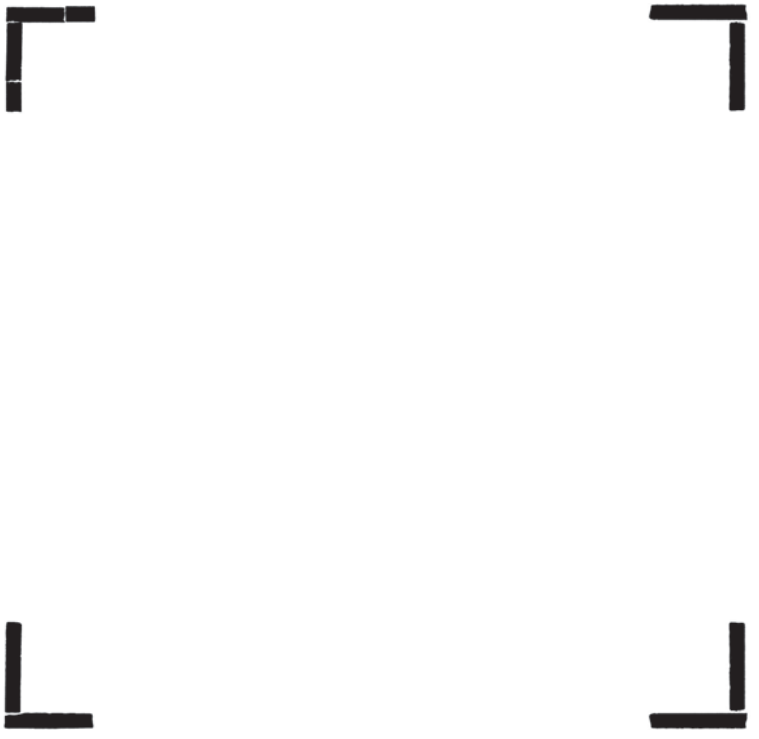

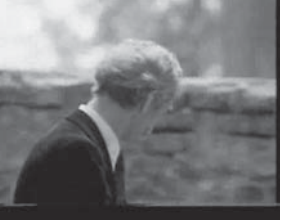

Wykład o Widzącym z Lublina

Zredagowany zapis wykładu Władysława Panasa pt. *Widzący z Lublina* wygłoszonego 16 grudnia 1994 roku na sesji „Żydzi lubelscy" w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN". Archiwum TNN.

Miejsce, w którym się znajdujemy jest mikrokosmosem odbijającym Lublin, a przez to miasto odbija się cały kosmos. Lublin jest księgą, a ta Brama na granicy dwóch światów, jest małą księgą. Lublin jest księgą, której rozdziały są połączone na zasadzie chiazmów. Jej zdania czy wersety są skomponowane metodą chiazmu. Albo może jeszcze lepiej – Lublin jest biblioteką Babel i zastanawiam się czy istnieje katalog, coś w rodzaju indeksu do tej biblioteki. Czy można mówić o niej, że jest kompozycją opartą na chiazmie, odwróconej symetrii, na zasadzie lustra, paradoksu obejmującego różne przeciwbieżności, które są również współbieżnościami. Dziwna kompozycja, ale kompozycja – czyli mimo wszystko pewien porządek; denerwujący, ale porządek. Dwa miasta w jednym mieście.

Co tu akcentować? Czy tę dwoistość Lublina – dwa w jednym, jedno w dwóch – i jak o tym mówić? Czy akcentować dwoistość czy jedność? Czy to napięcie i grę jedności dwoistości i dwoistości jedności? Czy jest to książka-biblioteka przypominająca szlachecką *silva rerum,* bigos, w którym jest wszystko? I jakie rozdziały czy księgi przeczytaliśmy z tego zbioru, jakie znamy lepiej lub gorzej albo przynajmniej wiemy, gdzie one leżą na półce?

Znamy parę tych ksiąg i pozwolę sobie przytoczyć całą serię nazwisk ich autorów: od Biernata z Lublina, dziadka literatury polskiej (jeśli Mikołaj Rej jest ojcem, to Biernat byłby dziadkiem), poprzez takich pisarzy jak Sebastian Fabian Klonowic, poprzez arian lubelskich, Marcina Czechowica, Wincentego Pola, Prusa, braci Wieniawskich, Łobodowskiego, świeżo dla naszej pamięci odzyskanego. To jest jakby jeden wymiar, jedna półka czy regał w tej bibliotece. Ale są też inne półki.

Dla świata dwaj najbardziej znani lublinianie to Jasza Mazur i Jakub Izaak Horowitz. Mówiąc, że są oni najbardziej znani, mam na myśli to, że można o nich przeczytać w najmniej kilkunastu najważniejszych językach; że usłyszy się o nich w Nowym Joku, w Londynie, Paryżu, Monachium, Uppsali, w Jerozolimie. Może się to wydać przykre, ale poza wyjątkiem Henryka Wieniawskiego są to w ogóle jedyni znani w świecie mieszkańcy tego miasta w całej jego dotychczasowej historii.

Jaszę Mazura, jak można przeczytać już w pierwszym zdaniu powieści, wszędzie poza rodzinnym miastem nazywano Sztukmistrzem z Lublina. A tego drugiego nazywano Widzącym z Lublina. Ten pierwszy jest postacią fikcyjną, wymyśloną przez pisarza Izaaka Bashevisa Singera. Ten drugi to postać realna. O tym pierwszym wiemy sporo. Ów fikcyjny bohater zrobił tu nawet pewną karierę i cieszy się popularnością. O tym drugim zdaje się wiedzą nieliczni i myślę, że nadszedł już czas, aby coś o nim powiedzieć, by uniknąć sytuacji, jaka zdarzyła się dwanaście lat temu z pewnym poetą, który dostał nagrodę Nobla i nikt o nim nic nie wiedział.

To była wielka kompromitacja. Zapanował wtedy popłoch, bo należało o nim coś napisać w gazecie albo zrobić o nim lekcję w szkole – w końcu niecodziennie Polak dostaje nagrodę Nobla. Pamiętam tę konsternację w szkołach i wśród dziennikarzy. Skoro więc Widzący z Lublina jest najbardziej znanym lublinianinem, prawie utożsamionym z tym miastem, bo lepiej znamy jego przydomek niż nazwisko, chciałbym

dzisiaj Państwu opowiedzieć coś o nim, żeby w przyszłości uniknąć podobnej konsternacji.

Właściwie mógłbym w tym momencie zakończyć mój wykład, bo to, co chcę Wam o nim dalej powiedzieć, będzie coraz mniej jasne. Być może trzeba by być artystą, żeby zrobić to dobrze.

Mogę powiedzieć, jak się ten człowiek nazywał: Jakub Izaak Horowitz. Mogę powiedzieć, z mniejszym prawdopodobieństwem, kiedy się urodził i gdzie: około 1745 roku w Józefowie nad Wisłą[1]. Z całkowitą pewnością można powiedzieć, kiedy umarł: w 1815 roku. Można o tym nawet przeczytać, bo jego grób jest niedaleko stąd. Nazywano go rozmaicie – Jasnowidz z Lublina, Widzący z Lublina, ha-Choze mi Lublin, Świętobliwy z Lublina, Jakub z Lublina. I wiadomo jeszcze, że pozostały po nim trzy książki, a właściwie trzy zbiory jego mądrości, jego nauk. Pozostało też po nim kilka biografii. Ale to jest informacja „pusta", bo my tych książek nie znamy. Wydaje mi się, że chyba nawet nikt w Polsce nie miał ich w ręku.

Widzący z Lublina był chasydem; mało że chasydem – był cadykiem. Chasyd znaczy „pobożny", a cadyk to dosłownie tyle co „sprawiedliwy", człowiek żyjący w prawdzie. W tym momencie muszę opowiedzieć o chasydyzmie, choć jest to coś, co niezupełnie daje się lub co powinno się systematyzować. Zaraz wyjaśnię, dlaczego.

Na temat chasydyzmu istnieje bogata literatura, również po polsku. Na przykład *Opowieści chasydów* Martina Bubera czy *Dziewięć bram do mądrości chasydów* Jiřego Langera. Jest to ruch religijny, który formował się w połowie XVIII wieku, a jego początki związane są z jednym człowiekiem, zwanym najczęściej Baal Szem Tow, czyli Pan Dobrego Imienia. Cieszył on się wśród ludzi „dobrym imieniem" i był właśnie tym „sprawiedliwym", czyli człowiekiem żyjącym w prawdzie. Chasydyzm narodził się w Karpatach, na Huculszczyźnie, skąd później rozprzestrzenił się na inne ziemie dawnej Rzeczypospolitej.

Powstał on jako ruch antyintelektualny, aintelektulany, i właśnie dlatego niezręcznie jest mi mówić o nim w trybie referującym – ponieważ oznacza to sprzeniewierzenie się jego duchowi. Trzeba by go zamykać w zdania, w okresy mniej lub bardziej logiczne, a to był ruch, który zrodził się wśród ludzi prostych, nieuczonych albo, jak mówili przeciwnicy, wręcz nieuków czy półanalfabetów, którzy nie pokończyli szkół, a jeżeli pokończyli, to od razu zapomnieli, czego się nauczyli.

Był to ruch o charakterze rewolucyjnym w obrębie judaizmu, który pozostawał z nim w wielkim konflikcie i był prześladowany przez współwyznawców. Nigdy nie sformułował on żadnej doktryny, czyli czegoś, co da się ująć w jakieś zasady. Był to raczej styl życia czy bycia i o tym – zanim przeczytacie wspomniane książki – mogę trochę opowiedzieć, zwracając uwagę na parę charakterystycznych punktów.

Nie przesadzałem, mówiąc, że należałoby o nim opowiedzieć metodą „artystyczną", bo też był on w pewnym sensie ruchem artystycznym. Nie opierał się na usystematyzowanej doktrynie. Prawda była w nim przekazywana w formie opowieści. Opowieść, czyli historia, bajka, legenda, mit, zmyślenie. Fikcja była w nim często tym, czym gdzie indziej jest wykład.

Zamiast mówić jasno, o co chodzi, chasydzi opowiadali regularne bajki, które są zapisane dziś albo w formie fabularnych historii, albo – jak w wyborze Martina Bubera – krótkich historyjek, albo aforyzmów, myśli czy paradoksów.

Za chasydyzmem stała wielka wiara w moc opowieści. Człowiek, który opowiada – mówili chasydzi – to jest ktoś, kto sprowadza światło Mesjasza,

[1] Lub Józefowie na Roztoczu, bo z tych okolic pochodziła jego żona (zob. s. 180) [przyp. red.].

Chrzcielnica z kościoła św. Michała w lubelskiej Katedrze. Fot. M. Fedorowicz.

Wyposażenie świątyni rozwleczone jest po najrozmaitszych kościołach. Lubelskich i pozalubelskich. Większość odziedziczyła katedra, gdzie znalazły się ołtarze, obrazy i średniowieczna chrzcielnica z dziwacznym starogermańskim napisem

Lublin jest księgą, s. 148.

Cegły świątynne znalazły się w różnych murach. Między innymi użyto ich do budowy domu ogrodnika u wejścia do Saskiego Ogrodu. Teraz w cegłach świętomichalskich spożywa się pizzę.

Lublin jest księgą, s. 148.

Dawny dom stróża przy wejściu do Parku Saskiego. Obecnie pizzeria. Fot. J. Zętar.

Całe miasto żydowskie zginęło. A trwało aż do reform Wielopolskiego, a więc do powstania styczniowego. Dziś to jest jedno wielkie puste miejsce. Które dla tamtejszej ludności było centrum. Gdzie rodzili się, żyli, umierali, handlowali, wzbogacali i biednieli. To miasto miało także swoje centra skupione wokół świątynnych budowli i charyzmatycznych postaci.

Lublin jest księgą, s. 148.

Wizja Lublina z *Księgi pamięci Lublina*, Paryż 1952. Grafika przedstawia Lublin o „subiektywnej" topografii. Życie toczy się w nim na wspólnej przestrzeni, „rynku" pomiędzy kilkoma obiektami, które można uznać za znaczące. W lewym dolnym rogu tego rynku widać „chrześcijańską" Bramę Krakowską, symbol miasta, tutaj zepchnięty na margines. „Świat przedstawiony" grafiki opiera się na cmentarzu. Płonący wśród macew ogień może symbolizować pamięć. Nad całością góruje Uczelnia Mędrców Lublina, żywe i w zamyśle mające wybiegać w przyszłość nawiązanie do świetnej tradycji pochowanych na cmentarzu uczonych. Znaczną powierzchnię obrazu zajmują typowe postacie kojarzone z żydowskim kolorytem dawnego Lublina – krawiec, szewc, uliczna sprzedawczyni, nosiwoda, studiujący pisma itp. – ale w samym centrum autor umieścił studzienkę wodociągową i grupkę dyskutujących mężczyzn obok tablicy ogłoszeń z tytułami przedwojennych gazet żydowskich w języku jidysz, hebrajskim i polskim. Powyżej z lewej widać demonstrację pierwszomajową, a poniżej z prawej młodzież przed Domem Pereca, założonym przez socjalistyczny Bund nowoczesnym domem kultury.

kto przybliża zbawienie; podobnie i słuchający. Mamy tu więc różnicę w stosunku do wielu innych znanych nam zachowań religijnych, gdzie dąży się do wykładu, doktryny, systematyzacji. Prawie wszyscy mistrzowie chasydyzmu nie zapisywali swoich nauk, jakby nie zapis był ważny, lecz samo opowiadanie. Wobec tego przytoczę Państwu opowieść o opowieści, opowieść o mocy opowieści.

Twórca chasydyzmu Baal Szem Tow jako wędrowny uzdrowiciel i kaznodzieja chodził po Podolu i po Huculszczyźnie, wśród Hucułów po połoninach, od wspólnoty do wspólnoty, od karczmy do karczmy. Cieszył się on tak dobrą opinią, że pomagał mu nawet miejscowy rozbójnik Dobosz, huculski odpowiednik Janosika. Gdy Baal Szem Tow miał jakiś trudny problem do rozwiązania, szedł gdzieś w upatrzone miejsce karpackiej puszczy, rozpalał ognisko, pogrążał się w modlitwie i zawsze znajdował rozwiązanie.

W następnym pokoleniu mistrzów chasydzkich jakiś inny cadyk miewał podobne problemy co Baal Szem Tow, bo ludzie zawsze miewają podobne problemy. Również i on szedł w to samo miejsce i mówił: „Ja już nie umiem rozpalać ogniska, ale mogę nadal modlić się". I jego problem również znajdował pozytywne rozwiązanie. Minęło jeszcze jedno pokolenie i ten sam problem trapił kolejnego cadyka, który również szedł do lasu i mówił: „Nie umiem rozpalić ognia, ani nie znam tej tajemnej medytacji, która pozwoliłaby nadać siłę mojej modlitwie. Ale nadal znam to miejsce". I znowu na kłopot znajdowała się rada.

Minęło kolejne pokolenie i kolejny cadyk, słynny Izrael z Różyna na Bukowinie, też miał taki problem, więc siadał w fotelu w swoim pięknym pałacu, zakładał nogę na nogę i mówił: „Ja nie umiem rozpalić ognia, nie znam już tej modlitwy znanej ze swojej siły, nie umiem nawet znaleźć owego miejsca w lesie, gdzie modlili się inni cadykowie, ale mogę o tym wszystkim opowiedzieć". I oczywiście jego problem również znajdywał pozytywne rozwiązanie. Moc opowieści wystarczyła.

Słuchają teraz mojej opowieści, również wpisujecie się Państwo się w tę sytuację, co mnie trochę peszy, ponieważ istnieją pewne restrykcje mówiące, jak należy opowiadać. Pewien rabbi, cadyk, mówił tak: „Mój dziad był kulawy i kiedyś poproszono go, aby opowiedział o swoim mistrzu. Zaczął więc opowiadać, jak jego świętobliwy nauczyciel modlił się, a kiedy się modlił, wpadał w trans, w ekstazę, zaczynał tańczyć i śpiewać. Opowiadając to, mój dziadek również zaczął tańczyć i śpiewać, nie zwracając uwagi na swoją ułomność. I od tego czasu przestał kuleć. Oto jak należy opowiadać". – Zakończył wreszcie ów rabbi. Tak należy opowiadać, żeby się „wznosić", żeby ktoś kto jest ułomny mógł tańczyć, żeby wszyscy mogli tańczyć.

Myślę, że nie jestem w stanie tak opowiadać, aby Państwa pobudzić aż do tego stopnia. Proszę jednak pamiętać, że tylko tak opowiadane historie mają sens. Inaczej nie warto opowiadać. Dlatego właśnie trzeba być artystą, żeby mówić o chasydyzmie. My możemy jedynie przeczytać te bajki, te opowieści, z których czasami wysnuwa się jakiś morał. Buber i inni napisali kilka czy kilkanaście książek na ten temat, ale czytać te opowieści zamiast ich słuchać, to tak, jakby czytać opis czyjejś gry na fortepianie. Chasydyzm to jest pewien etos, pewien styl bycia, w którym nie odróżnia się modlitwy od reszty życia – nie odróżnia się w nim swoich stanów: teraz jestem kimś, kto się modli; a teraz jestem ojcem rodziny; a teraz uczniem – lecz w którym życie stanowi jedność.

Jak ten ruch powstał i jak się wyłaniał z judaizmu? Był więc ów Baal Szem Tow i jego uczniowie, a potem uczniowie tych

uczniów i tak dalej. Kim byli ci uczniowie, których określano mianem cadyków czyli sprawiedliwych? Byli to ludzie o niezwykłej intuicji religijnej, mający zdolność przenikania prawd, widzący dalej, głębiej, dostrzegający tę rzeczywistość, której zazwyczaj się nie dostrzega – i umiejący wprowadzić czy przeprowadzić innych przez tę rzeczywistość, pokazać im, zasugerować, odsłonić to czego sami nie mogą dostrzec.

Byli to więc ludzie posiadający pewne właściwości czy moc – jakby święci albo mistrzowie buddyjscy. Każdy z nich miał swój własny styl, własny etos i własny folklor, wręcz jakby własną kulturę i skupiał wokół siebie krąg uczniów. Jednym z najważniejszych centrów tego ruchu był Lublin i Widzący z Lublina. Skupił on wokół siebie ogromną grupę uczniów, którzy potem poszli w inne rejony Polski i sami zaczęli tworzyć własne grupy. Bo cechą charakterystyczną chasydyzmu jest wspólnota.

Nie można być chasydem indywidualistą czy samotnikiem. Kiedy mówimy o chasydyzmie, to od razu pojawia się ta struktura: „sprawiedliwy", cadyk i jego uczniowie, chasydzi. Jedyna w świecie grupa chasydów nie mająca cadyka (jej założyciel Nachman z Bracławia umarł na początku XIX wieku) nazywana jest „martwymi chasydami". W swojej wspólnotowości, w zachowaniach, w sposobie przeżywania życia, chasydzi bardzo przypominają świętego Franciszka z Asyżu. To jest w pewnym sensie ruch *stricte* franciszkański. Oczywiście, z zastrzeżeniem, że mówimy o zupełnie innym gruncie religijnym.

Jeżeli więc w chasydyzmie nie gra roli strona dogmatyczna i dyscyplina jak w ortodoksyjnym judaizmie, to jaki element odgrywa tę wiodącą rolę? Taką podstawową cechą w chasydzkim stylu zachowania modlitewnego jest radość. Wszystko, co robią chasydzi, jest odwołaniem do wszechobejmującej nas radości. Smutek jest gorszy od grzechu. Człowiek smutny nie tylko sam jest smutny, ale i innych zasmuca, również i Boga. Na ten temat opowiada się o Widzącym z Lublina następującą historię.

W bogobojnej gminie lubelskiej żył pewien grzesznik, który nie przepuszczał żadnej okazji, żeby popełnić jakiś przyjemny grzeszek i najszczęśliwszy był wtedy, gdy nachodziła go pokusa, a on jej ulegał. Nigdy też nie żałował swych złych uczynków, a cieszył się występkami. Na pewno nie podalibyście mu ręki, a najchętniej omijalibyście go z daleka. Jednak Świętobliwy z Lublina z nikim tak bardzo nie lubił rozmawiać, jak właśnie z nim. Witał go z większą radością, niż najbardziej cnotliwych chasydów, co ich bardzo martwiło. Tymczasem jasnowidz tłumaczył im: „To wyjątkowy człowiek i zasługuje na podziw. Nie znam nikogo, kto byłby stale, tak jak on, wesoły. Wiedzcie bowiem, że gdy kusiciel namawia człowieka do grzechu, to nie tyle chodzi mu o to, by biedak naprawdę zgrzeszył, ale by się tym zamartwiał, by dręczyło go sumienie, smutek duszy, który przychodzi po grzechu. Kusiciel właśnie tego chce, bo smutek to największe zło na świecie i przed tym złem musimy się mieć stale na baczności".

Dla kogoś z zewnątrz w chasydyzmie najbardziej rzucają się w oczy właśnie owe przejawy radości, kiedy modlitwa przeradza się w taniec i śpiew, co nam, niewtajemniczonym, przywodzi na myśl różne formy sztuki. Ten charakterystyczny śpiew – zwany *niggun* – oraz taniec są dwiema podstawowymi formami chasydzkiej modlitwy. W *niguach* albo tekstu jest niewiele i niezbyt ważnego, bo słowa przez swoje znaczenie odnoszą nas gdzieś na zewnątrz, albo w ogóle nie ma słów, a jedynie pojedyncze sylaby i to jest klasyczny, czysty *niggun* chasydzki.

Ten śpiew łączy się z tańcem i nie ma początku ani końca. Typowy tekst ma początek i koniec, a zaśpiewy takie jak

Zdjęcie obrazu *Sen Leszka Czarnego pod dębem* z kościoła oo. kapucynów zamówione w 1997 roku w Państwowej Służbie Ochrony Zabytków jako ilustracja do mającego powstać lubelskiego przewodnika Władysława Panasa (zob. s. 214). Fot. M. Fedorowicz.

Zdjęcie rzeźby w bazylice oo. dominikanów przedstawiającej postać Turka zamówione w 1997 roku w Państwowej Służbie Ochrony Zabytków jako ilustracja do mającego powstać lubelskiego przewodnika Władysława Panasa (zob. s. 214). Fot. M. Fedorowicz.

Zdjęcia rzeźb w bazylice oo. dominikanów zamówione w 1997 roku w Państwowej Służbie Ochrony Zabytków jako ilustracja do mającego powstać lubelskiego przewodnika Władysława Panasa: „młodzieniec" i „młoda dama" (zob. s. 214). Fot. M. Fedorowicz.

„ojojoj" czy „jababam" można zacząć w dowolnym momencie i teoretycznie nigdy nie skończyć. One odnoszą nas do nieskończoności, tak jak i koło w którym się tańczy. Oczywiście, w pewnym momencie następuje kres śpiewu i tańca, ale na skutek fizycznego wyczerpania, a nie dlatego, że skończyła jakaś sekwencja figur albo muzyka. Początek i koniec ma tu charakter czysto fizjologiczny.

Nie umiem o tym opowiadać, więc przyniosłem *Austerię* Juliana Stryjkowskiego. Austeria to inaczej przydrożna karczma. Być może oglądaliście Państwo film Jerzego Kawalerowicza pod tym samym tytułem i pamiętacie takie sceny: jest wojna, armia austriacka się cofa, armia rosyjska nadchodzi. Kozacy są już blisko. Już coś płonie, już szykuje się pogrom. Do karczmy zajeżdża grupka chasydów, która jednak wszystko to ignoruje. Nie obchodzi ich, że obok nich leży trup dziewczyny. Główny bohater powieści pyta: „Czy tak się godzi? Nadchodzi koniec świata, za chwilę wszyscy możemy zginąć, a wy chcecie śpiewać?".[2]

Bo oni śpiewają i wpadają w trans, a co gorsza zanosi się, że zaraz zaczną tańczyć. Z czego się cieszyć? Przecież nadchodzi koniec świata. Na to jeden z chasydów mówi: „To dobrze, to bardzo dobrze. Usłyszymy róg Mesjasza. Ja już słyszę Jego kroki. Nadchodzi Zbawiciel. Taniec podnosi człowieka trzy stopy nad ziemię i my tym tańcem przybliżamy Jego nadejście. Wyzwolenie przyjdzie w śpiewie...".[3] Proszę zwrócić uwagę, że nie są to stwierdzenia dyskursywne. One odnoszą się do jakiegoś innego porządku.

Przeczytam kawałeczek: „Usłyszał śpiew bez słów. Tylko same jęki. – Ten śpiew bez słów to rzeczywiście sa „jęki". – Jęki układały się w melodię, z początku cichą, a potem coraz głośniejszą i szybszą. Oj joj, joj, jo, joj... – i tak dalej. – Tańczyli. Naprzód wszystko naraz, zamazane w świetle wiszącej lampy przyćmionej kaszmirową chustą dziewczyny do krów.

Koło. Czarne kapoty, rozwiane poły, szerokie kapelusze, białe pończochy. Koło załamywało się o róg kredensu, o długi stół izby austerii, o ławki, rozpadało się. Znów brali się za ręce jak dzieci, odnajdywali się, łączyli, idąc za śpiewem jak niewidomi. Mieli zamknięte oczy. Przytupywali, raz lewą nogą mocniej, raz prawą nogą mocniej, wyrzucali w górę raz prawą rękę, raz lewą rękę. Klaskali. Schylali się i raptownie podrywali głowy jak konie. Kręcili tułowiem raz w lewo, raz w prawo, odwracali twarze raz w lewo, raz w prawo. Kładli wyprostowane dłonie jeden na bark drugiego i posuwali się przed siebie, jak egipskie figury z Historii Powszechnej."

To jest właśnie ów chasydzki taniec i śpiew. To są ludzie sami będący śpiewem i tańcem. Co, rzecz jasna, było kontestowane i wyśmiewane, również dlatego, że podczas modlitw chasydzi mogli korzystać z alkoholu. Wyjaśniali, że alkohol jest rzeczą dobrą, bo jak Szatan widzi chasydów, którzy siedzą przy stole ze szklankami pełnymi wódki, to mówi swojemu szefowi Lucyferowi, że nie ma co się z nimi przejmować. I w ten sposób oszukują złego.

Wracam do Widzącego z Lublina. Według chasydów diabeł nie mógł działać od zachodu słońca w piątek do zachodu słońca w sobotę. W pewien szabas Widzący tak się zapędzał w swoich tańcach, modlitwach i śpiewach, że przedłużył święto poza zachód słońca. Już słońce zaszło, północ nadeszła, a on dalej świętował, więc diabeł bardzo się denerwował. Cadyk miał z Szatanem nieustannie na pieńku. W końcu postanowił rozstrzygnąć ten problem w sposób ostateczny, do czego chciał wykorzystać pewien historyczny moment, kiedy Napoleon szedł na Rosję.

Widzący z Lublina i dwóch jego kolegów-cadyków, jeden z Rymanowa w Beskidzie Niskim, a drugi z Kozienic, wspólnie uznali, że ów czas, kiedy cała Europa jest w stanie wojny, przypomina

[2] Julian Stryjkowski, *Austeria*, Warszawa 1968, s. 157.
[3] Tamże, s. 174.

sytuację, którą Pismo Święte opisuje jako apokaliptyczną wojnę Goga i Magoga poprzedzającą koniec świata. Cadykowie postanowili włączyć się w tę metafizyczną walkę. Ten z Rymanowa był zwolennikiem Napoleona i modlił się za jego sukcesy, a ten z Kozienic był przeciwnikiem Napoleona i modlił się za cara Rosji i nawet doradzał księciu Czartoryskiemu, żeby nie szedł z Napoleonem na Moskwę. Widzący zaś, będąc po środku, zbierał te sprzeczne siły i dokładał do nich własne modlitwy i działania magiczne.

Wszyscy trzej umarli w 1815 roku. Widzący z Lublina wypadł przez okno. Czuł, że Zły mu zagraża i poprosił żonę, aby go pilnowała, ale diabeł zastosował podstęp. Żona usłyszała płacz dziecka na korytarzu i na chwilę wyszła zobaczyć co się dzieje. Kiedy przyszła do pokoju, Widzącego już nie było. Znaleziono go leżącego pod domem potłuczonego i połamanego. Potem wiele miesięcy cierpiał i w końcu umarł.

Zdaję sobie sprawę, że to, co powiedziałem, jest bardzo ograniczone, ale proszę to potraktować jako wypowiedź ucznia, który wie, gdzie ma czapkę, buty, a nawet zeszyty i książki, ale nie zawsze wie, gdzie sam się znajduje. Dziękuję.

Lublin jest księgą

Władysława Panasa Lublin opowiedziany
rozmowy i wywiady

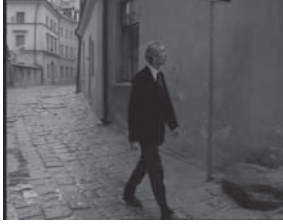

Lublin jak wiersz

Władysław Panas czyta rzeczywistość miasta tak, jak się czyta wiersze Czechowicza, opowiadania Schulza. – Chcę patrzeć na Lublin jak na ikonę. Widzieć nie tylko to, co ona wyraża, ale i to, czego nie dostrzega ludzkie oko: jak malarz trzymał rękę, jak przygotował materiał. To jest znaczące. Ci, którzy słyszeli, jak Władysław Panas mówił w Teatrze NN o Widzącym z Lublina, przyszli posłuchać, jak mówił o Bramie Grodzkiej. A potem, jak mówił o literaturze żydowskiej. Władysław Panas, polonista z KUL, wykładowca porywający, działa jak magnes.

Władysław Panas, *Lublin jak wiersz*; notowała Małgorzata Bielecka-Hołda, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 51, 1 marca 1997.

Rzeczywistość jako znak

Po pierwsze, jestem literaturoznawcą, który czyta wiersze, prozę, dramaty. Po drugie, wyrosłem z orientacji semiotycznej – najważniejsze jest odczytanie rzeczywistości w kategorii znaku, tekstu. Cała rzeczywistość, która nas otacza to są znaki, teksty.

Czytam przestrzeń miejską tak, jak czytam wiersze, opowiadania Schulza. Badam rytm, liczę sylaby, zgłoski.

Patrzę na rzeczywistość poprzez szczegóły, których się zwykle nie zauważa. To powoduje, że dostrzegam rzeczy tajemne, jakich się nie da zadekretować. Prawidłowości na takich poziomach, na których się tego nie spodziewamy.

Według Simone Weil uwaga, jaką się wkłada w studiowanie – nieważne: greki, czy matematyki – to skupienie, to taka sama substancja, jak substancja modlitwy. Zaczynamy coś widzieć i słyszeć tam, gdzie nie oczekiwaliśmy, że coś może być.

Ale to semiotyczne podejście rozprasza – nie mogę widzieć tylko szczegółów, interesuje mnie kontekst. W specjalistycznym sensie to dolegliwość.

No i jeszcze inny motyw: taka autoirytacja, związana z faktem ignorancji.

„Ja nic nie wiem". Nie – nie znoszę takich sytuacji.

Rzeczywistość jak ser szwajcarski

Jestem polonistą. Czytam tylko polską literaturę, nie czytam w jidysz. Ale już Miłosz zauważył: co też sobie może myśleć młody Polak, kiedy czyta, że Gustaw przychodzi do księdza, który ma dzieci? Temu młodemu Polakowi do głowy nie przyjdzie, że to ksiądz greckokatolicki. Brak wykształcenia może doprowadzić do niezrozumienia.

To samo z tekstami Leśmiana, Tuwima, Schulza, Stryjkowskiego. Widzę to w kategoriach przymusu. To znaczy – jasne, że nie muszę, mogę wybierać. Ale w humanistyce jest obowiązek całościowego objaśniania rzeczywistości. Inaczej rzeczywistość zaczyna być jak ser szwajcarski. Poruszanie się po niej może powodować karkołomny slalom. Nic się nie da np. powiedzieć o Vincenzie, jeśli się pominie Huculszczyznę, Żydów.

Jest oczywiście tendencja w nauce do specjalizacji, ale jednak uniwersytecka humanistyka powinna się bronić.

Rzeczywistość Kabały

Moje zainteresowania kulturą żydowską? Należę do pierwszego pokolenia Polaków, którzy cokolwiek wiedzą na ten temat. Wcześniej – owszem interesowali się , ale na poziomie stereotypów. Znalazłem jednego tylko Polaka, lwowskiego uczonego Tadeusza Zadereckiego – nawet nie wiem, kiedy umarł – który znał hebrajski, studiował Talmud, Kabałę. Podobno był takim antysemitą, że aż filosemitą.

Są historycy, na przykład w Instytucie Żydowskim w Warszawie, ale o chasydyzmie nic u nich nie ma. Chasydyzm? To

reakcja, to ciemni Żydzi na prowincji, to Polska B i C, zabobony, nic pięknego się tam nie znajdzie. A to ignorancja.

Nie znoszę ignorancji. Pisałem o Brunonie Schulzu. I zauważyłem, że są tam obrazy, których nie mogę wyjaśnić – dlaczego tam się wszystko gwałtownie kurczy i powiększa?

Aż gdzieś dopiero po latach znalazłem analogię z kabałą luriańską. Z taką kosmologią, że świat się kurczy i rozwija.

Rzeczywistość miasteczka w monografii

Z tym Widzącym to inna historia, związana z miastem, w którym mieszkam i w którym pewnie umrę.

Nie jestem z Lublina, jestem z Pomorza Zachodniego. Czytałem jakieś przewodnik, jakieś książki. Ale to tylko część przekazu. Nie dowiedziałem się, kto tu mieszkał, co tu było. Jest taka monografia o miasteczku na Lubelszczyźnie. Duża monografia małego miasteczka. W tej monografii jest informacja, że w czasie II wojny światowej hitlerowcy wymordowali 80 proc. mieszkańców miasteczka. Żydów wywieźli do Treblinki. Że tam w ogóle mieszkali jacyś Żydzi, jest na dwóch stronach. Tymczasem do 1939 roku 80 proc. mieszkańców miasteczka stanowili Żydzi. Nie-Żydzi to była obsada posterunku policji, urzędnicy gminy i poczty. Nie było nawet kościoła – bo dla kogo by miał być.

No to o kim jest ta monografia? O kim, skoro nie dowiaduję się niczego o populacji zamieszkałej w tym miasteczku?

Rzeczywistość księgi

Fot. s. 167.

Mam takie pytanie: jaka była największa książka wydana w Lublinie w ciągu tych 680 lat? To nie jest pytanie do zwykłych lublinian, tylko do ludzi zajmujących się książką w Lublinie. Nikt tego nie wie.

A to *Księga Blasku – Zohar*. Wyszły tylko dwa wydania: jedno w Lublinie w 1623 roku, drugie w Kremonie.[1] Jest współczesny pięciotomowy angielski przekład 75 proc. tekstu *Zoharu* obejmujący 2,5 tysiąca stron! Do czasu Encyklopedii Katolickiej to największe edytorsko dzieło w tym mieście. Ciekawe, czy jest w Lublinie? Czy jest w Polsce? Pies z kulawą nogą się tym fenomenem nie zainteresował.

Z tym nie mogę się pogodzić. Można przeżyć życie nie wiedząc, nie widząc – ale ja chcę znać odpowiedź.

Rzeczywistość bez osi kosmicznych

Chcę Lublin czytać tak, jak się czyta wiersz. Chcę patrzeć na Lublin jak na ikonę. Kiedy tak się patrzy, znajdzie się *genius loci*.

Zawsze irytowało mnie narzekanie, że to miasto takie nieudane, że jeśli ktoś chce się rozwijać, musi stąd uciekać. Mam na to odpowiedź: tu zostały zburzone dwie osie kosmiczne, które porządkowały Lublin. Jedna oś, to był kościół farny św. Michała, rozebrany w połowie XIX wieku. Druga – Widzący, cadyk, który jednoczył, przewodził. To żart – ale jak się zburzyło osie, pozostały puste miejsca. Puste w sensie fizycznym. Po farze został plac. Po żydowskim mieście, gdzie żył Widzący – trawniki na wzgórzu Zamkowym. I puste w sensie metafizycznym.

Zastanawiam się, jakim gatunkiem literackim jest Lublin. Raz myślę, że to wiersz liryczny, raz – że epicki. Lublin to ten typ intymności, jak wiersze Czechowicza. To nie przypadek. *Genius loci*. Jest wszędzie. W Lublinie też. Oby tylko nie wyskoczył z niego złośliwy dżin.

[1] Po raz pierwszy *Księga Zohar* ukazuje się w 1558 jednocześnie w Kremonie i Mantui.

Zdjęcia fresków z Archikatedry lubelskiej zamówione w 1997 roku w Państwowej Służbie Ochrony Zabytków jako ilustracja do mającego powstać lubelskiego przewodnika Władysława Panasa: podpis autora fresków Józefa Meyera w nawie głównej oraz fragment architektury iluzjonistycznej (zob. s. 214). Fot. M. Fedorowicz.

Zdjęcia fresków z Archikatedry lubelskiej zamówione w 1997 roku w Państwowej Służbie Ochrony Zabytków jako ilustracja do mającego powstać lubelskiego przewodnika Władysława Panasa: postać „jeźdźca niebieskiego" (zob. s. 214). Fot. M. Fedorowicz.

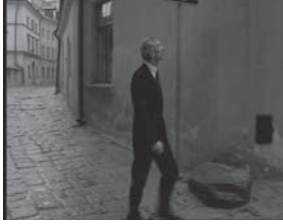

Lublin jest księgą

Władysław Panas jest literaturoznawcą na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Od lat zajmuje się światem zaginionym Brunona Schulza. Niedawno ukazała się jego książka *Pismo i rana*. Kiedy w Bramie Grodzkiej mówił o Widzącym z Lublina, słuchacze zachwycili się stylem egzegezy. Na kolejne publiczne wykłady zabrakło miejsc. Twierdzi, że nasze miasto jest księgą. Czyta tę księgę jakby czytał ukochanego Schulza. Posłuchajcie...

Władysław Panas, *Lublin jest księgą*, wysłuchał, zapisał i do druku podał Waldemar Sulisz „Na Przykład" nr 48, kwiecień 1997, s. 8-9.

Jest tak, że przestrzenie mówią. Ludzkie przestrzenie zamieszkane przez ludzi mówią jeszcze bardziej. Jest taka tajemnicza właściwość i ludzi, i przestrzeni, w których ludzie żyją – że natychmiast owe prozaiczne miejsca, w których się spełnia i dokonuje życie – przekształcają się w przestrzeń symboliczną. Obserwują to i filozofowie kultury, i etnologowie, antropolodzy i religioznawcy. Przestrzeń nigdy nie może być dla człowieka neutralna i nic nie mówiąca. Decydują o tym i autentyczna historia, i legendy, w które człowiek zaopatruje ważne dla siebie miejsca, mity, opowieści, baśnie. Tak jakby człowiekowi konieczna była nadwyżka sensu, symboli. Wydaje się, że człowiek nie mógłby żyć w miejscu nie obrośniętym legendą, dodatkowym sensem, fabułą i narracją.

Podobnie jest z Lublinem. Przestrzeń lubelska mówi. To przestrzeń tego co jest, co istnieje, co wypełnia, oraz przestrzeń miejsc pustych. I w przeciwieństwie do formuły sera szwajcarskiego, gdzie puste miejsce nie daje smaku, w Lublinie miejsca te znaczą. A może nawet mówią jeszcze bardziej niż te wypełnione. Tak się złożyło – i to jest przestrzeni lubelskiej właściwość podstawowa, że właśnie miejsca centralne, o największej nośności semantycznej i semiotycznej są dzisiaj puste.

Miejsce miejsc

Rozpocząć trzeba od miejsca miejsc. Od centrum najbardziej centralnego. Od miejsca, z którego jak od jądra rozrosło się całe miasto. Można wyobrazić sobie Lublin jak pień przekrojonego drzewa, w którym słoje rozchodzą się coraz dalej i dalej.

To centralne miejsce, które było miejscem rzeczywistym i od razu mitycznym i sakralnym, zwane jest dziś „Placem po Farze". Tam stała świątynia świętomichalska, czyli kościół św. Michała Archanioła. Ten fakt historyczny natychmiast przeniesiony został w wymiar legendowy. Mam tu na myśli przekaz zarejestrowany przez Długosza, dotyczący genezy świątyni i miasta, dużo wcześniejszej niż lokacja miasta na prawie magdeburskim.

Książę w pogoni za Jadźwingami czy Litwinami, którzy grasowali po tej stronie Wisły, zasnął w tym miejscu, gdzie jest dzisiaj Plac po Farze. A archistrateg niebiański św. Michał przyszedł do niego z mieczem, udzielił wskazówek i jakby zdecydował, co w tym miejscu ma być. Książę według przekazu ufundował świątynię pod patronatem spotkanego anioła.

Fot. s. 149.

Przez kilka stuleci, aż do początku XIX wieku, przez większość historii tego miasta to była główna świątynia chrześcijańska Lublina. Kiedy dziś myślimy o pustce tego miejsca, możemy dojść do takiego przeświadczenia, że to miasto zostało w jakiś sposób wypatroszone. Pustka tego miejsca woła dziś do ludzi i do Boga.

Fot. s. 150.

Pośmiertne losy św. Michała

Prześledziłem pośmiertne losy świątyni. Wiadomo, że została rozebrana, że

mieszkańcy nie zatroszczyli się o przetrwanie małej, ciasnej świątyni skrytej w staromiejskim gąszczu. Można powiedzieć, że św. Michał został poćwiartowany. Jak w jakiejś legendzie pocięty na sztuki. Odgrzebano szczątki ludzi pochowanych pod świątynią i złożono w kopcu na cmentarzu przy ul. Lipowej.

Fot. s. 133.

Cegły świątynne znalazły się w różnych murach. Między innymi użyto ich do budowy domu ogrodnika u wejścia do Saskiego Ogrodu. Teraz w cegłach świętomichalskich spożywa się pizzę.

Fot. s. 133.

Wyposażenie świątyni rozwleczone jest po najrozmaitszych kościołach. Lubelskich i pozalubelskich. Większość odziedziczyła katedra, gdzie znalazły się ołtarze, obrazy i średniowieczna chrzcielnica z dziwacznym starogermańskim napisem i św. Michałem na szczycie. Tak się stało, że dzisiaj nie ma tego świętego. Znikł. Może udał się w dalszą drogę. Jest obraz, który zdaje się też pierwotnie był u św. Michała, bo pokazuje scenę snu Leszka Czarnego. Teraz znajduje się u Ojców Kapucynów przy Krakowskim Przedmieściu.

Pozostał więc nam niewidzialny kościół, który tak fascynował Czechowicza. Pierwsza wyrwa w substancji symbolicznej miasta. Pierwsza i bardzo znamienna, źle wróżąca miastu na przyszłość.

Symbioza

Do przestrzennej właściwości Lublina należy fakt, że były tu dwa miasta w jednym. Albo jedno w dwóch. Bo było formalnie miasto chrześcijańskie i formalnie również miasto żydowskie. Funkcjonowały dwa odrębne organizmy administracyjne, podporządkowane różnej jurysdykcji, ale żyjące w symbiozie, nieraz bardzo dramatycznej.

Miasto wyrwane

Fot. s. 134.

Całe miasto żydowskie zginęło. A trwało aż do reform Wielopolskiego, a więc do powstania styczniowego. Dziś to jest jedno wielkie puste miejsce. Które dla tamtejszej ludności było centrum. Gdzie rodzili się, żyli, umierali, handlowali, wzbogacali i biednieli. To miasto miało także swoje centra skupione wokół świątynnych budowli i charyzmatycznych postaci.

Tak jak w świecie chrześcijańskim świątynia jest osią i miejscem, skąd jakby najbliżej do Boga, tak dla chasydów cadyk był takim świętym, który ich jednoczył, skupiał, a modlitwy wysyłał do nieba. W Lublinie był to Widzący z Lublina. I tego nie ma.

Ale to przecież jest

Na symbolikę miejsca składa się i to co było, i to co jest, i to co będzie. To co było naprawdę i to co nie było naprawdę. Nie tylko rzeczywistość fizyczna , ale i metafizyczna. Popełnilibyśmy błąd myśląc, że to nas nie dotyczy albo dotyczy w małym stopniu. Że to jest kwestia historyczna czy archeologiczna. Że to nie przekłada się w żaden sposób na czasy dzisiejsze. Otóż przekłada się. Na różne sposoby. Można by powiedzieć, że działają tu różne archetypy. Że pewne obrazy, zachowania nie wiadomo jak związane są z glebą, z ziemią, z powietrzem, z konfiguracją, z terenem – przedostają się do podświadomości i samoczynnie działają. To się objawia w ten sposób, że ludzie w tym samym miejscu mają te same sny, nie wiedząc, kto, po co i dlaczego im się przyśnił.

Puste miejsce żydowskie pojawia się też w inny sposób. Ze świadomości tu żyjących ludzi być może wyparowało i znikło jak ten cały naród. Ale to puste miejsce jest w świecie. Jakoś się przeniosło. Widzący z Lublina pojawia się w wierszach różnych poetów rozsianych po świecie. Przeniosło się do Szwecji, Niemiec, Anglii, Francji, Stanów Zjednoczonych, że o Izraelu już nie wspomnę. Dwie najbardziej znane postacie lubelskie – czy się to komuś podoba czy nie – to są postacie Widzącego z Lublina i Sztukmistrza z Lublina.

Błonia pod Zamkiem. Miejsce po dawnej ul. Krawieckiej i Podzamcze. Fot. M. Skrzypek.

Przestrzeń lubelska mówi. To przestrzeń tego co jest, co istnieje, co wypełnia, oraz przestrzeń miejsc pustych. I w przeciwieństwie do formuły sera szwajcarskiego, gdzie puste miejsce nie daje smaku, w Lublinie miejsca te znaczą.

Lublin jest księgą, s. 147.

Inskrypcja na latarni palącej się non-stop na pamiątkę po żydowskim Podzamczu. W tle błonia pod Zamkiem, którędy kiedyś przebiegała ul. Krawiecka. Fot. M. Skrzypek

Stare miasto i zrekonfigurowany Plac po Farze z lotu ptaka. Fot. Szczepan Bartler, 4 kwietnia 2005. Zdjęcie pochodzi z pierwszej wyklejki albumu dokumentalnego *Pora na nas. Pokolenie Jana Pawła II na pamiątkę spotkań i marszów w Lublinie w dniach 2-9 IV 2005*. Wydawca: Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN", Lublin 2005.

Przez kilka stuleci, aż do początku XIX wieku, przez większość historii tego miasta to była główna świątynia chrześcijańska Lublina. Kiedy dziś myślimy o pustce tego miejsca, możemy dojść do takiego przeświadczenia, że to miasto zostało w jakiś sposób wypatroszone. Pustka tego miejsca woła dziś do ludzi i do Boga.

Lublin jest księgą, s. 147.

Symulacja wyglądu kościoła św. Michała w panoramie Starego Miasta. Autor: Roman Zwierzchowski.

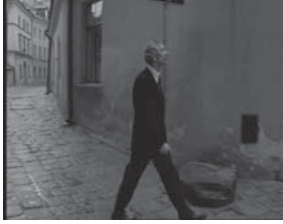

Druga Jerozolima

Tak jak Lublin ma swoją chrześcijańską legendę o początku, tak i Żydzi mają mit założycielski o Lublinie. To wiąże się z nazwą Polski – po żydowsku *Polin* (*Po-lin*). Kiedy Żydzi wypędzeni z różnych części Europy Zachodniej przesuwali się na wschód, wysłali swoich posłańców do księcia Polski. Znaleźli się w pewnym miejscu i okazało się, że są to okolice Lublina. Zobaczyli wysłannicy żydowscy, że na drzewach lasów otaczających to miejsce wiszą karteczki z komentarzami Pisma św. Bardzo byli zaskoczeni świętym językiem hebrajskim. Zrozumieli, że jest to miejsce wskazane przez Boga, dobre miejsce, żeby tu się osiedlić. Żeby tu pozostać. Tu pozostaniesz, zanim przyjdzie Mesjasz i nastąpi ostateczne zbawienie. Tu pozostać to jest *Polin*, czyli Polska. Stało się to zapewne w tym samym czasie, w jakim miał miejsce sen Leszka Czarnego. Dziwne! Dziwne.

Tu pozostaniesz

Jeszcze raz pojawi się w Lublinie zawołanie „Tu pozostaniesz". Wspomniany już Widzący z Lublina nie urodził się w tym mieście. Pochodził z Józefowa nad Wisłą bądź Józefowa biłgorajskiego. Wędrował po świecie ze swoimi mistrzami. Był w Leżajsku, był w Łańcucie, był w Rozwadowie. I też do niego anioł przyszedł. Może ten sam anioł. I również jemu wskazał Lublin. Widzący przybył. Pozostał. Nic dziwnego więc, że Lublin należy do tych kilku miast, które naród żydowski uznawał za Jerozolimę. Za ziemię świętą. Za centrum świata. W Lublinie miał nastąpić koniec świata. Dla chasydów koniec świata miał się dokonać na Podzamczu. Tam miał Mesjasz przyjść. Już go widzieli na wzgórzach. Na Czwartku, na Białkowskiej Górze, na Kalinowszczyźnie.

Lublin jest księgą

Lublin jest księgą o wielu rozdziałach. Tylko że jest księgą mało czytaną. Czytaną na wyrywki. Tak jak czyta księgi leniwy uczeń. Ci, co czytają, są nieliczni i nieuważni. Leniwi. Takim koronnym przykładem czytania leniwego i niewiernego jest fakt zapoznania wielkiego edytorskiego przedsięwzięcia, jakim było wydanie w 1623 roku księgi *Zohar*. Ukazały się zaledwie dwa pełne wydania tego dzieła spisanego w języku aramejskim, a więc języku, jakim mówił Chrystus – jedno w Mantui we Włoszech, drugie w Lublinie.[1] Nikt nawet nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, czy ta edycja jest jeszcze gdzieś w Lublinie, czy jest w Polsce w ogóle.

Takim pustym miejscem tej księgi jest jedna z najpiękniejszych książek o Lublinie, napisana przez Martina Bubera, wybitnego filozofa. To jest książka o Widzącym z Lublina, w całości, od początku do końca dziejąca się w naszym mieście, pt. *Gog i Magog*. To jest książka lubelska. I nie ma jej. Nie ma jej.

Wiem, że można na trzeźwo w biały dzień, w południe, przy pełnym świetle i w słońcu odbyć po Lublinie zupełnie mistyczną wędrówkę, spotykając irracjonalne i niewyjaśnione obiekty. Można by przejść śladami zwłok po kościele świętomichalskim. Można by przejść za mistycznymi trójkątami. Jak trójkąt z Chrystusem na Mansjonarii po św. Michale. Przewodniki i przewodnicy uczeni informują, że z Mansjonarii przeniesiony został na Wieżę Trynitarską, gdzie do dziś się znajduje. Ale do dziś także trójkąt z Chrystusem widnieje na starej Mansjonarii. Są dwa trójkąty. Układają się w pewną linię. Co ona wskazuje?

Lublin jest księgą. To jest bardzo gęsty tekst. Mam całkowitą pewność, że trzeba stosować do niego metody hermeneutyki, takie jakie stosuje się wobec dzieł literackich, plastycznych czy muzycznych. Ten tekst w wielu miejscach jest zaszyfrowany. Kto go szyfrował? Nie wiem. Opatrzność, historia. Być może

[1] Pierwsze wydanie Księgi Zohar ukazało się jednocześnie w Kremonie i Mantui w 1558 roku [przyp. red. „Scriptores"].

jesteśmy literkami tego tekstu, który dzieje się nadal. A może tylko znakami przystankowymi.

Tekst tej księgi przypomina kryształ. Jak go nie uciąć, zawsze w regularne płaszczyzny się układa. Z której strony się nie patrzy, widać ileś tam regularnych płaszczyzn.

Księga Lublina mówi. Bo Lublin też należy do miast magicznych. Takich jak Praga, Lizbona, Petersburg. Poczucie tej magiczności mieli chrześcijanie tego miasta. Chasydzi również mieli takie poczucie. Zaczęło ono ginąć w naszym stuleciu. Ale teraz, pod koniec kolejnego końca wieku, ten proces być może się zatrzyma. Może nastąpi powrót do znaczenia magicznego lub powrót znaczeń magicznych do nas. Powrót przeświadczenia, że to nie jest tylko miejsce do mieszkania. Że to nie jest hotel. Że się nie jest znikąd.

Modlitwa

Jak czytać tę księgę? Powołam się tu na Simon Weil, która widziała podobieństwa pomiędzy studiami a modlitwą. Twierdziła, że pomiędzy pilnym studiowaniem a modlitwą jest tożsamość. Bo tym, co łączy obie czynności, jest skupienie. A nie rozproszenie, pobieżność, chaos.

Więc studiowanie tej księgi to jest czynność duchowa, bo wypełniona: uwagą, skupieniem i słuchaniem, rozmyślaniem – co mówi, kto mówi. Studiowanie tej księgi jest też pielgrzymowaniem. Od świątyni do świątyni. Od trójkąta do trójkąta. Od jednego miejsca pustego do drugiego miejsca pustego…

Potrzeba pamięci

Potrzeba pamięci, z Władysławem Panasem rozmawiali: Paweł Król i Sławomir J. Żurek. Opracowanie: Magdalena Przybyła „Scriptores Scholarum", nr 2/3, 1998, s. 18-22.

Sławomir J. Żurek: Historia ma związek z ludzką pamięcią i są to najczęściej przeżycia bardzo osobiste...

Władysław Panas: W historii najbardziej podoba mi się formuła świadectwa, czyli perspektywy osobistej. Odnoszę wrażenie, że mówiąc o różnych zjawiskach bardzo często uciekamy w ogólniki. Mówi się o kulturze w ogóle i o kulturze narodowej, o historii, ale to wszystko jest bardzo ogólne, niekonkretne, nieosobiste.

Sławomir J. Żurek: Zatem jaką rolę pełni w kulturze pamięć człowieka?

Nie będę oryginalny, bo tu nie można być oryginalnym... To jest podstawowa rzecz, którą się ma, we wszelkich perspektywach – indywidualnej, zbiorowej, wspólnotowej, społecznej. Bez pamięci nie ma kultury! Bez pamięci, czyli – mówiąc innym językiem – bez obcowania, zarówno w porządku historycznym, jak i współczesnym. To jest właśnie pamięć egzystencjalna. Pamięć o kimś, o czymś, o kimś z związku z czymś! Przecież to jest takie ludzkie... To nie tylko zwracanie się wstecz, ale iść do tyłu to tak, jak u Mrożka „iść tyłem do przodu". Pamięć uruchamia wszystkie czasy: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Sądzę, że wszyscy sobie to uświadamiamy. Pamięć jest potrzebna w paru aspektach. Jest przywoływana w działaniach poznawczych, czyli w takim porządku, gdzie podstawowym wyznacznikiem jest poznanie! Taka pamięć, nazwijmy ją „naukowa", nie musi mieć innych motywacji. Identyczną motywację ma alpinista. Możemy go zapytać: „Dlaczego Pan wchodzi na tę górę?"; „Czy pamięta Pan o tym, że może się Pan zabić!"; „Czy wie Pan, że może sobie odmrozić nogi?". A on i tak wchodzi na tę górę, ponieważ ona jest! Tak więc coś **jest,** więc się to coś opisuje. Pamięć nie musi się przekładać na bardziej wymierne, praktyczne działanie. Rysuje się nam tutaj pamięć w kulturze duchowości, a więc taką, która jest do czegoś potrzebna człowiekowi. Niekoniecznie dlatego, że jest uczony, że wiążą się z tym jego obowiązki zawodowe, że mu za to płacą. Pamięć jest nieodzownie potrzebna każdemu człowiekowi.

Paweł Król: Do czego?

Wyobraźmy sobie przeciwieństwo pamięci – amnezję! Amnezja to inaczej wymazanie. Powiedziałbym, wręcz egoistycznie – pamięć potrzebna jest żeby zaistnieć, żeby mieć samoświadomość, żeby siebie zobaczyć w jakimś kontekście. Kontekst jest zawsze (czy sobie to uświadamiamy, czy nie) doczesny, teraźniejszy, współczesny... Ale przecież zawsze mamy jakąś swoją przeszłość – dzień, miesiąc, rok, dwadzieścia lat wcześniej.

Paweł Król: Co się dzieje jak człowiek nie pamięta?

W skrajnych przypadkach jest to choroba, śmierć duchowa, a nawet biologiczna. Zatem mówiąc o pamięci w aspekcie kulturowym, wspólnotowym, społecznym, trzeba mówić również o śmierci! Kulturowa pamięć potrzebna jest człowiekowi do zakorzenienia siebie w tej wspólnocie szerszej: żywych (tu i teraz) oraz zmarłych (tam i kiedyś). To jest to, co w chrześcijaństwie nazywa się obcowaniem świętych... Podstawą obcowania jest pamięć. Pamięć religijna ma charakter modlitewny. W kulturze ten związek realizuje się podobnie.

Pamiętać to nie znaczy tylko spłacić dług czy „oddać" szacunek komuś, lub czemuś. Pamięć jest potrzebna bardziej tym, którzy pamiętają, niż historii, dziejom, zjawiskom, postaciom. Przede

wszystkim jest to **nam** potrzebne. Gdy nie pamiętamy, nie ma nas. Jestem, trochę jak w filozofii dialogu, „o tyle, o ile Ty jesteś". To zjawisko działa również wstecz – jestem o tyle, o ile mam jakąś przeszłość. Przeszłość, która mnie wiąże z miejscami i z czasem. Pamięć czasowo-przestrzenna, to coś w rodzaju bachtinowskiej „chronotopii", obcowania dialogowego, osobowego w różnych kierunkach! Stan ten u Simone Weil nazywa się „zakorzenieniem siebie we wszelkiej rzeczywistości". Tak więc pamiętając mamy jednocześnie do czynienia z przejawem naszego „transcendotrwania"...

Sławomir J. Żurek: Mówił Pan Profesor o amnezji... Człowiek często nie pamięta, bo coś jest nieważne, albo nie pamięta, bo się boi. Czy by pamiętać potrzebna jest odwaga?

Czasami chyba tak. Mówi się przecież o pamięci wybiórczej – pamięta się to, co jest miłe, sympatyczne, przyjemne, a rzeczy niemiłe, niedobre, traumatyczne wymazuje się z pamięci. Tak, jest potrzebna odwaga do pamięci zbiorowości, bo konieczna jest pamięć również o tych momentach niemiłych. Pamięć jest przyznawaniem się do czegoś. Można wymazać coś z pamięci, nie nazwać, nie obdarować imieniem, a wtedy to „coś" po prostu nie istnieje. To jest magiczna operacja! Odwaga potrzebna jest po to, aby wydobywać z tych ciemnych zakamarków naszej pamięci. Mówi o tym psychoanaliza, znają to również mistrzowie duchowi. Wreszcie, na tym przecież polega spowiedź! Nazywanie, mówienie, przypominanie mają więc funkcję terapeutyczną. Pamięć może nas uleczyć...

Sławomir J. Żurek: Do czego może być potrzebna pamięć mieszkańcom Lublina?

Od pewnego czasu bardzo mnie to miasto interesuje, piszę o nim, chociaż nie mieści się to w mojej opcji zawodowej. Piszę o literaturze, nie jest historykiem. Nie jest rodowitym lublinianinem. Przyjechałem tu jako człowiek dorosły, zmuszony... i odebrałem to miasto i ludzi szalenie negatywnie! I ludzie mi się nie podobali, i miasto, i klimat (co było oczywiście nonsensem; przyjechałem z Poznania, więc jakież tu różnice klimatyczne!). Lublin – moje nie chciane miasto! Do przyjazdu tutaj byłem po prostu zmuszony (to był okres represji, zostałem wyrzucony ze swojej uczelni). Nigdy wcześniej nie byłem w Lublinie, nie znałem tej części Polski. Miasto wydało mi się brudne, szare, obskurne, ale bardzo szybko mi to przeszło. Trzeba było tylko poszukać siebie tutaj, siebie w tym miejscu zobaczyć, pogodzić się... Pamięć o miejscach i o ludziach godzi nas ze sobą, bo przecież uroda tego miasta się nie zmieniła, klimat się nie zmienił.

Sławomir J. Żurek: Co w takim razie się zmieniło?

Dostrzegam tę drugą stronę miasta, jego mistyczność i „malowniczość" (wszystko się wali, obsypuje, nic się nie dzieje, ale jest piękne...). Odczuwam potrzebę pisania o tym mieście. Jest to swoisty rodzaj ekologii, ekologii duchowej... Nie można żyć w środowisku, które uzna się za obce, wrogie. Trzeba poszukać pojednania. Pisząc o tym mieście, szukam formuły pojednania, szukam jej w historii miasta. To nic, że nie urodziłem się tu, że zjawiłem się tu w pewnym momencie, ale przecież zjawiłem się na miejscu, które ma swoją przeszłość, jakąś historię i żeby się pojednać (tu i teraz) i zaakceptować siebie i wszystkie relacje z innymi, muszę trwać w regresji. Sam dla siebie muszę się tym miejscem interesować. Myślę jednak, że to najgłębsze związanie z miejscem i obecnością poprzez pamięć, musi się odbywać na własny rachunek.

Sławomir J. Żurek: A jakie miejsca szczególnie wpisałyby się w ten Pana osobisty pejzaż?

Wszystko, tu nie można działać wybiórczo. Chodzi o pewną „gramatykę" – żebym mógł powiedzieć **moje**. Ta „mojość"

Zdjęcia fresków w Archikatedrze lubelskiej zamówione w 1997 roku w Państwowej Służbie Ochrony Zabytków jako ilustracja do mającego powstać lubelskiego przewodnika Władysława Panasa. W piśmie do PSOZ-u były one określone jako „pejzaże we wnękach okiennych". Pierwsze zdjęcie przedstawia pejzaże w wnękach w Skarbcu, a drugie pejzaż z wnęki w zakrystii akustycznej (zob. s. 214). Fot. M. Fedorowicz.

Zdjęcia fresków na ścianie powyżej sklepienia kościoła ss. brygidek (powizytkowskiego) zamówione w 1997 roku w Państwowej Służbie Ochrony Zabytków jako ilustracja do mającego powstać lubelskiego przewodnika Władysława Panasa. W piśmie do PSOZ-u chodziło o zdjęcie przedstawiające „sylwetkę jeźdźca" (zob. s. 214). Pierwsze zdjęcie przedstawia grupę jeźdźców. Jeździec na drugim to prawdopodobnie król Władysław Jagiełło, fundator kościoła. Fot. M. Fedorowicz.

musi obejmować wszystko, nie może być pamięcią wykluczającą. Mówimy przecież o sprawach intymnych, osobistych. Można tu uczynić analogię do rodziny. W rodzinie akceptuje się i kocha wszystkich (mądrych i głupich, miłych i niesympatycznych, lubianych i odrzuconych, upośledzonych). Zatem nie mogę, nie chciałbym niczego specjalnie wyróżniać w tej lubelskiej czasoprzestrzeni. O jednych rzeczach wiem więcej, o innych mniej, o niektórych nic. Próbuję odnaleźć siebie, odczytać i wpisać w cały ten konglomerat, szukać jakiegoś porządku...

Dla mnie najważniejsze jest, żeby „przerabiać" osobiście. Jestem uczonym, więc mógłbym przecież przyjąć taką optykę: jest jakiś fragment historii, którego nikt jeszcze nie zbadał, nie opisał, no to ja się tym zajmę – będzie kolejny tom, który odłoży się *ad acta*, może ktoś to przeczyta (bo musi, bo chce). Otóż nie! To musi być osobiste, bo to nie jest tylko kwestia intelektualna, erudycyjna. Dla mnie to jest fragment życia, więc trzeba osobiście i ciągle „przerabiać" od nowa, ciągle powtarzać, wpisywać się, trochę jak w rzeczywistości sakralnej... Oczywiście informacja odgrywa tu jakąś rolę. To jest tak jak w modlitwie – mogę wiedzieć za kogo się modlę (znać jego „dane"), ale to nie jest konieczne, modlę się za X-a. W relacji między informacją (czystym poznaniem) a pamięcią, tym co istotne w tej formule, jest właśnie obecność.

Sławomir J. Żurek: Lublin był przed wojną miastem wielokulturowym. Czy ta „polifoniczność" miasta, a zwłaszcza jego „żydowskość" wpisała się w pamięć zbiorową mieszkańców Lublina?

Trudno mi powiedzieć, ocenić, ale z moich obserwacji wynika, że nie bardzo! Pytam często różnych ludzi, którzy się tu urodzili na długo przed wojną, gdzie była synagoga, a oni na to, że nie wiedzą, nie pamiętają. Zbiorowa amnezja! Jeśli ta „żydowskość" funkcjonuje, to musielibyśmy chyba mówić o pewnych stereotypach zbiorczych, kilku formułkach, sloganach. Człowiek ma tendencję do stereotypizacji otoczenia. Tak jest również z innymi miastami. Pyta Pan o Żydów w pamięci zbiorowej mieszkańców Lublina. Myślę, że ich miejsce jest w ogóle na skraju, na obrzeżach, nawet tej stereotypowej pamięci zbiorowej...

Sławomir J. Żurek: A dlaczego tak się stało?

Nie jestem specjalistą (trzeba by tu chyba psychosocjologa) w tych sprawach, ale podejrzewam, że to jest trochę związane z psychologią zbiorowości. Zbiorowość nie jest dobrym partnerem, ma tendencje (jako grupa) do eliminowania. A jeżeli dodać do tego niechęci, resentymenty, to tym łatwiej... Sądzę jednak, że nawet gdyby chodziło o pozytywne wspomnienia, to pamięć zbiorowa zawsze będzie się lokowała w schematach, formułach, sloganach. Dopiero suma indywidualnych doświadczeń może coś wnieść.

Z moich doświadczeń wynika, że nie ma takiej pamięci wielowiekowej, wielokulturowej w Lublinie, do 1939 roku. Nie ma i chyba nie będzie... Nie mamy w ogóle czegoś takiego jak historia Rzeczpospolitej Obojga Narodów, nie ma opracowanej całości, jednego podręcznika na temat historii tego organizmu politycznego, który ukonstytuował się pod koniec czternastego wieku, a formalnie zakończył się po trzecim rozbiorze Polski. Ten organizm został rozparcelowany i nie mamy wspólnej historii, z różnych zresztą powodów...

Tu jednak potrzeba specjalnych kompetencji! Chociażby kompetencji językowych, piśmienniczych (każda grupa kulturowa miała swój język, swoje piśmiennictwo), kompetencji erudycyjno-metodologicznych (nie można przecież dołączyć do podręcznika historii literatury polskiej kilku rozdzialików o literaturze białoruskiej, ukraińskiej, żydowskiej – to trzeba pokazać jako wspólny organizm, całość), kompetencji filozoficznych, etycznych (aby rozstrzygnąć pewne

kwestie, aby nie okazać się „intelektualistą", który zagarnia cudze tereny).

Paweł Król: W tej wielości kulturowej nie wszyscy byli równi, więc jak to pokazać, żeby nie urazić?

Przestrzeń, miejsce, najlepiej pokazuje, że to był kiedyś jeden organizm (dziś, niestety, rozparcelowany) – w Wilnie na przestrzeni stu metrów mamy Ostrą Bramę katolicką, prawosławny Klasztor Świętego Ducha, a *vis-a vis* greko-katolicki Bazylianów, trochę dalej synagogę i zarazem potem kościół ewangelicki... Osobni, różni, czasem nawet wrodzy, ale zjednoczeni czasoprzestrzenią! Mówię trochę postulatywne o potrzebie opracowania tego, niemniej jednak zdaję sobie sprawę z dużej skali trudności, które tu się piętrzą. To przekracza nasze kompetencje, chociażby językowe (trzeba by znać języki: litewski, staroruski, białoruski, ukraiński, starocerkiewny, hebrajski, jidysz, aramejski, karaimski, alfabet arabski, tatarski, niemiecki). Ile języków, jaki nieprawdopodobny bukiet! Trzeba to objąć, właśnie pamięcią...

Paweł Król: A jakie byłyby na tej wielokulturowej mapie Lublina miejsca szczególne?

Każde miasto ma takie miejsca, swoją duchowość. Na pierwszej sesji naukowej, która odbyła się w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" mówiono mi: „Wy to macie dobrze w Lublinie, macie Bramę, symbol współistnienia!". Specyfika Lublina bierze się z obecności dwóch narodów, kultur, religii i języków: Polaków i Żydów. Trzeba objąć, zobaczyć, pomieścić w swojej pamięci ich obecność: schodzącą się, rozchodzącą, ku sobie i od siebie, sympatyzującą i wrogą. Przestrzegam, również siebie, przed idealizacją, przed niepotrzebnym retuszowaniem obrazu. Objąć trzeba wszystko, także miejsce kaźni, niesprawiedliwości, posądzeń. Tak jak *szmult*, nieregularny kłąb, z którego pociągamy nitkę i idzie wszystko...

Nasz fenomen polega na tym, że Lublin przed rokiem 1939 to były dwa miasta – polskie i żydowskie (nawet formalnie, jako instytucje) w jednym! A w mieście żydowskim były jeszcze dwie gminy, przed bramą i za, w dodatku mieli jeszcze oddzielne herby i własną jurysdykcję.

Sławomir J. Żurek: Mówił Pan Profesor o duchowości miejsca. Jaka jest duchowość lubelskiej Bramy Grodzkiej, nazywanej również niegdyś Bramą Żydowską?

To wiąże się z symboliką, duchowością, sensem, teologią każdej bramy. Brama jako punkt przejścia z jednego świata w inny, to jest ten punkt, gdzie się spotyka bezpośrednio. Miejsce tranzytywności przechodzenia. Oczywiście tu szczególnie skupiają się granice, ale to jest wyrwa, droga, którą można przejść do nieba, do piekła, do innego świata... W tym miejscu wszystko się zbiega, spotyka, więc dlatego jest takie ważne. Punkt przyciągania, odpychania w różnych kierunkach (regresji, progresji, konwersji). Ruch. To nie jest miejsce symbolizujące stabilność. Tu się wszystko kanalizuje – jest jednocześnie wejściem i wyjściem, we wszystkich stronach. No, a Brama Grodzka szczególnie, bo łączy światy radykalnie odrębne i obce wobec siebie. To nie są tylko rozważania filozoficzne, metafory poetyckie – taka jest fenomenologia tego miejsca, jego duch. Ma duszę, pod warunkiem, że się na nią otworzymy, a więc również archetypy! Przychodzą w poezji, w lękach, we śnie, w fantazjach... Są oczywiście i inne miejsca z ich duszą, ale Brama Grodzka jest dla mnie najważniejsza, bo niewiele już takich miejsc pozostało... Po drugiej stronie nie ma już żydowskiego miasta, pozostała fizyczna pustka. Droga materialna przekształciła się w drogę spirytualną.

Paweł Król: W jaki sposób ta wielokulturowość wpłynęła na lubelskich pisarzy?

Przykro powiedzieć, ale ta wielokulturowość nie pozostawiła u tutejszych pisarzy żadnych śladów, z wielu powodów. Lublin nie jest miastem opisanym, niewielu

pisarzy tu żyło, pisało. To nie jest takie miasto jak Wilno, Praga, Lwów. Myślę, że my to robimy, dopiero teraz, razem w „osobnościach" (tak dzisiaj dostrzegamy tych trzech wielkich z Pragi czeskiej – Rilke, Hašek, Kafka – razem, ale każdy w swojej osobności). Ludzie mogli tego nie dostrzegać, a nawet uważać za jakąś karę (zmuszeni do życia obok siebie), ale tak właśnie rodzi się magiczność literatury. Jeżeli koegzystencja wielu kultur, narodów pojawiła się u pisarzy, to na zasadzie jakiejś malowniczości, ale z podtekstem negatywnym, jako pewien problem społeczny. Głębsza refleksja przychodzi dopiero dzisiaj. Ale to się odbywa nie tylko tu, to się odbywa wszędzie – dostrzeganie, rozumienie, dopiero teraz przyszedł ten czas...

Paweł Król: Poszukiwanie straconego czasu?

Tak, i to przez obcych (najpiękniejszą książkę o Pradze napisał przecież Włoch). Widocznie trzeba dystansu, a my chyba jesteśmy dostatecznie oddaleni. To oddalenie daje tęsknotę, uruchamia pamięć i uwalnia od przymusu. Jesteśmy w sytuacji, kiedy chcemy i potrzebujemy, żeby się związać, zakorzenić, poczuć u siebie (człowiek, który nie wiąże się z miejscem, niszczy je, niszczy swoją nienawiścią, brakiem pogodzenia). Jeśli ktoś tego nie zrobi, to będzie cierpiał... Cierpienie i nienawiść, wszelkie fobie i resentymenty są przejawami braku zakorzenienia.

Sławomir J. Żurek: A czy pamięć o Bogu jakoś odbija się w kulturze narodu?

Myślę, że tak, na pewno! To oczywiście zależy od rodzaju wspólnoty, ale możemy mówić w kulturze o pamięci o *sacrum*, o transcendencji.

Sławomir J. Żurek: Czy są w Lublinie miejsca, w których manifestuje się pamięć Boga?

W świątyniach! Żywe świątynie, żywa wiara, to jest podstawowy sposób pamięci Boga.

Sławomir J. Żurek: A czy poza tymi zinstytucjonalizowanymi przestrzeniami?

Odpowiedź byłaby skomplikowana, bo trzeba się zastanowić nad poczuciem sakralności przestrzeni. Cała przestrzeń jest wartościowa – Bóg mieszka nie tylko w kościele, w katedrze, na cmentarzu żydowskim, w mieszkaniu Widzącego z Lublina. Przestrzeń sakralna jest tam, gdzie pamięć (jak jej nie ma, to wszystko się instytucjonalizuje, ale jest suche jak podręcznik). Pamięć i kultura mają charakter sakralny, jak w filozofii dialogu (Levinasa czy Bubera). Jak pamięta (a nie zapomina), jak tworzy (a nie niszczy), jak widzi wartość (a nie antywartość), to jest **sakralne**! Nasze działanie jest funkcją pamięci. Na szczęście, jesteśmy nie tylko tacy jak siebie postrzegamy, mówi o nas głównie to, co robimy (albo czego nie robimy). *Sacrum* to pamięć. Jak nie ma tego założenia, że Bóg istnieje, to nie można zdania napisać! To nie jest jakieś „religianckie" – jak u Dostojewskiego – „Jak nie ma Boga, to znaczy, że nie ma żadnej hierarchii, czyli ja nie jestem kapitanem!" Chodzi o to, że jeśli nie ma idei hierarchiczności, to wszelka hierarchiczność bierze w łeb. Przestrzeń zostaje zdesakralizowana. Nie wiem jak racjonalnie wytłumaczyć 3pewne zależności, ale czuję, że jak się czegoś dowiem o cadyku, to będę lepszym chrześcijaninem. To trzeba czuć... Dla mnie jedyną sensowną formułą, również w przestrzeni sakralnej, jest formuła PAMIĘĆ – MIEJSCE – OBECNOŚĆ. To jest ruch ku przyszłości, przez cofanie – idąc do tyłu, idziemy do przodu. Wszystko przecież łączy się ze wszystkim (struktura całego organizmu). Potrzebne jest wszystko, bo wszystko się ze sobą wiąże... Dzieląc *sacrum*, redukuje się je. Sądzę zatem, że przez pamięć o Żydach, o Widzącym z Lublina, może nie stanę się święty, ale też na pewno nie stanę się gorszy.

Sławomir J. Żurek: Dziękujemy za rozmowę!

Magiczne miasto

Zredagowany zapis wypowiedzi Władysława Panasa ze ścieżki dźwiękowej materiału nakręconego w trakcie realizacji filmu Nataszy Ziółkowskiej-Kurczuk *Magiczne miasto*, TVP Lublin, 2000. Materiał dostępny w archiwum TNN.

Fot. s. 171.

O Widzącym z Lublina

Kiedy Jakub Icchak Horowic (pseudonim „Widzący z Lublina") przebywał w Leżajsku, anioł powiedział mu, że ma udać się do miejsca, które nazywa się Wieniawa. Później Widzący dowiedział się, że Wieniawa to miasteczko pod Lublinem (bo była wtedy osobnym miastem). Kiedy jednak przybył tu ze swoją grupą najwierniejszych uczniów, został odrzucony przez całą społeczność, przez rabinów lubelskich na czele z rabinem zwanym „Żelazną Głową".

Na początku Widzący był właściwie człowiekiem wyklętym, tak jak zresztą i inni liderzy ruchu chasydzkiego. Cadyk to słowo hebrajskie, które po polsku znaczy tyle co „sprawiedliwy mąż", „ultrasprawiedliwy". Na tę cechę cadyka składają się właściwości mistyczne, szczególna pobożność i świętość, ale w przypadku cadyków chasydzkich jest to świętość różna od naszego wyobrażenia o świętości. Dla nas święty jest wcieleniem łagodności, a Widzący był człowiekiem o charakterze gwałtownika, „gwałtownika bożego". Cadykowie zawsze byli postaciami charyzmatycznymi, a z tym albo się ktoś rodzi, albo nie.

Przez kilkanaście lat Widzący mieszkał na Wieniawie. Rosły jednak rzesze jego zwolenników i na początku XIX wieku przeniósł się na ulicę Szeroką na lubelskim Podzamczu. Jak pisze Martin Buber, nazywano go „Lublin" lub w jidysz „Lubliner". Każdy cadyk jest niezwykłą postacią, ale ten był wyjątkowo niezwykłą z racji posiadania – mówiąc dzisiejszym językiem – pewnych dodatkowych właściwościach parapsychicznych, takich jak zdolność „przenikania" rzeczywistości czy przewidywania.

Widzący wykazywał te zdolność już jako mały chłopiec. Legendy chasydzkie mówią, że był to dar „widzenia" praktycznie całego świata; wszystkiego, co się na nim dzieje. Widok ten napawał przyszłego cadyka takim przerażeniem, że krwawe łzy płynęły z jego oczu. Ośmioletni wówczas chłopiec widział całe zło świata: wojny, okrucieństwa, prześladowania, represje i najzwyczajniej nie rozumiał tego, dlatego prosił Boga, żeby mu w zabrał ów dar. Podobno Bóg przychylił się do tej prośby i ograniczył jego zasięg do czterdziestu mil, jak podaje jedno ze źródeł.

Niemniej jednak te cudowne właściwości wypromowały Widzącego tak, iż został przywódcą pewnej grupy Żydów. Mieszkał i utożsamił się z nimi, stając się dla nich kimś, kto – zarówno dla chasydów, a z czasem i dla innych, bardziej racjonalnie usposobionych Żydów – reprezentuje ni mniej, ni więcej tylko swego rodzaju widzialną, żyjącą *Axis Mundi* – oś kosmiczną, bezpośrednią komunikację z Bogiem. Przez cadyka przepływa bowiem komunikacja w obie strony między Bogiem. Wszelkie modlitwy kierowane są do Boga za pośrednictwem cadyka, który pełni rolę dwukierunkowego medium. Z jednej strony można go porównać do chrześcijańskiego świętego, a z drugiej do buddyjskiego guru, nauczyciela mądrości.

Chasydyzm powstawał jako ruch rewolucyjny, jawnie heretycki. Może więc warto powiedzieć trochę o nieortodoksyjnych zachowaniach Widzącego, choć trudno będzie nam w tej chwili ocenić wiarygodność tych przekazów, zważywszy, że jego przeciwnicy podają inne informacje.

Na przykład zarzucano mu, że palił fajkę w czasie nabożeństw w synagodze – w swojej synagodze, bo z lubelskich synagog chasydów wypędzano. Popa-

Na tej i kolejnej stronie: w kaplicy pw. Świętej Trójcy cztery z pięciu zdjęć zamówionych w 1997 roku w Państwowej Służbie Ochrony Zabytków jako ilustracja do mającego powstać lubelskiego przewodnika Władysława Panasa: portret konny Jagiełły, kurtyna wokół dolnej części ścian i w presbiterium oraz inskrypcja autora fresków (zob. s. 214). Fot. P. Maciuk. Ze zbiorów Muzeum Lubelskiego.

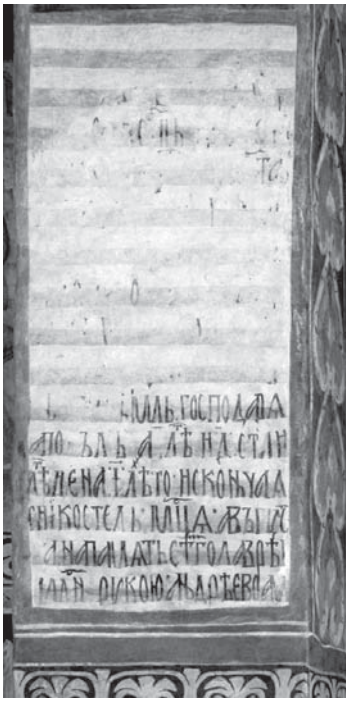

Opis: zob. strona poprzednia.

lał fajkę w czasie modlitwy i był zwolennikiem picia alkoholu. Miał nawet pewną specyficzną teologię picia (chasydyzm nie był ruchem antyalkoholowym, wręcz odwrotnie). To jest jedyny znany mi przypadek takiej „teologii alkoholizmu".

Dlaczego nie tylko nie jest źle pić, ale nawet pić trzeba? Otóż, co prawda, używki nie są dobre, ale w rozgrywce między dobrem a złem mogą być pozytywnie wykorzystane. Mianowicie kiedy Szatan i złe duchy widzą, że ci pobożni chasydzi ze swoim ultrasprawiedliwym szefem siedzą przy stole, śpiewają swoje *niguny*, tańczą i popijają, wyrabiają sobie pogląd, że tak naprawdę ci chasydzi nie są tacy święci i nie ma co ich do grzechu sprowadzać, bo właściwie już są upadli. Po czym przenoszą swoje zainteresowanie na te osoby, które wydają im się bardziej warte takich zabiegów. Picie alkoholu przez pobożnych służy więc do tego, aby wprowadzić Szatana w błąd.

Jednak nie wszyscy chasydzi mieli takie poglądy jak Widzący z Lublina. Jego najbliższy, najlepszy, ale niewierny uczeń (też Jakub Icchak, pochodził z Przysuchy), był ortodoksyjnym abstynentem i odszedł od Widzącego. Opowiem teraz o nich pewną anegdotę, bo w przekazie o chasydach wszystko jest anegdotyczne. Historia chasydyzmu z góry zakłada, że wszystkie opowieści i wszystkie fakty są na poły legendarne i mityczne. Mityczność z silną domieszką fikcji jest ich podstawową właściwością, nie chodzi w nich o to, żeby się wszystko zgadzało z prawdą.

Powiada się, że kiedy ów niewierny uczeń odwiedził Widzącego, ten bardzo się ucieszył (cadyk kocha swoich uczniów i *vice versa*), więc natychmiast postawił na stół jakiś alkohol, szklanki i poczęstunek. A pili w prosty sposób – nie wino, ale gorzałkę, bo trzeba pamiętać, że chasydyzm był ruchem spontanicznym i ludowym, ruchem ludzi biednych, plebsu, wśród których obowiązywały proste potrawy i proste zachowania, może nawet prostackie. To nie byli rabini. Nie mieli za sobą żadnych studiów. Chasydzi bardziej przypominali hippisów i kontestatorów.

Tak więc Widzący rozlał alkohol do szklanek, ale uczeń-abstynent nie chciał pić. Nie chciał też odmówić, żeby nie urazić mistrza. Ponieważ jednak miał równie silną osobowość i specjalne predyspozycje, natężył swoją wolę, aby rozwiązać dylemat: jak nie odmówić i nie wypić, nie odmawiając jednocześnie. Wysilił więc wszystkie swoje władze, skupił się – i szklanka prysła, alkohol się rozlał. Niezrażony Widzący powtórzył operację i za każdym razem szklanki z alkoholem pękały. W końcu zdenerwowany Widzący mówi: „Słuchaj, albo pijesz, albo nie. Bo ja już w domu nie mam więcej szklanek".

Każda z grup chasydzkich miała swoją muzykę i tańce – prawie jak zespoły rockowe i ich fani – każda słuchała własnego mistrza i własnej muzyki. Każdy z cadyków miał też swoją specyfikę, swój styl i sposób zachowania. Idée fix lub, jak kto woli, misja życiowa Widzącego polegała na tym, że chciał przyspieszyć zbawienie. Jak wiadomo Żydzi, w tym także chasydzi, nie uznają Chrystusa za Mesjasza. Owszem, czekają na Mesjasza, ale – powiedzmy umownie – Żydom ortodoksyjnym nie wolno niczego robić, aby to czekanie skrócić. Nie wolno im modlić się o koniec świata. Natomiast chasydzi tym się różnili od ortodoksyjnych Żydów, że mogli podejmować takie działania i właśnie Widzący chciał przyspieszyć przyjście Zbawiciela. Ale jak to zrobić?

W mistyce żydowskiej jest coś, co nazywa się „bólami porodowymi Mesjasza". Chodzi o pewne oznaki „cierpienia świata": wojny, choroby, zarazy, prześladowania, klęski żywiołowe, klęski głodu. Wszystko to mogą być sygnały, że nadchodzi dobry moment na przyjście Zbawiciela. Widzący żył na przełomie XVIII

i XIX wieku. Widział upadek Rzeczypospolitej, rozbiory, zaraz potem cykl wojen napoleońskich, przemarsze armii. Wszystkie te wydarzenia miały miejsce za jego życia i obejmowały okres kilkudziesięciu lat, a pamiętajmy, że dla ówczesnych ludzi te wielotysięczne armie i bitwy były wydarzeniami bez precedensu, czymś zbliżonym do końca świata. Wydawało się więc, że w takim razie trzeba zintensyfikować swoje działania mistyczne, modły czy magiczne praktyki, żeby pomóc w nadejściu Mesjasza.

Fot. s. 72.

Tak myślał Widzący i jego dwaj przyjaciele-cadykowie – jeden w Rymanowie (dzisiaj Rymanów Zdrój), drugi w Kozienicach za Wisłą. Razem postanowili stworzyć „magiczny trójkąt", aby, skupiając wszystkie swoje siły i władze, wpłynąć odpowiednio na bieg wydarzeń historycznych. Między innymi ten z Rymanowa miał się modlić o pomyślność dla Napoleona, a drugi za zwycięstwo cara Aleksandra. Cadykom było wszystko jedno, kto wygra. Swoimi modlitwami chcieli doprowadzić świat do kryzysu nie tylko historycznego, ale również do kryzysu w jakimś kosmicznym wymiarze, aby „zmusić" Boga do ostatecznej interwencji. Co więcej, Widzący tak przygotował ów mistyczny plan, aby Mesjasz pojawił się w Lublinie, gdzieś na tych naszych wzgórzach; aby tu zaczął się proces zbawienia i końca świata. W Lublinie miał nastąpić koniec świata i zbawienie!

Świat istnieje, jak wiemy. Rzecz się zakończyła wielką klęską, bo jednak zamierzenia te trzeba widzieć w kategoriach pychy. Widzący był pobożny, był mistyczny, ale był też gwałtownikiem. Wydaje się, że Bogu nie spodobało się, że cadyk chce go zmusić do interwencji i po prostu pozwolił Szatanowi działać. Ten zaś wyrzucił Widzącego z drugiego piętra jego domu przy ulicy Szerokiej 28 na bruk. Widzący potłukł się, połamał i po kilkumiesięcznych męczarniach umarł. Wszystko to działo się w tym samym momencie historycznym, kiedy Napoleon przegrał pod Waterloo.

Fot. s. 171.

Pozostał po tych wydarzeniach ślad – macewa Widzącego na starym kirkucie. Fakt, że przetrwała, należy uznać za jedno z kolejnych cudownych zdarzeń związanych z cadykiem. Naziści zniszczyli prawie cały cmentarz. Zostało kilkanaście całych, nieruszonych nagrobków. Jeden z nich to właśnie macewa Widzącego z Lublina. Dla jego zwolenników – chasydów rozsianych dzisiaj po świecie, w Izraelu, w Stanach – jest to widomy dowód, że moc Widzącego nadal działa. Przyjeżdżają, składają na jego macewie *kwitełech*, karteczki z modlitwami, na których wypisują imiona tych, którym dobrze życzą albo za których się modlą. Gdyby rozwinąć taką karteczkę, znaleźlibyśmy na niej imię osoby, za którą się prosi i imię jego matki. Bo w judaizmie to matka, a nie ojciec, identyfikuje człowieka.

Widzenie miasta

Myślę, że Lublin ma więcej powodów, żeby się nazywać Los Angeles niż Los Angles. W historii tego miasta aniołowie uobecniali się bardzo często, a Archanioł Michał wręcz formuje to miasto. Długosz przytacza legendę o tym, jak ów archistrateg (bo taką ma funkcję w niebie – jest naczelnym dowódcą sił anielskich zbrojnych) objawił się księciu Leszkowi Czarnemu w śnie podczas jego kampanii przeciw Jaćwingom (czy też Litwinom), wręczając mu miecz i wydając jakieś dyspozycje wojskowe.

Wdzięczny książę, któremu udało się pokonać najeźdźców, postanowił w miejscu objawienia ufundować świątynię pod wezwaniem świętego Michała Archanioła – świątynię, która przecież we wszystkich religiach jest czymś, co łączy rzeczywistość ludzką z rzeczywistością niebiańską, czyli tym co się nazywa po łacinie *Axis Mundi*, osią kosmiczną.

Dla naszego miasta ową osią kosmiczną przez wiele lat była ta właśnie

Fot. s. 172.

świątynia. Miasto praktycznie do początku XIX wieku miało wiele kościołów i klasztorów, ale tylko jeden kościół parafialny – właśnie ten – centrum duchowe, najważniejszą świątynię, która skupiała na tym wzgórzu mieszkańców, ich modlitwy, ich przeżycia religijne. Warto zwrócić uwagę na to połączenie snu – rzeczywistości onirycznej, aniołów (bytów subtelnych, jak się je określa w teologii) – z rzeczywistością historyczną, materialną. To tak jakby nasze miasto – które widzimy, tak namacalne, tak dokuczliwie materialne – lokowało sie faktycznie gdzieś na granicy dwóch światów: pograniczu jawy i snu.

Powodem rozbiórki świątyni był grzech zaniechania. Mieszkańcy mający inne parafie i kościoły nie zabiegali, żeby ją remontować, co doprowadziło do tego, że zagrożenie zawalenia się wieży stało się dla gubernatora pretekstem do wydania nakazu rozbiórki. Kiedy świątynia upadła, zostało to puste miejsce. Co ono dla nas oznacza? Powstała przestrzeń wypełniona „kościołem niewidzialnym" – tak właśnie Józef Czechowicz nazywa ten Plac po Farze. Mistycy, poeci, artyści widzą, że to puste miejsce nie jest tak do końca pustym miejscem. Gdzieś w powietrzu są powidoki, jakieś odbite, zatarte obrazy.

Trochę sprzętów, obrazów i wyposażenia z wnętrza kościoła św. Michała ocalało, ale mimo to miasto w jakiś sposób zostało „wypatroszone". Wydaje mi się, że rozbiórka tej świątyni w połowie XIX wieku – 150 lat temu – jest jednym z tych wielkich, historycznych, metafizycznych znaków, niekoniecznie dobrze wróżących. Dalsza historia tego miasta jest dramatyczna, bo powstały nowe puste miejsca. Puste miejsce jest jakimś niepokojącym świadectwem. Może aniołowie zniknęli z naszej przestrzeni? Znikł kościół, została chrzcielnica w Katedrze z figurką Archanioła Michała walczącego ze smokiem na pokrywie. Jednak po drugiej wojnie światowej ta figurka też została utrącona i w tej chwili jej nie ma. Czegoś nam brakuje.

Jeśli mówimy o pustych miejscach, to trzeba wspomnieć o jeszcze większym pustym miejscu – to całe Miasto Żydowskie, drugi komponent Lublina, drugie miasto. Jak wiadomo XX wiek przyniósł zagładę, kompletną zagładę i wielką pustkę, bo zginęli ludzie, zginęła przestrzeń po tych ludziach. Wszystko to zniknęło w sensie materialnym, ale wiemy, że gdy coś znika w sensie fizycznym, to nie znika całkowicie, lecz zostaje w jakiś inny sposób. Carl Gustaw Jung mówił o archetypach, obrazach zdarzeń, ludzi, sytuacji, które objawiają się jakimś innym ludziom w snach, w wyobraźni. My chyba też to obserwujemy w pamięci, w sztuce.

Lublin – miasto magiczne, miasto mistyczne (cz. I)*

To sformułowanie można rozumieć rozmaicie – i pozytywnie, i negatywnie. Komuś się to podoba lub nie: jaka magia? Czarna magia? Biała magia? Magia sympatyczna. Magiczność. Chcę przez to rozumieć coś, co jest wielką fascynacją, co ma w sobie mistyczność. Dla mnie „miasto magiczne" jest jakimś synonimem „miasta mistycznego", miasta, w którym spotykaliśmy się z niezwykłymi postaciami mistyków żydowskich, chrześcijańskich, w którym spotykały się najrozmaitsze duchowości: żydowska ortodoksyjna, nieortodoksyjna chasydzka, duchowość wschodu prawosławnego i zachodu katolickiego, duchowość rzymska i bizantyjska, a także ewangelicy, reformacja (jeśli pamiętać, że Lublin i Lubelszczyzna były jednym z centrów ruchu reformatorskiego).

Jeśli to wszystko nałożyć – te bardzo różne, wykluczające się doznania i doświadczenia, tradycje, style modlitwy – wytworzy się pewna przestrzeń, która nie do końca podlega ścisłym, naukowym i racjonalnym opisom. Bo jak opisać kogoś takiego jak Widzący? Jak

* Część druga tej wypowiedzi jest poświęcona Czechowicza i ukaże się w kolejnym tomie „Scriptores" poświęconym Władysławowi Panasowi.

opisać mistyków chrześcijańskich? Można to nazwać „magicznością".

Oczywiście, spotkanie, współżycie tego wszystkiego w ciągu stuleci było raz lepsze, raz gorsze, nie trzeba go idealizować. Ta symbioza nie była symbiozą doskonałą, idealną, pozbawioną dramatycznych wydarzeń. Wcale nie jest to przestrzeń miłości, ale jednak przez te kilkaset lat ludzie różnych wyznań, różnych mistyk, różnych kultur i języków, narodowości potrafili tu przeżyć bez wielkich tragedii, razem. Podobnych miast w Rzeczypospolitej, która w całości przecież jest takim tworem, było wiele. Wyjątkowość Lublina, jak sądzę, polega na pewnych specyficznych rozwiązaniach. Nie znajduję dla nich analogii ani w Polsce, ani specjalnie w świecie. Zmierzały one do przerzucenia mostów między przeciwstawnymi, nawet wrogimi światami – pamiętamy przecież *casus* Jugosławii. W Lublinie próbowano szukać dla tych przeciwstawności połączeń na skalę światową – nie lubelską, nie polską, ale światową i nie jest to megalomania czy kompleks prowincji. To są fakty.

Fot. s. 186.

Nie ma takiego drugiego obiektu jak kaplica Świętej Trójcy na Zamku. Wschód z Zachodem nie tylko się tam styka, ale spotyka w jednym – w architekturze gotyckiej. Gotyk reprezentuje „zachodniość" w stopniu najwyższym. Dla teologów prawosławnych do dzisiaj (nawet dla kogoś takiego jak Osip Mandelsztam, taki prawosławny Żyd) gotyk jest symbolem wręcz „wrednego" Zachodu, pychy zachodniego chrześcijaństwa. I oto w tymże gotyku ulokowano freski bizantyńskie. To spotkanie ma miejsce na tym samym ciele, w tej samej materii. Nie jest to spotkanie teoretyczne, jakiś ekumenizm zadeklarowany, intencjonalny. Można pójść i to zobaczyć. Rok 1418.

Fot. s. 108.
Fot. s. 172.

Łączenia tego co rozdzielone, jest specyfiką lubelska – widzę ją również na cmentarzu. Bo ta podzielona i wroga wspólnota żywych próbowała podzielić również tamten świat. Nawet w demonologii mówi się, że są demony chrześcijańskie, są demony żydowskie i są islamskie. Demony chrześcijańskie nie działają na Żydów, a demony żydowskie nie działają na chrześcijan. Każdy ma swój własny resort. W Lublinie natomiast zastosowano pewne wyjątkowe rozwiązanie.

Cmentarz jest podzielony administracyjnie na poszczególne wyznania: kwatera katolicka, prawosławna, ewangelicka – oddzielone murem, wiadomo, gdzie kto może się położyć. Ale co zrobić z rodzinami? Z małżeństwami? Co zrobić z ludźmi, którzy w życiu stanowili jedność, a po śmierci trzeba ich będzie rozdzielić, bo wujek był ewangelikiem a ciocia katoliczką? Aby trzymać się tych reguł, trzeba by ich odseparować. Jednak w Lublinie, na tej magicznej, mistycznej prowincji pomyślano, jak by ich nie rozdzielać. Jak zachować rozdzielność wyznaniową, ale ludzi po śmierci nie rozdzielać. I znaleziono takie rozwiązanie: wyłom, przerwa w murze, kwatery na samej granicy, na przejściu między kwaterą katolicką a kwaterą ewangelicką. Ci, którzy byli ewangelikami spoczywają po stronie ewangelickiej, ci którzy katolikami – po stronie katolickiej, ale w bezpośredniej łączności, nie w innych częściach cmentarza. To są te same groby. Takie rozwiązanie wydaje mi się wyjątkowo mądre i ludzkie, chociaż dotyczy życia pozagrobowego.

Podobnych prób mediacji jest więcej. Nie wszystkie do naszych czasów się zachowały. W kościele świętego Pawła jest tablica nagrobkowa rycerza, który umarł w Lublinie, a wywodził z Rusi Zakarpackiej. Widnieje na niej napis dwujęzyczny: grecki, wskazujący na jego wschodnie pochodzenie i transkrypcja łacińska. Jest też przekład polski, żeby pokazać tę wielojęzyczność, wieloprzynależność. Zachować jakiś ślad. To wbrew pozorom nigdy nie było łatwe.

Strona tytułowa księgi Zohar, Księgi Blasku, wydrukowanej w Lublinie w 1623 roku. Jest to główne dzieło kabalistyczne ukazujące w formie komentarzy do Tory rzeczywistość ezoteryczną kryjąca się za zasłoną codzienności. Po raz pierwszy wydano ją jednocześnie w Kremonie i Mantui w 1558 roku. Ilustracja zamieszczona dzięki uprzejmości Scholem Library w Żydowskiej i Narodowej Bibliotece w Jeruzalem.

Mam takie pytanie: jaka była największa książka wydana w Lublinie w ciągu tych 680 lat? To nie jest pytanie do zwykłych lublinian, tylko do ludzi zajmujących się książką w Lublinie. Nikt tego nie wie. A to *Księga Blasku – Zohar*.

Lublin jak wiersz, s. 144.

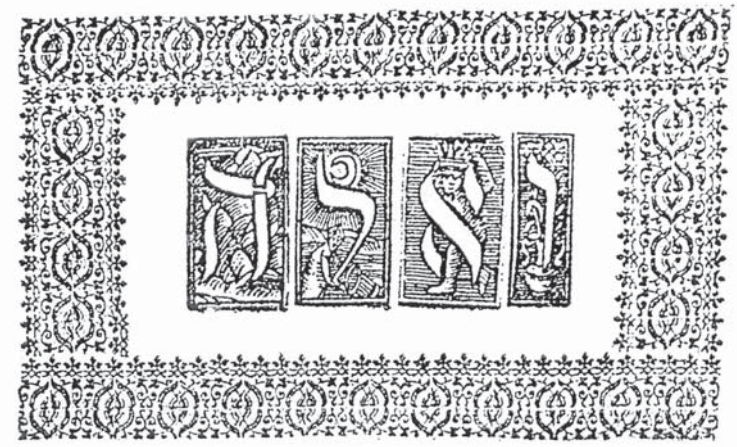

Element typograficzny księgi Zohar.

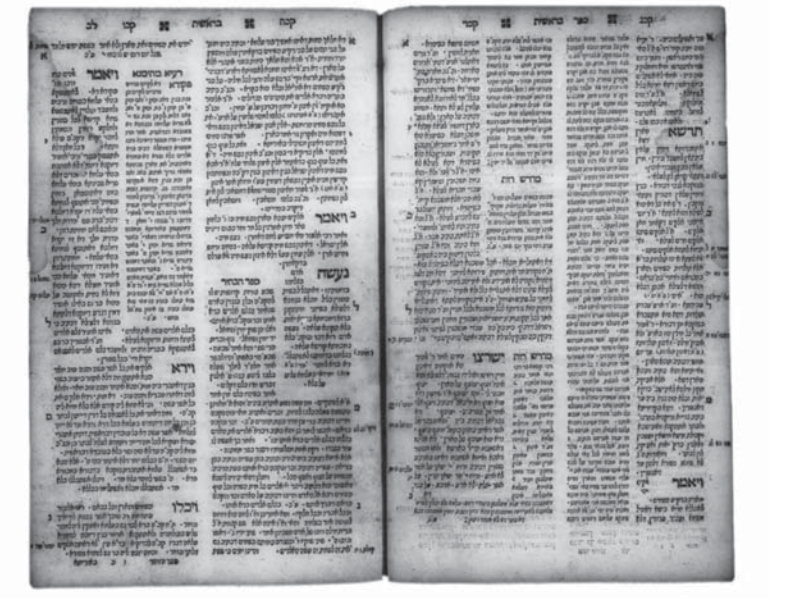

Przykładowe strony wydanej w Lublinie księgi *Zohar*. Dzięki uprzejmości Scholem Library w Żydowskiej i Narodowej Bibliotece w Jerozalem.

Fot. s. 199.

Fot. s. 200.

Innym spotkaniem różnorodności, czasami dziwacznej, jest kościół dominikański. Spotkamy w nim przejawy daleko idącej świeckości a wręcz grzeszności. Obok świętych, pobożnych mnichów i mniszek, obok słynnych dwu przeciwstawnie ustawionych ambon, z których można wygłaszać, jak mówi legenda, przeciwstawne sądy teologiczne, znajdziemy – podkasane młode kobiety. Funkcjonuje pojęcie *erotica sacra* – golizna dopuszczalna w obrębie świątyni, a nie dopuszczalna w XVII-XVIII wieku poza świątynią. Interesują mnie świeckie damy ubrane i ufryzowane według ostatniej mody; damy, panowie... Jedną z najbardziej zastanawiających figur u dominikanów jest niechrześcijanin – Turek, wyznawca proroka Mahometa, wprowadzony do panteonu postaci chrześcijańskich.

Jest to więc *imago mundi*, obraz świata w jego różnorodności, w jego skrajnościach, od świętości do grzechu, od wyznania chrześcijańskiego do niechrześcijańskiego. Wprawdzie w Lublinie nie mamy meczetu, ale chociażby w ten sposób ów świat w całości wprowadza się do naszego miasta. A możemy jeszcze dodać, że jest to świątynia, w której przechowywano relikwiarz z relikwią drzewa Krzyża Świętego – którego, jak wiemy, od paru lat nie ma. (I co to z nami będzie? Nie ma aniołów.).

Lublin to miasto święte dla chrześcijan i dla Żydów. Tak, jak chrześcijanie mają swój mit założycielski o Lublinie, o Leszku Czarnym i aniele, tak analogiczną legendę założycielską mają Żydzi lubelscy. Występują w niej te same motywy, też sakralne, bo ludzie nie mogą zamieszkać ot, tak po prostu – bo gdzieś jest wolne miejsce. Muszą mieć głębszą motywację. Legenda ta w wersji, którą znam, *nota bene* zapisanej przez noblistę z 1966 roku, pisarza hebrajskiego Shmuela Yosefa Agnona, brzmi mniej więcej tak:

Kiedy przepędzani z zachodniej Europy Żydzi docierali na ziemie polskie i pytali władców polskich, książąt piastowskich, czy mogą się osiedlić, jedna z grup takich wysłanników dotarła w miejsce, gdzie zobaczyli na drzewach porozwieszane karteczki z cytatami z Pisma Świętego (czyli Tory) opatrzone komentarzami (czyli Talmudem), naturalnie w świętym języku hebrajskim. Bardzo się zdziwili i uznali, że oto Bóg daje im znak, że tu można osiąść, bo jego mieszkańcy szanują Boga i Słowo Boże. Tym miejscem były okolice Lublina. Żydzi orzekli: „Po-lin", co po hebrajsku znaczy „tu zostaniesz, to jest dobre miejsce".

Słowo *Polin* jest również hebrajską nazwą Polski. Etymologicznie znaczy to: tu będziesz, aż do czasu, kiedy przyjdzie Mesjasz i cię wyzwoli. A w późniejszej historii znajdujemy tu Widzącego z Lublina, który chciał sprowadzić Mesjasza – do tego miejsca, bo jest ono w jakiś sposób wskazane przez Boga. I tak zarówno żydowscy jak i chrześcijańscy aniołowie – *malahim* i *angelos* – spotykają się w tym naszym lubelskim Los Angeles.

Księga *Zohar*

Może nie jest przypadkiem, że właśnie w Lublinie – nie w Krakowie, nie w Wilnie, ale w mieście, które jest mniej więcej w połowie drogi między Wilnem a Krakowem – skupiała się uczoność żydowska: uczelnie, wielcy uczeni, komentatorzy Biblii, mistyka. Sądzę, że chyba nie jest przypadkiem, że właśnie tu w 1623 roku wydano podstawowe dzieło mistyki hiszpańskiej, napisanej po aramejsku, nawet nie po hebrajsku, ale w martwym języku, którym mówił Jezus – słynną *Księgę Blasku*, czyli *Zohar*.

Z Hiszpanii i z Italii sprowadzono aramejskie czcionki i wykonano wspaniałe drzeworyty, by tu, na Podzamczu, drukować olbrzymie dzieło, które w dzisiejszych – i to niepełnych – wydaniach zajmuje około trzech tysięcy stron. Wydanie lubelskie, obok włoskiego, jest jedynym pełnym i kompletnym wydaniem.

Może też nie jest przypadkiem, że ta słynna, wielka księga kabalistyczna tu wydrukowana, zaginęła nam i chyba nie ma nie tylko w Lublinie ale i w Polsce żadnego jej egzemplarza. W ten sposób wpisuje się w te przestrzenne pustki także księga. Trzeba będzie jej szukać, trzeba będzie wyruszyć na poszukiwanie tej księgi.

Lublin – miasto-księga

Myślę, że całe nasze miasto, jego historia, wszystkie komponenty religijne, mistyczne, magiczne, kulturowe, duchowe, Polacy, Żydzi, Rusini, Grecy, Niemcy i ktokolwiek tu kiedykolwiek był – tworzą taką ekstra „Księgę Blasku", tekst, który jest nam przedkładany do lektury, do czytania, do interpretowania, do wyjaśniania. Widziałbym Lublin jako Miasto-Księgę, bardzo podobną pod tym względem do innych ksiąg miast europejskich i pozaeuropejskich, takich jak Paryż dla Waltera Benjamina, jak Petersburg Dostojewskiego, jak Praga Franza Kafki, jak Lisbona Vima Vendersa – miast, w których można nieoczekiwanie spotkać dziwne postaci, zetknąć się z niezrozumiałymi wydarzeniami, przeżyć niezwykłe przygody; miasto, w którym nie wiadomo, co się wydarzy następnego dnia. Miasto i przestrzeń.

Jest to księga jak palimpsest złożona z różnych warstw, skorup i naskórków. Księga, która jawi się nam żyjącym tutaj (to jest też jej magiczność i właściwość) jako coś bardzo codziennego, prozaicznego, niepozornego, nieciekawego, niepociągającego i wcale niefascynującego. Ale to jest ten pozór – może taki podstęp? Nie wiem czyj – aniołów, demonów – żeby nam się to wydało nieatrakcyjne i niepociągające, i może wcale nieładne, i wcale takie „nie do kochania".

Właściwie nie ma powodu, żeby ją kochać, ale może to jest rodzaj ćwiczenia zadanego nam, testu na naszą wrażliwość – żeby stać się jej godnym. Ten będzie godny, kto potrafi dojrzeć coś ważnego pod tym lichym przyodziewkiem, pozornie nieatrakcyjną, kiepską powierzchownością. Brzmi to banalnie, ale chyba zawsze o to chodzi, aby wejrzeć pod powierzchnię, pod pierwszą tę warstwę. Albo zobaczę, albo nie zobaczę, ale to nie świadczy źle o tym, na co patrzę, tylko o mnie.

Wiec może również nie jest przypadkiem, że ciągle pojawia się tu motyw snu i motyw widzenia – bo to również jest jakiś test na widzenie. Widzący z Lublina, jak przypomina to Buber w *Gogu i Magogu*, mówi: „Każdy ma oko, każdy ma oczy, są różne oczy, piękne oczy, niebieskie, kasztanowe, ale co te oczy widzą?"[1] Co oczy widzą? Mówimy o księdze, która tak stawia sprawę: co one mogą zobaczyć? Jak się mogą przebić i czy się przebiją? Czy jesteśmy zdolni? O czym to będzie świadczyło? Nie o miejscu, nie o tej Księdze, tylko o nas.

To test dla mnie, dla innych, dla każdego z nas. Jeżeli przejdziemy na drugą stronę i zobaczymy, to znaczy, że dostąpiliśmy czegoś wielkiego, jesteśmy jakimiś innymi ludźmi. Księga Miasta, tego i innych miast, stawia takie warunki. Takie „nieturystyczne" warunki. Czy to jest jakaś promocja turystyki? Nie, nie jest. To jest promocja „turystyki metafizycznej", czyli takiej, która ma czas, która się nie śpieszy, która ma nieskończenie wiele czasu, nieskończoną cierpliwość.

Ja nigdzie się nie spieszę. Sprowadził mnie tu anioł i pozostawił mnie tu anioł. I albo jest mi tu dobrze, albo nie zasługuję na to. Wtedy powinienem się martwić. Ja się martwię również o to, czy jest jeszcze anioł w tym mieście i jak ta walka między aniołami i demonami się rozstrzyga.

Magiczne miasto – aura (cz. II)*

Magiczne miasto, magiczne miejsce. Na tę magię składa się przedziwne spotkanie ludzi, historii, ludzi z ich biografiami, z ich uwikłaniem prywatnym, ale też publicznym, ludzi różnych religii, wro-

[1] Podobne słowa wypowiada w książce *Gog i Magog* Dawid z Lelowa: „Choć oczy sa bardzo ważne, nie one sa u człowieka najwazniejsze. Najwazniejsze jest, o co oczom chodzi, gdy patrzą. Ale o tym nie decydują oczy". Martin Buber, *Gog i Magog. Kronika chasydzka*, Warszawa, 1999, s. 99.

* Część pierwsza tej wypowiedzi jest poświęcona Czechowiczowi i ukaże się w kolejnym tomie „Scriptores" poświęconym Władysławowi Panasowi.

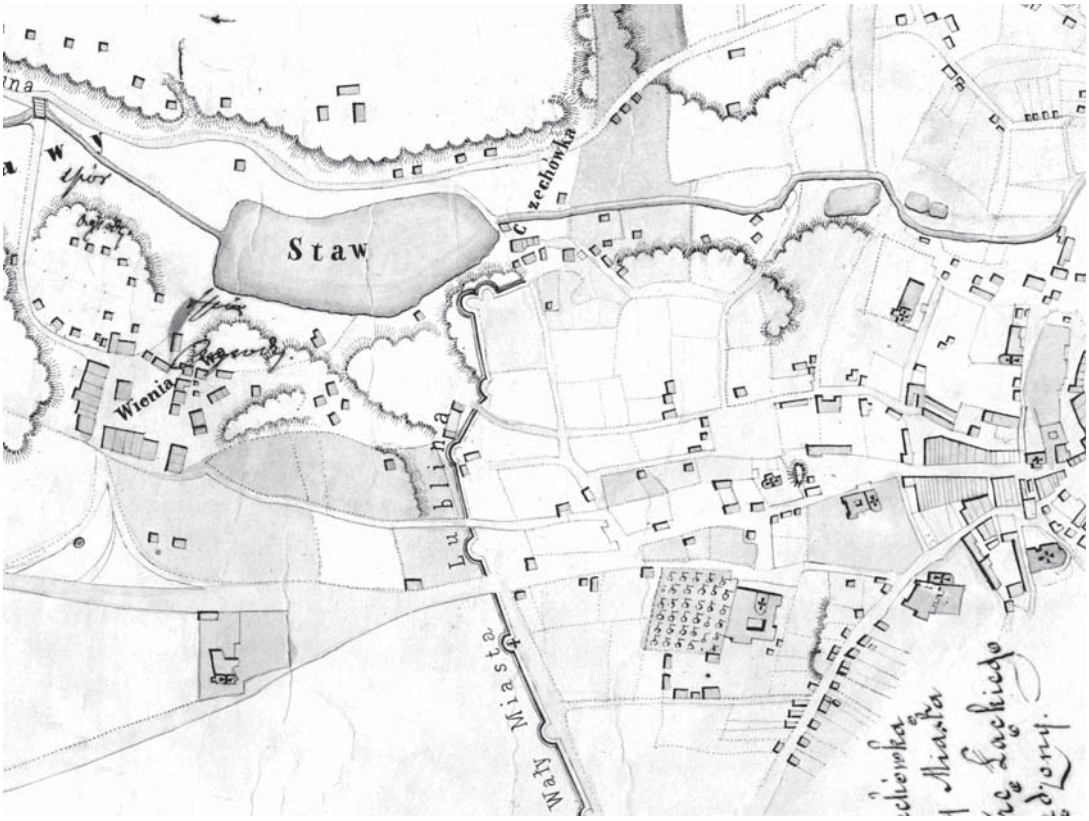

Wieniawa w 1783 roku (obok stawu). Po prawej widoczna linia murów miejskich i początek Lublina. Fragment *Odrysu jurydyki Wieniawy z Czechówką Górną i Dolną (1789 r.)*. Autor: Łącki. Źródło: Archiwum Państwowe w Lublinie.

Kiedy Jakub Icchak Horowic (pseudonim „Widzący z Lublina") przebywał w Leżajsku, anioł powiedział mu, że ma udać się do miejsca, które nazywa się Wieniawa. Przez kilkanaście lat mieszkał na Wieniawie.

Magiczne miasto, s. 160.

Dla naszego miasta ową osią kosmiczną przez wiele lat była ta właśnie świątynia.

Magiczne miasto, s. 164.

Symulacja wyglądu nieistniejącego kościoła św. Michała we współczesnej panoramie Starego Miasta od strony schodów pod Zamkiem. Autor: Roman Zwierzchowski.

Makieta dawnego Lublina ukazująca miasto otoczone przez klasztory z własnymi kościołami. Fara widoczna jest z lewej strony wewnątrz murów miejskich. Fot. M. Kowalczyk.

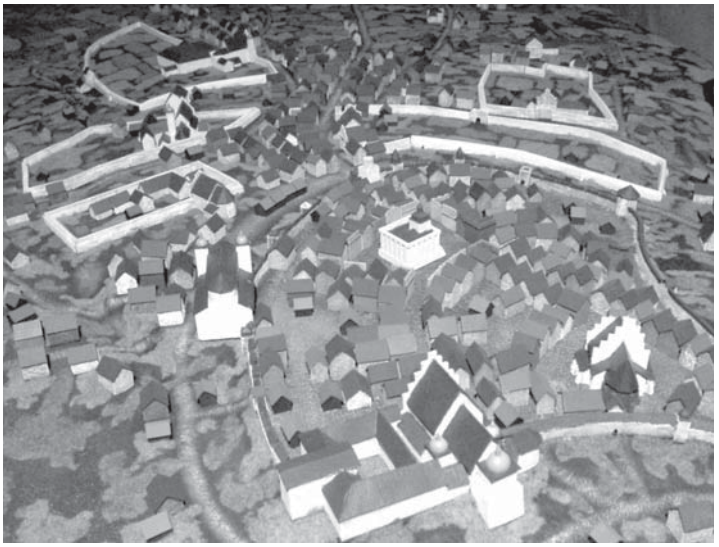

Miasto praktycznie do początku XIX wieku miało wiele kościołów i klasztorów, ale tylko jeden kościół parafialny – właśnie ten – centrum duchowe, najważniejszą świątynię, która skupiała na tym wzgórzu mieszkańców, ich modlitwy, ich przeżycia religijne.

Magiczne miasto, s. 165.

I oto w tymże gotyku ulokowano freski bizantyńskie. To spotkanie ma miejsce na tym samym ciele, w tej samej materii. Nie jest to spotkanie teoretyczne, jakiś ekumenizm zadeklarowany, intencjonalny. Można pójść i to zobaczyć. Rok 1418.

Magiczne miasto, s. 166.

Freski na sklepieniu kaplicy pw. Świętej Trójcy. Jedno z pięciu zdjęć zamówionych w 1997 roku w Państwowej Służbie Ochrony Zabytków (zob. s. 214) jako ilustracja do mającego powstać lubelskiego przewodnika Władysława Panasa (pozycja zatytułowana: „Aniołowie strefy górnej"). Fot. P. Maciuk. Ze zbiorów Muzeum Lubelskiego.

gich, przeciwstawnych. To spotkanie ludzi w pewnym miejscu – w tym miejscu wśród tych wzgórz, w dolinach lessowych, nad Bystrzycą, nad Czechówką, nad Czerniejówką.

Jest to spotkanie ludzi przez kilkaset lat wytwarzających tę atmosferę, gdzie splata się rzeczywistość metafizyczna, mistyczna; gdzie schodzą na ziemię aniołowie żydowscy, chrześcijańscy, może także islamscy; gdzie spotykają się z ludźmi, wchodzą z nimi w komunikację, rozmawiają, wydają polecenia; gdzie niebo przychyla się, zwraca się do ludzi poprzez swoich posłańców (bo anioł to posłaniec) i gdzie ludzie zwracają się do nieba; gdzie spotykamy mistyków, ludzi o ekstremalnym usposobieniu, mistyków chrześcijańskich, katolickich, prawosławnych, mistyków żydowskich, uczonych jezuitów, uczonych rabinów, natchnionych, ekstatycznych chasydów, tańczących wokół swego mistrza, jezuitów prowadzących kolegia, wykładających najnowsze filozofie, teorie naukowe, prowadzących swoje teatry.

Ten splot ludzi, obyczajów i wierzeń w tak skonfigurowanej przestrzeni, tworzy coś, co można nazwać, ale nie do końca precyzyjnie – i to też jest jakaś właściwość magiczna miejsca. Wydaje mi się, że dobrze nazwał to Czechowicz w swojej słynnej frazie w *elegii uśpienia*: „zwija się zaułek, zawiły / zagubiony we własnych załomach". To zwijanie się i zagubienie, kręte uliczki, kręte drogi w tej naszej przestrzeni, ludzi, aniołów, dobrych duchów, demonów, w tym spotkaniu nieba i ziemi, piekła, raju, czyśćca, modlących się, czytających księgi, piszących traktaty mistyczne, śpiewających, płaczących i cieszących się przez kilkaset lat, wytwarza tyleż realną, co i nierealną, senną, oniryczną przestrzeń; nie tylko widzialną, ale czasami taką, którą można tylko usłyszeć, czasami taką, która może tylko się przyśnić, pojawić się może tylko w przeczuciu, w intuicji.

Tworzy ona pewne ramy, klimat albo – jak powiedział Walter Benjamin – aurę naszego miasta. Aura, mówi dalej Benjamin, to jest coś takiego, gdy w pogodny dzień patrzy się na horyzont i widzi się miejsce, gdzie niebo styka się z ziemią. Skądinąd wiemy, że to jest złudzenie optyczne, ale to złudzenie jest czymś, co ma dla nas jakiś sens, chociażby taki, że się chce, że wydaje się, że można tam dojść. W takim miejscu właśnie się znajdujemy: w miejscu splątanym, skrzyżowanym, w którym nakładają się różne śpiewy i modlitwy w różnych językach.

Lublin – ślady duchowości

Ta rzeczywistość, w zasadzie nieuchwytna, pozostawia jednak na szczęście pewne ślady, również materialne, które możemy zobaczyć lub nawet ich dotknąć palcem jak niewierny Tomasz. Nawet nieuzbrojonym okiem możemy coś zobaczyć z tej rzeczywistości, z tego skrzyżowania, splątania – niewiele, fragmentarycznie, ale jednak. Możemy zobaczyć świątynie i to, co w świątyniach: obrazy, rzeźby. Anioła nie zobaczymy, bo jest zbyt delikatny, ale zobaczymy go w przełożeniu na obraz czy rzeźbę. Nie zobaczymy Widzącego, ale jeszcze pozostał jego cudowny grób i macewa ze swoją symboliką. Możemy zobaczyć freski w kaplicy Świętej Trójcy – namacalne, fizyczne, cielesne spotkanie duchowości, kultury i teologii bizantyńskiej z duchowością, kulturą i teologią katolickiej Europy Zachodniej. Możemy je zobaczyć jak nakładają się, przenikają i wchodzą ze sobą w partnerskie związki.

To nałożenie wielu warstw kulturowych dostrzegalnych nawet dzisiaj, mimo że większość tej mozaiki nie istnieje. Bo nie ma Żydów, a prawosławie odsunęło dalej na wschód. Zostali właściwie tylko Polacy-katolicy. Jeśli ktoś z nas ma wrażliwość, może już nie mistyka, ale poety czy artysty, może jeszcze usłyszeć na Placu po Farze echo szumu

anielskich skrzydeł; może jeszcze zobaczy gdzieś na cmentarzu anioła – może nie tak wcielonego, jak byśmy chcieli; może mieć utrącone skrzydło czy odbitą głowę, ale jeszcze trwa.

Są przecież „powidoki", jak je nazwał Władysław Strzemiński – obrazy odbite w naszym oku; to, co Jung nazywał archetypami, czyli te obrazy, które do nas przychodzą w snach, w marzeniach, w przeczuciach, gdzieś z głębokiej nieświadomości zbiorowej. Ludzie śnią dziwne postaci, sytuacje czy obrzędy i nie wiedzą, skąd te obrazy biorą. Tu i teraz gdzieś wychodzą na powierzchnię. Próbujemy je zarejestrować, każdy tak jak umie. Wierszem, obrazem, esejem literackim, esejem filmowym.

Lublin – wyjątkowe miasto

Wyjątkowość Lublina bierze się z dwóch rzeczy. Najpierw, z jego położenia – jest to miasto położone na pograniczu ziem polskich i ruskich. Już od wczesnego średniowiecza te dwa żywioły gdzieś się tu ścierały militarnie, kulturowo, religijnie. Na przykład najstarsza część zamku królewskiego zwana jest basztą Daniela, bo rzekomo przez jakiś czas władał nim książę halicki Daniel. Później, położenie przygraniczne odegrało olbrzymią rolę, gdy Korona zawarła unię z Wielkim Księstwem Litewskim.

Wtedy Lublin znalazł się prawie w połowie drogi między jedną stolicą – Krakowem – a drugą – Wilnem. Nieprzypadkowo właśnie w tym miejscu ostatni Jagiellon Zygmunt August wyznaczył miejsce obrad Unii zwanej polsko-litewską. Ale od początku ta istniała ta świadomość pogranicza, bo już pierwszy monarcha dynastii Jagiellonów król Władysław Jagiełło w kościele zamkowym kaplicy św. Trójcy zlecił wymalowanie ikon, fresków w stylu bizantyńskim, co, jak mówiłem, jest fenomenem nie tylko na skalę polską, ale wręcz światową, bo oznacza, że w rzymskokatolickim kościele z jego filozofią i teologią znalazły się freski z całą swoją filozofią i teologią bizantyńską.

Druga rzecz, która wpływa na specyfikę miasta, to silna obecność Żydów, również gdzieś od średniowiecza tu przybywających. Jedna z piękniejszych legend o tym, jak Żydzi przybyli do Polski, jest związana z Lublinem.

Usytuowanie na przecięciu trzech różnych żywiołów, polskiego-katolickiego, ruskiego-prawosławnego i żydowskiego judaizmu – wszystko, co te pierwiastki wnosiły przez wieki – budowało fenomen naszego miasta, zupełnie niepowtarzalny wzór. Każde miasto ma swoją specyfikę, ale specyfika czysto lubelska bierze się z takiego, a nie innego usytuowania. Trwało to do czasów ostatniej wojny, która cały ten bardzo skomplikowany wzór z rozmaitymi napięciami po prostu zniszczyła. A jeśli zważyć na fakt ateizacji – to zniszczenia należy ocenić jako jeszcze poważniejsze. I znaleźliśmy się po 1945 roku w dosyć pustym miejscu, które może być wypełnione pamięcią ludzką, działaniami rekonstrukcyjnymi zmierzającymi do pielęgnowania tej pamięci, zbierania tych skąpych śladów.

Wydaje mi się, że dzisiaj człowiek, wspólnoty ludzkie, mieszkańcy miast (także tego miasta), jeśli nie mają poczucia zakorzenienia historycznego, jeśli nie chcą pamiętać, czy nie mogą pamiętać o przeszłości, to przebywają trochę tak, jak goście hotelowi, jak przybysze, jak przejezdni. Ta pamięć jest konieczna i potrzeba nam takich działań, takich instytucji, takich ludzi, którzy by to zbierali, wszystko w jednym miejscu – jest nam to najzwyczajniej potrzebne, prawie jak powietrze.

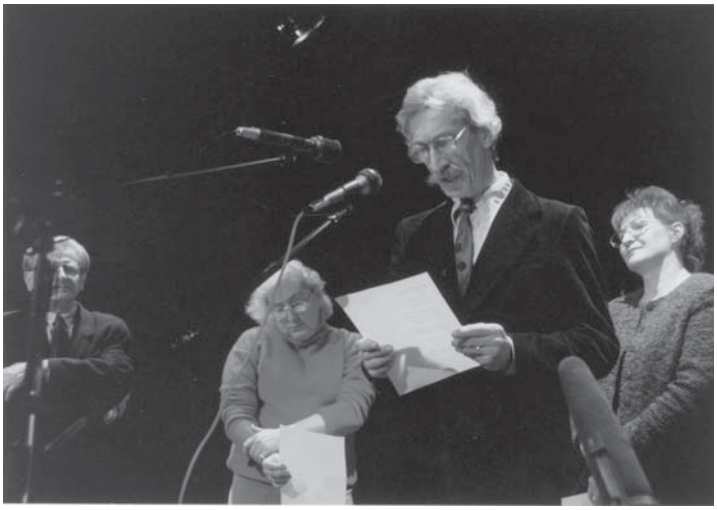

Władysław Panas czyta fragment *Poematu o mieście Lublinie* Józefa Czechowicza podczas urodzin poety 15 marca 2001. Spotkania te, polegające na czytaniu *Poematu* przez znanych lublinian, odbywają się w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" co roku. Władysław Panas zawsze czytał ten sam fragment opisujący wnętrze kaplicy Świętej Trójcy. Nagranie wideo: www.panas.tnn.pl. Fot. M. Kubiszyn.

Władysław Panas podczas odsłonięcia „jednodniowego pomnika" Józefa Czechowicza podczas w dniu jego urodzin 15 marca 2001. Widoczny na zdjęciu budynek to powojenny dom handlowy wzniesiony w miejscu przedwojennej kamienicy, w suterenie której urodził się Czechowicz. Fot. M. Kubiszyn.

Władysław Panas podczas rozpoczęcie budowy pieca chlebowego przy nieistniejącej ul. Szerokiej 20 czerwca 2001 w przeddzień „Nocy Świętojańskiej", kiedy to wypieczono w nim pierwszy w tym miejscu od okupacji chleb. „Misterium chleba" zostało zainspirowane wersem z *Poematu o mieście Lublinie* Józefa Czechowicza: „ciepła woń płynie z piekarń". Fot. M. Kubiszyn.

Władysław Panas przy grobie Józefa Czechowicza podczas corocznego spaceru trasa *Poematu o mieście Lublinie*. Fot. J. Zętar.

Nasze

Nasz stosunek do obecności Żydów w Polsce jest najczęściej bardzo emocjonalny i pełen sprzeczności, a przy tym oparty na dość fragmentarycznej wiedzy. Problemów nastręcza zarówno znajomość faktów, jak i ich interpretacja. Poniższa rozmowa rozwiązuje wiele z tych problemów, dotykając tematyki polsko-żydowskiej w całej jej rozciągłości i skomplikowaniu – od legendy *Polin* do polskiego antysemityzmu – nie opuszczając przy tym ani na chwilę lokalnego kontekstu jednego z historycznych miejsc diaspory żydowskiej. REDAKCJA

Nasze, „Scriptores", nr 27, 2003, s. 13-23.

Legendy i ekonomia

Kiedy w Lublinie zjawili się Żydzi[1]?

Prof. Władysław Panas: Na ten temat możemy jedynie snuć przypuszczenia. Wydaje mi się, że obecność Żydów w Lublinie można łączyć z królem Kazimierzem Wielkim. Nieco pewniejsza dokumentacja pojawia się dopiero w połowie XV wieku. Od początku XVI wieku w Lublinie istnieje już na pewno gmina ze swoimi instytucjami, lokalizacją, prawami i jest to jedna z większych wspólnot żydowskich w państwie polskim. Od tego momentu obecność Żydów podlega nieuchronnej zasadzie: ich rozwój intelektualny, religijny i gospodarczy będzie wiązał się z sytuacją miasta. Jak Lublin się rozwijał i był na szczycie, to i ta wspólnota była na szczycie. Kiedy podczas wojen kozackich[2] Lublin wypadnie z historii Polski jako znaczący ośrodek, to samo stanie się z Żydami.

Z przybyciem Żydów do Polski i Lublina związana jest pewna legenda...

Jedną z wersji spisał Samuel Agnon, noblista hebrajski z Buczacza. Kiedy Żydów wypędzano z Anglii, Hiszpanii, Francji, Niemiec, Niderlandów – zawędrowali do Polski. Królowie pozwolili im rozejrzeć się po kraju. Stanęli pod pięknym miastem rozłożonym na wzgórzach – był to Lublin. Weszli do gęstego lasu i na drzewach dostrzegli porozwieszane karteczki z wyjątkami z Tory. *To jest dobre miejsce, bo tu ludzie słyszeli o Bogu* – powiedział jeden z nich. *Tu zostaniemy, aż przyjdzie Mesjasz i wybawi nas...* „Tu zostaniesz", a po hebrajsku: *polin*. Czyli – Polska.

... A potem powstało prawo *de non tolerandis Judaeis*. Gdzie tkwi jego geneza i jak należy je rozumieć?

Społeczeństwa typu średniowiecznego miały wyraźną strukturę stanową: na szczycie był król, niżej stan duchowny, potem rycerski, mieszczański i włościański. Wspólnota żydowska nie mieściła się w tej hierarchii. Każdy przypisany był do określonej warstwy, miał swoje prawa i obowiązki, a Żydzi – nie. W Polsce zastosowano takie rozwiązanie, że „należeli" oni bezpośrednio do króla. Podlegali prawnie i finansowo jego jurysdykcji i osiedlani byli na królewszczyznach. W przypadku Lublina wokół zamku. Ponieważ jednak miasto tworzyło jeden organizm, powstawały różne problemy natury ekonomicznej.

Podlegające różnym władzom tereny były prawnie odseparowane od siebie, ale ludzie nie stali przecież w miejscu.

Konkurencja, krótko mówiąc. Tym bardziej, że Żydzi handlowali w niedziele i chrześcijańskie święta, a w tamtych czasach obowiązywało o wiele więcej świąt niż dziś. I tak miasta w Rzeczpospolitej zaczęły ubiegać się o zakaz handlowania, osiedlania się i nabywania nieruchomości przez Żydów w dzielnicach chrześcijańskich.

Właśnie stąd wziął się ów przywilej, który dziś bywa odbierany jako skrajnie antysemicki. *Non tolerandis...*, więc lu-

[1] W Piwnicy Rycerskiej w Lublinie z Władysławem Panasem rozmawiali: *Marian Koczorowski (gospodarz), Stanisław Sowa (redaktor naczelny „Dziennika Wschodniego") Waldemar Sulisz* i *Jacek Mirosław.* Opracowanie: Marcin Skrzypek. *Krótsza wersja tej rozmowy pt. Miasto aniołów w redakcji Waldemara Sulisza ukazała się w* „Dzienniku Wschodnim" 5 kwietnia 2002.

[2] 1648 rok – powstanie Chmielnickiego [przyp. red.].

dzie tłumaczą sobie: „nie toleruje się...” Brzmi to strasznie, ale po pierwsze trzeba pamiętać, co się pod tym kryje, a po drugie, Rzeczpospolita Obojga Narodów była tworem dziwnym, najdziwniejszym w ówczesnym świecie, jak mówi Miłosz. Równocześnie funkcjonował przecież przywilej przeciwny: *de non tolerandis christianis*, bo Żydzi z kolei monitowali królów i sejm, żeby w takim razie chrześcijanie „nie byli tolerowani” na ich terenie. Tak stało się między innymi w Lublinie od 1568 roku. I znowu, gdy słyszy się o tym przywileju, dziwimy się – jak to, w arcykatolickim kraju „nie tolerowało się” chrześcijan?

Tak więc ostatecznie w Lublinie obowiązywały przepisy o wzajemnym „nietolerowaniu” się, ale na szczęście nigdy nie były do końca respektowane, co też widzimy do dziś. Na Podwalu (niegdyś Żydowskim Mieście) stoi kościół św. Wojciecha.

Dlaczego?

Znów ekonomia. Mieszczaństwo miało swoje interesy, ale w Lublinie był też trybunał, szlachta, magnateria – i oni mieli swoje interesy, i to właśnie z Żydami, bo gdzieś musieli sprzedać np. zboże. Interes liczył się bardziej niż kuriozalne dekrety, stąd obie strony pomagały sobie w ich obejściu. Dziś myślimy w sposób uproszczony, że istniał tylko problem, jak pogodzić wspólnoty polską i żydowską. Te kwestie były jednak bardziej złożone. Bo przecież trzeba również pamiętać, że ówczesne miasta były wielonarodowe. Jeszcze do połowy XVI wieku istniało mieszczaństwo niemieckie. W Piwnicy pod Fortuną unikalne polichromie opisane są po łacinie i niemiecku.

Dwa miasta

W jednym mieście były więc dwa miasta?

I takie też było nazewnictwo – pisownia wielkimi literami[3]. Miasto Żydowskie, czyli gmina podzamecka, miała nawet odrębny herb i radę. W jednym organizmie miejskim funkcjonowały dwa miasta. Była to struktura poniekąd schizofreniczna, ale podyktowana interesem państwa. Żydzi nie mogliby przecież przyjść tu sami, gdyby nie mieli zgody – za tym stały przemyślane decyzje. Co tu dużo mówić – władcy Polski zgodzili się na obecność Żydów nie ze względów humanitarnych, ale zadecydował o tym zimny interes. Może wolelibyśmy, aby za tym kryły się jakieś pobudki etyczne, bo Żydzi byli prześladowani i wypędzani. Władcy potrzebowali, aby ktoś miał międzynarodowe powiązania, organizował handel. Rodzimym kupcom brakowało kontaktów,

[3] Ta uwaga dotyka interesującego problemu współczesnej pisowni nazwy Miasto Żydowskie, kiedy nie używamy jej w sensie stricte historycznym. Mogą wtedy pojawiać się wątpliwości – nie tylko u korektora tekstów przeznaczonych do druku – czy traktować ją jako nazwę rodzajową i pisać małymi literami, czy w cudzysłowie dla podkreślenia jej umowności, czy też może zastępować ją historycznie bliższymi i bardziej neutralnymi określeniami: dzielnica żydowska lub Podzamcze. Norma ortograficzna zwykle ucina takie dyskusje, ale akurat w tym przypadku są one ważniejsze niż ortografia. Każda wersja pisowni niesie bowiem jakiś odcień znaczeniowy, zmuszając autora do określenia swoich intencji. Jego decyzje ukazują w mikroskali, jak tworzy się tożsamość kulturowa – jak odczytujemy

umiejętności, tradycji. A skoro już Żydzi mieli tu żyć, musieli dostać wszelkie potrzebne uprawnienia związane z religią i autonomią: miejsce do modlitwy, prawo do kultu i wszystkiego, co ów kult dyktował, a więc szkolnictwo religijne, szpital, cmentarz. Nawiasem mówiąc, po tamtym Mieście Żydowskim ze starej zabudowy pozostał tylko cmentarz.

Najpierw wyznaczono ulice?

Trzeba pamiętać, że Podzamcze było terenem zalewowym, pomiędzy Czechówką a Bystrzycą. Nie była to więc typowa lokacja miejska, jak lokacja na prawie magdeburskim, ale po prostu dość chaotyczna zabudowa. Ulice wiły się i oplatały wzgórze zamkowe. Jednak o potędze Miasta Żydowskiego świadczy fakt, że w 1567 roku powstała tu pierwsza w Rzeczpospolitej Akademia Talmudyczna i jednocześnie pierwsza wyższa uczelnia w Lublinie. Na jej utworzenie Żydzi dostali przywilej od króla Zygmunta Augusta, a rabin Salomon Luria, będący głównym nauczycielem, otrzymał tytuł rektora. Działo się to w czasie, kiedy na terenie miasta chrześcijańskiego, przy Farze, istniała zaledwie elementarna szkółka parafialna. Lublin, zwany odtąd Małą Jerozolimą, miał wówczas pozycję silniejszą od Krakowa. Był miastem uczonych mężów, gdzie drukowano święte księgi. Był miastem mistycznym, gdzie w 1623 roku wydano księgę *Zohar* (główną księgę żydowskiej mistyki), do druku której sprowadzono z Italii unikalne czcionki i ornamenty. Do XX wieku wydano dwa pełne wydania *Zohar*, jedno w Mantui, a drugie właśnie w Lublinie. Jest to gigantyczna księga, licząca około 2 400 stron gęstego druku.

Niedługo po założeniu Akademii powstaje w Lublinie niesłychany dziwoląg...

... czyli Sejm Żydowski. W 1580 roku, parę lat po lokalizacji Trybunału Koronnego, powstaje w Lublinie Sejm Czterech Ziem (głównych składowych Rzeczpospolitej – Wielkopolski, Małopolski, Litwy i Rusi), zwany także Sejmem Gromnicznym, od jarmarku, który odbywał się w czasie święta Matki Boskiej Gromnicznej. Ten żydowski parlament funkcjonuje do 1764 roku. Jest to absolutny fenomen, bo do powstania państwa Izrael Żydzi nigdy i nigdzie nie mieli takiej reprezentacji.

Skąd on się wziął?

Polska Jagiellonów była wielkim krajem, a judaizm jest religią zdecentralizowaną, bez żadnej hierarchii, bez przełożonych i struktur: tylko autonomiczne gminy. Więc brakowało reprezentantów. Było to niewygodne dla obu stron. Jesteśmy przeświadczeni, że Żydzi mieli tu żyć, musieli dostać wszelkie potrzebne uprawnienia związane z religią i autonomią: miejsce do modlitwy, prawo do kultu i wszystkiego, co ów kult dyktował, a więc szkolnictwo religijne, szpital, cmentarz. Nawiasem mówiąc, po tamtym Mieście Żydowskim ze starej zabudowy pozostał tylko cmentarz.

i chcemy przekazywać nasz stosunek do przeszłości. Pisownia tej nazwy nie jest więc w „Scriptores" ujednolicona, a ewentualne różnice można potraktować jako pretekst do refleksji i swego rodzaju zabawy w odgadywanie znaczeń. Ze swojej strony traktujemy Miasto Żydowskie jako nazwę własną – nie tyle odnosząc się do czasów, kiedy było odrębnym podmiotem administracyjnym, ile próbując nadać mu osobne miejsce na mapie naszej pamięci. [Przyp. red.]

Prawosławny sobór pw. Podwyższenia Krzyża Pańskiego, wybudowany w latach 70 XVIII w. na Placu Litewskim, w centrum miasta. Rozebrany w latach 1924-1925 jako symbol niewoli, podobnie jak sobór w Warszawie. Rozkładana pocztówka. Fot. E. Semadini, 1901.

cież w Rzeczpospolitej szlacheckiej, sejmikującej nieustannie. I taka konstrukcja powstała w mieście, gdzie zbiera się trybunał koronny państwa i zbiegają rozmaite nici. Miała dwie funkcje: finansową (ściąganie podatków na rzecz państwa i gmin) oraz religijną (np. herezje). Działała w Lublinie do 1680 roku.

Wróćmy do symbiozy i współtrwania Polaków i Żydów. Cóż to za legenda, która głosi, że na jeden dzień na króla polskiego wybrano Żyda z Lublina?

Chodzi o Saula Wahla. Po śmierci Zygmunta Augusta szlachtę oburzyły przedłużające się procedury i na polskiego króla wybrała bogatego bankiera Saula Wahla. Panował jeden dzień. Tyle legenda. Ale na Podzamczu była synagoga nazwana imieniem jednodniowego króla. Józef Czechowicz napisał o tej historii piękny esej.

Mistyka

Kiedy do Małej Jerozolimy przyjechał najsłynniejszy Żyd lubelski, znany jako Widzący z Lublina?

Dokładnie nie wiadomo, bo mistycy nie prowadzą ścisłego rejestru. Można sądzić, że gdzieś około 1780 roku. Do Lublina przybył z Leżajska, był bowiem uczniem słynnego Elimelecha. Mieszkał w różnych miastach, Łańcucie, Rozwadowie, ale jak to często w historiach mistycznych bywa, Anioł kazał mu osiedlić się na stałe w miasteczku Wieniawa.

W mistycznej historii Lublina Anioł zadziałał zatem drugi raz?

Tak. Najpierw w głośnym śnie przyszedł do Leszka Czarnego i wręczył mu zwycięski miecz, którym król pobił Jadźwingów, a w miejscu zdarzenia założył kościół św. Michała. Po raz drugi był u Widzącego. Z tej anielskiej perspektywy Lublin ma większe prawo, żeby się nazywać Miastem Aniołów, niż Los Angeles. Nic nie słyszałem, żeby tam zachodzili Aniołowie, w tym Archanioł Michał. Chyba że aniołowie upadli...

Podobno Widzący pochodził z Lubelszczyzny?

W większości światowych encyklopedii (nieraz jest w nich jedynym obywatelem Lublina) mówi się, że urodził się w Józefowie nad Wisłą. Osobiście podejrzewam, że chodzi o Józefów Biłgorajski, bo po uzyskaniu pełnoletności, co u Żydów ma miejsce w wieku 13 lat, ożeniono go z dziewczyną z Krasnobrodu.

Osiedlił się na Wieniawie, wtedy odrębnej miejscowości. Dlaczego? Musimy pamiętać, że chasydzi byli ruchem kontestatorskim. Ortodoksyjny judaizm

Dawna studzienka wodociągowa, jedyna pamiątka po ul. Szerokiej.

traktował ich jak heretyków. Zdarzały się donosy do władz państwowych, polskich i zaborczych. Były aresztowania. Rabin lubelski nigdy nie pozwoliłby, żeby jacyś śpiewający i tańczący cadycy osiedlili się w Żydowskim Mieście w Lublinie.

Sława Widzącego szybko przekroczyła granice Wieniawy?

Rabini mieli papiery, a cadycy charyzmę. Mieli cudowne właściwości, leczyli, uzdrawiali, przewidywali przyszłość. Przyszedł w końcu taki moment, kiedy Żydzi lubelscy, zamiast chodzić do swoich synagog, szli na Wieniawę do Widzącego. Rabini głosili, że cudowne właściwości Widzącego są oszustwem niezgodnym z racjami nauki.

A Widzący pomagał ludziom. Nie tylko duchowo?

Potrafił wiele rzeczy przewidzieć. W jakimś momencie ortodoksi musieli go triumfalnie wpuścić. Zgodę na to wydał rabin zwany Żelazną Głową. Kiedyś spytał Widzącego: *Jak to jest, że do ciebie przychodzi tyle ludzi, a do mnie nie? Co to za tajemnica?* Widzący odparł: *Bo tobie na tym zależy, a mnie nie. – Masz powiedzieć, żeby do mnie przychodzili* – nakazał rabin. Rzekł Widzący do Żydów: *Nie przychodźcie do mnie. Idźcie do rabina*. Efekt był odwrotny: przyszli do Widzącego wszyscy. Mało tego – zaczęli przyjeżdżać z zewnątrz. Działo się to na Szerokiej, pod numerem 28. Tam Widzący spędził przynajmniej ostatnie 15 lat swojego życia, tam miał swój dom, a na podwórku synagogę obleganą przez tłumy. Tam się modlił i nauczał, choć inaczej, niż potrafimy sobie to wyobrazić. Dla chasydów modlitwa to nie tylko recytowanie świętych tekstów. Modlitwą było dla nich wszystko. Jedzenie, picie, nawet akt seksualny, taniec. Na przykład biesiadowanie było jedną z podstawowych form chwalenia Pana Boga.

Biesiadowanie?

Tak. Lubelski cadyk bardzo mocno akcentował biesiadę. Z alkoholem! Miał nawet pewną teologię uzasadniającą picie gorzałki. Do dziś w niektórych wspólnotach chasydzkich mocna wódka jest alkoholem sakralnym.

W swojej teologii picia Widzący uwzględniał dwa argumenty. Jeden akcentuje, że gorzałka jest kiepskim alkoholem. Cadyk powiadał: *Widzisz Boże, jak my się tu męczymy, spijając całą gorycz świata*. Wódka jest zatem ekstraktem goryczy, którą znosi się w oczekiwaniu na zbawienie. Drugi argument podkreślał moc trunku – jako symbol ognia i żarliwości. Z tej perspektywy najlepszy był

Fot. Marcin Skrzypek

spirytus. Ale jest jeszcze trzeci punkt w tej teologii. Picie nie za dobrze świadczy o pobożnych. Zły interesuje się pobożnymi, ma ich pod kontrolą i patrzy, co robią. Widzi, jak chasydzi przy kieliszeczku przepijają do siebie, dobrze sobie życzą, i nabiera przekonania, że to wcale nie tacy pobożni i święci, jak by się mogło wydawać. Po wypiciu tańczą na stołach i śpiewają, więc może w ogóle to są niepobożni ludzie? A może już upadli? Szatan nabiera więc przekonania, że nie ma co się na nich skupiać, wytężać diabelskiej energii, żeby ich sprowadzić do upadku, bo oni już upadli. I zostawia ich w spokoju. Picie jest więc swoistą strategią w walce z Szatanem.

Czy wszyscy taki punkt widzenia na alkohol podzielali?

Najlepszy uczeń Widzącego był akurat abstynentem. Kiedyś odwiedził swojego Mistrza. Ten ucieszył się, wyłożył na stół szklaneczki, gorzałkę, nalał, wypił, a uczeń nie! Nie chciał zrobić nauczycielowi przykrości, więc użył swojej mocy, gdyż też był cadykiem obdarzonym wielką mocą, i szklanka pękła. Widzący wykładał kolejne szklanki, uczeń się natężał. Tak pękły wszystkie szklanki. Wreszcie Widzący uderzył w stół i mówi: *Słuchaj, ale ja nie mam więcej szklanek!...*

U chasydów może fascynować właśnie ta ich nieortodoksyjność w każdym sensie. Na przykład fakt, że nie stworzyli żadnego spójnego systemu teologicznego. Ich nauki poznajemy przez literaturę, narrację, anegdoty – i nie są one jakimś produktem ubocznym, lecz samą istotą tej szczególnej teologii. Trochę to przypomina nauczania buddyjskie, gdzie – jak wiadomo – opowieści o mistrzach i uczniach są ogromnie ważne.

Lublin mesjański

Widzący widział wiele. Ale nie przewidział chyba swojej tragicznej śmierci?

Chyba nie, chociaż miał niezwykły dar widzenia. Już w dzieciństwie płakał krwawymi łzami i prosił Boga, aby ograniczył mu trochę ten dar. Parę lat chodził z chustą na oczach. Przez całe swoje życie zwracał się do Boga w sprawach zbawienia. Żeby wreszcie przyszedł Mesjasz i skończyły się męki – jego i świata. Ciągle wypatrywał znaków niebieskich, oznajmujących przyjście Mesjasza. I modlitwami, postami, a także magicznymi działaniami próbował pomóc Mu w nadejściu.

Mistyka żydowska dopuszcza, aby człowiek mógł włączać się w plany Boże i mistycy żydowscy od wieków przymuszali Pana Boga do zesłania Mesjasza. Talmud mówi, że zbawienie przyjdzie albo wtedy, gdy wszyscy będą święci i szczęśliwi, albo przeciwnie, gdy wszyscy będą źli, a dookoła będą się szerzyć katastrofy.

Czasy Widzącego obfitowały w dramatyczne wydarzenia. Od Rewolucji Francuskiej do 1815 roku ciągnął się okres wojen i niepokojów. Dla Widzącego były to znaki zwiastujące bliskie nadejście Mesjasza. Razem z dwoma innymi cadykami stworzył magiczny trójkąt: Rymanów–Kozienice–Lublin. Podzielili między siebie funkcje – jeden z nich był zwolennikiem cara Aleksandra, drugi Napoleona. Nawiązywało to do biblijnego przekazu mówiącego o wojnach Goga i Magoga[4].

Odtąd losy Widzącego są przedziwnie skorelowane z losami Napoleona. Podczas tej próby przywołania Mesjasza Widzący został wyrzucony przez nieznane moce przez okno mieszkania na bruk w 1814 roku, właśnie wtedy, kiedy Napoleon przegrał i został wysłany na Elbę. Potem było 100 dni cesarza zakończone Waterloo w czerwcu 1815 roku. Do Widzącego jeszcze dotarła ta wiadomość, bo w wyniku upadku nie zginął. Wiele miesięcy cierpiał, aż wreszcie odszedł z tego świata 15 sierpnia 1815 roku, kiedy fregata dopływała do Wyspy św. Heleny. Widzący był osobowością tak silną, że żaden

[4] „W okresie bezpośrednio poprzedzającym nadejście Mesjasza dojdzie do wielkiej wojny Goga i Magoga przeciw Izraelowi, której pokłosiem będzie totalne spustoszenie. Wizja owych legendarnych narodów opiera się na proroctwie o Gogu z kraju Magoga (Ez 38, 2). Ich król, Armilus, zrodził się z płciowego zbliżenia Szatana z kamiennym posągiem dziewczyny w Rzymie. Ostatecznie pokona go Mesjasz wraz ze swą armią w wojnie kładącej kres wszelkim wojnom. [...] W czasach prześladowań Żydów, kiedy najbardziej wzmagały się nadzieje na rychłe odkupienie, w różnych okrutnych i wojowniczych potęgach widziano uosobienie Goga i Magoga." Alan Uterman, Encyklopedia tradycji i legend żydowskich, Warszawa 2000. [Przyp. red.]

z jego synów nie mógł kontynuować jego dzieła. Pozostała tylko pamięć.

Do dziś na jego grobie, znajdującym się na starym kirkucie, modlą się Żydzi z całego świata. Podobno Widzący nadal ma niezwykłą moc i życzliwie spełnia prośby pobożnych?

Wierzy się, że miał i ma nadal lepszy kontakt z Bogiem. Stąd wiara, że jest w stanie pomagać ludziom. Ci, co modlą się przy grobie, czekają na Mesjasza. Judaizm nie ma pojęcia świętości ludzkiej, ale Widzący był świętym chasydów – dlatego przyjeżdżają na jego grób. Badacze podejrzewają, że chasydyzm nie mógł powstać gdzie indziej, tylko właśnie tu – otoczony przez chrześcijaństwo z jego kultem świętych.

Zostawmy Widzącego. Czy z chwilą śmierci cadyka kończy się okres świetności Małej Jerozolimy?

Nie. Jest taka prawidłowość, że czy to państwa, czy ludzie, czy instytucje – tuż przed zgonem przeżywają okres świetności. Często poeci piszą na starość znakomite wiersze, a państwa, które za chwile znikną, przeżywają okres rozkwitu kultury. Tak było i w Lublinie. Zwieńczeniem całego ciągu świetności Żydowskiego Miasta było w 1930 roku otwarcie założonej przez rabina Meira Szapirę kolejnej Akademii Talmudycznej, która, niestety, pracowała raptem tylko dziewięć lat.

Za duży garnitur

Jaki jest wkład żydowskiej wspólnoty w dorobek pokoleń żyjących w Lublinie?

Mamy z tym kłopot. Nie jesteśmy w stanie unieść dziedzictwa Rzeczpospolitej wielu narodów, kultur, języków. Dziś używamy terminu „kultura polska", ale musimy pamiętać, że ona nie była identyczna z kulturą tego państwa. Była jego wiodącym, najważniejszym elementem, ale nie wypełniała państwa Rzeczpospolitej Obojga Narodów.

Teraz, jeżeli chcemy mówić o tym dziedzictwie, najpierw musimy sobie odpowiedzieć, co przez nie rozumiemy, co jest „nasze". Czy zawęzić je do wąsko rozumianej „polskości" – i wtedy olbrzymie obszary historii i kultury przestają być nasze, ale jeśli tak, to pytanie, czyje? Czy też uznać za dziedzictwo wszystko, co było tworzone przez obywateli tego państwa, ludzi rozmaitych wyznań i nacji.

Ja opowiadam się za tym drugim wariantem. Polska nie była przecież jakimś niezorganizowanym, amorficznym tworem, gdzie kto chciał, to tworzył. Istniały jakieś ramy prawne, system polityczny i finansowy, w którym się to odbywało. Tak jak w przypadku kultury Stanów Zjednoczonych, żeby wskazać ogólnie znany przykład. Co tworzy kulturę tego typu państwa? Wszystkie etnosy, które tam są. Trzeba więc przyjąć, że naszą tradycją jest i Widzący, i talmudyści, i polscy muzułmanie, i prawosławni, i ewangelicy. Bo inaczej dochodzi do takich kuriozów, jak rozmowa pewnych nauczycieli, której byłem świadkiem. Chodziło o cerkiew Przemienienia Pańskiego z początku XVII wieku: *Czyja ona jest? – Chyba nie nasza. – No to skąd się wzięła? – Były zabory, to pewnie rosyjska*. Ale ją zbudowano akurat w czasie, kiedy to Polacy myśleli o obsadzeniu tronu moskiewskiego. *Więc jak nie rosyjska... no, to czyja?*

Do jakiej ona kultury należy? Do kultury tego miasta. O kulturze Rzeczpospolitej trzeba mówić takim językiem, jakiego wymagają twory złożone: wieloetniczne, wielowyznaniowe. Taką mieliśmy historię. Tworzyło ją wiele kultur, a została z nich jedna. Nosimy teraz za duży garnitur – skrojony zdecydowanie na kogoś innego.

Czy ktoś zaprzecza temu dorobkowi?

Niestety, są tacy, którzy wyznają skarlałą wizję historii.

Czy w tej wizji mieszczą się dzisiejsze echa lubelskiego antysemityzmu?

W pewnym sensie tak. Ale sądzę, że jest to – mimo wszystko – marginalny wątek, aczkolwiek niezwykle dokuczliwy i żenujący.

Czy na pewno? Kiedy Tomasz Pietrasiewicz z Teatru NN zbudował makietę Żydowskiego Miasta w Lublinie i wciąż próbuje szukać w Lublinie śladów Małej Jerozolimy, zarzucono mu, że... inwentaryzuje pożydowskie mienie, by Żydzi mogli je sobie wygodnie odebrać. Czy to nie kwestia antysemityzmu?

Na tym właśnie polega problem uniesienia wielokulturowego dziedzictwa. Wyraźnie za duży garnitur... kulturowy i moralny. Nie ma to nic wspólnego z mądrym spojrzeniem na przeszłość Lublina, o którym dziś mówimy. Powiem o tym tak: w znacznej mierze mamy tu do czynienia z czymś, co powinno zainteresować psychologa.

Jak przestać być Żydem

Sięgamy aż tak głęboko?

Znakomity historyk kultury Francuz Jean Delumeau w książce *Strach w kulturze Zachodu* pokazał z perspektywy historycznej, jaką rolę odgrywał strach w europejskiej mentalności, kulturze, polityce i zachowaniach. Okazuje się, że był on czynnikiem silnie organizującym wyobraźnię – i czyny – Europejczyków. Strach przed czym? Przed tym, czego człowiek nie rozumiał. Przed innym i innością, przed obcym i obcością. Stały za tym kompleksy, frustracje, poczucie niepewności, zagrożenia, a także dość banalny fakt – bo zło, jak wiemy od Hanny Arendt, jest banalne – że po prostu trudno się żyje i trudno zrozumieć ten świat. Tworzyło to cały konglomerat urazów i lęków – strach, którego nie dało się umiejscowić, zlokalizować.

Delumeau proponuje widzieć ów strach właśnie w takim szerokim „pakiecie". Społeczności bały się i potrzebowały jakiegoś wyjaśnienia. Przede wszystkim potrzebowały „kozła ofiarnego", o którym pisał René Girard. Bo winę trzeba na kogoś zwalić. Taką rolę spełniali właśnie „inni", a Żydzi byli wspólnotą o inności bardzo wyrazistej. Byli wyjątkowo „inni". Pojawiła się na przykład czarna zaraza. Tak się składało, że wspólnoty żydowskie miały najmniejszą umieralność – a więc oskarżano je o czary. Dziś wiemy, że pewną rolę odgrywała tu kuchnia, w której używano warzyw uodporniających (czosnek, cebula), a także higiena (obowiązkowe i rytualne kąpiele w mykwie) i odizolowanie w osobnych dzielnicach, co ograniczało rozprzestrzenianie się choroby.

Długo myślałem, że zwalczenie antysemityzmu jest tylko kwestią wiedzy. Że gdy człowiek ma w sobie jakieś resentymenty, to wystarczy, żeby poznał ich przyczynę, zrozumiał, a one znikną. Teraz jednak uważam, że jest to głębszy problem. Frustracji podlega zarówno wykształcony, jak i niewykształcony – będą tylko mówić innym językiem, może jeden mniej prymitywnym, może na innym poziomie. Ale frustracje, nieszczęścia i kompleksy ma każdy.

Nas również historia nie oszczędzała.

Warto zwrócić uwagę, że w Polsce wszelkie antyżydowskie czy antyjudaistyczne wydarzenia są w wyraźnym, bardzo ścisłym związku z siłą państwa. Tolerancja i demokracja istnieją wtedy, gdy państwo i społeczeństwo jest mocne i zamożne. W innych krajach było tak samo. Silna wspólnota uwalnia swoich członków z wielu kłopotów i dlatego stać ją na wyrozumiałość i tolerancję. Ten „drugi" nie przeszkadza – zaczyna przeszkadzać, kiedy zaczyna się źle dziać. Gdyby w dzisiejszych dobrze rozwiniętych państwach stało się coś, co zachwiałoby ich dobrobytem, również przestałyby być tolerancyjne. Wzrost antysemityzmu dał się u nas zauważyć prawie z roku na rok po rozpoczęciu wojen kozackich. Jednocześnie pojawia się też strach przed upiorami, czarownicami, demonami.

Mówi się również w podobnym kontekście o kumulacji energii pozytywnej i negatywnej. Dawniej do upustu tej negatywnej służyły wojny, dziś częściowo sport. W każdym z nas jest taka zła energia. Chcemy ją rozładować, więc poszukujemy ofiary. I tak rodzi się złożony

Fragment herbu Lublina z księgi obrachunkowej 1749 roku oraz herb Lublina żydowskiego.

Nasze, s.

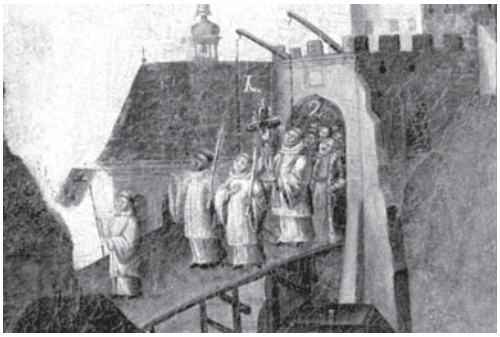

Mowa o sprawie bodaj najbardziej bulwersującej w tym płótnie. Otóż ta sama procesja, która dopiero co zaczęła wychodzić z Bramy Grodzkiej, jest też już na Świętoduskiej i jest już także na Krakowskim Przedmieściu. Widzimy więc ją w trzech miejscach równocześnie!

Magiczne miejsce, s. 90

Cudowne ocalenie Lublina podczas pożaru w 1719 roku. Fragmenty obrazu z bazyliki oo. dominikanów. Fot. J. Zętar.

Katolicko-ewangelickie groby na granicy cmentarza katolickiego i ewangelickiego (na zdjęciu widoczny mur graniczny poprzerywany pomnikami). Fot. M. Skrzypek.

W Lublinie, na tej magicznej, mistycznej prowincji pomyślano, jak by ich nie rozdzielać. Jak zachować rozdzielność wyznaniową, ale ludzi po śmierci nie rozdzielać. I znaleziono takie rozwiązanie: wyłom, przerwa w murze, kwatery na samej granicy, na przejściu między kwaterą katolicką a kwaterą ewangelicką. Ci, którzy byli ewangelikami spoczywają po stronie ewangelickiej, ci którzy katolikami – po stronie katolickiej, ale w bezpośredniej łączności, nie w innych częściach cmentarza. To są te same groby.

Magiczne miasto, s. 166.

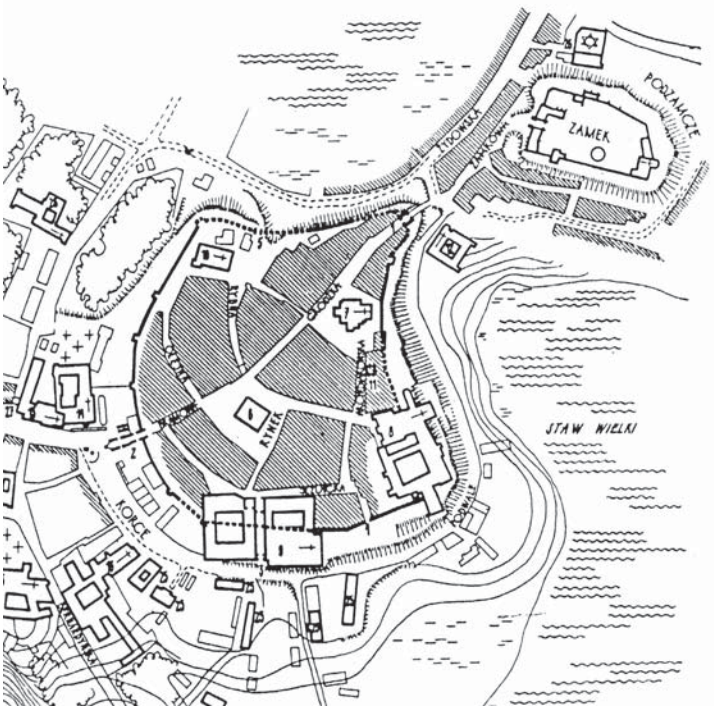

„Podwójny", chrześcijańsko-żydowski Lublin w XVI-XVIII wieku (Żydzi zamieszkiwali Podzamcze). Według Henryka Gawareckiego i Czesława Gawdzika.

kompleks czynników – częściowo racjonalny a częściowo nie – prowadzących do rozmaitych uprzedzeń.

Jednym z takich racjonalnych, drażliwych, a przy tym świeżych problemów jest obecność Żydów w byłych organach bezpieczeństwa.

Rozumiem, że chodzi nie o samą obecność, ale o nadreprezentację. Interpretacje są różne. Według interpretacji socjologiczno-psychologicznej jest to sytuacja charakterystyczna dla wszystkich mniejszości mniej lub bardziej prześladowanych. W ruchach rewolucyjnych widzą one swoją szansę na awans, dowartościowanie, ponieważ ruchy te przechodzą do porządku dziennego nad różnicami. Jest też interpretacja mistyczna – mesjanizm. Choć do UB szli ateiści, to jednak wywodzili się oni z rodzin religijnych, podobnie jak i nasi „rodzimi" funkcjonariusze. A rewolucje obiecują utopię, szczęśliwość, jak wszystkie apokaliptyki, nowe „Jeruzalem"[5].

W jakiej sytuacji jesteśmy teraz?

Nie mamy Żydów. Ich obecność nie istnieje jako „problem społeczny". Ale przywoływany tu wielokrotnie Delumeau pokazał, że może istnieć antysemityzm bez Żydów! W 1290 roku Anglia jako pierwsza usunęła ich ze swojego kraju, a tym czasem jeszcze na początku XVII wieku echa antysemityzmu pobrzmiewają w *Kupcu weneckim* Szekspira. A więc ponad 300 lat później, i to w kulturze wysokiej. Podobnie było również w innych krajach. Nie ma zatem tych „innych" i „obcych", lecz pozostała potrzeba umiejscowienia źródła ludzkich lęków – i potrzeba kierunku dla społecznej agresji. Miano „Żyd", sama nazwa, doskonale się do tego nadaje. Prawie laboratoryjnie możemy obserwować to zjawisko na przykładzie „obyczajowości" polskich pseudokibiców, którzy dysponując ograniczonym słownictwem, wąskimi możliwościami werbalizacji i artykulacji negatywnych emocji, chcąc powiedzieć o swoich przeciwnikach coś najgorszego, mówią „Jude".

Badania stwierdzają, że w zbiorowej świadomości nasze społeczeństwo wygląda tak, jakby w Polsce mieszkało parę milionów Żydów. Według krańcowych opinii Żydów jest chyba nawet więcej niż Polaków. Oczywiście – groteska!

Można by nawet pokusić się o określenie w kilku punktach, kto jest dzisiaj Żydem w kraju, w którym nie ma Żydow. Czyli jak zostać lub przestać być Żydem, ponieważ jest to u nas „cecha" zmienna. A więc, kto ma szanse zostać Żydem? Po pierwsze, każdy, kto nie jest głupi. Im jest „mniej głupi", a bardziej inteligentny, wykształcony, tym ma większe szanse zostać Żydem. Po drugie, każdy, kto ma jakąś pozycję społeczną czy polityczną. Każdy, kto jest blisko jakiejś władzy. Im wyżej, tym ma większe szanse. Wreszcie po trzecie, każdy, kto ma wysoką pozycję ekonomiczną. Jeżeli ktoś łączy w sobie te wszystkie cechy – jest Żydem na 100%.

A jak nie być Żydem?

Odwrotnie. Tak więc, panowie, nie chcę was martwić, ale tak jak tu siedzimy, to w odbiorze społecznym w rozmaitym stopniu... Karykaturalne, ale „prawdziwe". Rzecz jasna, nie chcę się nabijać z ludzi, bo ten naród był w opresji przez ostatnie 200 lat. Źle się ludziom wiodło i dalej źle się wiedzie, ale też to nie usprawiedliwia nienawiści.

Jest jedna cecha, która wyróżnia nasz antysemityzm – nie jest on podszyty rasizmem. Rasizm zakłada wyższość własnej rasy w stosunku do drugiej, implikuje różnicę lepszy–gorszy. U nas nie. Przeciwnie: to Żydzi są bogatsi, sprytniejsi, mądrzejsi, zdolniejsi, co by potwierdzało, że nasz antysemityzm brał się z poczucia niższości. Niczego ten fakt nie zmienia, lecz do myślenia przecież daje wiele. Myślę, że możemy zakończyć naszą rozmowę puentą mało oryginalną: no cóż, w „mieście aniołów" zamieszkują nie tylko sami aniołowie...

[5] „Począwszy od XIX w. socjalizm i marksizm fascynował niektórych Żydów, często zastępując im religię: rewolucyjny i internacjonalistyczny mesjanizm wydawał się im współczesną, autentyczną, a ponadto skuteczną formą mesjanizmu proroków." Josy Eisenberg, Judaizm, Warszawa 1999, s. 130. Liczbę Żydów mieszkających w ZSRR oceniano na 2,5-3 milionów, „co oznaczało, iż żelazna kurtyna oddzielała duży odłam ludu żydowskiego nie tylko od reszty żydowskiego świata, ale także jego kultury i praktyk religijnych. Obie te dziedziny objęte były do niedawna tak surowymi zakazami, że radziecki Żyd praktycznie nie mógł uczyć się hebrajskiego, pobierać religijnego nauczania ani przestrzegać rytuałów. Od czasu reform w ZSRR, a zwłaszcza po rozpadzie imperium, sytuacja szybko się zmienia". Tamże, s. 132-133. [Przyp. red.]

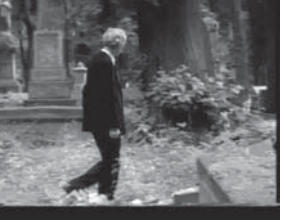

Lublin nierzeczywisty

Lublin nierzeczywisty; z Władysławem Panasem rozmawia Grzegorz Józefczuk, „Gazeta Wyborcza. Lublin". Dodatek „Magazyn Sobotni – Brama Lubelska", 15-16 maja 2004, s. 7.

Lublin jest miastem magicznym, teatrem wielkich zmagań sił dobra i zła. O jednym z bohaterów magicznego Lublina i tajemnych, wciąż się dokonujących, związanych z nim wydarzeniach, opowiada najnowsza książka prof. Władysława Panasa *Oko cadyka*.

Grzegorz Józefczuk: Księga Miasta, Brama Dwóch Miast, Korzeń Miasta, teraz – Oko Cadyka, to pojęcia, jakie wprowadza Pan do niepodręcznikowej historii Lublina. Jest Pan twórcą mitologii Lublina. Czy to trafne określenie?

Władysław Panas: Odpowiem: tak. Pojmuję mitologię inaczej niż potocznie, nie jako bajki i baśnie, ale za Levi-Straussem rozumiem mitologię jako pewną opowieść. Lublin jest dla mnie pewną opowieścią, narracją, pewną fabułą. Nie tworzą jej gołe, suche fakty tak zwanej pozytywistycznej historii, uchodzące za przejaw obiektywizmu. Tak rozumiana mitologia jest otwarciem na to, co nie należy do tej sfery gołych faktów, otwarciem na dozę, powiedzmy, fikcyjności. Fikcyjności, ale nie kłamstwa.

Z zazdrością czytałem o Petersburgu, który nie jest tylko miastem rewolucji, byłą stolicą z taką lub inną historią, ale jest pewnym mitycznym tekstem literatury rosyjskiej – można tam przejść trasą Roskolnikowa... Czytałem o Pradze czeskiej, o Paryżu, o Dublinie, także o Drohobyczu, bo tu nie chodzi o wielkość miasta, tylko wyobraźni.

Ja próbuję dostarczyć elementów do takiej opowieści o Lublinie. Dzieje Lublina tworzą taką powieść i ona jest nieodczytana. Znamy opowieść, na którą się składa historia Lublina, historia Łokietka, Unii Lubelskiej... Ale jest jeszcze inna opowieść – symboliczna.

Mówi Pan: miasto jest tekstem. Co to znaczy?

Byłem intelektualnie i naukowo formowany w orbicie metodologii strukturalno-semiotycznej, która w wersji popularnej polega na tym, że patrzy się na rzeczywistość jako na przekaz, komunikat, pewien tekst znaczący.

Naszą rolą, nie tylko uczonych, także na przykład pisarzy, poetów, artystów, jest odczytywanie tekstów. Sami jesteśmy nosicielami rozmaitych tekstów. I plac Zamkowy to jest pewien tekst. Całe miasto jest tekstem. Można na to rozmaicie spojrzeć. Jeżeli miasto jest tekstem pokawałkowanym, fragmentarycznym, wtedy można mówić o bibliotece – Lublin jako biblioteka. Nie za duża, prowincjonalna biblioteka, ale zróżnicowana, wielojęzyczna. Albo miasto jest księgą, Lublin jest księgą, gdzie te fragmenty to rozdziały, strony, akapity.

„To, o czym mówię, może zobaczyć każdy bez wyjątku, każdy, kto ma oczy do patrzenia, ale pod warunkiem, że będzie patrzył z niebieskiego punktu widzenia. Z ziemi nic nie widać". Według tego pierwszego zdania *Oka cadyka* czytanie stron księgi miasta wymaga zmiany optyki widzenia.

O czym w istocie jest *Oko cadyka*? Na co zwróciłby Pan uwagę czytelnikom?

Jest pewną historią dziejącą się na pierwszym poziomie – dostępnym dla każdego, na tym, do którego większość czytelników dociera. Jest to opowieść o Widzącym z Lublina, o miejscu, w którym żył i jego dzisiejszym stanie, o okolicach tego miejsca i o rozmaitych tajemniczych zdarzeniach, jakie się tu dzieją zupełnie nieoczekiwanie.

Jest i drugi poziom. Jest on też przesłaniem albo wręcz manifestem. Mianowicie jest to książeczka również o pewnym sposobie patrzenia na rzeczywistość.

Władysław Panas i Tomasz Pietrasiewicz oglądają dzwon z kościoła św. Michała podczas „Misterium dzwonu" we wrześniu 2001. Fot. E. Zajęcka.

Władysław Panas podczas promocji *Oka Cadyka* w Bramie Grodzkiej 18 maja 2004. Fot. J. Zętar.

Zaułek Władysława Panasa – schody prowadzące z ul. Podwale na pl. po Farze. Fot. M. Skrzypek.

O tym właśnie rozmawiamy. Patrzenia, które wychodzi poza pewne stereotypy, poza pewien paradygmat wrażliwości, wiedzy, erudycji, poza to, jak się zazwyczaj opowiada o czymś. Bo jest klasyczny sposób opowiadania tych historii, gdzie wiemy, co jest faktem, ważnym faktem, a co nie jest faktem. Tymczasem to jest historia niepodręcznikowa. Jest to opowieść o faktach, wydarzeniach, których z rozmaitych powodów zazwyczaj się nie dostrzega.

Cadyk zwany Widzącym z Lublina, który osiadł w Lublinie w I połowie XIX wieku, chciał spowodować nadejście Mesjasza i za to został ukarany śmiercią. Dlaczego jest on postacią ważną w historii Lublina?

Nie wiem, czy w historii? Zależy, w jakiej historii? A jak ważną, dla kogo ważną? Czytałem pamiętniki Ignacego Baranowskiego, pisane w czasie, kiedy Widzący umarł. Nie ma o nim żadnej wzmianki. Dla ówczesnej populacji chrześcijańskiej nic takiego nie istniało. Też i w społeczności żydowskiej pozycja Widzącego inaczej się przedstawiała za jego życia: był kontestowany, bardzo długo wyrzucony poza obręb społeczności oficjalnej. Bo był nielegalnym przywódcą duchowym.

Ale dla mnie ważność Widzącego polega na tym, że był nieortodoksyjny, że był widzący, że był – krótko mówiąc – szalony. W czasie modłów jarał, lubił wypić, czyli mówiąc eufemistycznie – nie był abstynentem i uważał, że tak jest zupełnie nieźle. Nie interesowałby mnie, gdyby był taki bardzo uczesany i pobożny.

Ktoś taki był dla mnie brakującym elementem w historii nie tylko żydostwa, ale również w historii polskiej czy chrześcijańskiej. Brakowało mi szaleńca, czy kogoś z poglądami szalonymi. Chciałbym, żeby był taki ktoś również po stronie chrześcijańskiej, kto odegrałby rolę w nieortodoksyjnym wymiarze, niepodręcznikowym wymiarze historii, ale ci, których znajdowałem, byli małej wiary.

Uznałem, że Widzący jest takim dobrym elementem, który zrewoltuje taką opowieść, jaką jest Lublin, Lublin chrześcijański i Lublin żydowski. Bo to był swoisty rewolucjonista, jego rewolta była rewoltą wyobraźni. Taki surrealista.

Zwykła, o ile to właściwe słowo, historia Lublina jest dla Pana za nudna?

Mnie brakowało i nadal brakuje podniesienia Lublina na jakiś inny poziom imaginacyjny, wyobrażeniowy. Tkwimy w stereotypach, które wychodzą nosem, jak bańki. Wszystko jest szalenie przyziemne, sprowadzone do faktografii. A to nie jest napęd, trampolina do wybicia się wyżej.

Trzeba umieć patrzeć, oderwać się od ziemi... Co dokładnie zrobić? Czy łatwo dostrzec to, co Pan w *Oku cadyka*?

Jeżeli mowa o *Oku cadyka*, jest pewien moment nieoczekiwany, którego nie da się zracjonalizować. Pracując nad nieopublikowanym tekstem, esejem o Widzącym, chodziłem w miejsca, w których wielokrotnie byłem, oglądałem fotografie, i w jakimś momencie zauważyłem rozmaite elementy. Że tych domów, które na placu Zamkowym zostały po wojnie zbudowane, jest dziesięć. Tak się składa, że dziesięć nie jest liczbą zwyczajną. Że narożna kamienica w miejscu, w którym wypadałoby, że mieszkał Widzący, jakoś się wyróżnia i że tę kamienicę postanowiono jakoś przyozdobić. Tę, ale drugą narożną, od Kowalskiej, już nie, a przecież byłaby wtedy jakaś symetria i wytłumaczenie, że ozdobiono dwie flankujące plac kamienice.

Architekt, który z pewnością nigdy nie wiedział o Widzącym, zaprojektował plac, który razem z zamkiem tworzy figurę będącą matrycą macewy Widzącego. Czy i jak to możliwe?

Nie mam pojęcia. Tu nie mam innego wytłumaczenia, jak odwołanie do teorii archetypów Gustawa Carla Junga. Na pewnym poziomie, powiada Jung, archetyp to jak duch święty: tchnie kędy i jak chce, i kogo chce. Objawia się w sposób irracjonalny. Ale na pewnym poziomie rzeczywistość nie ma przypadków.

W ułamkach tekstów

Władysława Panasa Lublin opowiedziany
krótkie wywiady i wypowiedzi

***

Wypowiedź w reportażu *Brama Pamięci*

Zredagowana zapis wypowiedzi Władysława Panasa z reportażu *Brama Pamięci*, reż. Marek Stacharski, Telewizja Lublin 1997. Materiał dostępny w archiwum TNN.

W 1282 roku książę Leszek Czarny odpierał najazd Jaćwingów i Litwinów na ziemie polskie. Gdzieś tu, pod takim olbrzymim drzewem, zasnął. W śnie przyszedł do niego Archanioł Michał, udzielił mu pewnych dyspozycji wojskowych, pewnych rad, pewnych wskazówek. W podzięce książę w tym miejscu kazał zbudować świątynię, kościół pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła. I w ten sposób tu zawiązała się symboliczna przestrzeń chrześcijańska.

Kilkadziesiąt kroków od Świętego Michała, miasta chrześcijańskiego, „górnego", dochodzimy do Bramy Żydowskiej, zwaną dzisiaj częściej Bramą Grodzką, dziwnej bramy, bo nie oddzielającej świata wewnętrznego od zewnętrznego, ale dwa samodzielne światy, dwie przestrzenie, dwa organizmy symboliczne w jednym mieście. Górne miasto chrześcijańskie, z jego symboliką, i leżące po drugiej stronie tej bramy miasto dolne, żydowskie.

Przestrzeń realna: żyjące miasto, ruch, samochody. Ale w tym samym miejscu przenosimy się w inną przestrzeń: historyczną, symboliczną. Jesteśmy w mieście żydowskim, po drugiej stronie Bramy Żydowskiej, Bramy Grodzkiej. Ulica Szeroka – główna arteria miasta żydowskiego, synagogi, niezliczone domy modlitwy, sklepy, ruch, gwar. Tej ulicy nie ma.

Jakub Icchak Horowitz, znany później jako ha-Choze mi Lublin, Widzący z Lublina, jeden z głównych liderów chasydyzmu w Polsce, człowiek o wyjątkowym charyzmacie, wyjątkowych darach, darach widzenia, przewidywania. Wokół niego skupiały się niezliczone rzesze „pobożnych", czyli chasydów. Był ich cadykiem, czyli „sprawiedliwym", czyli tym, który ich modły zanosił bezpośrednio do Boga.

Wojny napoleońskie poddały mu myśl, że pewnie zbliża się już koniec świata – ten, który Biblia przewiduje, ten, który zamknie całą ludzką historię. Postanowił przyśpieszyć, włączyć się w tę akcję, dopomóc Bogu, zakończyć historię naszego świata. Podjął rozmaite działania mistyczne – modły, koncentrację, też sporo magii – żeby tu przyszedł – tu w Lublinie, na Szeroką 28 – Mesjasz. Ale Bóg zagniewał się na sprawiedliwego i pobożnego cadyka i zezwolił, aby demony, tak jak kiedyś Hioba, ukarały go. I został poddany władzy demonów które wyrzuciły go tu na bruk, tu spadł. Jego grób szczęśliwie zachował się do dzisiaj.

Od Widzącego do Bramy, od Bramy do Świętego Michała Archanioła, od Świętego Michała Archanioła do kaplicy Świętej Trójcy są mniej więcej takie same odległości. I to jest jakiś magiczny krąg, w którym ludzie, nie żyjąc przecież w jakiejś idealnej harmonii i zgodzie – jednak wspólnie – rozmaicie się modląc, inaczej wierząc, inną symboliką operując – wspólnie tworzyli system znaków kulturowych, jakąś duchową substancję. Jeżeli się otworzy uszy i oczy, można zobaczyć, jak niezaplanowany przez nikogo przypadek w tej przestrzeni odciska jakieś ślady.

* * *

Rozmowa w programie z cyklu „Kawa czy herbata”

Zredagowany zapis z rozmowy z Władysławem Panasem w programie z cyklu *Kawa czy herbata*, 31 marca 2000, Telewizja Polska Program I; emisja na żywo z kawiarni „Szeroka 28” przy Bramie Grodzkiej w Lublinie. Reżyseria: Małgorzata Marczuk i Mirosław Świech. Materiał dostępny w archiwum TNN.

Popijając kawę z Panem Profesorem Władysławem Panasem, kierownikiem katedry literatury na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, słuchaliśmy klezmerów z „Szerokiej 28”. Panie Profesorze, *Sztukmistrz z Lublina* Singera to jest chyba bardzo wyraźny literacki ślad w literaturze. Każdy o tym wie.

Władysław Panas: Tak. Najbardziej znany na świecie utwór związany z Lublinem to *Sztukmistrz z Lublina*. Singer mógł być tu tylko przejazdem, odwiedzając rodzinę w Biłgoraju, ale znał te tereny, a akcję swojej powieści przynajmniej częściowo umieścił w Lublinie. Często żartujemy, że dwaj najbardziej znani lublinianie to Sztukmistrz z Lublina – postać fikcyjna, i Widzący z Lublina – postać prawdziwa, ale w pewnym sensie jeszcze bardziej fikcyjna niż ten Singerowski bohater.

O Widzącym z Lublina mówił już Piotr Pleskaczyński, nasz gospodarz tutaj, w Szerokiej 28. Proszę nam powiedzieć, kto to był?

To jedna z najbardziej niezwykłych postaci nie tylko w historii naszego miasta – może najbardziej niezwykła – ale w ogóle ktoś na skalę europejską. Był chasydem, liderem wspólnoty chasydzkiej. Chasydów możemy znać z filmów: to ci w czarnych kapeluszach, względnie w baranicach futrzanych, w kapotkach, płaszczykach przewiązanych paseczkiem, sznureczkiem i w białych pończoszkach. Jeśli pamiętamy *Austerię* Kawalerowicza według powieści Stryjkowskiego, to pamiętamy również chasydów: bomby pękają, armie uciekają, przerażenie, strach, a oni tańczą, śpiewają. Widzący z Lublina był jednym z ich najbardziej znanych liderów. Chasydzi gromadzili się wokół nich trochę jak – mówiąc dzisiejszym językiem – fani klubów piłkarskich, względnie zespołów rockowych, bo też trochę przypominali hipisów kontestujących i ortodoksyjny judaizm, i normy zachowania.

Na przykład Widzący mówił, że potrafi palić fajkę w czasie nabożeństwa i nie stronił od alkoholu; wręcz odwrotnie. Nie chciałbym tu popaść w konflikt z ustawą o wychowaniu w trzeźwości, ale miał on nawet jakby specjalną teologię picia. Uważał, że Szatan myśli o tych, co piją, że już są jego, już są straceni, i daje im spokój, a zajmuje się tymi, co nie piją – taki podstęp.

Teologia chasydów nie jest spisana – to są narracje, anegdoty; tam się nawet konfabuluje, ale w dobrej intencji. Widzący przeszedł do historii jako ktoś, kto miał dar widzenia, dostrzegania tego czego inni nie widzą, do tego stopnia dolegliwy, że w dzieciństwie prosił Boga, żeby mu troszeczkę ten dar ograniczył i Bóg ograniczył go do pięćdziesięciu czy siedemdziesięciu kilometrów.

Widzący miał też *idée fix*, żeby tu, w Lublinie, zakończyć historię świata. Według jednej z legend kabalistycznych, koniec świata nastąpi, kiedy zetrą się wielkie potęgi militarne – wojna Goga i Magoga. Podczas wojen napoleońskich tak się właśnie wydawało – Rosja, Austria, Prusy, Napoleon – że to dobry czas, aby sprowadzić Mesjasza na ziemię – tu w Lublinie, obok nas, sto metrów stąd.

***

Wypowiedź na 99. „Urodzinach Czechowicza"

Wszyscy mówią o swoich związkach z Lublinem, wiec też powinienem coś powiedzieć. Nie potrafię, nie bardzo chcę. Ale powiem. Tak, ja mam specjalną sprawę z Lublinem i to, co chcę o tym mieście powiedzieć (przede wszystkim sobie chyba), to powstaje w książce, którą piszę. I mam nadzieję, że się skończy w jakimś momencie moja droga. Ta specjalna sprawa polega na tym, że jest to droga kogoś, kto tu nie znalazł się ani z wyboru, ani z przypadku, a z przymusu, na zesłaniu, na takiej Syberii. Jest to droga od nienawiści do czegoś, co jest podobne do miłości.

Zredagowany zapis wypowiedzi Władysława Panasa z 99. „Urodzin Józefa Czechowicza" w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN", 15 marca 2002. Archiwum TNN.

***

Wypowiedź w programie z cyklu „Etniczne klimaty"

Zredagowany zapis wypowiedzi Władysława Panasa z programu *Etniczne klimaty*, Telewizja Kraków, 2003. Materiał dostępny w archiwum TNN.

Dawna przedrozbiorowa Polska prawie od średniowiecza była państwem wielonarodowościowym, a więc i wielokulturowym, wieloreligijnym. Był taki swoisty fenomen, gdzie indziej w Europie i na świecie nie spotykany, że starano się dawać daleko idącą prawną autonomię wszystkim wspólnotom i każda ze wspólnot narodowo-religijnych i kulturowych miała swoje odrębne miasta, tak jak Kazimierz w Krakowie. Tak samo Lublin miał również miasto żydowskie.

Współżycie wielu narodów, wielu religii i ludzi mówiących różnymi językami, inaczej modlących się do Boga, inaczej rozumiejących Boga nie było łatwe i rozmaite napięcia powodowały, że te wspólnoty były dosyć hermetyczne.

W naszej literaturze trzeba było czekać aż do XX wieku, żeby pojawili się pisarze pochodzenia żydowskiego, wybitni polscy pisarze od Leśmiana do Brunona Schulza. Gdyby to był tylko żywioł polski oraz polska kultura i tradycja, ci pisarze byliby inni, bo to nie jest kwestia jakiejś oryginalności, wyobraźni. Oni przychodzili z innych światów i z tych światów coś wnosili.

Tu niedaleko jest cerkiew prawosławna, to jest cerkiew z początku XVII wieku. Jeżeli młodych Polaków, ale nie tylko młodych, zapytać, skąd ona jest, to odpowiedzieliby, że – wiadomo: Polska przez 125 lat była pod zaborami, tu był akurat zabór rosyjski, tu są prawosławni – jest rosyjska.

Nie, cerkiew jest z XVII wieku, a wtedy tu nie było żadnej Rosji, to Polacy wtedy zdobywali Moskwę. To skąd ta cerkiew? Jest pewien kłopot: czyja to jest cerkiew? Nasza – bo prawosławni byli również obywatelami tego państwa i zajmowali w tym państwie wysokie stanowiska polityczne i kulturowe. Wielu polskich wybitnych dowódców wojskowych było wyznania prawosławnego. Ten stan narodowościowy i kulturowy, jaki wytworzył się po 1945 roku, po zmianie granic Polski, po wymordowaniu narodu żydowskiego, spowodował, że Polska stała się jednoetniczna, jednoreligijna, z absolutną dominacją Polaków, katolików. W całej historii było sześćdziesiąt czy pięćdziesiąt parę lat takiego stanu, ale ludziom się wydaje, że to była norma.

Obok świętych, pobożnych mnichów i mniszek, obok słynnych dwu przeciwstawnie ustawionych ambon, z których można wygłaszać, jak mówi legenda, przeciwstawne sądy teologiczne...

Miasto magiczne, s. 169.

Dwie ambony w bazylice oo. dominikanów. Ich zdjęcia zostały zamówione w 1997 roku w Państwowej Służbie Ochrony Zabytków jako ilustracja do mającego powstać lubelskiego przewodnika Władysława Panasan (zob. s. 214). Fot. M. Fedorowicz.

... znajdziemy – podkasane młode kobiety. Funkcjonuje pojęcie *erotica sacra* – golizna dopuszczalna w obrębie świątyni, a nie dopuszczalna w XVII-XVIII wieku poza świątynią.

Miasto magiczne, s. 169.

Zdjęcia tych dwóch rzeźb zostały zamówione w 1997 roku w Państwowej Służbie Ochrony Zabytków jako ilustracja do mającego powstać lubelskiego przewodnika Władysława Panasa (zob. s. 214). W piśmie tym są one opisane jako zdjęcia „dwóch młodych kobiet". Według autora przewodnika po bazylice, jedna z tych kobiet trzymająca krzyż (może trzymała kiedyś w ręce?) ma symbolizować wiarę, a druga z kołem – męczeństwo. Fot. M. Fedorowicz.

Odkrywca Lublina magicznego

Odkrywca Lublina magicznego, z Władysławem Panasem rozmawia Andrzej Molik, „Kurier Lubelski" nr 117, 21 maja 2003, s. 6.

Andrzej Molik: Został Pan Profesor laureatem prestiżowej Nagrody Miasta Lublina za Upowszechnianie Kultury w roku 2002. Co znaczy dla Pana ten laur?

Władysław Panas: Znaczy to, co dla każdego. Miło jest jak inni postrzegają naszą działalność jako społecznie pożyteczną, że nie jest ona beznadziejna, że jest jej recepcja, że nas zauważają od dobrej strony.

Można się domyślać, że nagroda przypadła Panu za pomysł i współorganizację jesienią ubiegłego roku multiimprezy „W ułamkach zwierciadła", największych na świecie obchodów 110 rocznicy urodzin i 60 rocznicy śmierci Brunona Schulza?

Nie znam jeszcze pełnego komunikatu na temat tego lauru, ale rzeczywiście chciałem to zrobić i chyba mi się udało pokazać Lublin jako bezdyskusyjne centrum światowej – światowej! – schulzologii. Skoro np. doktorantka z Japonii na kolanach błagała, żeby dostać się na nasze sympozjum i przyjechała na własny koszt, to coś to musi znaczyć. Chciałem też, by towarzyszyło mu szereg imprez, żeby było ich aż za dużo. I tak się stało. Może też doceniono moje książki poświęcone Schulzowi – *Księgę blasku* i *Bruno od Mesjasza*. Ale równie mocno przywiązany jestem do idei urodzin Czechowicza. Mam gdzieś zapisane, o której godzinie, którego dnia wymyśliłem, że dopóki żyjemy będziemy je w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" i nie tylko obchodzili co roku.

Schulz, Czechowicz, ale przecież nie tylko oni. Doceniono zapewne Pana eseje o Lublinie i tak znaczący wkład w film Nataszy Ziółkowskiej-Kurczuk *Miasto magiczne*?

Staram się zbudować mitologię Lublina jako magicznego miasta. Chciałbym, żeby miał ją tak jak czeska Praga, jak Petersburg. Sztywne, akademickie przedstawianie Lublina jako miejsca unii polsko-litewskiej, Trybunału Koronnego nie jest najlepszą drogą na tworzenie mitu miejsca. Mitologia powstaje przez różnych Widzących z Lublina, różne Szerokie 28, anioły przysiadające w zaułkach miasta. Po moich czterech książkach powstaje kolejna z esejami o Lublinie magicznym. Panu pierwszemu mówię jej tytuł: *Niebieski Jeździec*. Pochodzi od eseju o malunkach z zakrystii katedry, gdzie przedstawiona jest przygoda z Heliodorem, którego przegania z aniołami ów Jeździec.

Panas na parnasie

Panas na parnasie; z Władysławem Panasem rozmawiała MG [Małgorzata Gnot], „Kurier Lubelski" nr 140, 17 czerwca 2003, s. 4.

W Trybunale Koronnym uroczyście podsumowano wczoraj rok kulturalny i artystyczny 2002. Prezydent Andrzej Pruszkowski podejmował ludzi kultury, wśród których 23 osoby wyróżniono z tej okazji odznaką Zasłużonego Działacza Kultury, a 19 nagrodą pieniężną za pracę w klubach osiedlowych i środowiskowych, stowarzyszeniach twórczych, bibliotekach, teatrach etc.

Najwyższe trofeum – Nagroda Miasta Lublina za upowszechnianie kultury w roku 2002 – przypadło profesorowi Władysławowi Panasowi, za pamiętną sesję Schulzowską w listopadzie ubiegłego roku. Laureat czuł się szczęśliwy i wzruszony.

Jest literaturoznawcą, kierownikiem Zakładu Literatury Współczesnej KUL, ale uważa się także za mitotwórcę. Dlaczego? Jego zdaniem Lublin bardzo tego potrzebuje:

– Sporą część mojej aktywności poświęcam wizerunkowi tego miasta. Nie podzielam zdania tych przedstawicieli środowiska naukowego, którzy uważają, że nie są do tego powołani. Miejsca gdzie żyjemy nie są neutralne, nie można ich traktować instrumentalnie. Trzeba dać więcej.

Z zazdrością myślałem zawsze o takich miastach jak Paryż, Wiedeń, Lwów czy Kraków, mających poza zwykłą historią, tradycją, architekturą i infrastrukturą własną mitologię. Lublin też zasługuje na to, by być uznanym za miasto magiczne. Ma wiele tajemnic ciągle do odkrycia. Moja filozofia jest taka, że powinniśmy tę mitologię podkreowywać, a nawet trochę ją sobie i innym wmawiać. Nagrodę odbieram jako akceptację dla tego typu działania i zachętę. To dla mnie także zobowiązanie. Możecie być państwo pewni kontynuacji.

Mój alternatywny przewodnik

Mój alternatywny przewodnik; z Władysławem Panasem rozmawia z Grzegorz Józefczuk, „Gazeta Wyborcza. Lublin", 22 kwietnia 2004, s.3.

Kosmiczna oś świata znajdowała się w Lublinie – udowadnia w *Oku cadyka* prof. Władysław Panas. Ta najnowsza książka twórcy mitologii miasta Lublina znajdzie się na półkach po raz pierwszy w czasie piątkowo-sobotniej „Nocy z książką" w Księgarni Uniwersyteckiej.

Grzegorz Józefczuk: Pisze Pan, że w Lublinie na ulicy Szerokiej 28, które już nie ma, a gdzie mieszkał cadyk znany jako Widzący z Lublina, znajdował się „pępek świata", czyli *Axis Mundi*. Napisał Pan historię Lublina, jakiej nie znamy.

Prof. Władysław Panas: Nie lubię historii, wolę mówić o tej książce jako o przewodniku. Jest to przewodnik, jaki ja chciałbym czytać nie tylko o Lublinie, ale i o innych miastach. To mój alternatywny przewodnik, z tradycyjnym nie ma nic wspólnego, z jednej strony literacki, z drugiej – oparty na informacjach. Ponieważ Lublin nie ma takiego przewodnika, piszę go sobie sam. *Oko cadyka* jest jego częścią.

Po czym oprowadza ten przewodnik?

Nie tylko informuje, że tu stało się, tu stoi, było, wydarzyło się... Miasto jest pewną przestrzenią i ta przestrzeń ma też swój wymiar symboliczny. W realnej przestrzeni próbuję odczytać wymiar symboliczny. To nie jest jakiś wymyślony wymiar.

Tu, gdzie znajduje się oś świata, przebiega front wielowiekowej walki Dobrego i Złego. Jej znakiem mają być powstałe całkiem niedawno rzeźby demonów na narożnej kamienicy placu Zamkowego.

To są fakty. Podaję tylko realne fakty. Nic nie zmyśliłem. Można się tylko spierać co do ich interpretacji. Dodam jednak, może nieco tajemniczo, że losy tego tekstu – *Oka cadyka* – i przypadki, jakie go spotkały, są jak zmowa demonów.

***

Wypowiedź na spotkaniu promocyjnym książki *Oko Cadyka*

Zredagowany zapis wypowiedzi Władysława Panasa ze spotkania promocyjnego książki *Oko cadyka* w Bramie Grodzkiej 18 maja 2004. Archiwum TNN.

Teraz będzie coś tragicznego: o demonach, nie-demonach. Opowiem o tym demonicznym zapleczu, o genezie tego tekstu.

Moja sytuacja jest taka, jak każdego przyzwoitego autora – że nie bardzo ma co powiedzieć o swoim tekście i właściwie nie powinien mówić. Jeżeli autor jeszcze ma coś do powiedzenia, to znaczy że jest marnym autorem i to, co napisał, nie wyczerpuje tego, co miał na myśli. Ja miałem na myśli to, co napisałem.

Teatr NN wśród wielu przedsięwzięć miał coś, co się nazywało „Spotkania kultur". Udzielałem się zwłaszcza w dwóch wydarzeniach z tego cyklu. W spotkaniach dotyczących prawosławia i judaizmu. Jak było o prawosławiu, to mówiłem o ikonie, bo jest to jedna z moich starych pasji. Jak było o judaizmie, to mówiłem o chasydach i Widzącym z Lublina, bo po co o innych, jeśli w Lublinie działała jedna z najbardziej ekstrawaganckich i niezwykłych postaci w całym tym ruchu i tu do dzisiaj zachował się jej grób. Możemy go obejrzeć w każdej chwili.

Na jednym z takich spotkań wygłosiłem tekst o Widzącym. W pewnym momencie Teatr zdobył pieniądze, pojawiła się możliwość opublikowania tych materiałów w postaci książeczki. I tu się dla mnie zaczął problem. Wszyscy oddali swoje wystąpienia, a ja nie. Zbliżało się Boże Narodzenie, a ja zajmowałem się mistykiem żydowskim. Zacząłem biegać na jego grób i w okolice, bo doszedłem do wniosku, że może będzie dobrze dla czytelnika, jeśli opowiem o dzisiejszym stanie tych miejsc. Bo przecież nie mogę stworzyć konkurencji dla takich autorów jak Martin Buber, autor znakomitej przecież książki o Widzącym *Gog i Magog*. Jednak historia świata i Lublina nie zakończyła się – ani historia tych miejsc. Mam tę przewagę nad wcześniejszymi autorami, że żyję później od nich i mogę opowiedzieć, jak miejsca związane z Widzącym wyglądają teraz. I może to być interesujące.

Kiedy zacząłem przychodzić do Bramy, oglądać fotografie, ikonografię i zastanawiać się nad tym wszystkim, to wyłonił się zupełnie inny zespół faktów. Zacząłem zauważać rzeczy, których nigdy wcześniej nie widziałem. Otworzyły mi się oczy i również takie oko „moje". Pomyślałem, że nie wypada mówić o Widzącym jako o człowieku obdarzonym pewnymi wyjątkowymi właściwościami, które można nazwać „wzrokiem mistycznym" (czy się w to wierzy, czy nie wierzy, to jest inna kwestia). Nie o to chodziło. On zdaje się był w ogóle krótkowidzem i fizycznie widział chyba raczej kiepsko, ale miał to „trzecie oko", które występuje u wszystkich mistyków świata, we wszystkich religiach. *Nota bene* w tym eseju często odwołuję się do wiersza Herberta, w którym mowa o tym trzecim, wewnętrznym oku: „słuchaj rad wewnętrznego oka". Nie ma co się martwić, że ma się grube szkła i słabo się widzi.

Więc pomyślałem, że nie będzie w porządku mówić o Widzącym, nie widząc, nie odwołując się do własnego spojrzenia – do własnego oka. Pomyślałem, że trzeba by zatem przejść przez rodzaj ćwiczenia duchowego – jak to jest u mistyków – które w tym wypadku będzie polegało na wnikliwości i odmienności spojrzenia, na zmianie spojrzenia, żeby dostrzec to, co nam umyka na co dzień. I stąd zrodziła się w moim eseju ta warstwa wyznania, takiego *credo*, manifestu od którego zaczyna się ten tekst – we-

zwania do zmiany optyki, do tego, żeby spojrzeć inaczej.

Bo wszędzie wokół nas, jeżeli się inaczej spojrzy, dostrzeżemy, że ta rzeczywistość jest tajemnicza, cudowna, choć pozornie zwykła i banalna – jak ten plac na Podzamczu czy narożna kamienica, o której piszę w eseju, w której wcześniej była knajpa, a teraz jest bank. A przecież stoją na niej demony i mały Mesjasz, których rzeźby stworzono w ponurych latach [PRL-u] – nie wiadomo po co i co miałyby symbolizować. Podejrzewam, że gdyby ówczesnego planistę-architekta zapytać, jego odpowiedź byłaby banalna.

Dla mnie jednak z tego banału nagle wyłonił się pewien zespół faktów – ta konfiguracja przestrzeni nie jest moim wymysłem – wobec którego trzeba się było jakoś wypowiedzieć, uporządkować je, albo przynajmniej opowiedzieć o nich i tak też zrobiłem. To jest fragment mojego – jak powiadam – przewodnika.

Są różne idee patrzenia na miasto. Można mówić o duchu miejsca, ale tu doszłoby się do banałów. Jeśli jednak spojrzeć na przestrzeń, jaką tworzy miasto, z jego historią, ze wszystkimi wydarzeniami, z momentami szczęśliwymi, z momentami wielkiej historii, upadku, dramatów; jeśli spojrzeć na to jak na pewną książkę, pewną księgę, pewien tekst? Jestem filologiem-literaturoznawcą, więc ten trop mnie interesował – o czym jest ta historia?

Dzieje Lublina też tworzą pewien tekst, który ma jakieś nadrzędne przesłanie, nadrzędną wielką opowieść. Próbuję dowiedzieć się i zakomunikować publicznie, o czym jest ta opowieść zatytułowana umownie „Lublin". Co to jest za opowieść? Jaka to jest fabuła? Jaki gatunek literacki reprezentuje? Lirykę? A może jest to wiersz epicki? Zbiór nowel czy może dramat? A może jest to komedia – na przykład „Boska komedia"? I o czym opowiada? Postawiłbym właśnie tego typu pytania. Staram się wprowadzić do swojej i państwa świadomości, że to nasze miejsce jest czymś, co przekracza wszystkie wydarzenia z jakimi mamy do czynienia.

Bardzo mnie irytowało operowanie stereotypami, kliszami: jesteśmy miastem Unii, dwóch uniwersytetów, pięciu uczelni… To prawda, to są fakty, ale one zostały bardzo zredukowane. Nawet lubelskie legendy, na przykład legenda o czarciej łapie – również czasem zrobiła się jakaś płaściutka. W tym i w innych tekstach podjąłem próbę napisania takiego przewodnika, jaki sam bym chciał przeczytać – takiego nieortodoksyjnego przewodnika po Lublinie.

Oczywiście nie udaje mi się to, jest w nim jeszcze wiele rozmaitych mankamentów. Ale mam wrażenie, że można by kontynuować to pisanie. Przecież napisałem wcześniej o miejscu, w którym jesteśmy – o Bramie Grodzkiej. *Oko Cadyka* jest jakby jego dalszym ciągiem.

Moim zdaniem

Władysław Panas, *Moim zdaniem*; zanotowała TD [Teresa Dras], „Kurier Lubelski" nr 192, 17 sierpnia 2004, s. 13.

Czesław Miłosz jest jedynym polskim noblistą, którego zna cały świat, w ogóle jest jedynym polskim pisarzem który zaistniał w światowej świadomości. Rzeczą niezwykłą było, kiedy stary noblista przyjął zaproszenie na KUL od studentów, chociaż odrzucał już wtedy setki bardziej prestiżowych propozycji. Oprowadzałem poetę po kaplicy św. Trójcy. Najbardziej podobały mu się akty wandalizmu dokonane w kaplicy w epoce renesansu. To takie memento, powiedział Miłosz, uświadamiając sobie i nam, że barbarzyństwa popełniane w dzisiejszych czasach za kilkaset lat staną się „specyficznym dziedzictwem kultury".

Varia

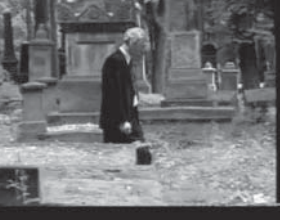

***

Notatka o Bramie Grodzkiej

1. W Bramie Żydowskiej, w Bramie Grodzkiej, w przejściu między miastem chrześcijańskim i miastem żydowskim.

2. W mieście uczoności żydowskiej, której symbolem jest macewa Szaloma Szachny z 1558 r. twórcy lubelskiej szkoły talmudycznej w XVI wieku – w XX wieku zwieńczonej utworzeniem Jeszywot Chachmej Lublin.

3. W mieście żarliwej, ekstatycznej pobożności chasydzkiej, której znakiem pozostaje macewa Widzącego z Lublina, Jakowa Icchaka Horowitza z 1815 r. W dole – jakie dzisiaj pusty plac u stóp Bramy i Zamku miał swój klaus.

4. W mieście szoah – Majdanek.

Treść odręcznie sporządzonej notatki przez Władysława Panasa opisującej Bramę Grodzką jako miejsce, w którym znajduje się Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN". Rękopis, 1994. Archiwum TNN.

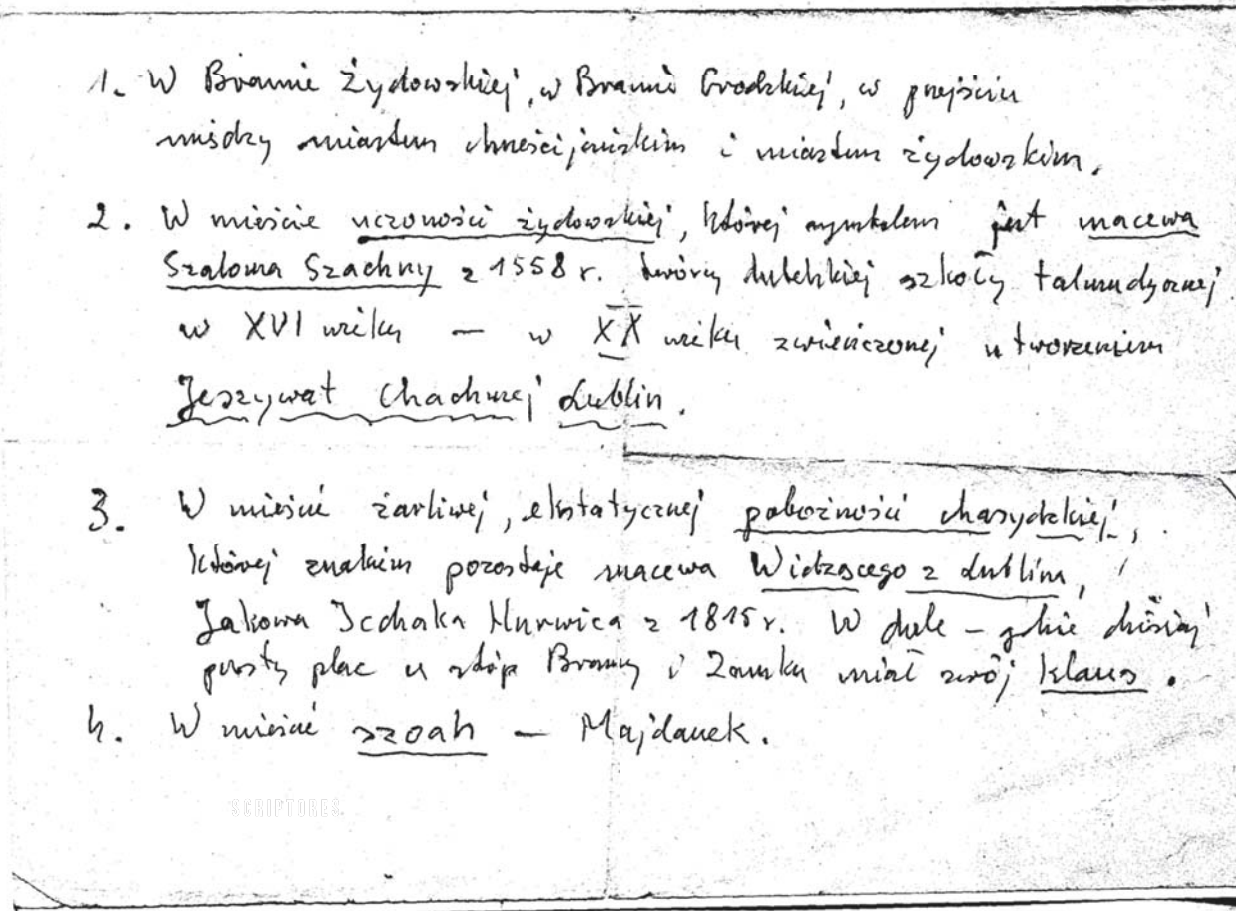
1. W Bramie Żydowskiej, w Bramie Grodzkiej, w przejściu między miastem chrześcijańskim i miastem żydowskim.

2. W mieście uczoności żydowskiej, której symbolem jest macewa Szaloma Szachny z 1558 r. twórcy lubelskiej szkoły talmudycznej w XVI wieku – w XX wieku zwieńczonej utworzeniem Jeszywot Chachmej Lublin.

3. W mieście żarliwej, ekstatycznej pobożności chasydzkiej, której znakiem pozostaje macewa Widzącego z Lublina, Jakowa Icchaka Horowicza z 1815 r. W dole – jakie dzisiaj pusty plac u stóp Bramy i Zamku miał swój klaus.

4. W mieście szoah – Majdanek.

SCRIPTORES

***

Notatka: „Miasto magiczne" – projekt

Notatka Władysława Panasa zatytułowana przez autora *Miasto magiczne (tytuł roboczy)* . Jest to rękopis z 1997, który odnosi się do planowanej w tymże roku książki o tytule „Miasto magiczne". Archiwum TNN.

Władysław Panas: Miasto magiczne (tytuł roboczy).

Książka – album, gdzie tekst i ikonografia są ściśle ze sobą związane. Celem jest pokazanie i opisanie – słowami i obrazami fotograficznymi – takiego wymiaru miasta, jakiego „nikt dotąd nie widział", pokazanie osobliwości i ukrytego „ducha" miejsca, jego magii i tajemnicy. Próbki takiego spojrzenia zaprezentowane są w esejach autora *Oko cadyka* i *Brama* (obydwie w druku).

Autor pisze tekst eseju (około 50-60 stron maszynopisu) i wskazuje obiekty do sfotografowania (ok. 40-50 fotografii)

Część obiektów do sfotografowania jest ogólnie dostępna, ale istotna ich część znajduje się we wnętrzach już to świeckich, już to sakralnych i wymaga uzyskania specjalnego pozwolenia na wykonanie zdjęć. Oto wykaz tych miejsc, na które trzeba uzyskać zgodę:

II. kościół św. Trójcy na Zamku
III. kościół Dominikanów na Starym Mieście
IV. Katedra
V. Kościół powizytkowski (Matki Boskiej Zwycięskiej)
VI. Kościół Kapucynów na Krakowskim Przedmieściu

Władysław Panas na Placu po Farze przy nieistniejącej już wierzbie opowiada o śnie Leszka Czarnego pod dębem. Kadr z filmu *Brama Pamięci*, reż. Marek Stacharski, Telewizja Lublin 1997.

I Władysław Panas: Miasto magiczne (tytuł roboczy).

II Książka-album, gdzie tekst i ikonografia są ściśle ze sobą związane. Celem jest pokazanie i opisanie – słowami i obrazami fotograficznymi – takiego wymiaru miasta, jakiego „nikt dotąd nie widział", pokazanie osobliwości i ukrytego „ducha" miejsca, jego magii i tajemnicy. Próbki takiego opisania zaprezentowane są w esejach autora Oko cadyka i Brama (obydwa w druku).

III Fotograf pisze tekst eseju (około 50-60 stron maszynopisu) i wskazuje obiekty do sfotografowania (ok. 40-50 fotografii).

IV Część obiektów do sfotografowania jest ogólnie dostępna, ale istotna ich część znajduje się we wnętrzach już to świeckich, już to sakralnych i wymaga uzyskania specjalnego pozwolenia na wykonanie zdjęć. Oto wykaz tych miejsc, na które trzeba uzyskać zgody:

- kościół św. Trójcy na Zamku
- kościół Dominikanów na Starym Mieście
- katedra
- kościół powizytkowski (Matki Boskiej Zwycięskiej)
- kościół Kapucynów na Krakowskim Przedmieściu

*

***

Notatka: „Lublin magiczny" – wykaz wnętrz

Notatka Władysława Panasa z 1997 roku zawierająca wykaz ilustracji do planowanego przewodnika *Lublin magiczny*. Rękopis. Archiwum TNN.

Władysław Panas
„Lublin magiczny" – wykaz wnętrz

I. Kaplica Św. Trójcy na Zamku
1. Portret konny króla Władysława Jagiełły
2. Kurtyna wokół dolnej strefy kościoła
3. Kurtyna w prezbiterium
4. Aniołowie strefy górnej
5. Inskrypcja autora fresków

II. Kościół O.O. Kapucynów na Krakowskim Przedmieściu
Obraz Sen Leszka Czarnego pod dębem

III Bazylika O.O. Dominikanów na Starym Mieście
1. Dwie ambony
2. Rzeźby:
   a. Turka
   b. młodzieńca
   c. modnej damy
   d. dwóch młodych kobiet

IV. Katedra

VII. Freski Józefa Meyera w nawie głównej
1. podpis autora nad wyjściem
2. rzekomy autoportret w prezbiterium

VIII. Freski Józefa Meyera w nawie bocznej
a) iluzjonistyczna architektura

IX. Freski Józefa Meyera w zakrystii i kapitularzu
1. Jeździec Niebieski
2. pejzaże we wnękach okiennych – tyle ile ich jest i ile nadaje się do fotograficznej reprodukcji

V. Kościół Powizytkowski (Matki Boskiej Zwycięskiej)
1. Sylwetka jeźdźca – fresk na chórze (jeżeli nadaje się do reprodukcji fotograficznej).

Władysław Panas

„Lublin magiczny" – wykaz wniosków

I Kaplica Św. Trójcy na Zamku

1. Portret konny króla Władysława Jagiełły
2. Kwatera wokół dolnej strefy kościoła
3. Kwatera w prezbiterium
4. Ikonostas strefy górnej
5. Inskrypcja autora fresków

II Kościół O.O. Kapucynów na Kwiatkowskim Przedmieściu

1. Obraz Sen Leszka Czarnego pod dębem

III Bazylika O.O. Dominikanów na Starym Mieście

1. Dwie ambony
2. Rzeźby:
   a) Tinka
   b) młodzieńca
   c) młodszej damy
   d) dwóch młodych kobiet

IV Katedra

1. Freski Józefa Meyera w nawie głównej
   a) podpis autora nad wyjściem
   b) wielkiej antependium w prezbiterium
2. Freski J. Meyera w nawie bocznej
   a) iluzjonistyczna architektura
3. Freski J. Meyera w zakrystii i kaplicach
   a) Jeziorko Niebieski
   b) pejzaże we wnękach okiennych – tyle ile ich jest i ile nadaje się do fotograficznej reprodukcji

V Kościół Powiatowy (Matki Bożej Zwycięskiej)

1. Sylwetka jeziorka i fresk na chórze (jeśli nadaje się do reprodukcji fotograficznej)

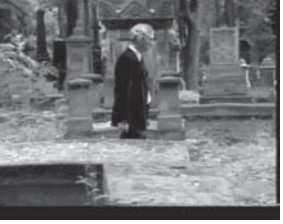

Lublin, dn. 12.11. 1997 r.

Państwowa Służba Ochrony Zabytków
w Lublinie

W związku z przygotowaniem do wydania książki Władysława Panasa „Magiczne Miasto" przez Ośrodek Brama Grodzka zwracamy się do Państwa z uprzejmą prośbą o pomoc przy udostępnieniu następującego materiału ikonograficznego do książki :

Wykaz wnętrz:

Kaplica św. Trójcy na Zamku:

1. Portret konny króla Władysława Jagiełły
2. Kurtyna wokół dolnej strefy kościoła
3. Kurtyna w prezbiterium
4. Aniołowie strefy górnej
5. Inskrypcja autora fresków

Kościół OO. Kapucynów na Krak. Przedm. — 21557 21558 21559

1. Obraz *Sen Leszka Czarnego pod dębem*

Bazylika OO. Dominikanów

1. Dwie ambony V PRAWA 20879 20880 LEWA 20881
2. Rzeźby:
   a. Turka
   b. Młodzieńca
   c. Dwóch młodych kobiet
   d. modnej damy

Archikatedra

1. Freski Józefa Meyera w nawie głównej
   a. podpis autora nad wyjściem – przy wyjściu
   b. rzekomy autoportret w prezbiterium
2. Freski w nawie bocznej:
   a. iluzjonistyczna architektura
3. Zakrystia i Kapitularz
   a. Jeździec Niebieski
   b. pejzaże we wnękach okiennych
   c. [illegible]

Kościół Powizytkowski

1. Sylwetka Jeźdźca

Powyższa lista ilustracji zamówionych do planowanego lubelskiego „przewodnika" Władysława Panasa została sporządzona na podstawie notatki zamieszczonej na poprzedniej stronie. W niniejszym numerze „Scriptores" skompletowano wszystkie zdjęcia według tego spisu (z wyjątkiem nieczytelnej pozycji: Archikatedra 3.c.), choć nigdy się już nie dowiemy czy zaproponowane ujęcia i motywy spełniłyby wymagania autora ani jakie teksty miały ilustrować. Są one zamieszczone na stronach: 4, 137, 138, 145, 146, 155, 156, 160, 162, 199 i 200.

Tajemnica Bramy Grodzkiej

Wiadomo, że tak niezwykłe miejsce jak Brama Grodzka musi posiadać rozmaite osobliwości, gdyż to one przecież stanowią o jego szczególnej magii, one tworzą jego specyficzny *genius loci* i z nich właśnie emanuje owa charakterystyczna aura, jaka go otacza. Tajemnica, o której tu mowa, dotyczy jednej z takich osobliwości i znana była dotąd – jak na prawdziwą tajemnicę przystało – tylko najbardziej wtajemniczonym (czytaj: najbardziej zaprzyjaźnionym z Teatrem NN i Szeroką 28), ale nadeszła już odpowiednia pora, żeby ogłosić ją także całemu miastu i światu.

Objawiła się nam podczas prac remontowych, które przywróciły Bramę do życia. Tkwi w jej najgłębszych (dosłownie) trzewiach. Zajmuje tam specjalne pomieszczenie, którego drzwi są stale zamknięte. Jak wygląda? Powiem bez ogródek: przy pierwszym spotkaniu wyraźnie rozczarowuje. Figurę ma bowiem mniej niż kiepską. Jest niezbyt foremna, zwalista i grubo ciosana. Po prostu – jakiś monstrualny kloc. Jej kremowa niegdyś barwa ma teraz kolor źle umytych kubków po herbacie. W dotyku – bo trudno zdobyć się na głaskanie – zdecydowanie niemiła: szorstka, wręcz kostropata. Zatem kontakt z nią nie dostarcza naszym zmysłom praktycznie żadnej rozkoszy. Nic dziwnego, skoro zbudowana jest głównie z węglanu wapnia z domieszką krzemionki. Ale też, trzeba na ten fakt zwrócić uwagę, nie jest jakąś modelką na wybiegu i jej istota nie skupia się bynajmniej na powierzchni.

Więc urodą się nie odznacza, lecz ma inne zalety – ważniejsze i trwalsze. Ma przede wszystkim niezbywalny majestat i bije z niej wielka siła. Budzi respekt i daje do myślenia. Skąd biorą się te jej zaskakujące właściwości? Ależ oczywiste: wszak na niej stoi od wieków nasze miasto. Jest skałą osadową, jak się to fachowo określa, która stała się kamieniem węgielnym i fundamentem dla miejskich budowli. Wprawdzie stanowi kamień węgielny zaledwie pojedynczego węgła miejskiego, Bramy Grodzkiej, lecz jest on jednym, jaki się nam odsłonił i mamy do niego dostęp. Stąd też reprezentuje sobą cały niewidoczny fundament miasta. W dodatku, jakby tego było mało, z geologicznego punktu widzenia skała ta jest... opoką! A to już, nie muszę chyba specjalnie podkreślać, przywołuje bardzo określony kontekst sakralny. Proszę tylko pomyśleć: miasto nasze zbudowane na opoce! I każdy niewierny, niekoniecznie Tomasz albo Piotr, nie mówiąc o Andrzeju, może ją zobaczyć, dotknąć.

Na koniec niech popracuje trochę wyobraźnia zasilona szczyptą wiedzy z zakresu symboliki kamieni: oto znaleźliśmy u siebie pępek świata, nasz tutejszy *omphalos*, swojski, chociaż podziemny menhir, magiczny czakram, słowem, nasz fundamentalny kamień – przez szacunek powiedzmy o nim po łacinie – nasz lapis nad lapisami, zarówno *lapis philosophorum*, jak i *lapis benedictus*, na pewno (to akurat sprawdziłem) – *lapis amoris*.

Czy czeka go kariera podobna do wawelskiego czakranu – tego jednak nie wiem.

Władysław Panas, *Tajemnica Bramy Grodzkiej* (rubryka „Inny Lublin"), „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 132, 7 czerwca 2001, s. 5.

2.01.2002

Władysław Panas

57

Jeździec Niebieski

Szkice i fragmenty lubelskie

(Do przemyślenia inne warianty tytułu: Oko cadyka. Szkice i fragmenty lubelskie. Brama. Szkice i fragmenty lubelskie. Daas. Szkice i fragmenty lubelskie)

Spis treści

I. Brama
II. Oko cadyka
III. Daas
IV. Jeździec Niebieski

} kolejność też do przemyślenia jeszcze

V. Ikonografia – fotografie, miedzioryty, rysunki, obrazy etc.

Notatka Władysława Panasa z 2 stycznia 2002 roku. Rękopis ze zbiorów prywatnych Rodziny Władysława Panasa.

W ułamkach zwierciadła czyli Schulz w Lublinie

Tak tedy będziemy zbierali te aluzje, te ziemskie przybliżenia, te stacje i etapy po drogach naszego życia, jak ułamki potłuczonego *zwierciadła.*

Bruno Schulz, *Księga*

Mógłbym też napisać: Schulz w Chełmie, bo jeśli już gdzieś w tych okolicach miałby być – to raczej w Chełmie niż w Lublinie. Chociaż tak naprawdę nigdy nie był ani tam, ani tu.

Wbrew utartej opinii, która unieruchamia go w Drohobyczu, jak nie przymierzając Kanta w Królewcu, trochę się jednakowoż ruszał i jego tropy odnajdujemy w wielu miejscach, nieraz zaskakująco, czasami nawet trudno wytłumaczalnych, jak chociażby – czego zupełnie nie rozumiem – w Sztokholmie. W naszych natomiast regionach – nie. A jednak możemy mówić o obecności Schulza zarówno w Chełmie, jak i w Lublinie, czyli – po prostu – u nas, w naszej prowincji. Rzecz jasna, skoro nie jest to bytność fizyczna, w grę wchodzi wyłącznie jego tu egzystencja metafizyczna. Ale chcę czytelnika od razu uspokoić: ta metafizyczność ma również swój silny wymiar fizyczny. Wiadomo, nie ma metafizyki bez fizyki. I odwrotnie. W każdym razie w tej wielkiej intrydze Nieskończoności, która spowija życie i dzieło Brunona Schulza, nam tutaj została wyznaczona specjalna rola. Oto kilka wstępnych detali, na których się ta rola opiera.

Jedyny rękopis

Może nie wszystkie akurat drogi prowadzą do Chełma, jak sądził pewien tamtejszy Szlemiel, lecz ta z pewnością tak, ponieważ mieszkał tam nie tylko ten ów słynny w świecie mędrzec, ale także mało komu znany Zenon Waśniewski. Trzeba go z tej niepamięci wydobyć, bo w Schulzowskiej historii jest on postacią wyjątkowo ważną – jedną z najważniejszych. To właśnie on sprowadził autora *Sklepów cynamonowych* w te strony i od niego zaczyna się ten metafizyczny spektakl, w którym bierzemy udział. A nic wtedy nie zapowiadało, że Waśniewski zajmie taką przy Schulzu pozycję. Mam niejakie podstawy, aby przypuszczać, że chyba tylko on sam przeczuwał niejasno, że zaprojektowano mu znacznie większą rolę niż mogłoby się z pozoru wydawać. Schulz takiej intuicji raczej nie miał, aczkolwiek powinien, gdyż otrzymał w tej sprawie dość wyraźną wskazówkę, na którą zresztą zwrócił uwagę. Otóż kiedy Waśniewski nawiązał z nim listowny kontakt, natychmiast zauważył, jak zdumiewająco podobne są ich dotychczasowe losy. Nie mógł jednak wiedzieć tego, co my: to podobieństwo stanie się wręcz porażające, gdyż obejmie również ich śmierć...

Byli prawie rówieśnikami. Studiowali w tym samym czasie we Lwowie architekturę. Nie ukończyli jej. I obydwaj zostali nauczycielami rysunków w prowincjonalnych gimnazjach. Uprawiali te same dziedziny sztuki, chociaż z całkiem odmiennym efektem. Dziełem życia Waśniewskiego okazać się miała „Kamena", którą razem z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim założył i redagował. Zginęli w czasie wojny – Schulz

Władysław Panas, *W ułamkach zwierciadła, czyli Schulz w Lublinie*, „Gazeta Wyborcza. Lublin", 19 listopada 2002, s. 11; Dodatek specjalny: „Bruno Schulz w ułamkach zwierciadła".

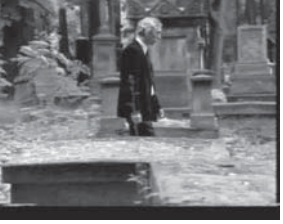

w Drohobyczu, Waśniewski w obozie koncentracyjnym w Bergen-Belsen.

Gdy ukazały się *Sklepy cynamonowe*, Waśniewski napisał do Schulza list: przypomniał się swemu dawnemu koledze ze studiów i zaprosił do współpracy z „Kameną". Rozpoczęła się korespondencja. Podtrzymywał ją przede wszystkim Waśniewski, bo Schulz angażował się w nią z zapałem nieszczególnym. Przecież jednak odpowiadał na listy. I opublikował w chełmskim czasopiśmie dwa teksty, co w jego wypadku wcale nie jest mało. Podarował też Waśniewskiemu parę swoich rysunków i jedną grafikę z cyklu „Xięga Bałwochwalcza". W ten sposób zaistniał Schulz fizycznie w Chełmie.

Jeśli komuś w tym momencie kołacze się po głowie myśl, że jakoś skromnie prezentuje się ta obecność, jest w grubym błędzie. Teraz bowiem pojawia się wymiar metafizyczny tej historii. Jak mianowicie inaczej moglibyśmy wytłumaczyć ten cudowny fakt, iż niemal wszystko, co Schulz wysłał do Waśniewskiego przetrwało bezpiecznie wojenną zagładę? Na tle tego, co po nim pozostało, chełmskie schulziana prezentują się wprost okazale. Ta wymuszona nieco korespondencja stanowi dzisiaj drugi co do ilości zbiór Schulzowskich listów skierowanych do jednego adresata. A te dwa teksty, które dał do „Kameny"... Każdy z nich ma swoją niezwykłość.

Pierwszy – to opowiadanie *Druga jesień*. Ukazało się ono w bardzo odpowiedniej porze: w listopadzie („Kamena" 1934, nr 3). Nawiasem mówiąc, publikacje drugiego tekstu też uzgodnił Schulz z właściwą porą roku. Coś w tym jest, lecz pozostawiam tę sprawę na boku. Rzecz najważniejsza – rękopis *Drugiej jesieni*, sześć pożółkłych kartek ze szkolnego zeszytu w kratkę, jest jedynym manuskryptem utworu literackiego Schulza, jaki dzisiaj znamy! Inne – przepadły bez wieści. Ocalał tylko ten w Chełmie. Jaka szkoda, że nie wysłał Schulz Waśniewskiemu więcej swoich rękopisów, zwłaszcza *Mesjasza*, jeśli go oczywiście, miał napisanego.

Tajemniczy fragment

Coś mesjanistycznego pojawiło się jednak w Chełmie. To *Wiosna*, drugi utwór, jaki Schulz umieścił w „Kamenie"(1935, nr 10, czerwiec). Pisał o nim do Waśniewskiego: „Mam fragment dla «Kameny», ale to wyraźny fragment, tj. ułamek, a raczej wstęp do jakiejś nie zrobionej jeszcze noweli". Ułamek ten lub też – jak uważał autor – wstęp do czegoś większego jest wyjątkowo tajemniczy. Pod paroma przynajmniej względami. Pewną jego część wmontował później Schulz w bardzo długą i intrygującą niezwykle opowieść, której nadał taki sam tytuł: *Wiosna*. Ale część inną, początek tekstu – opuścił. Tak więc znowu ta pierwotna całość (całość fragmentaryczna – jakież to Schulzowskie!) dotarła do nas tylko dlatego, że znalazła się w „Kamenie". Od wielu lat myślę o tym usuniętym przez Schulza fragmencie fragmentu. Dlaczego to zrobił? Wyeliminował przecież bardzo piękny opis żydowskiego święta Paschy, które zawiera w sobie – także w judaizmie – mesjańskie odniesienie. Wszak *Wiosna*, do której go nie włączył, też jest opowieścią mesjańską. Oto zagadka, nad której rozwiązaniem biedzę się od dawna. Czyżby fragment z „Kameny" był w odczuciu autora wstępem do jakiejś innej opowieści o Mesjaszu? Już milczę, bo napiszę jeszcze za dużo...

Nieznana opowieść Waśniewskiego

Zapraszał Waśniewski Schulza do Chełma i Schulz zapraszał Waśniewskiego do Drohobycza, lecz nic z tych zaproszeń nie wyszło. W końcu udało im się jakoś umówić, że spotkają się w Zakopanem. Spotkali się wreszcie – w połowie sierpnia 1935 roku. W osieroconych papierach Waśniewskiego, które butwieją

przez nikogo nie niepokojone w Chełmie, znajduje się rękopis nawiązujący do tego spotkania. Na dwóch wąskich paskach papieru naszkicował Waśniewski opowiadanie, w którym opisuje swoją podróż do Zakopanego na spotkanie z Schulzem. Tekst ma tytuł *Przyjaźń odnowiona...* i nie wiadomo, czy jest zamkniętą całością, czy tylko częścią jakiegoś odważniejszego zamierzenia. Nie ma w nim żadnych nazwisk i faktów, gdyż rzecz ma zdecydowanie artystyczny charakter, ale łatwo domyślamy się, o kogo tu chodzi. Byłby zatem Waśniewski pierwszym pisarzem, który wpadł na pomysł, żeby Schulza uczynić bohaterem utworu literackiego. W naszych czasach to coraz powszechniejsze zjawisko, lecz wtedy, za życia... Oto niewielki cytat z rękopisu Waśniewskiego.

Na promieniach oddalonej znajomości żeglowałem lat z górą dwadzieścia pięć, węsząc za uciekinierem z [nieczyt. – W.P.] uczelni. Nazwisko nieznanego autora nowej, wspaniałej książki, wkroczenie na skrzydłach sławy do Panteonu literatury tak od razu, bez uprzedzeń i debiutu kazało utożsamiać z odległą wizją młodości. A więc listy, pytania, korespondencja, stosy papieru. Czemu przypisać to trwałe zainteresowanie? Czy różnicy ujmowania rzeczywistości? Zawsze skromny, zapatrzony w zakamarki swego mózgu, fantazji, szperając w foliałach swych zakonspirowanych encyklopedyj – działał odrębnością i tajemniczością swego pobytu na ziemi.

Drohobycki łącznik w Lublinie

Raczej łączniczka. Pani Kinga Czajka – znajoma, przyjaciółka, świadoma lub nieświadoma modelka, może nawet jedna z muz Schulza. Przyjechała do nas prosto z Drohobycza. Niech o niej opowie jednak ktoś inny.[1] Ja tylko chcę zauważyć, że w jej osobie zmaterializowało się tu coś z Schulzowskiego świata. I chełmskie niezwykłości znalazły swoją kontynuację – naturalnie całkowicie odmienioną – w Lublinie. Już wiemy, czego się od nas oczekuje: zbierania ułamków potłuczonego zwierciadła, żmudnego ich sklejania, oprawiania w ramy, zawieszania. Przecież nie tylko nasze twarze w nich się odbijają.

[1] To zdanie odnosi się do sąsiadującego z tekstem Władysława Panasa artykułu Małgorzaty Bieleckiej-Hołdy *Ciocia Kinga* [przyp. red. „Scriptores"].

Władysław Panas na placu Zamkowym przy kamienicy z maszkaronami – w miejscu domniemanej lokalizacji domu Widzącego. Kadr z filmu *Brama Pamięci*, reż. Marek Stacharski, Telewizja Lublin 1997.

***

Wypowiedź podczas „Nocy z Czechowiczem"

Zredagowany zapis wypowiedzi Władysława Panasa podczas „Nocy z Czechowiczem" – spaceru trasą *Poematu o mieście Lublinie* z 13 lipca 2003. Materiał Moniki Lipiec, Radio Lublin. Materiał dostępny w archiwum TNN.

Trzeba się rozejrzeć i zobaczyć, że w rzymskokatolickiej kaplicy znajdują się bizantyńsko-ruskie malowidła. Jest z tym związana cała teologia. Jeśli mówimy o Czechowiczu, to on uważał, że fragment, ten z taką dziwną chmurą-niechmurą, z maskami na dole, a na górze z Aniołem Gabrielem – że to jest nawet lepsze od Boscha i Breughla. To był jego ulubiony fragment fresków.

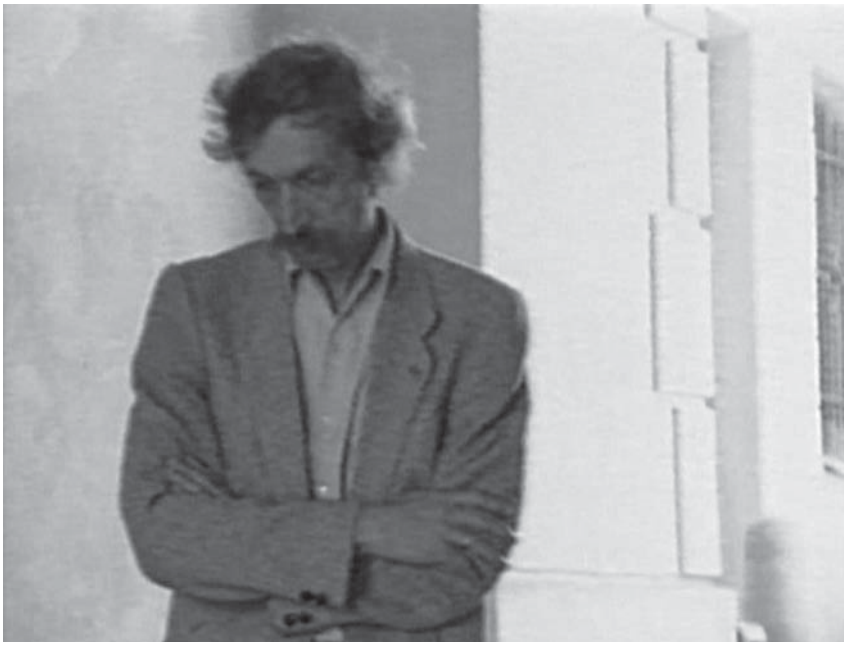

Władysław Panas w Bramie Grodzkiej. Kadr z filmu *Brama Pamięci*, reż. Marek Stacharski, Telewizja Lublin 1997.

Singer i... Kraszewski: Tajemniczy trop

To trop tajemniczy i kompletnie nieznany badaczom twórczości żydowskiego noblisty. Już sam fakt, że jest jakiś wspólny motyw między Singerem a Kraszewskim, jest intrygujący, tym bardziej że ściśle powiązany z naszym miastem. Rzecz dotyczy absolutnie centralnej sprawy – *Sztukmistrza z Lublina*, powieści z 1960 roku: zejścia głównego bohatera, Jaszy Mazura, z drogi grzechu.

Jasza czyni to w sposób spektakularny, manifestacyjny, teatralny. Wraca do Lublina, do żony, potem każe się zamurować w pustelni. Jednym słowem – Jasza Mazur staje się Jakubem Pokutnikiem. 116 lat wcześniej, w 1844 roku w Lipsku ukazuje się powieść historyczna Józefa Kraszewskiego *Malaparte*, jedna z licznych, ale najlepsza, w której pojawia się Lublin (zresztą od pierwodruku nigdy niewznowiona).

W tej zapomnianej powieści jest motyw zaskakująco zbieżny, a w swej strukturze – identyczny ze *Sztukmistrzem z Lublina*. Bohater Jan Aleksander Paprocki, mecenas lubelski z piekła rodem, przez Trybunał Koronny gotów jest przeprowadzić każdą sprawę poprzez fałszerstwa i kłamstwa. *Maleparta* znaczy „zły nabytek". Stąd powiedzenie „zły nabytek nie idzie w pożytek". Chrystus z krucyfiksu w Trybunale odwraca głowę, widząc co wyprawia Paprocki-Maleparta, a czart kładzie znak swej ręki na trybunalskim stole. Trudno uwierzyć, ale Maleparta nawraca się, zrywa z dotychczasowym życiem i zostaje pustelnikiem, świętym pustelnikiem – Ojcem Janem.

Jakie są źródła zbieżności między Singerem a Kraszewskim? Czy po prostu motyw złego człowieka i pokuty wędruje i obsługuje różne wspólnoty religijne? Lecz to nie wszystko wyjaśnia. Singer był świadom, że w tradycji żydowskiej nie ma tak radykalnej pokuty, że w istocie nie jest to motyw żydowski. Krasicki powoływał się na zasłyszaną legendę, zresztą „coś takiego" jest w aktach Trybunału. To był zatem motyw zakorzeniony w tradycji tutejszej, lubelskiej filozofii – i do niej sięga Singer. A to oznacza, że związki noblisty z glebą tutejszą są głębsze, niż się śniło jego badaczom.

Niepublikowana wypowiedź Władysława Panasa zredagowana przez Grzegorza Józefczuka na podstawie rozmowy z 25 czerwca 2004. Ze zbiorów Grzegorza Józefczuka.

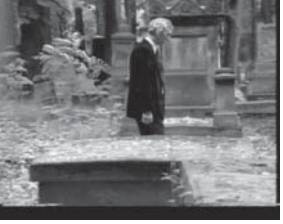

Władysław Panas
kalendarium

28 marca 1947 – urodził się w Dębicy na Pomorzu Zachodnim, powiat kołobrzeski.

1962 – rozpoczął naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Kołobrzegu.

1966 – zdał maturę i dostał się na studia polonistyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie studiował przez trzy semestry.

13 marca 1968 – wziął udział w wystąpieniach robotniczo-studenckich w Poznaniu.

14 marca 1968 – został aresztowany przez funkcjonariuszy SB podczas zajęć z przysposobienia wojskowego.

15 marca 1968 – stanął przed kolegium do spraw wykroczeń pod zarzutami zakłócania porządku publicznego i wznoszenia okrzyków przeciwko władzy ludowej. W wyniku rozprawy został skazany na dwa miesiące więzienia – karę odbywał w celi nr 68 w więzieniu w Śremie

24 maja 1968 – stanął przed komisją dyscyplinarną UAM, która uznała go winnym udziału w nielegalnym zbiegowisku, zakłócenia przez swoje okrzyki spokoju publicznego oraz podpisanie nielegalnej petycji nawołującej innych studentów do wzięcia udziału w nielegalnej demonstracji. W związku z rażącym naruszeniem regulaminu studiów komisja zdecydowała o natychmiastowym relegowaniu go ze studiów.

31października 1968 – Odwoławcza Komisja Dyscyplinarna ostatecznie utrzymała w mocy postanowienie pierwszej instancji o skreśleniu Władysława Panasa z listy studentów UAM.

1969 – rozpoczął studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

1970 – zadebiutował w „Poloniście" tekstem: *Poetyka* Widm *Tadeusza Gajcego.*

1 września 1972 – został zatrudniony jako asystent w wydawnictwie Towarzystwa Naukowego KUL.

5 marca 1973 – obronił pracę magisterską (*O koncepcji języka w prozie Brunona Schulza*). Promotor: prof. Stefan Sawicki; recenzenci: prof. Irena Sławińska i prof. Stefan Sawicki.

1 października 1974 – został zatrudniony jako asystent stażysta przy Pierwszej Katedrze Historii Literatury Polskiej KUL (w pierwszym roku pracy prowadził 2 godziny tygodniowo zajęć z poetyki i wersyfikacji, oraz odbywał 25 godzin tygodniowo zajęć zakładowych).

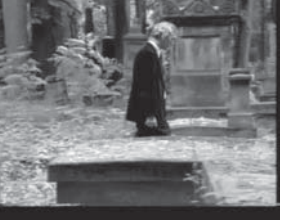

Władysław Panas – kalendarium

12 listopada-17 grudnia 1976 – przebywał na stypendium naukowym w ZSSR gdzie spotkał się między innymi z Borysem Uspieńskim i Jurijem Łotmanem.

1978-1985 – współpracował z czasopismami „Spotkania" i „Miesiące".

30 listopada 1983 – odbył się przewód doktorski na podstawie egzaminu i rozprawy doktorskiej napisanej pod kierunkiem prof. Stefana Sawickiego (*W kręgu metody semiotycznej. Literatura – sztuka – kultura*). Pracę recenzowali prof. Irena Sławińska i prof. Ryszard Łużny.

18 stycznia 1984 – Rada Wydziału Nauk Humanistycznych nadała mu stopień doktora nauk humanistycznych.

1987 – rozpoczął wykłady ze współczesnej kultury polskiej w Studium Języka i Kultury Polskiej dla Studentów Zagranicznych KUL.

31 stycznia – 5 lutego1988 – Jerozolima; wziął udział w konferencji „Historia i kultura Żydów polskich".

25 czerwca 1988 – 26 lipca 1988 – odbył serię wykładów na zaproszenie Polskiego Instytutu Kultury Chrześcijańskiej Fundacji Jana Pawła II na Letnim Uniwersytecie Kultury Polskiej w Rzymie.

1988 – otworzył pierwsze proseminarium.

1991 – ukazało się książkowe wydanie rozprawy doktorskiej pt. *W kręgu metody semiotycznej.*

17-19 listopada 1992 – Drohobycz; wziął udział w międzynarodowej konferencji „Bruno Schulz".

14-26 grudnia 1994 – wygłosił referat o Widzącym z Lublina na konferencji „Żydzi Lubelscy" zorganizowanej w Lublinie przez Teatr NN.

1996 – ukazał się esej Brama w czasopiśmie „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa".

1997 – została wydana rozprawa habilitacyjna: *Księga Blasku. Traktat o kabale w prozie Brunona Schulza.*

1998-2001 – współpracował z miesięcznikiem „Na Przykład".

1998 – otworzył pierwsze seminarium magisterskie.

16 grudnia 1998 – Rada Wydziału Nauk Humanistycznych KUL nadała mu stopień doktora habilitowanego w zakresie literaturoznawstwa.

1999 – objął kierownictwo nad Katedrą Teorii Literatury w Instytucie Filologii Polskiej KUL.

1 października 1999 – otworzył seminarium doktorskie.

1999 – ukazał się drukiem esej Oko cadyka w czasopiśmie „Kresy".

2000 – objął kierownictwo nad Międzywydziałowym Zakładem Badań nad Literaturą Religijną KUL.

2000-2005 – pełnił funkcję redaktora naczelnego „Roczników Humanistycznych".

1 czerwca 2000 – otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego KUL.

2001 – ukazała się książka *Bruno od Mesjasza. Rzecz o dwóch ekslibrysach oraz jednym obrazie i kilkudziesięciu rysunkach Brunona Schulza.*

21 kwietnia 2001 – odbyła się oficjalna premiera filmu *Magiczne miasto.*

2002 – w wydanej w Brnie prestiżowej antologii *Od poetiky k diskursu. Vybor z polske literarni teorie 70.-90. let XX stoleti* ukazało się tłumaczenie jego tekstu wraz z notą biograficzną.

16-21 listopada 2002 – zorganizował w Lublinie międzynarodowy festiwal „W ułamkach zwierciadła. Bruno Schulz (1892-1942). W 110. rocznicę urodzin i 60. rocznicę śmierci".

16 czerwca 2003 – został uhonorowany Nagrodą Artystyczną Miasta Lublina w dziedzinie upowszechniania kultury za rok 2002.

12-18 lipca 2004 – wziął udział w Pierwszym Festiwalu Brunona Schulza w Drohobyczu.

19 listopada 2004 – został przewodniczącym Międzynarodowej Rady Muzeum Brunona Schulza w Drohobyczu.

24 stycznia 2005 – umarł po długiej i ciężkiej chorobie w szpitalu w Lublinie.

17 lutego 2005 – odbyła się uroczystość przyznania tytułu doktora *honoris causa* przez Państwowy Uniwersytet Pedagogiczny im. Iwana Franki w Drohobyczu.

2005 – ukazała się książka *Tajemnica siódmego anioła. Cztery interpretacje.*

2006 – ukazała się książka *Willa Bianki. Mały przewodnik drohobycki dla przyjaciół (fragmenty).*

6 września 2006 – odbyło się otwarcie w Lublinie Zaułka Władysława Panasa.

2006 – ukazała się bibliofilska książka zawierająca *Poemat* Józefa Czechowicz oraz *Znak kabalistyczny. Słowo o Poemacie Józefa Czechowicza. Fragmenty.*

Zestawił Paweł Panas

www.panas.tnn.pl

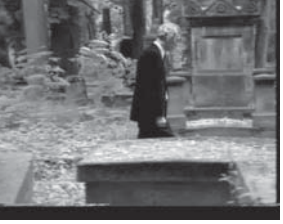

Bibliografia

Pochodzenie i bibliografia tekstów w numerze według kolejności ich występowania

Jeździec niebieski. Szkice i fragmenty lubelskie

Władysław Panas, *Brama*, „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa" nr 1/2, 1996, s. 14-17. Po raz pierwszy fragment eseju *Brama* Władysław Panas wygłosił podczas lubelskiej sesji „Pamięć-Miejsce-Obecność" w 1995 roku.

Przedruki:

- *Pamięć-Miejsce-Obecność. Współczesne refleksje nad kulturą i ich implikacje pedagogiczne,* red. Jan P. Hudzik, Jadwiga Mizińska, Lublin 1997, wyd. UMCS, s. 17-25
- *Brama*, red. Joanna Krupska, Lublin 1997, wyd. Krupski i S-ka, s.2-10.
- *Ścieżki pamięci. Żydowskie miasto w Lublinie – losy, miejsca, historia*, red. Jerzy J. Bojarski, Lublin – Rishon LeZion 2001, wyd. Norbertinum, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN", Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Izraelskiej w Lublinie, s. 103-109.

Władysław Panas, *Oko cadyka*, „Kresy" nr 40, 1999, s. 20-32.

Przedruk: *Oko cadyka*, Lublin 2004, UMCS, s. 7-36.

Władysław Panas, *Daas* (1), „Na Przykład" nr 4, 1998, s. 38-39.

Władysław Panas, *Daas* (2), „Na Przykład" nr 5-6, 1998, s. 40-41.

Władysław Panas, *Daas* (3), „Na Przykład" nr 9, 1998, s. s. 40-41.

Władysław Panas, *Daas* (4), „Na Przykład" nr 3-4, 1999, s. 36-37.

Władysław Panas, *Daas* (5), „Na Przykład" nr 6-7, 1999, s. 28-29.

Władysław Panas, *Daas* (6), „Na Przykład" nr 3-4, 2000, s. 32-33.

Władysław Panas, *Daas* (7), „Na Przykład" nr 1, 2001, s. 40-41.

Władysław Panas, *Jeździec Niebieski* (1), „Na Przykład" nr 5, 1998, s. 38-39.

Władysław Panas, *Jeździec Niebieski* (2), „Na Przykład" nr 8 , 1998, s. 40-41.

Władysław Panas, *Jeździec Niebieski* (3), „Na Przykład" nr 1-2, 1999, s. 40-41.

Władysław Panas, *Jeździec Niebieski* (4), „Na Przykład" nr 5, 1999, s. 28-29.

Władysław Panas, *Jeździec Niebieski* (5), „Na Przykład" nr 1-2, 2000, s. 28-29.

Władysław Panas, *Jeździec Niebieski* (6), „Na Przykład" nr 5, 2000, s. 36-37.

Władysław Panas, *Jeździec Niebieski* (7), „Na Przykład" nr 2, 2001, s. 40-41.

Szkice na urodziny Czechowicza

Władysław Panas, ... miejsce mojego urodzenia będą zwiedzali. Szkic topograficzny na urodziny Józefa Czechowicza, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 63, 15 marca 2001, s. 8. Dodatek specjalny: „Gazeta na urodziny poety".

Władysław Panas, Kapucyńska 3 – dwa obrazki (II) Szkic semiotyczny na urodziny Józefa Czechowicza, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 2, 15 marca 2002, s. II. Dodatek specjalny: „Gazeta na urodziny poety".

Władysław Panas, tu mnie skrzydłem uderzyła trwoga (III) Szkic traumatyczno – estetyczny na urodziny Józefa Czechowicza, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 3, 15 marca 2003, s. 2. Dodatek specjalny: „Gazeta na urodziny poety".

Władysław Panas, Poeta i książę. Szkic reinkarnacyjny na urodziny Józefa Czechowicza (IV), „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 63, 15 marca 2004, s. 6-7. Dodatek specjalny: „Gazeta na urodziny poety".

Teksty rozproszone

Wykład o Widzącym z Lublina

Wykład Władysława Panasa o Widzącym z Lublina podczas Sesji „Żydzi lubelscy", 16 grudnia 1994, archiwum TNN.

Lublin jest księgą. Władysława Panasa Lublin opowiedziany – rozmowy i wywiady

Władysław Panas, *Lublin jak wiersz*, „Gazeta Wyborcza. Lublin"; wysłuchała i zanotowała Małgorzata Bielecka-Hołda, 1 marca 1997, nr 51, s. 4.

Władysław Panas, *Lublin jest księgą*; wysłuchał i zapisał Waldemar Sulisz, „Na Przykład" nr 48 (kwiecień), 1997, s. 8-9.

Potrzeba pamięci; z Władysławem Panasem rozmawiali: Paweł Król, Sławomir J. Żurek, „Scriptores Scholarum" nr 2/3, 1998, s. 18-22; opracowanie Magdalena Przybyła.

Magiczne miasto – tekst opracowany na podstawie ścieżki dźwiękowej pełnego nagrania wideo do filmu: *Magiczne miasto*, reż. Natasza Ziółkowska-Kurczuk, TVP Lublin, 2000.

Nasze; z Władysławem Panasem rozmawiał Waldemar Sulisz, „Scriptores" nr 1 (27), 2003, s.13-23, opracowanie: Marcin Skrzypek. Jest to szersza wersja redakcji tego samego nagrania, na podstawie którego powstał tekst *Miasto Aniołów* (zob.: „Materiały niewykorzystane").

Lublin nierzeczywisty; z Władysławem Panasem rozmawiał Grzegorz Józefczuk, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 113 ,15-16 maja 2004, s. 7.

Władysława Panasa Lublin opowiedziany – drobiazgi, krótkie wywiady i wypowiedzi

*** *Wypowiedź w reportażu*, Brama Pamięci; źródło: *Brama Pamięci*, reż. Marek Stacharski, TVP Lublin, 1997.

*** *Rozmowa w programie „Kawa czy herbata"*; źródło: „Kawa czy herbata" (program cykliczny na żywo), TVP 1, 31 marca 2000, reżyseria: Małgorzata Marczuk i Mirosław Świech. Wypowiedź podczas emisji z kawiarni „Szeroka 28" przy Bramie Grodzkiej.

*** *Wypowiedź na 99. „Urodzinach Czechowicza"*; źródło: nagranie audio ze spotkania w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" podczas 99. rocznicy urodzin Józefa Czechowicza 15 marca 2002, archiwum TNN.

*** *Wypowiedź w programie „Etniczne klimaty"*; źródło: „Etniczne klimaty", program cykliczny Waldemara Jandy, TVP Kraków, 2003.

Odkrywca Lublina magicznego; z Władysławem Panasem rozmawiał Andrzej Molik, „Kurier Lubelski" nr 117, 21 maja 2003, s. 6.

Panas na parnasie; z Władysławem Panasem rozmawiała MG. [Małgorzata Gnot], „Kurier Lubelski" nr 140, 17 czerwca 2003, s. 4.

Mój alternatywny przewodnik; z Władysławem Panasem rozmawiał Grzegorz Józefczuk, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 95, 22 kwietnia, 2004, s. 3.

*** *Wypowiedź na promocji książki* Oko Cadyka; źródło: nagranie audio ze spotkania promocyjnego książki *Oko Cadyka* w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN", 18 maja 2004, archiwum TNN.

Władysław Panas, *Moim zdaniem*, „Kurier Lubelski" nr 192, 17 sierpnia 2004, s. 13.

Varia

*** *Notatka o Bramie Grodzkiej*, rękopis (1994), archiwum TNN.

*** *Notatka:* „Miasto magiczne" – *projekt*, rękopis (1997), archiwum TNN.

*** *Notatka: Lublin magiczny – wykaz wnętrz*, rękopis (1997), archiwum TNN.

Skan pisma do Państwowej Służby Ochrony Zabytków z 12 listopada 1997. w sprawie udostępnienia materiałów ikonograficznych do planowanej książki Władysława Panasa pod roboczym tytułem „Lublin magiczny" (z odręcznymi notatkami), archiwum TNN.

Władysław Panas, *Tajemnica Bramy Grodzkiej*, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 132, 7 czerwca 2001, s. 5 (rubryka „Inny Lublin").

Skan notatki z propozycjami tytułu i spisu treści planowanej książki „Jeździec Niebieski" (2 stycznia 2002). Zbiory prywatne Rodziny Władysława Panasa.

Władysław Panas, *W ułamkach zwierciadła czyli Schulz w Lublinie*, „Gazeta Wyborcza. Lublin" nr 269, 19 listopada 2002, s. II. Dodatek specjalny: „Bruno Schulz w ułamkach zwierciadła".

*** *Wypowiedź podczas „Nocy z Czechowiczem" w 2008 roku*; źródło: nagranie audio Moniki Lipiec (Radio Lublin) ze spaceru trasą *Poematu o mieście Lublinie* 13 lipca 2003, archiwum TNN. Miejsce nagrania: kaplicy Świętej Trójcy na Zamku Lubelskim.

Władysław Panas, *Singer i ... Kraszewski: tajemniczy trop*, wysłuchał i zapisał Grzegorz Józefczuk, 25 czerwca 2004. Niepublikowany tekst napisany dla lubelskiej „Gazety Wyborczej. Lublin". Zbiory prywatne Grzegorza Józefczuka.

Materiały niewykorzystane:

Miasto Aniołów; z Władysławem Panasem rozmawia Waldemar Sulisz, 5 kwietnia 2002, s.8-9.

Przedruk: *Miasto Aniołów*; z Władysławem Panasem rozmawia Waldemar Sulisz „Gazeta Grodzka", 11 grudnia 2003, s. 4-5.

Redakcja transkrypcji nagrań: Tomasz Pietrasiewicz, Marcin Skrzypek, Aleksandra Zińczuk.

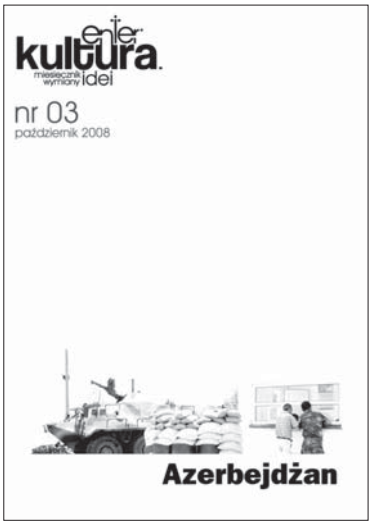

www.kulturaenter.pl – teatr, sztuki wizualne, kultura przestrzeni, dział wschodni

pismo folkowe tradycja muzyka świata i okolic

Gadki z Chatki

Jedyne w Polsce pismo o współczesnych inspiracjach folklorem i muzyką ludową:
muzyka, muzycy, wydarzenia, poglądy, wywiady, recenzje, zapowiedzi...
Dostępne w EMPiK-ach

Adres redakcji:
Gadki z Chatki
ACK UMCS „Chatka Żaka"
20-031 Lublin, ul. Radziszewskiego 16
tel./fax (0-81) 53-332-01 w.114
e-mail: gadki@orion.umcs.lublin.pl
www.gadki.lublin.pl

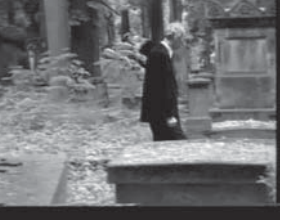

Aleksandra Zińczuk

Brama – Zaułek – Latarnia

„Wszak Słowo nie oznacza, nie zapośrednicza i nie zastępuje niczego. Jest rzeczywistością. Jak się mówi »światło« – to staje się jasność, gdy się mówi »woda« – powstaje ocean" – pisał Władysław Panas w posłowiu do znanej książki o ikonie Pawła Florenckiego (*Ikonostas i inne szkice)*.

Prawdopodobnie autor *Intrygi Nieskończoności* nie byłby zaskoczony, że w języku hebrajskim słowo *panas* (פנס, w języku polskim akcentowane odwrotnie) oznacza latarnię, zaś przybywający do Lublina Żydzi nazywają w ten sposób ostatnią latarnię z przedwojennego, żydowskiego Lublina, „Lampę Pamięci", palącą się non-stop od 2004 roku na ul. Podwale, tuż obok Bramy Grodzkiej i u wylotu Zaułka im. Władysława Panasa. Latarnia ta zapalona z inicjatywy Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" stanowi wymowny symbol pamięci, świadectwo dwukulturowego Lublina. Wkład – również jak najbardziej ten mitotwórczy – Władysława Panasa w wiedzę o mieście Lublinie, zarówno żydowskim jak i chrześcijańskim, można przyrównać do światła tej lampy.

Wyjątkowość stylu lubelskiego badacza polega na tym, że pokazuje on: oto można pisać tak, jak mówi się do drugiego człowieka. Prostota wypowiedzi jest zawsze u niego zapowiedzią spraw głębokich, gdzie jednocześnie z ironiczną serdecznością interpretator tworzy własną opowieść o mieście. Autor *Jeźdźca niebieskiego* jest kimś więcej niż pisarzem czy eseistą. Jest on również odważnym semiotykiem, wnikliwym hermeneutą, który nie boi się prostych pytań; co więcej, jest uważnym czytelnikiem miasta, swoistym archeologiem literatury. Myśl Jerzego Stempowskiego celuje w metodę, którą wypracował Władysław Panas: „Pisarze polscy są […] skąpi w opisy miasta. Archeolodzy rzymscy, chcąc zidentyfikować i odtworzyć rozkopane ruiny, czytają dawnych poetów" (*Eseje dla Kassandry*). Stąd też autor tekstu *Miasto jest księgą* poprzez literaturę oraz odczytywanie miasta uczynił tak wiele dla Schulza i Drohobycza, dla Czechowicza i Lublina.

Teksty zebrane w tym tomie stanowią pewnego rodzaju antologię lubelskich tekstów Profesora. Jednocześnie powstały w ten sposób wybór, wraz z materiałem ikonograficznym, a także wskazówkami, tropami zawartymi w wypowiedziach badacza układają się w oddzielny, „alternatywny przewodnik po mieście". Przewodnik nie może być dla wszystkich, ale może być dla każdego z osobna. Samo znaczenie słowa „przewodnik" sugeruje pewną intymność, zażyłość, zgodę, przybranie określonego punktu widzenia, poddanie się zmianie perspektywy. Jeżeli jesteśmy literami tego tekstu – jakby chciał tego Władysław Panas – przewodnik nie może być ukończony. On wciąż powstaje.

Lampa paląca się non-stop na pamiątkę mieszkańców dzielnicy żydowskiej oraz Zaułek Władysława Panasa między ul. Podwale i Placem po Farze. Fot. M. Skrzypek.

Na ostatniej stronie: kadr z filmu *Brama Pamięci*, reż. Marek Stacharski, Telewizja Lublin 1997.